

IZABELA
JANISZEWSKA

HISTERIA

NAJWIĘKSZY OBŁĘD
BIERZE SIĘ Z NIEMOCY.



HISTERIA

IZABELA
JANISZEWSKA

HISTERIA



Copyright © Izabela Janiszewska, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Ewelina Chodakowska, Marta Akuszewska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Fotografia na okładce: PeopleImages / Getty Images

Fotografia autorki: Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66570-28-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

„Dziecko, które jest źle traktowane,
nie przestaje kochać rodziców.
Przestaje kochać siebie”.

Jesper Juul

TAMTA NOC

Niektórzy twierdzą, że widzimy to, co chcemy widzieć, a nie to, jaki świat jest naprawdę. A jednak tamtego jesienno-wieczoru Wiktor Zakrzewski zobaczył coś, czego nigdy nie pragnął dostrzec. Spotkał się z tą częścią rzeczywistości, której istnienie dotychczas wypierał. Jego ciało oblepił gęsty, wgryzający się w skórę niepokój, a on zdał sobie sprawę, że zło, które do tej pory wydawało mu się nierealne, postawiło na jego drodze postać.

Najpierw zauważył jego białe włosy, odcinające się od granatu nieba. Chłopiec wyłonił się z mgły. Biegł od strony ursynowskiej Górki Kazurki, porośniętego trawą sztucznego wzniesienia usypanego z ziemi z wykopów prowadzonych w latach osiemdziesiątych pod budowę pierwszej linii metra.

Malec zanosił się szlochem i krzyczał. Trudno było zrozumieć jego słowa, bo połykał je razem ze łzami i wodnistą wydzieliną kapiącą z nosa. Dziecko potknęło się i upadło na chodniku, a jego płacz stał się bardziej donośny. W pierwszym odruchu Wiktor obejrzał się za siebie, jakby sprawdzał, czy dostrzeże kogoś innego, kto mógłby wyruszyć na pomoc chłopcu, ale było zbyt późno i paskudnie, by ludziom chciało się wychodzić z domów. Z nieba siąpił listopadowy deszcz, wiał nieprzyjemny wiatr, który przyprawiał o dreszcze, a wszystko spowijała gęsta, dusząca mgła. W powietrzu unosił się zapach gnijących liści i dymu wydobywającego się z kominów okolicznych domów. Mężczyzna zmełł w ustach przekleństwo, po czym z niechęcią ruszył w stronę zawodzącego dziecka, które leżało

bezradnie na betonowych płytach chodnika. Jego ciało drgało w rytm wylewającego się z niego smutku.

– Hej, mały – powiedział cicho, ale nie dlatego, by nie wystraszyć chłopca, tylko dlatego, że nagle sam poczuł irracjonalny strach, owijający się wokół jego serca niczym wąż o zimnej, śliskiej skórze.

Dziecko ucichło, po czym ostrożnie uniosło głowę i zaczęło badawczo wpatrywać się w Wiktora. Wielkie, błękitne i mokre oczy lustrowały nieznajomego, jakby od jego kolejnego ruchu zależało, czy szloch powróci. Mężczyzna pomyślał, że powinien się odezwać, wykorzystać tę pauzę w rozpacz, ośmielić jakoś malca, dowiedzieć się, gdzie są jego rodzice i dlaczego chodzi sam po ulicach nocą, ale żadne z tych oczywistych pytań nie mogło mu przejść przez gardło. Z otwartymi ustami, niczym zahipnotyzowany patrzył na poplamioną krwią twarz chłopca i dopiero po chwili zauważył, że zarówno jego dłonie, jak i maskotka, którą ścisnął w małej rączce, oraz ubranie pokryte są warstwą lepkiej, brunatnoczerwonej mazi. Wydawało mu się, że czuje jej mdły zapach. Drażnił jego nozdrza i sprawiał, że zaczynało mu się zbierać na wymioty.

– O Boże... – wydobyło się z ust Zakrzewskiego, który, przerażony tą mimowolną reakcją, natychmiast położył dłoń na ustach. – Co ci się stało, mały? – dodał po chwili, przełykając ślinę.

– Moja mama... – przemówił chłopiec łamiącym się głosem, po czym zaczął na powrót łkać.

Wiktor Zakrzewski kręcił głową z niedowierzaniem. Cała ta sytuacja sprawiała wrażenie nierealnej, jakby spotkała kogoś innego, a jednak to on stał na popękanej płycie chodnika i patrzył na zakrwawione dziecko. Czuł, że to nie powinno się nigdy zdarzyć, nie jemu i nie tam, ale było już za późno, by się wycofać. Nie mógł zostawić chłopca samego. Wyrzucał sobie, że powinien odjechać, gdy tylko go zobaczył. Nie rozumiał, dlaczego poddał się irracjonalnemu odruchowi i wziął na siebie odpowiedzialność za tę małą istotę. Ale dzieciak miał na oko niewiele więcej niż trzy lata i z pewnością nie poradziłby sobie sam.

Mężczyzna nerwowo przygryzł paznokciec kciuka, po czym rozejrzał się raz jeszcze w nadziei na to, że zza horyzontu wyłoni się skruszony opiekun chłopca. Gdy nikt nie nadchodził, uczeplił się myśli, że może znajdzie wsparcie w przypadkowych przechodniach, zepchnie na kogoś ten ciężar – ale i tu nie odnotował sukcesu. Jedyną osobą, którą dostrzegł, był staruszek z psem, idący w przeciwną stronę, ale emeryt nawet nie spojrział w jego kierunku, a po chwili zniknął za ścianą mgły. W końcu Zakrzewski westchnął zrezygnowany i podszedł do dziecka.

– No już. Chodź. – Wziął je pod pachy, uniósł i postawił na chodniku. Mały był tak oszołomiony, że nie stawiał oporu.

Wzrok mężczyzny przesuwiał się czujnie po ciele malca, szukając odpowiedzi na huczące mu w głowie pytanie o to, skąd wzięła się krew. Wypatrywał jakiejś rany, oznak poważnego urazu czy śladów pobicia, ale było zbyt ciemno, by mógł precyzyjnie ocenić jego stan. Przez chwilę gapił się na pobrudzony krwią niebieski sweterek, a gdy poczuł, że do gardła podchodzi mu bigos, który zjadł niedawno, odchrząknął i zwrócił się do dziecka:

– Zaprowadzę cię do mamy, dobra? – Starał się włożyć w to zdanie nieco optymizmu. – Pokażesz mi, gdzie mieszkasz?

Chłopiec spuścił głowę i cichutkim głosem powiedział:

– Nie wiem. – Po czym uniósł błękitne oczy i drżącymi wargami dodał: – Mama leży tam. – Odwrócił się w stronę Lasu Kabackiego.

Mężczyzna poczuł, że kręci mu się w głowie. Jego dłonie zaczęły się pocić, a w przetyku pojawiło się nieprzyjemne uczucie ostrego pieczenia, podobne do tego, którego doświadczał przy zgadze. Wydawało mu się, że coś zatyka mu gardło, a w ustach wyczuł kwaśny posmak.

– Zaprowadź mnie – powiedział z trudem, a własny głos wydał mu się obcy.

Wziął dziecko za rękę, tak że mała dłoń zniknęła w uścisku dorosłego. Trzymał chłopca mocno, może chwilami ścisnął go nawet za bardzo, ale chciał mu pokazać, że się nie boi, że jest silnym dorosłym, w którym malec może znaleźć oparcie. Szedł więc obok

niego, spoglądał na zakrwawionego króliczka w jego dłoni i robił wszystko, by oddychać normalnie.

Chłopczyk zaprowadził go za górkę, na której mieścił się Bike Park Kazoora, miejsce, gdzie swoje umiejętności trenowali amatorzy latania na rowerach, lub – jak kto woli – fani kolarstwa grawitacyjnego. Wkrótce dotarli w okolice ulicy Gminnej, a później Rolnej, na której malec przyspieszył, po czym wyrwał się mężczyźnie i pobiegł w kierunku samochodu z otwartymi drzwiami, zaparkowanego na poboczu.

Mężczyzna włączył latarkę w telefonie i ruszył za dzieckiem, czując narastający niepokój, równie silny jak zimno przenikające go do szpiku kości. Wydawało mu się, że jego nogi stały się ciężkie i odporne, a każdy krok kosztował go wiele wysiłku, jakby organizm starał się go zatrzymać, ochronić przed tym, czego mógłby nie oglądać. Gdy po chwili dotarł na miejsce, jego oczom ukazało się leżące w trawie ciało kobiety z roztrzaskaną głową, z której płynęła krew. Odwrócił wzrok. Oddychał głęboko, by przegonić falę mdłości. Jego serce tłukło się w piersi jak oszalałe, a usta mamrotały bezgłośnie przekleństwa.

– Cii. – Chłopiec położył palec na ustach. – Mama się uderzyła i odpoczywa. – Pogłaskał jej mokre od krwi włosy.

Mężczyzna przygryzł wargi, by nie krzyczeć ani nie płakać, by za wszelką cenę trzymać fason w obliczu wzroku tego małego stworzenia, które nie zdawało sobie jeszcze sprawy, jak bardzo to jedno doświadczenie wpłynie na jego życie. Jak mocno ten kadr osadzi się w jego pamięci i ile razy wyświetlać będzie się na ekranie wspomnień, we dnie i w nocy, za każdym razem, gdy jakaś drobna iskra wyzwoli go z galerii obrazów, które należałoby zapomnieć. Chłopca, który nie myślał o tym, że zapach tego wieczoru, unosząca się nad łąkami dzika woń krwi, będzie towarzyszyć mu już zawsze.

Wiktor drżącą ręką wybrał numer alarmowy, a kiedy zgłosił się dyspozytor, dziwił się samemu sobie, jak okrągłych słów używał, by opisać to całe wywołujące wewnętrzny dygot zajście.

– Znalazłem kobietę z dzieckiem. Zdarzył się wypadek. Wokół jest pełno krwi – wyjaśniał.

Słuchał pytań zadawanych przez dyspozytora, ale w jego uszach splotały się w jednobarwne bzyczenie. W końcu jego ręka opadła bezwiednie, a gdy uderzyła o udo, telefon wypadł z niej i wylądował na trawie. Malec uśmiechał się do matki i drobną rączką muskał jej zakrwawione policzki.

– Lekarz naprawi ci głowę – powiedział do niej z przekonaniem, z jakim zwracał się do swoich maskotek w zabawie. – Lekarz już jedzie – szepnął do brunatnej grudy znajdującej się w miejscu, w którym jeszcze niedawno zapewne było ucho kobiety.

W tym samym czasie mężczyzna modlił się o to, by karetka i policja przyjechały jak najszybciej i by ktoś inny wytłumaczył dziecku, że już nikt i nigdy nie naprawi jego mamy.

TERAZ

Mężczyzna sięgnął do kosza na śmieci i czarną od brudu, trzęsącą się ręką wyjął z niego puszkę. Rzucił ją na chodnik, przydepnął, po czym dopchnął do pozostałych, ściśniętych w reklamówce z dyskontu. Kiedy ruszył w stronę Dworca Centralnego, widać było, że utyka na prawą nogę. Miał na sobie znoszony, cuchnący garnitur niewiadomego koloru i dziurawe buty. Jego krok był ociężały, a wzrok nieobecny. Na wyschniętych wargach bezdomnego tkwił brunatny strup z krwi, a dawno nieobcinane włosy wystawały spod wełnianej czapki naciągniętej na czoło.

Mruczał coś pod nosem, ale z odległości, z której go obserwowała, nie mogła wyłowić poszczególnych słów. Czuła, jak narasta w niej złość. Niczym gorąca smoła stopniowo wypełnia jej ciało i wgryzała się we wszystkie mięśnie. Wzbierała w niej ochota na to, by rzucić się na mężczyznę, kopać go i krzyczeć do czasu, aż sama nie poczuje ulgi. A jednocześnie wiedziała, że później czeka ją jeszcze większa wyrwa w środku.

Westchnęła ciężko i ruszyła za kloszardem. Miała go już niemal na wyciągnięcie ręki, gdy z zarośli pod Pałacem Kultury wyłonił się chłopak w kolorowym ortalionowym dresie, który szeleścił przy każdym ruchu. Na nadgarstku wyrostka pobrzękiwał srebrny zegarek z dużą tarczą, na stopach dumnie prezentowały się nowe, zapewne kradzione adidas z charakterystyczną literą „N”, a na pokrytej wypryskami twarzy widniał cwaniacki uśmiech.

– Elegancik, dawaj fanty – rozkazał bezdomnemu.

Złapał siatkę z puszkami i pociągnął ją w swoją stronę. Nie spodziewał się oporu, dlatego zdziwiło go, gdy palce starszego mężczyzny kurczowo ścisnęły reklamówkę i przytuliły ją mocno do brzucha.

– To moje – wycedził stary pijanym, słabym głosem.

Chłopak w dresie zaśmiał się, a potem kopnął mężczyznę w ranną nogę i gdy tamten upadł na chodnik, wyrwał mu puszki.

– Żebyś cię tu więcej nie widział, śmieciu – rzucił do mężczyzny, który nieporadnie usiłował podnieść się z kolan. – Rozumiesz? To jest mój rewir. – Zerwał mu czapkę, złapał go za włosy i szarpnął do góry głowę włóczęgi tak mocno, że w oczach ofiary błysnęły łzy. – Czy mam ci to jeszcze raz wytłumaczyć? – Napluł mu w twarz.

Starszy mężczyzna zaczął drżeć, bezradnie pokręcił głową, a jego usta wypowiedziały bezgłośnie „nie”.

– Mnie wytłumacz. – Larysa Luboń podeszła do chłopaka i zanim zdążył zareagować, kopnęła go w kolano tak mocno, że coś w nim chrupnęło.

– Aaaa! Kurwaa! – Upadł na chodnik i zwijał się tam z bólu.

Zamierzał coś jeszcze powiedzieć, ale Larysa i tak nie słyszała jego słów. Docierały do niej jedynie szum jej buzującej krwi i dudnienie serca. Kopała chłopaka z dziką furją. Jej glany uderzały w brzuch i nogi napastnika. Starszy mężczyzna zdołał podnieść się z kolan, dokuśtykał do dziewczyny i złapał ją za ramię.

– Zabijesz go – wymamrotał przerażony.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Oczy pełne strachu i te drugie, tonące w nienawiści.

Larysa usiłowała odnaleźć w spojrzeniu mężczyzny Pawła Wiśniewskiego, którego znała. Szukała w nim swojego przyjaciela, ale nie dostrzegła go tam. Jego ciało stało się siedliskiem duchów. Pustym, przerażającym i obcym niczym opuszczone miasto. Na brudnej, nieogolonej twarzy bezdomnego malował się tylko lęk. Zauważyła, że przy każdym ostrzejszym dźwięku mężczyzna odruchowo podnosił dłonie, jakby spodziewał się napaści i chciał osłonić głowę. Gdy na niego patrzyła, pomyślała, że dawny redaktor

naczelną „Magazynu”, najlepszego w kraju pisma reporterów, skarłał, a jego pomarszczona, niedomyta skóra sprawia, że wygląda teraz na kogoś o wiele starszego. Dziewczyna przełknęła gorycz ściskającą za gardło, posłała przyjacielowi wymuszony uśmiech i właśnie zamierzała powiedzieć coś pokrzepiającego, gdy kątem oka dostrzegła zbliżający się od strony metra patrol policyjny.

– Spadamy – rzuciła do Pawła, po czym wzięła go pod ramię i zaprowadziła za budynek Dworca Śródmieście.

Tam posadziła go na chodniku pod ścianą. Była zmęczona, miała zroszone potem czoło i dyszała ciężko. Przez jakiś czas trwali w milczeniu, jedynie posapując. On ze strachu, który nadal trzymał go w garści, a ona z wysiłku po napadzie złości.

– Dlaczego teraz? – wychrypiął Wiśniewski. – Widziałem cię tu kilka razy, ale nigdy wcześniej do mnie nie podeszłaś.

– A ty nigdy tak nie cuchnąłeś.

– Przestań. Przecież nie chcesz mnie ratować. Zresztą nie ma już czego. Po co przyszłaś?

Larysa spojrzała mu w oczy. Wydawało się jej, że gdzieś z odmętów wyłania się ten Paweł, który zawsze cierpliwie jej słuchał, pozwalał popełniać błędy i nigdy jej nie oceniał. Mężczyzna, któremu pozwalała widzieć siebie prawdziwą, bo wierzyła, że jej nie skrzywdzi. Myliła się. A może po prostu zapomniała, że zaufanie i oswojenie zawsze niosą ze sobą ryzyko rozczarowania.

– Bo cię potrzebuję – rzuciła w końcu, unikając jego wzroku.

Na starej, zmęczonej twarzy Pawła malował się błogi wyraz. Mięśnie się rozluźniły, a rysy złagodniały, by po chwili na powrót przybrać pochmurną formę.

– Zbyteczny trud – mruknął na odczepnego. – Ja już nie mam na to siły. Nie chcę udawać, że cokolwiek ma dla mnie jeszcze jakieś znaczenie. Bo i po co?

Larysa westchnęła ciężko. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Nie mogła przekonywać, że jego żona, Maria, pragnęłaby dla niego lepszego życia, że nie zniosłaby widoku tego, kim się stał – bo ona już nie żyła. A umarłych raczej średnio obchodziło to, co się dzieje

z żywymi. Szczególnie gdy ci ostatni zachowywali się, jakby sami już byli martwi.

– Masz rację. To nie ma sensu – odparła, a potem odwróciła się w stronę Alei Jerozolimskich, przy których stał jej wysłużony citroën saxo, podniosła się i spokojnym krokiem odeszła.

Kiedy usiadła w samochodzie, ustawiła timer w komórce, po czym zamknęła oczy i oparła głowę o siedzenie. Miała wrażenie, że słyszy tykanie zegara w rytm upływających sekund. Czas dłużył się jej do tego stopnia, że w pewnym momencie zaczęła bębnić paznokciami o tapicerkę.

No dalej, Paweł, pomyślała, zerkając na malejące liczby na wyświetlaczu telefonu.

Do końca czasu zostało dwadzieścia sekund. Położyła dłoń na kluczyku i już zamierzała go przekręcić, gdy usłyszała pukanie do okna. Dokładnie w chwili, gdy opuściła szybę, zadźwięczał alarm w telefonie. Paweł, który przypatrywał się jej z zaciekawieniem, ściągnął brwi i zerknął na komórkę.

– To minutnik? – Przyglądał się jej równie wnikliwie, co cyfry migoczącym na ekranie smartfona. – Ile mi dałaś czasu?

– Pięć minut.

Mężczyzna pokiwał głową, a później wgramolił się na siedzenie pasażera.

– Znudziło mi się spanie na kartonie – rzucił, gdy ruszyli.

– Tak też myślałam.

W oddali dostrzegła patrol rozmawiający z chłopakiem w dresie. Mężczyzna wskazywał palcem odjeżdżającego citroëna, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Od chwili, gdy Paweł wsiadł do samochodu, czuła w środku przyjemne ciepło.

Podobne takiemu, jakie u niektórych pojawiało się, gdy po długiej nieobecności wreszcie wracali do domu.



– Mamuśka, gdzie jesteś? – rzucił komisarz Bruno Wilczyński do telefonu, usiłując przekrzyczeć skandujący na Krakowskim Przedmieściu tłum. – Nie mogłeś wybrać lepszego miejsca na spotkanie? Tu jest jakiś cholerny protest. – Zasłaniał dłonią drugie ucho, by odgrodzić się od coraz głośniejszych okrzyków: „Kłamca! Kłamca!”.

W odpowiedzi usłyszał w słuchawce jedynie śmiech. Z telefonem przyciśniętym do ucha usiłował wyłowić z tłumy znajomą twarz, gdy poczuł, że ktoś go ordynarnie popycha. Poirytowany zerknął za siebie, ale dostrzegł jedynie gderającą pod nosem staruszkę o lasce. Kobieta rzuciła mu groźne spojrzenie, po czym dołączyła do skandujących: „Hańba! Hańba!”. Chwilę później potrąciła go matka wioząca na wózku inwalidzkim dziecko ze spuszczoną bezwładnie głową. Z jego ust wydobywały się bąble śliny, a wargi rozchyliły się, odsłaniając szereg białych zębów. Chłopak miał nieobecny wyraz twarzy i nienaturalnie wykręcone ręce, w których podtrzymywał kawałek kartonu ze sloganem napisanym flamastrem: „Brak serca to kalectwo”.

Bruno zorientował się, że jego rozmówca się rozłączył, a on znalazł się w samym środku ludzkiej rzeki. W gęstym strumieniu buzującego gniewu, frustracji i determinacji. Wokół unosił się szmer rozmów i zapach wilgotnych od niedawnego deszczu ubrań.

Było w tym zbiorowisku coś magnetyzującego, mogło jednocześnie onieśmielać i przerażać lub wręcz przeciwnie, dodawać siły. Można było poczuć się w nim odrobiną, delikatną i kruchą, stłamszoną pod naporem otaczających ciał i okrzyków, albo zupełnie odwrotnie – odnaleźć moc wynikającą z bycia częścią tej żywej, nastawionej bojowo masy.

Wilczyński rozglądał się ponad głowami protestujących w poszukiwaniu swojego informatora, ale nigdzie go nie widział. Wybrał jego numer ponownie i ku swojemu zdziwieniu usłyszał komunikat: „abonent czasowo niedostępny”.

– Niech cię szlag, Mamuśka! – zaklął pod nosem i wcisnął telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Odkąd drobny złodziejasek z upodobaniem do przebieranek naraził się kilku kolegom z szemranego środowiska, trudno było się z nim spotkać. Po tym, jak Czeczeni podpalili jego knajpę na Dworcu Centralnym, Mamuśka zapadł się pod ziemię, a „Nie ma jak u mamy” stało się podobną do wielu norą w czeluściach dworcowych podziemi, w której królowały automaty do gier, chrzczone piwo i ceratowe obrusy w biało-czerwoną kratę. Podróżni zabłądzili tam czasem na okazałego schabowego podawanego z domowymi ziemniakami, który nie wiadomo kiedy i dlaczego stał się kultowy. Jednak czar lokalu prysł, gdy jego właściciel się ulotnił.

Mamuśka, a tak naprawdę Edward Jabłoński, był duszą tego miejsca, lubił rozmawiać i opowiadać anegdoty i właśnie to niewinne hobby go zgubiło. Dopóki informował jedynie swoich dwóch zaufanych policjantów, wszystko było w porządku, ale ostatnio zgłosił się do niego jakiś ważniak z Centralnego Biura Śledczego. Facet zapłacił za przesolone danie, którego nawet nie tknął, zwitkiem banknotów, a później uprzejmie zapytał Edwarda o kilka obco brzmiących nazwisk i zanotował to, co usłyszał, w małym czarnym zeszytce. Następnego dnia jadłodajnia dziwnym trafem stanęła w płomieniach, a Mamuśka ledwie uciekł przed wielkim Czeczeniem z nożem sprężynowym.

Od tej pory złodziej ukrywał się, zmieniał numer telefonu i nie odpisywał na maile. Z wyjątkiem tych, które nad wyraz rozbudziły jego ciekawość, a wiadomość od Brunona była dokładnie tego gatunku. Komisarz Wilczyński bywał irytującym człowiekiem, ale nigdy nie wystawił Edwarda i zawsze lojalnie go osłaniał. To dlatego Jabłoński przyjął zlecenie i zgodził się na spotkanie.

Bruno przeszedł pieszo do stacji Nowy Świat-Uniwersytet. Postawił kołnierz, by uchronić się przed listopadowymi podmuchami wiatru, a zaciśnięte dłonie włożył do kieszeni kurtki. Kiedy poczuł, że w jednej z nich coś jest, bezwiednie uniósł brwi. Przegapił swój pociąg, jadący w stronę ronda Daszyńskiego. Jego palce zacisnęły się na ukrytym przedmiocie, a po chwili patrzył już na figurkę małej różowej świnki. Początkowo przyglądał się jej ze

zdziwieniem, ale gdy pociągnął stworzenie za głowę, okazało się, że jest czymś więcej niż plastikową zabawką. Trzymał w dłoni pendrive.

Skubaniec, pomyślał, kręcąc głową z niedowierzaniem, a uśmiech na jego twarzy stawał się coraz szerszy.

Dopiero teraz Bruno zdał sobie sprawę, że kiedy potrąciła go staruszka o lasce, dostrzegł w jej twarzy coś znajomego, a gdy krzyczała razem z protestującymi, w jej głosie wychwytał znajomą, chropowatą nutę. Zaśmiał się w głos, przyciągając uwagę kilku osób oczekujących na peronie na pociąg metra. Musiał przyznać Mamuśce, że jego przebrania wyewoluowały. To, co widział dziś, było majstersztykiem.

Najbardziej jednak cieszył go pendrive, który obracał teraz w palcach.



Larysa Luboń weszła do mieszkania i od progu poczuła, że coś jest nie w porządku. Nie podejrzewała, by ktoś naruszył jej system bezpieczeństwa, który zainstalowała po włamaniu, a jednocześnie nie potrafiła strząsnąć z siebie niepokoju.

Kilka miesięcy temu wymieniła zamki, założyła nieprzepuszczające światła rolety w oknach i zamontowała system kamer, dzięki którym mogła w każdej chwili zalogować się do aplikacji i sprawdzić, co się dzieje w jej domu. Komórka miała alarmować ją również, gdyby wewnątrz pojawił się nieproszony gość. Tym razem jednak źródłem jej obaw były obezwładniająca cisza i zapach przetrawionego alkoholu.

– Paweł, podnieś się. – Stała nad swoim dawnym szefem.

Wiśniewski leżał na plecach, z ust ciekła mu strużka śliny, jego lewe ramię zwisało smętnie z kanapy, a dłoń dotykała podłogi, na której stała opróżniona butelka wódki. Larysa poczuła piekące rozczarowanie, rozlewające się po całym ciele. Patrzyła na

poruszającą się w rytm oddechu klatkę piersiową mężczyzny, słuchała delikatnego szumu wydychanego przez niego powietrza i starała się zrozumieć, dlaczego stan przyjaciela jest dla niej tak trudny do zniesienia, a on sam wydaje się jej niekiedy wręcz odpychający. Śmierdział alkoholem i brudem, osadem gromadzącym się głęboko w zagięciach skóry, którego nie była w stanie zmyć jedna kąpiel ani wiele następnych, jakby był emblematem osoby, której na niczym już nie zależy. Czymś, co zrastało się z nią na zawsze.

Jak mogła przypuszczać, że człowiek, który od śmierci żony nie przeżył ani jednego dnia na trzeźwo, rzuci alkohol w obliczu jej wyimaginowanej misji? Dlaczego uwierzyła w to, że będzie zdolna zatrzymać karuzelę uzależnienia, na której wirował jej znajomy? W myślach skarciła się za skrajną naiwność, po czym chwyciła Pawła pod ramiona i z głośnym westchnieniem uniosła go do pozycji siedzącej.

– Pojedziemy, pojedziemy – mamrotał niewyraźnie pod nosem, z nadal zamkniętymi oczami. – Nic się nie bój, Marysiu, zdążymy.

Wiśniewski uśmiechnął się do obrazów, które przesuwają się pod jego powiekami, a później z powrotem opadł na kanapę i zwinął się w kłębek. Białe podkoszulek podwinął się, ukazując nagie łędwie porośnięte kręconymi siwymi włosami.

Larysa zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Nagle zrozumiała, dlaczego ta sytuacja budzi w niej trudną do poskromienia wściekłość. Nie chodziło tylko o przyjaciela i bezradność wobec jego nałogu. Kiedyś już widziała takie sceny: ojca mówiącego od rzeczy, leżącego na schodach w swoich własnych wymiocinach albo chodzącego boso po domu w starych rozciągniętych slipach. Nie chciała tego nigdy więcej doświadczać, nie było w niej zgody na bezwstyd, brak godności i upodlenie. W takich chwilach cała była pogardą. Miała ochotę krzyknąć, gryźć i kopać.

– Po moim, kurwa, trupie – wyszeptała przez zaciśnięte zęby.

Schyliła się i chwyciła Pawła pod ramię, a później uniosła go z cichym stęknieniem. Bezwładne ciało wisiało na niej ciężko, gdy wlokła go do łazienki. Wprawdzie Wiśniewski stracił na wadze

w ostatnich miesiącach, ale w tym apatycznym stanie przypominał raczej kłodę drewna o dużej masie i dźwiganie go okazało się nie lada wyzwaniem.

– Co się dzieje? – bełkotał wybudzony, ona jednak nie zwracała na niego uwagi.

Dyszała z wysiłku, ignorując jego protesty i pytania natrętne niczym muchy. W końcu otworzyła drzwi kabiny prysznicowej, wepchnęła go do środka i puściła zimną wodę z deszczownicy. Patrzyła, jak sapiąc, nieporadnie usiłuje się podnieść z czworaków, jak jego stopy i dłonie ślizgają się po emaliowanej powierzchni brodzika, a gardło krztusi się zalewającą je falami wodą. W tej chwili miała ochotę go uderzyć, poczuć ból na zaciśniętej w pięść dłoni i pytać tego obcego człowieka, co zrobił z tamtym, którego szanowała.

Paweł zdołał w końcu podnieść się na kolana i zakręcić wodę. Oddychał ciężko, a jego zbyt długie włosy poprzyklejały mu się do czoła, podobnie jak przemoczony podkoszulek i majtki do ciała. Cienki, prześwitujący materiał oblepiał mu ciasno skórę, sprawiając, że czuł się nagi i odsłonięty. Zarówno w sensie fizycznym, jak i w obszarze swoich słabości. Przez chwilę trwali jedynie w akompaniamencie własnych oddechów, każde skupione na swoim zranieniu.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział ostro, gdy się odwrócił i spiorunował ją nad wyraz przytomnym wzrokiem.

– Ty też.

– Wyjdź stąd – zachnął się, sięgając po mydło. – Muszę się ogarnąć.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – rzuciła pod nosem, wychodząc z łazienki.

Kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi, usłyszała szum odkręcaniej wody. Nadal była zła, w opuszkach palców czuła pulsującą krew, a jej szczęki w dalszym ciągu pozostawały zaciśnięte, ale ten ułamek sekundy, gdy przemówił do niej swoim dawnym, pewnym głosem, dał jej nadzieję. Wprawdzie wątlą, taką, która mogła rozwiać się niczym pył, to jednak wystarczyło, by przynajmniej

podjęła próbę przedstawienia mu sprawy, do której go potrzebowała. A może nawet takiej, do której on był kluczem.

Z oddali dobiegały ją dźwięki krzątania Wiśniewskiego, bulgot płuکانego gardła, uderzenia kropel o ściany natrysku, pisk ściągaczki do wody trącej o szyby prysznicowa i wreszcie szcęk zatraskujących się drzwi kabiny. Larysa usiadła na skrzypiącym obrotowym krześle, po czym odpaliła laptopa, a jej palce wpadły w znajomy trans. Stukały rytmicznie w klawisze, wyczarowując słowa i zdania nowego artykułu.

Po tym, jak straciła posadę reporterki w „Magazynie”, przez jakiś czas rozważała wyjazd za granicę, ale ostatecznie uznała, że ze względu na młodszego brata zostanie w kraju. Pieniądze z odprawy pozwoliły jej przetrwać kilka miesięcy, a gdy się skończyły, musiała zdecydować, z czego będzie żyła i opłacała rachunki. Rozwiązanie przyszło szybciej, niż się spodziewała – odezwała się do niej sama Anita Lange, redaktor naczelna „Newsweeka”, i zaproponowała współpracę. Kobieta nie dała jednak Larysie taryfy ulgowej, bo choć ceniła dokonania młodej dziennikarki, to jej angaż w nowej redakcji uzależniła od tego, jak reporterka poradzi sobie z trudnym tematem.

Dziewczyna siedziała zgarbiona nad klawiaturą komputera. Na ekranie ukazywały się jej notatki, a później kolejno otwierane foldery, w tym jeden z niepokojącymi zdjęciami. Wszystkie prezentowały mężczyznę w białej masce fantoma z otworami na oczy, zakrywającej całą twarz. Larysa wpatrywała się w jego rozszerzone źrenice, jakby usiłowała odgadnąć, kim jest ten człowiek i co chce jej przekazać. Czarne koła przypominały dna bardzo głębokiej studni, magnetyzowały, a jednocześnie wywoływały lęk. Jakby stanowiły pułapkę bez wyjścia. Przyglądając się im, poczuła przejmujący chłód, a na jej przedramiona wpęzła gęsia skórka, która sprawiła, że włoski stanęły dęba.

– Kto to? – usłyszała niespodziewanie za plecami głos Pawła, który wyszedł z łazienki przepasany jedynie ręcznikiem i zerkał na ekran komputera z zaciekawieniem.

Zaskoczona Larysa zamrugwała powiekami, po czym przetarła oczy, by zmasać ślady swoich wyobrażeń i na powrót osadzić się w bezpiecznej rzeczywistości.

– Ktoś, kogo znasz – rzuciła znad klawiatury. – Ale najpierw się ubierz i zrób sobie kawę. Myślę, że przyda ci się też dzbanek wody z cytryną.

– Nie wypilem tak dużo, jak ci się wydaje. Poza tym jestem uodporniony.

– Z całą pewnością. – Jej głos ociekał ironią. – Chcę, żebyś sprawnie myślał, więc daruj sobie tę spowiedź powszechną i bierz się do roboty.

Paweł skrzywił się, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Przez moment stał na środku ze zwieszonymi ramionami i błędzącym wzrokiem, przygryzał wargę i toczył ze sobą jedną z tych małych bitew, w których człowiek decyduje, czy puścić czyjeś słowa mimo uszu, czy się odgryźć i zawałczyć o siebie, nawet jeśli owa batalia z góry skazana jest na porażkę. Znał Larysę, wiedział, że nie chciała go zranić, a jednak jej chłód i czająca się w tle niechęć go dotknęły.

– To teraz tak to będzie wyglądać? – obruszył się. – Będziesz na mnie krzyczeć i zachowywać dystans albo traktować jak śmiecia? Wiesz, co myślę? Tak bardzo boisz się, że ktoś cię skrzywdzi, że pierwsza walisz we wszystkich. Chcesz odepchnąć ludzi, zanim oni cię zostawią. Zgadłem?

Larysa zacisnęła szczęki, wzięła głęboki wdech, po czym zwinęła dłonie w pięści, wbijając paznokcie w ich wewnętrzną część tak mocno, że na skórze pozostały ślady. W końcu nie wytrzymała, zatrzasnęła z hukiem klapę laptopa i odwróciła się w stronę Wiśniewskiego, piorunując go wzrokiem.

– A ty będziesz się upijał, kiedy tylko spuszczę cię z oczu? Nie było mnie ledwie kilka godzin, a ty zdążyłeś się urząnąć. Skąd w ogóle wzięłeś tę flaszkę? – Patrzyła na niego z wyrzutem.

– Z twojego zamrażalnika. I zapewniam cię, że gdybym nie zasnął, skoczyłbym do monopolowego po drugą, bo w tej starej butelczynie nie było nawet połówki.

Larysa westchnęła ciężko i pokiwała głową ze zrozumieniem. Dotarło do niej, że to w pewnym sensie jej wina. Kiedy wychodziła w nocy, sprawdziła szafki i lodówkę, ale o zamrażalniku zapomniała. Zazwyczaj trzymała tam tylko zestaw zimnych kompresów, których używała, gdy wracała do domu poturbowana po walce na ringu. Najwyraźniej jej brat, Bartek, schował niedopity alkohol do szuflady po którymś z ich filmowych wieczorów.

Uniosła wzrok i przyglądała się zaniedbanym włosom Pawła, jego zmęczonej twarzy i smutnym oczom. Ciało mężczyzny przypominało jej stary, opuszczony dom, o którym ludzie szeptali z lękiem.

– Nie patrz tak na mnie. – Pogroził jej palcem. – To ty mnie tu ściągnęłaś. Było mi dobrze na dworcu. Nie prosiłem się o to.

Milczała, bo wiedziała, że ma rację. Tak samo jak wtedy, gdy mówił, że rani innych, by chronić siebie przed odrzuceniem i cierpieniem. Przejrzał ją i choć siedziała przy biurku ubrana w bluzę i spodnie, czuła się niemal równie obnażona jak on. Rzuciła okiem na ręcznik wiszący na jego biodrach i zauważyła, że Wiśniewski objął się ramionami, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Będę pił wystarczająco dużo, żeby nie pamiętać o Marii, a jednocześnie na tyle mało, żeby móc pracować – dodał tonem człowieka szukającego porozumienia.

– Paweł, nie zorientujesz się, kiedy przekroczysz granicę.

– Ale ty to zrobisz.

– Nie zamierzam cię pilnować. Chcesz się zabijać, śmiało, ale nie mieszaj mnie do tego.

– Świetnie, to reguły gry mamy ustalone – odburknął.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Larysa odwróciła się plecami i na powrót otworzyła laptopa, dając mu znak, że ich dyskusja jest skończona.



Bruno zamknął się w pokoju na komendzie, włożył pendrive do komputera i wstrzymał oddech. Po chwili jego oczom ukazał się folder zatytułowany „Lewicki”, przez co komisarz Wilczyński automatycznie cały się spiął. Dwukrotnie kliknął, by otworzyć teczkę. To, co zobaczył, sprawiło, że aż zagwizdał.

No, Mamuśka, wiedziałem, że jesteś dobry, ale tym mnie zaskoczyłeś, pomyślał, przeglądając setki zdjęć.

Kiedy zlecał swojemu informatorowi odnalezienie Jacka Lewickiego, nie liczył na wiele. Po pogrzebie żony mężczyzna sprzedał dom i wyprowadził się gdzieś z synami i ślad po nim zaginął. Zmienił numer telefonu, odszedł z pracy i zerwał kontakt z dawnymi znajomymi. Niczym duch rozpląnął się w powietrzu. Ludzie przyjęli to ze zrozumieniem, a może nawet z ulgą: nie musieli już prowadzić niezręcznych rozmów o tym, co się stało, ani unikać bolesnego tematu. Jakby za wdowcem ciągnął się przykry zapach, a wszyscy wokół wystarczająco długo męczyli się, udając, że nie czują fetoru. Twierdzili, że po takiej tragedii Jacek potrzebuje czasu, by dojść do siebie i zadbać o dzieci.

Ustalenia w sprawie okoliczności śmierci Emilii Lewickiej nie wskazywały na jakiegokolwiek nieprawidłowości, więc policja nie miała podstaw, by zatrzymać Jacka. Wszystkie znaki na niebie i ziemi potwierdzały jej samobójstwo. Tylko Wilczyński wiedział, że pogrążony w żałobie wdowiec miał też inną twarz, którą zrećcznie ukrywał przed światem.

Po incydencie na pogrzebie Emilii Brunona trawiły wątpliwości. Był zmęczony wydarzeniami ostatnich miesięcy, nocami nieustannie obracał w dłoniach drewniany model samolotu, który podarowali mu synowie Jacka, i niekiedy pił zdecydowanie za dużo. Do tego ciążyła mu śmierć Daniela Sikory, technika kryminalistyki i bliskiego znajomego, za którą czuł się odpowiedzialny. Zalewały go złość i gorycz, przez które tracił ostrość widzenia. Chwilami nie miał już pewności, czy zwyczajnie nie naginał faktów tak, by pasowały do jego teorii. Wprawdzie wszystkie elementy układanki współgrały, ale on musiał oprzeć się na mocnych dowodach. Chciał się upewnić, że Jacek Lewicki i zwyrodnialec, którego tropił, to ta

sama osoba. Pogrzebał głębiej, wykorzystał wszystkie swoje znajomości i wkrótce udało mu się ustalić, że sąd, zmieniając personalia maltretowanemu chłopcu, nadał dziecku nie jedno, ale dwa nowe imiona. Dzięki temu Lewicki mógł dowolnie zmieniać tożsamość. O ile na studiach posługiwał się pierwszym imieniem, to odkąd poznał Emilię, zawsze korzystał z drugiego. Dla żony od początku był Jackiem, mężczyzną bez przeszłości, o niejasnej historii, ale za to najbardziej wspierającym i kochającym mężem, jakiego mogła sobie wyobrazić. Co więcej, po ślubie przyjął nazwisko Emilii, tym samym zakopując w niepamięci nadane sądownie personalia i raz na zawsze stając się Lewickim.

Gdyby Bruno nie czuł do niego wstrętu, być może nawet wykrzesałby z siebie odrobinę podziwu dla wirtuozerii, z jaką Jacek doprowadził swoją żonę do obłędu. Ale im więcej wiedział o tym człowieku, tym bardziej przepełniało go pragnienie zemsty. To uczucie mu ciążyło, bo doskonale rozumiał, że Lewicki właśnie tego oczekiwał, chciał mieć widowie. A mimo to Wilczyński nie potrafił odpuścić, wierzył, że pewnego dnia tamten popełni błąd, potknie się, a wtedy on będzie w pobliżu i z satysfakcją go dorwie. Cierpliwie pielęgnował swoją obsesję, zbierał informacje, sprawdzał tropy i szukał dowodów. Wiedział, że bez nich albo bez nierozzerwalnego łańcucha poszlak, w którym wszystkie elementy tworzą logiczną i spójną całość, nie uda się skazać mężczyzny.

Niekiedy, po kilku szklaneczkach whisky, komisarzowi wydawało się, że w pewien pokręcony sposób nawet go rozumie. Lewicki był nieszczęśliwym dzieckiem, które zostało skrzywdzone przez każdego, komu ufało. Najbliżsi traktowali go gorzej niż niechciane zwierzę, a on nie umiał sobie poradzić z tą nigdy niezabliźnioną raną. Zabijał, by przestać cierpieć. Tylko że to nie przynosiło mu ulgi. Bo choć unicestwił każdego, kto go niszczył i zadał mu ból, jego wewnętrzny wrzask nie zamierzał ucichnąć. W środku nadal czuł to potworne darcie. Co więcej, zabijanie i pozorowanie samobójstw wytworzyło w nim przekonanie, że jest bezkarny.

Najwyraźniej polubił to uczucie mocy i decydowania o życiu i śmierci. Jakby miał się za Charona, greckiego boga przewożącego

dusze zmarłych przez Styks do innego, niekoniecznie lepszego świata.

Teraz, niemal w bezruchu oglądając zdjęcia przyniesione przez Mamuškę, Bruno doświadczał nieprawdopodobnego dysonansu. Patrzył na potwora, a widział jedynie ojca, który z ujmującą czułością tuli swoje dzieci. Wilczyński przyglądał się dłoni Jacka na policzku syna i nie mógł strząsnąć z siebie myśli, że ta sama dłoń była zdolna do tego, by poderżnąć gardło. Obserwował jego uśmiech i wyobrażał sobie, że podobny wyraz twarzy Lewicki musiał mieć, gdy próbował żywcem spalić swojego ojca. Bruno zaglądał w błękitne, łagodne oczy mężczyzny i zastanawiał się, jaką barwę miały, kiedy ich właściciel zabijał swoich braci. Czy stawały się wtedy stalowoszare i zimne, a może całkowicie pochłaniała je czerń?

Czuł, jak napinają się mięśnie jego karku, a przyćmione pragnienie zemsty wraca niczym uporczywe swędzenie. Na fotografiach widać było biały dom pokryty blachą ze śladami rdzy i zaciekami. Budynek był zdecydowanie mniejszy i prostszy niż ten, w którym Lewicki mieszkał z żoną. Mamuška musiał spędzić tam dobre kilkanaście godzin, bo jego dokumentacja była nadzwyczaj dokładna. Uchwycił moment, w którym Jacek je z dziećmi śniadanie, następnie pakuje chłopców do samochodu, zawozi ich do szkoły, a potem wraca do domu i zamyka się w środku. Kolejne kadry przedstawiały sceny, które najpewniej rozegrały się kilka godzin później. Troskliwy ojciec odbiera synów po lekcjach, zabiera ich na trening piłkarski, a gdy wraca z dziećmi do domu, zamawia pizzę z pobliskiej restauracji.

– Sielanka – szepnął Wilczyński i bezwiednie zaczął skubać brew.

Nie podobało mu się to, że wszystko poszło tak gładko. Nie dość, że Mamuška zdołał odnaleźć Jacka, to jeszcze tak precyzyjnie sfotografował te idealne scenki z życia rodzinnego, że równie dobrze można by je umieszczać w ramach dostępnych do kupienia w zakładach fotograficznych. Bruno czuł podpełzający śliski i zimny niepokój, jakby patrzył na pozowane scenki z katalogu Ikei,

i miał wrażenie, że to tylko scenografia, która po zgaszeniu światła zmieni się w coś strasznego.

Wystukał do Edwarda Jabłońskiego lapidarnego maila z pytaniem, na które przeczuwał, że zna już odpowiedź: „Czy on wiedział, że go obserwujesz?”. Odpowiedź przyszła szybko i była równie krótka, co konkretna, a jej charakter w pełni oddawał osobowość Mamuśki. „Ni chuja”. Wilczyński zmarszczył brwi i rzucił pod nosem niewybredny komentarz. Zamierzał odpisać, ale gdy tylko dotknął opuszkami palców klawiatury, jego telefon zaczął wygrywać pierwsze takty piosenki *Legendary Welshly Arms*. Bruno zerknął na ekran, a gdy zobaczył komunikat „Numer nieznany”, natychmiast chwycił za komórkę.

– W kulki sobie lecisz? – zaczął bezpardonowo. – O co chodzi z tą sesją Lewickiego? Zatrudniłeś się w „Gali” czy jakiejś innej „Vivie”? Przecież to na kilometr śmierdzi ustawką.

Po drugiej stronie zadźwięczał głęboki, szczery śmiech, a później komisarz usłyszał znajomy, matowy głos:

– Cieszę się, że ci się podobało. Naprawdę staraliśmy się z chłopcami wypaść jak najlepiej.

Bruno poczuł dreszcz na plecach i mimowolnie zacisnął szczęki.

– Nie miej mu tego za złe – kontynuował Jacek Lewicki. – Twój fotograf był bardzo dyskretny, tyle że ja mam dość duże doświadczenie w obserwowaniu otoczenia. Po prostu dostrzegam więcej niż inni i trudno się przede mną ukryć.

– Czego chcesz?

– Tego samego, co większość ludzi. Spokoju, miłości i zdrowia – wyrecytował. – Próbujemy ułożyć sobie życie po śmierci Emilii i nie podoba mi się, że je zakłócasz.

– Przestań, bo się porzygam. Wiem, kim jesteś, Daniel mi wszystko powiedział. Jego mogłeś zmanipulować, ale wyobraź sobie, że mnie twoja łzawa historia jakoś nie chwyta za serce. Wręcz przeciwnie, dla mnie jesteś bydlakiem, który nie zasługuje nawet na cień współczucia.

– Niczego nie zrozumiałeś – odparł spokojnie Lewicki.

– Mylisz się – przerwał mu policjant. – A teraz pozwól, że przedstawię moje pragnienia. Zrobię wszystko, by wpakować cię do pierdła na milion lat. Trafisz prosto do piekła, a ten twój dar obserwowania, którym się tak chwalisz, stanie się pierwszym, co znienawidzisz. W więzieniu zobaczysz takie podłości, że zapragniesz wydłubać sobie oczy. I wierz mi, to ty nie będziesz miał się gdzie ukryć, kiedy kilku patoli z kicia postanowi cię przecwelić.

Bruno opadł na oparcie krzesła, czując, że zrobiło mu się gorąco po tej tyradzie. Miał wrażenie, że krew gotuje mu się w żyłach, a serce lada moment wyskoczy z piersi.

– Już? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – odezwał się po chwili Lewicki. – Rozczarowałeś mnie. Myślałem, że stać cię na więcej. Gdzie się podział twój słynny zimny osąd i żelazna logika? Musisz ochłonać. Zapewniam cię, że nie masz pojęcia, co nadchodzi.

Komisarz Wilczyński parsknął i zacisnął dłoń na telefonie tak mocno, że jego ręka zaczęła drżeć.

– Wydaje ci się, że jesteś kimś lepszym – powiedział. – Masz się za nadczłowieka i myślisz, że wszystko kontrolujesz, ale reguły gry się zmieniły. Daniel nie żyje i już nikt nie będzie cię krył. Zostałeś sam.

– Niepotrzebnie dramatyzujesz. – W głosie Lewickiego pobrzmiwała kpina. – To poczucie winy ci nie pomaga, stałeś się nerwowy i spięty. Wpadnij do Konstancina. W niedzielę w południe zamierzam zjeść lunch w Park Cafe. Myślę, że przyda ci się odrobina świeżego powietrza. Podobno natura wpływa kojąco na nerwy.

– Wypchaj się – rzucił Wilczyński i przerwał połączenie.

Dopiero teraz zauważył, że cały dygocze. Podniósł się z krzesła i z krzykiem jednym ruchem zrzucił wszystko z biurka. Stał z rękami na biodrach, ciężko dysząc, a jego klatka piersiowa falowała napędzana przyspieszonym oddechem. Każdą komórkę rozsadała mu wściekłość. Nie na Lewickiego, ale na siebie.

Dał się podpuścić jak amator.

Ostatnio coraz częściej doświadczał niekontrolowanych wybuchów, a jego noce z butelką whisky stawały się coraz dłuższe.

Maglował wtedy na milion sposobów ostatnie spotkanie z Danielem Sikorą, nieżyjącym już policjantem. W myślach odtwarzał raz po raz ten moment, zanim jego przyjaciel zginął. W alternatywnych scenariuszach układał słowa tak, by wszystko skończyło się inaczej, ale rano znów budził się z bólem głowy i ciałem zdrętwiałym od bezradności. Nic już nie mogło się zmienić.



Bartosz Luboń młócił pięściami powietrze, relacjonując znajomym swój niedawny pojedynek w klubie bokserskim Pięściarz. Z dumą malującą się na młodej twarzy i błyszczącymi z ekscytacji oczami prezentował ciosy i opisywał reakcje oszołomionego przeciwnika. W drewnianej kuchni w stylu rustykalnym na warszawskiej Białoleśce Dworskiej pachniało piwem, spoconymi ciałami studentów politechniki i marihuaną, którą jedna z dziewczyn przyniosła na imprezę. W tle grała dyskotekowa muzyka, a powietrze przecinały salwy śmiechu, złośliwe komentarze i rzucane raz na jakiś czas: „Weź nie pitol, weź się napij”, po którym następował nowy wybuch rechotu.

Chłopak oparł dłoń na blacie zastawionym brudnymi naczyniami, pudełkami po pizzy i opróżnionymi butelkami po alkoholu. Powierzchnia lepiła się od taniego wina i sosu pomidorowego do pizzy, który ktoś niechcący wylał, a później nie pokwapił się, by go posprzątać. Bartek wziął długi łyk piwa, po czym zgniótł puszkę i wrzucił ją do zlewu, gdzie leżało już kilka podobnych.

– Mówię wam, byłem jak Rocky Balboa w walce z Ivanem Drago. – Uniósł ręce w geście zwycięstwa, a później uderzył się w piersi jak King Kong.

Dwie dziewczyny stojące naprzeciwko zachichotały, a Michał Prokop, zwany Michał, z uznaniem poklepał kumpla po ramieniu.

– Brawo, Luby! – zawołał, unosząc butelkę jak do toastu. – Chociaż z tego, co pamiętam, to on tam dostał niezłego łupnia

i ledwie się trzymał na nogach – skomentował, dając chłopakowi kuksańca w bok.

W starej rezydencji należącej do rodziców Prokopa i urządzonej na wzór tradycyjnego wiejskiego domu zostało już tylko ich czworo. Większość gości wyszła przed północą, by załapać się na jakiś rozsądny pociąg ze stacji Warszawa Płudy do Centrum. Ania i Ewka, koleżanki z wydziału, nie spieszyły się, czekały na brata jednej z nich, który miał je zgarnąć po drodze, a Bartek, który dawno nie widział się z kumplem z powodu jego wyjazdu w ramach programu Erasmus, postanowił nadrobić stracony czas i przenocować u znajomego.

Zamierzali właśnie wspólnie obejrzeć najnowszy motoryzacyjny nabytek Wojciecha Prokopa, ojca Michała i dziekana Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej. Chłopak zapewniał, że sportowe bmw ojca z napędem na tylne koła to istne cacuszko i muszą w nim chociaż posiedzieć. Kiedy szli w stronę garażu, ktoś zadzwonił domofonem. Ewka wyjrzała przez okno i mruknęła z niezadowoleniem.

– No dobra, chłopaki, to mój brachol. My się zwijamy. – Skinęła na koleżankę. – Fajnie się gadało. A to cudo pokażesz nam innym razem, może nawet się gdzieś przejeździemy. – Puściła do niego oko, co Michał potraktował najwyraźniej jako obietnicę, bo głośno zagwizdał i pomachał dłonią przy twarzy, jakby się wachlował.

– Głupek. – Popchnęła go lekko i biorąc mniej trzeźwą Ankę pod rękę, skierowała się do wyjścia.

Bartek pożegnał się z dziewczynami, a potem zerknął znacząco na przyjaciela.

– Podoba ci się? Wydaje się całkiem spoko.

Młody Prokop roześmiał się i wzruszył ramionami. Jego spojrzenie było mętne, a oczy przekrwione, zapewne od sporej ilości wypalanej trawki.

– Może tak, może nie – odparł z zagadkowym uśmiechem na twarzy. – Chodź, pokażę ci coś, co mi się naprawdę podoba – rzucił i ruszył w stronę niewielkich brązowych drzwi.

Gdy znaleźli się na schodkach prowadzących do garażu, Michał wymacał dłonią włącznik światła, nacisnął go, a po chwili jarzeniówki zabuczały, rozświetlając przestronne pomieszczenie i ukazując błyszczące czarne auto.

– Piękny, co? – Nie czekając na odpowiedź kolegi, wyjął z kieszeni kluczyk i podszedł bliżej.

Samochód zapikał i mrugnął światłami, a Bartek poczuł, że kąciuki ust same podnoszą mu się do uśmiechu. Czytał kiedyś o tym modelu, a teraz z rosnącą ekscytacją obserwował sportową linię, felgi w złoto-brązowym kolorze i stylowe oświetlenie.

– Co tak stoisz i się gapisz? No chodź! – Prokop, który już ładował się na siedzenie kierowcy, machnął do niego ręką. – Stary wraca dopiero jutro, nie przyłapie nas.

Luboń dołączył do kumpla, zajmując fotel pasażera, w którym zatopił się z pomrukiem zadowolenia. Nie wiedział, czy to z powodu ilości wypitego piwa, czy przyjemnej w dotyku, wysokiej jakości skórzanej kremowej tapicerki, ale siedzenie wydawało mu się nieziemsko wygodne.

– Takim to bym mógł się wozić – stwierdził, po czym obaj wybuchli dzikim śmiechem.

Michał wyciągnął z kieszeni skręta, przypalił go, zaciągnął się, a potem podał Bartkowi.

– Za przyjaźń – powiedział, puszczając do kolegi oko.

Luboń przyglądał się papierosowi niepewny, jak postąpić. Starał się trzymać z daleka od używek i na imprezach konsekwentnie zostawał przy piwie, którego smak po prostu lubił, ale świętowali właśnie wielki powrót jego kumpla, siedzieli w ekskluzywnym samochodzie i nie chciał wyjść na frajera, który nie potrafi wyluzować. Pomyślał, że tylko spróbuje, sztachnął się jointem i niemal od razu dostał spazmatycznego kaszlu, od którego zaszkliły mu się oczy.

– Ja pierdołę, co to jest? – wychrypiał, oddając koledze blanta. – Mocny jak diabli.

– Wesołe fajeczki, wersja *deluxe* – oznajmił Michał. – Zostawiłem specjalnie dla nas.

Przez moment palili w ciszy, rzucając sobie jedynie porozumiewawcze spojrzenia. Bartek pomyślał, że to taka zwyczajna uroczysta chwila, jedna z tych, które zostają w pamięci na długo, i zdecydował, że nie będzie jej psuć. Miał wrażenie, że mógłby w tym milczeniu przesiedzieć cały wieczór, a później wróciłby do domu z poczuciem, że to była najlepsza rozmowa w jego życiu. Jakby wszystko, co najważniejsze, wcale nie potrzebowało słów. W jego głowie przyjemnie szumiał wypity alkohol, a myśli spowijała chmura oparów marihuany. Słodko-mdły zapach wypełnił wnętrze bmw, a on z przymkniętymi powiekami leżał na miękkim fotelu. Nagle z letargu wyrwało go warknięcie odpalanego silnika. Spojrzał na Prokopa, który z miną lucyfera wrzucał właśnie wsteczny bieg.

– Co ty wyprawisz? – Luboń złapał go za rękę, obserwując, jak brama garażowa się podnosi. – Jesteś nawalony, nie ma opcji, żebyś gdzieś jechał.

Michał strząsnął jego dłoń i roześmiał się.

– Luby, no co ty, ja tylko trawkę paliłem – tłumaczył. – No może jedno małe piwko, ale to już dawno, na początku imprezy. Jestem trzeźwy jak szkło. Poza tym pojedziemy tylko tu, kawałek. To wiocha jest, nikt nas nie zobaczy – dodał uspokajająco.

Zanim Bartek zdołał zareagować, auto dotoczyło się już do bramy.

– Zwariowałeś? – Usiłował powstrzymać kierowcę. – Jak go choć zarysujesz, twój stary nam nogi z dupy powyrywa.

– Nie peniaj, chłopie. Obiecuję, że dojedziemy tylko do lasu i wracamy. Pokażę ci parę manewrów i już. A jutro z rana, jak będziemy ogarniać chatę, to wypolerujemy też cacuszko ojca. Umowa?

Luboń przyglądał się przyjacielowi z zagubionym wyrazem twarzy i nie był już pewien, która jego część powinna zwyciężyć. Ta racjonalna, która nakazywała odstawić samochód do garażu, czy spontaniczna, która pragnęła adrenaliny i przygody. W myślach przekonywał samego siebie, że Michał ma rację i zanim się obejrzy, odstawią samochód do garażu. Wmawiał sobie, że przejażdżka potrwa tylko chwilę, a na drodze, którą z jednej i z drugiej strony

otaczały wyłącznie pola, nic nie powinno im się stać. Z wahaniem skinął głową, a wtedy kumpel wcisnął guzik otwierania bramy i z piskiem opon wyjechał na drogę.

– Yabadabadoo! – krzyknął Prokop i podkręcił muzykę.



Paweł włożył ubrania, które Larysa przywiozła mu ze starego domu, gdzie obiecał sobie nigdy nie wracać. Nie chciał natrafić na ślady Marii, bał się poczuć jej zapach, ciągle obecny w zakamarkach szaf, czy dotknąć zagłębienia w krześle, na którym tak często siadywała. Odgonił od siebie przykre myśli, po czym dotknął dłonią miękkiego materiału starych, spranych dżinsów, które kiedyś bardzo lubił, a po jego twarzy przemknął grymas przypominający nieśmiały uśmiech. Na moment poczuł się lepiej, ale już po chwili przypomniał sobie, dlaczego jest to bez znaczenia. Jego usta wypełniło znane pragnienie.

We wspomnieniach widział, jak w dniu pogrzebu stoi zgarbiony nad grobem i patrzy niemo na dębową trumnę z ciałem jego żony, znikającą w wykopanym wcześniej dole. Miał wówczas ochotę położyć się tam razem z Marią, a później pozwolić, by przysypały go zwały ziemi.

Nie słyszał, co mówił ksiądz ani ludzie ściskający mu ręce i ramiona. Ich twarze zlewały się w jedno, a słowa przypominały bezosobowe życzenia, jakie nadrukowuje się na karnetach pocztowych. Powtarzalne i nic nieznaczące. Puste. Przyjmował je w milczeniu, patrzył w dal nieobecny wzrokiem, a gdy wszyscy sobie poszli, pozrzucił na bok wieńce i położył się na świeżo usypanej ziemi. Gładził ją palcami, jakby leżąca kilka metrów niżej Maria mogła cokolwiek poczuć. Jakby ciepło jego ciała i cierpkość łez, które wsiąkały w ziemię, mogły dotrzeć do jego żony i przekazać jej wiadomość. Paweł wiedział, że to bzdury,

a jednocześnie w tamtej chwili bardzo chciał w nie wierzyć. Uczepić się czegokolwiek, co pomogłoby mu nie zwariować.

Gdy wreszcie się ocknął, pierwszą jego myślą było to, że musi się napić wódki. Szedł później przed siebie z butelką kupioną w pobliskim monopolowym i czuł, że z każdym łykiem robi mu się lżej. Alkohol przyćmiewał jego ból i zamazywał wspomnienia. Tamtego dnia długo jeździł tramwajami po Warszawie, odwiedzał miejsca z lat ich młodości i rozmawiał z Marią, jakby towarzyszyła mu w tej podróży.

Nie obchodziły go zdziwione spojrzenia, przestraszone matki, które przechodziły z dziećmi na drugą stronę ulicy, ani kpiące uśmieszki. Właściwie był zły na fakt, że wszyscy wrócili do swojego normalnego życia, jakby nic się nie stało. W myślach odgrażał się śpiewającym ptakom, zadowolonym ludziom i kasjerkom w sklepach ze skocznymi melodyjkami, bo nie rozumieli jego żałoby. Zamroczony wódką i bólem potykał się na chodniku w drodze z Nowego Świata do Dworca Centralnego. W brudnym garniturze, otumaniony alkoholem, bełkotał pod nosem i gdyby nie Kazik, bezdomny z Chmielnej, pewnie zgarnęłaby go straż miejska i zamknęła na Kolskiej w izbie wytrzeźwień.

Dobry Kazio, jak mawiali na niego koledzy, któregoś dnia wziął Wiśniewskiego pod rękę i zaprowadził go na Żytnią. Tam pod ośrodkiem Caritasu wiła się cuchnąca wielobarwna kolejka bezdomnych czekających na darmową zupę z pajdą chleba. Mężczyźni ustawili się w ogonku, ale po badaniu alkomatem Paweł został wygoniony na koniec kolejki. Tacy jak on musieli poczekać, aż wytrzeźwieją, dopiero wtedy mogli otrzymać swoją porcję. Zabolało go to, skrzywił się i skulił w sobie. Chciał stamtąd odejść, pokazać im, że do nich nie należy i nie potrzebuje ich łaski, ale gdy tylko oddalił się o kilka kroków, Dobry Kazio pojawił się znikąd i szarpnął go za ramię.

– Jeśli chcesz przeżyć na ulicy, musisz jeść, chłopie. Rozejrzyj się.
– Zatoczył ręką koło, wskazując bezdomnych. – Te wszystkie mordy tylko czekają, żeby zjeść twoją porcję. Wbij sobie do łba, że jak ktoś ci coś daje, to bierzesz. Kapujesz?

Wiśniewski skinął głową, a później karnie wrócił na swoje miejsce w kolejce. Dotarło do niego wtedy, że właśnie wkroczył do innego świata, niewidocznego dla zabieganych mieszkańców stolicy. Trafił do rzeczywistości, która mogła stać się jego ucieczką od tego wszystkiego, o czym nie dał rady pamiętać. To tam, patrząc w zielone oczy Kazika, postanowił, że już nigdy nie wróci do starego życia i pozwoli, by dawny Paweł, redaktor naczelny „Magazynu”, umarł.

A teraz Larysa usiłowała go na nowo powołać do świata żyjących. Wmawiał sobie, że tego nie chce i robi to tylko po to, by ją w ten sposób przeprosić, bo przecież zawiódł jej zaufanie. W głębi duszy wiedział jednak, że to nieprawda. Zdecydował się pojechać z dziewczyną, bo tego potrzebował. W długich, podobnych do siebie, rozmytych dniach spędzanych na ulicy doznawał niekiedy przeblysków świadomości, kiedy to czuł, jak bardzo brakowało mu sensu. I nie wiedzieć czemu propozycja przyjaciółki obudziła w nim nadzieję na ten sens.

– Czym będziemy się zajmować? – zapytał teraz, siadając nieśmiało na taborecie kuchennym, który postawił obok Larysy, a później, by ukryć zmieszanie, zasłonił twarz dużą filiżanką kawy.

Dziennikarka zerknęła na jego popękane paznokcie i pokryte drobnymi ranami palce, a następnie pospiesznie otworzyła zdjęcie przedstawiające mężczyznę w masce.

– To Fantom, tak go nazywają w sieci – zaczęła mówić, wpatrując się w oblicze człowieka w masce pozbawiającej jego twarz wyrazu. – W ciągu ostatnich miesięcy do internetu trafiło kilkanaście przerażających zdjęć i filmów z jego wizerunkiem. Większość zrobili ludzie, którzy natknęli się na niego w Lesie Kabackim, nad Zegrzem, ale też w Kampinosie. Spotykali go na parkingach podziemnych, w piwnicach i ciemnych uliczkach. Facet wyłania się po zmroku, stąd zdjęcia i nagrania są zazwyczaj nieostre.

Larysa kliknęła w ikonę z obrazkiem filmowego klapsa, a wtedy na monitorze pojawiło się nagranie. Obraz poruszał się, drgał i był niewyraźny. Dopiero po chwili, gdy w kadrze zamajaczył fragment kierownicy od roweru, Wiśniewski zdał sobie sprawę, że ma przed

sobą widok uchwycony przez jedną z tych niewielkich kamer, które można było przymocować do opaski na głowie albo kasku. Na ekranie widać było fragment błotnistej drogi oświetlanej przez rowerową lampę, mijane drzewa i kępy trawy. Z głośników komputera dobiegał trzask leśnych gałązek i czyjś ciężki oddech.

– To rowerzysta w Lesie Kabackim, dwa dni temu – wyjaśniła Larysa, a gdy tylko skończyła mówić, głośniki wypełnił przeszywający śmiech szaleńca.

Właściciel roweru najwyraźniej musiał obrócić głowę w stronę źródła dźwięku, bo obraz się poruszył, a na ekranie mignął stojący między drzewami człowiek w białej masce i kapturze nasuniętym głęboko na twarz. Chłopak przeklął pod nosem i zaczął szybciej pedałowac, jego oddech zmienił się w wytężone sapanie, a gdy obejrzał się za siebie, widać było, że tajemnicza postać przyspieszyła i biegła za nim.

Chwilę później coś uderzyło w rower, słycać było głuchy łoskot, a zaraz potem obraz podskoczył i zawirował. Cyklista musiał upaść, bo przez jakiś czas w kadrze widać było jedynie błotnistą ścieżkę z wielką kałużą i grubą gałąź leżącą w poprzek drogi, ale już za moment podniósł się, raz jeszcze zerknął za siebie i zostawiając rower, puścił się pędem, by uciec przed przerażającym nieznanym. Na nagraniu widać było, jak chłopak jeszcze kilka razy ogląda się za siebie, a postać za nim maleje, zostając w tyle, w pochłaniającej ją ciemności. W końcu obraz urwał się i zniknął.

Larysa spojrzała na Wiśniewskiego wyczekująco.

– I? Co o tym myślisz? – Poirytowana przedłużającym się brakiem odpowiedzi, uniosła pytająco brwi. – Powiesz coś wreszcie?

– Niby co? – odparł obojętnym tonem, a później wzruszył nieporadnie ramionami.

Pokręciła głową z rozdrażnieniem. Nagle przypomniały się jej słowa bezdomnego, o którym kiedyś robiła reportaż – ulica ciągnie jak kotwica, nawet jeśli z niej zejdziesz, ona już nigdy nie opuści ciebie. Może podobnie stało się z Pawłem; jego umysł pracował na zwolnionych obrotach, a on sam był wypełniony po brzegi zubożeniem. Tyle że ona nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

– Ten facet śmiertelnie przeraził sporo osób, stłukł kilka szyb w drogich samochodach i sprawił, że ludzie zaczęli podskakiwać na każdy najdrobniejszy szelest, gdy wychodzą wieczorem z domów. Wielu z nich twierdzi, że dziwnie im się przyglądał, przychodził nocą pod drzwi ich mieszkań i zostawiał tam rysunki. Zresztą sam zobacz.

Wyjęła spomiędzy kartek notatnika pognieciony szkic wykonany ołówkiem. Widniała na nim drobna postać chłopca, a całość podpisana była imieniem Antek.

– Jakby chciał dać im do zrozumienia, że obserwuje ich dzieci – dodała. – Przygląda się im wnikliwie i jest blisko. Spójrz tylko na te detale – dotknęła palcem szkicu – musiał nad nimi długo pracować.

Wiśniewski ściągnął brwi i zmrużył oczy, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

– Dlaczego ktoś taki cię interesuje? Chodzi o jakieś zlecenie?

– W pewnym sensie. Jeśli to dobrze napiszę, dostanę pracę w największym tygodniku w kraju, a mój materiał będzie miał szansę ukazać się na okładce. Ale przede wszystkim chcę sprawdzić, kto jest pod maską, i zrozumieć, dlaczego to robi.

– Ale po co? Nie masz już dość babrania się w tych mrocznych sprawach? Co chcesz uzyskać? – Paweł z emocji poczerwieniał na twarzy. – Świat nie stanie się od tego lepszy. Nic się nie zmieni. – Zauważył, że jego ręce drżą, i wsunął je pod uda.

Nie wiedział już, czy mówi o Larysie, czy o sobie, czuł jedynie, że bez alkoholu szybciej wpada w niczym nieuzasadnioną irytację. Wszystko wydawało mu się pozbawione sensu i bezcelowe.

Dziennikarka westchnęła ciężko, po czym odwróciła się w stronę dawnego szefa i spojrzała w jego wystraszone oczy.

– Posłuchaj tego. Kilka dni temu pewna kobieta zaparkowała samochód ze śpiącymi w środku dziećmi w podziemnym garażu na Bielanych – zaczęła opowiadać głosem wyzuty z emocji. – Próbowała obudzić chłopców, ale było już późno i jej synowie zwyczajnie padli ze zmęczenia. Nic ich nie ruszało.

Wiśniewski śledził historię Larysy ze zmarszczonym czołem.

– Matka postanowiła, że najpierw zanieś do mieszkania jednego chłopca, a później wróci po jego brata. Chwyciła kilkuletnie dziecko na ręce i z wysiłkiem dodźwigała je do windy. A gdy chwilę potem była już u siebie i kładła małego do łóżka, usłyszała ciche pukanie do drzwi. Przestraszyła się, że któryś z sąsiadów obserwował ją w garażu i przyszedł jej zrobić awanturę, ale gdy otworzyła drzwi, zobaczyła dziwnego mężczyznę w białej masce z jej starszym synem na rękach. Chłopiec spał, przytulony ufnie do nieznajomego, z ramionami owiniętymi wokół jego szyi. – Larysa obserwowała, jak z każdym jej słowem twarz Pawła tężeje. – Kobieta była przerażona. Wzięła od niego dziecko i zaniósła je do łóżka, a gdy wróciła i przyłożyła oko do wizjera, mężczyzna zniknął. Na wycieracze stał tylko mały, rudy lisek, przytulanka, która zawsze towarzyszyła chłopcu.

– Nie rozumiem. Fantom zaniósł dzieciaka do matki?

Kiwnęła głową.

– Następnego dnia mały opowiadał mamie, jak przebudził się w samochodzie i zaczął potwornie płakać. Wołał ją, krzyczał i szarpał się, by rozluźnić pasy w foteliku. Myślał, że go zostawiła, a wybudzony ze snu czuł się zagubiony i nie rozumiał, gdzie się znajduje. Wtedy pojawił się człowiek w masce, pokazał chłopcu, jak otworzyć od wewnątrz drzwi, przytulił go i zabrał do mamy.

Wiśniewski sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Oparł twarz na dłoni i przyglądał się w ciszy Larysie.

– Jest coś jeszcze – kontynuowała. – Sprawdziłam większość osób, które nachodził. Początkowo zakładałam, że są przypadkowe, ale po jakimś czasie dostrzegłam, co je łączy. Dzieci. Wszyscy byli rodzicami. On rozmawiał z tymi dziećmi, zaczepiał je w różnych miejscach i dużo o nich wiedział, a mimo to żadnemu nie spadł nawet włos z głowy. Uderza tylko w dorosłych. Dlaczego?

Paweł poruszył się niespokojnie, a taboret zaskrzypiał pod jego ciężarem. Larysa zauważyła, że apatyczne i nieobecne dotąd spojrzenie Wiśniewskiego nabrało blasku. Miała nadzieję, że powoli zaczynał czuć to, co ona dostrzegła już wcześniej. Dobry reporterski temat. Taki, który uruchamia lawinę pytań

i wątpliwości, przedstawia historię człowieka, który zarazem jest intrygujący i budzi emocje.

– Ale dlaczego ja? – Paweł wydawał się skonsternowany. – Nie potrzebujesz mnie, by to dobrze napisać. Jak znam twoje umiejętności, namierzysz go w ciągu tygodnia.

– Już to zrobiłam. – Otworzyła zrzut ekranu z jakiejś internetowej rozmowy. – Skomentowałam każdy artykuł o nim i dałam mu znać, że chcę z nim porozmawiać. Założyłam, że tacy jak on szukają rozgłosu, że będzie chciał, by ktoś go zrozumiał i napisał o jego historii i przesłaniu.

– Tyle że nigdy ci nie odpowiedział.

– Wręcz przeciwnie. – Dziewczyna końcówką długopisu dotknęła ekranu w miejscu, w którym znajdowała się odpowiedź. – Ale nie chce mnie, zażądał ciebie.

Paweł wzdrygnął się, po czym nachylił się nad komputerem i dwukrotnie przeczytał zdanie, które mu pokazała: „Będę rozmawiał tylko z Pawłem Wiśniewskim z »Magazynu«. Z nikim innym”, a następnie wpatrzony w odległy punkt za oknem zmarszczył czoło i zaczął pocierać dłonią podbródek.

– Wyjaśnisz mi, kim jest twój znajomy, czy będziesz trwał w tym osłupieniu do końca świata? – Larysa założyła ręce przed sobą i patrzyła na byłego szefa wyczekująco.



Bartosz Luboń siedział w fotelu pasażera napięty niczym struna. Miał wrażenie, że cały alkohol wyparował z niego w ułamku sekundy. Skubał nerwowo skórki przy paznokciach i czuł, że po wypalonym skręcie potwornie chce mu się pić. Z niepokojem obserwował styl prowadzenia Michała, który na wiejskiej drodze rozpędzał się do prędkości zdecydowanie powyżej ograniczeń. Dopiero po kilku kilometrach, gdy jego kolega zwolnił i przełączył stację na Rock Radio, a z głośników popłynęła jedna z bardziej

znanych rockowych ballad – *Nothing else matters* Metalliki – Luboń się uspokoił. Kochał ten numer od lat i był to pierwszy utwór, który nauczył się grać na gitarze dla swojej dawnej dziewczyny. Z biegiem lat miłość do koleżanki wygasła, ale do muzyki pozostała.

– I co? Fajnie jest, prawda? – zapytał Prokop, spoglądając na przyjaciela.

Bartek pomyślał, że właściwie jest przyjemnie. Niebo lśniło od gwiazd, powietrze pachniało jesienią, a w oddali szumiał las. Na drodze żadnych innych pojazdów, wokół pola i łąki, a w środku oni dwaj, najlepsi kumple na roku, którzy nie widzieli się od wielu miesięcy. Bezczelnie młodzi, szaleni i upaleni trawką.

– Jest spoko. – Pokiwał głową i roześmiał się. – Spanikowałem, sorry.

Michał odwrócił się do niego i puścił oko, jakby chciał powiedzieć, że nic się nie stało, ale Luboń tego nie widział; patrzył w zupełnie inną stronę. Jego wzrok skupiony był na poruszającym się ciemnym obiekcie, który przebiegał przez drogę i do którego samochód zbliżał się w zastraszająco szybkim tempie.

– Hamuj! – krzyknął, szarpiąc za kierownicę.

Auto gwałtownie zjechało w lewo, po czym obróciło się wokół własnej osi i stanęło w poprzek drogi. Bartek dostrzegł, że trzęsą mu się ręce, i poczuł strużkę potu płynącą w dół po plecach.

– Co to, kurwa, było? – zapytał, oglądając się za siebie. – Widziałeś?

– Dzik – zachichotał Prokop. – Przestraszyłeś się pieprzonego dzika! – śmiał się coraz bardziej, jakby nie mógł się opanować.

Luboń patrzył, jak jego przyjaciel aż dusi się rechotem, i czuł się coraz bardziej zły. Raptownie otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i podszedł od strony kierowcy.

– Wsiadaj – rzucił z zaciętą miną. – Jesteś zbyt nagrany, ja nas odwiozę do domu.

Jego kumpel usiłował odzyskać powagę i coś odpowiedzieć, ale gdy tylko otwierał usta, na nowo zaczynał kwiczeć ze śmiechu. W końcu z uniesionymi w geście zgody rękami przesiadł się i zasłaniając usta dłońmi, próbował stłumić chichot.

Bartek zawrócił spokojnie i powoli ruszył w kierunku rezydencji, nie odzywając się do Michała ani słowem. Cała jego uwaga skupiona była na jezdni i na tym, by nie wylądować w rowie. Chłopak wyłączył radio i robił wszystko, by utrzymać prosto kierownicę. Mieli do pokonania jakieś piętnaście kilometrów boczną, rzadko uczęszczaną drogą, do tego dawno minęła już północ, więc ryzyko, że ktoś postanowiłby o tej godzinie udać się na małą eskapadę do lasu, było niewielkie.

W którymś momencie we wstecznym lusterku zamajaczył mu jakiś kształt przypominający samochód, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił, a przy tym nie miał włączonych świateł, więc chłopak stwierdził, że musiało mu się przywidzieć. Po kilku kilometrach uznał, że idzie mu nawet całkiem nieźle – kierownica idealnie leżała w dłoniach, silnik przyjemnie pomrukiwał, a auto jechało płynnie i miękko. Zachęcony tą dobrą passą, lekko przyspieszył, a w końcu nawet zaczął podśpiewywać pod nosem. Kiedy na horyzoncie zarysował się dom Prokopa, odetchnął z ulgą, ale wtedy przyjaciel ścisnął go za ramię.

– Ja pierdolę, zatrzymaj się. Musimy zawrócić – powiedział przejęty. – Spójrz tam. Za moim domem.

Luboń powiódł wzrokiem za palcem kolegi, nie rozumiejąc, co tamten ma na myśli, a gdy dostrzegł skracający w ich drogę i widoczny w świetle latarni radiowóz, zamarł. Gapił się przed siebie i nie był w stanie się poruszyć. Ocknął się dopiero chwilę później, kiedy poczuł, że Michał nim potrząsa, a do jego uszu doleciały wykrzykiwane przez przyjaciela słowa:

– Jedź do lasu!

Błyskawicznie zawrócił i ruszył przed siebie, cały czas nerwowo zerkając w lusterko wsteczne. Czuł, że pocą mu się ręce, a serce tłucze się w piersi jak oszalałe.

– Musisz jechać szybciej – gorączkował się Prokop. – W lesie od razu odbij w lewo w taką wąską ścieżkę i zgaś światła. Poczekamy tam, aż nas wyprzedzą, a jak się oddalą, to dajemy chodu do domu.

– Serio? To jakieś triki z filmów Vegi? Masz więcej takich mądrości w zanadrzu? – ironizował Bartek.

Pilnował prędkościomierza, by nie wzbudzić niepotrzebnego zainteresowania funkcjonariuszy, ale by jednocześnie utrzymać dystans pomiędzy samochodem policjantów a bmw. Kiedy wjechał do lasu, nieznacznie przyspieszył i zgodnie ze wskazówkami Michała skręcił w boczną dróżkę przeznaczoną raczej dla rowerzystów niż dla ruchu samochodowego. Po kilkunastu metrach auto zapadło się w miękkie podłoże i ugrzęzło w błocie. Luboń wciskał gaz, ale koła jedynie buksowały ziemię.

– Silnik! – wrzasnął Michał i wyciągnął rękę, by przekręcić kluczyk.

Na ułamek sekundy zapadły ciemność i niemal absolutna cisza. Wydawało się, że obaj studenci wstrzymali oddech i każdy z nich zastygł w pełnym napięcia bezruchu. Nagle ich uszu dobiegł warkot, a ściana lasu za ich plecami rozbłysła od świateł nadjeżdżającego radiowozu. Bartek zacisnął zęby na zwiniętej w pięść dłoni i w duchu modlił się, żeby ich idiotyczna wycieczka zakończyła się spokojnym powrotem do domu. Wprawdzie podlaska religijność, którą wyniósł z domu, już dawno zdażyła z niego wyparować, ale w takich chwilach robił to instynktownie. Jak ludzie, którzy pluli przez ramię na widok czarnego kota, choć tak naprawdę nie uważali się za przesądnych. Przymknął powieki, a gdy je otworzył, zauważył, że samochód policji się oddala.

– Ale miałeś minę – skomentował Prokop, który znów parsknął śmiechem, opluwając sobie brodę. – Jakby zaraz cię mieli zabrać obcy.

Luboń pokazał kumplowi środkowy palec, zaczekał jeszcze chwilę i w końcu odpalił silnik. Wrzucił wsteczny, ale koła nadal ślizgały się w miejscu. Kolejne próby sprawiały jedynie, że samochód coraz bardziej zakopywał się w błocie. Wreszcie Bartek wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się za jakąś gałęzią, którą mógłby położyć pod kołami, by dać im podparcie, a gdy udało mu się zmontować prowizoryczną blokadę i otrzepał dłonie z błota, w oddali coś

błysnęło, a chwilę później zobaczył majaczące światła nadjeżdżającego samochodu.

W popłochu wskoczył do bmw i mocno nacisnął pedał gazu. Auto zaskoczyło dopiero za drugim razem i z łoskotem szarpnęło w tył, uderzając o coś z głuchym łupnięciem. Rzucili sobie z Michałem tylko przerażone spojrzenia, ale żaden z nich nie skomentował tego dźwięku.

W tej chwili do spowitego mgłą umysłu Prokopa dotarło to, co jego przyjaciel zrozumiał już jakiś czas temu.

Wyjazd z garażu był błędem.



– Czy ludzie muszą mordować zawsze wtedy, gdy mam wolny wieczór i jestem na randce? – Komisarz Bruno Wilczyński odebrał telefon, podnosząc się z kanapy.

Naczelnik wydziału Marian Pękała, choć przyzwyczajony do osobliwego charakteru swojego podwładnego, zmieszał się na moment i zaniemówił. Wydawało mu się, że w tle słyszy kobiecy śmiech, ale po chwili się otrząsnął i odzyskał rezon.

– Taka praca, nie jęcz – rzucił stanowczo. – Przepróż panią, naciągnij spodnie i przyjeżdżaj pod Górkę Kazurkę, tę niedaleko twojego mieszkania.

– Będę za pół godziny.

– To gdzie ty jesteś? Z Dereniowej dotrzesz tu w ciągu kwadransa.

– W domu, ale właśnie zaczyna się najlepsza scena, gdy Amanda i Alexis wchodzi do wielkiej willi z jacuzzi. Dziewczyny w życiu by mi nie wybaczyły, gdybym je teraz opuścił. Ja sobie raczej też nie.

Bruno był pewien, że w słuchawce rozbrzmiał dźwięk zgrzytających zębów jego przełożonego.

– Wilk, za pięć minut widzę cię przy bikeparku – odparł Pękała tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym przerwał połączenie.

– I romantyczny wieczór cholera wzięła. – Wilczyński wcisnął pauzę i założył skórzaną kurtkę, po czym zerknął przez ramię na zatrzymany kadr.

Tak naprawdę nie oglądał filmu z dwiema tlenionymi blondynkami w bikini, jak zapewne wyobrażał to sobie naczelnik. Tę produkcję znał już na pamięć i szczerze mówiąc, zaczynała go nudzić. W rzeczywistości odtwarzał nagrania ze swojego dzieciństwa, na których on i jego ojciec przytulali się i śmiali w sposób, jakiego nie pamiętał i który wydawał mu się wręcz nieprawdopodobny. Chciał zatrzymać czas, zanim Aleksander Wilczyński, wycieńczony kolejnymi sesjami chemioterapii po usunięciu nowotworu żołądka, odejdzie.

Kilka dni temu w domu rodzinnym Bruno natrafił na stare, zakurzone kasety VHS, a gdy udało mu się je zgrać na komputer i zobaczyć, co się na nich kryje, oniemiał. Nie znał takiego ojca. Miał wrażenie, jakby los podarował mu pretekst, by u kresu życia własnego rodzica mógł wyciągnąć do niego rękę.

Oglądał te ciepłe sceny jak zahipnotyzowany i nie wiedział, co zrobić z tym, co czuł. Zmyślił historyjkę o dziewczynach w jacuzzi, bo nie chciał się odśłaniać przed kolegami z pracy. Wolał, by widzieli w nim aroganta i przy okazji świetnego glinę niż policjanta, który rozkleja się, bo nagle zrozumiał, że jego ojciec kiedyś go kochał.

Spojrzał raz jeszcze na ekran, wahając się, czy zgasić telewizor, ale ostatecznie uznał, że chce, by ktoś na niego czekał, gdy wróci.

Kiedy zbiegał ze schodów, zastanawiał się, dlaczego w głosie szefa słychać było takie napięcie. Stary łatwo wpadał w złość, szczególnie gdy dochodziło między nimi do wymiany zdań, ale teraz wydawał się wyjątkowo przeczulony. Podobnie jak dwa lata temu, gdy na Mokotowie znaleźli zwłoki dziecka. Bruno aż się skrzywił na tamto wspomnienie i poczuł falę mdłości. Fakt, że widział już wiele, nie uodparniał go na drastyczne obrazy. One zostawały pod powiekami na zawsze, wracały w czasie mętnych, bezsennych nocy jak zjawy o długich, wyciągniętych kształtach i czarnych oczodołach. Dlatego idąc w gęstniejącym deszczu ulicą Stryjeńskich w stronę

skrzyżowania z Belgradzką, pielęgnował w sobie nadzieję na to, że źle odczytał nastrój Mariana Pękały i na miejscu nie spotka go nic drastycznego.

Gdy dotarł w pobliże Kazurki, poczuł dziwny chłód przenikający jego ciało. Pod usypaną górką, z której zimną dzieciaki zjeżdżały na sankach, było wyjątkowo tłoczno. Już z oddali zauważył trzy radiowozy i karetkę, których sygnały świetlne przebijały się przez mleczną mgłę. Nie brakowało też grupki gapiów: ludzie zwabieni hałasami musieli wypełznąć z okolicznych bloków, a teraz, szcękając zębami z zimna, z rękami w kieszeniach i z zaróżowionymi od podniecenia policzkami stawali na palcach, by zobaczyć choć skrawek tego, co kryło się pod policyjnym namiotem.

– Bruno! – Aspirant Sylwia Konopacka bezskutecznie próbowała odsunąć spragnionych sensacji widzów i ogrodzić teren taśmą. – Pomożesz mi z tym? – Jej twarz miała trupio blady kolor, a rozbiegane spojrzenie zwiastowało kłopoty.

Wilczyński kiwnął jej na przywitanie głową, po czym stanął przed grupką gapiów, rozłożył szeroko ręce i mocnym głosem zawołał:

– Odsunąć się! Właśnie dostałem informację, że na tym terenie znaleziono niewypał. Radzę wrócić do domów, pozamykać szczelnie okna i nie wychylać się aż do czasu odwołania alarmu.

Ludzie spojrzeli po sobie z konsternacją i niepokojem wypisanym na twarzach. Kilku od razu odwróciło się i szybkim krokiem pomaszerowało do swoich mieszkań, ale najzagorzalsi wielbiciele adrenaliny i sensacji stali niewzruszeni przed rozwijaną przez Sylwię taśmą. Drobną kobietą w okularach, z równo przyciętą grzywką i mocno umalowanymi brwiami, która wystukiwała coś na swoim telefonie, w ostatniej chwili zawróciła i odezwała się do Brunona.

– Wysłałam komunikat do TVN24, mogę pana zacytować? – zapytała.

– Pewnie. Moje nazwisko: Pękała, przez „ę” – wyjaśnił, po czym wyjął z kieszeni swój telefon komórkowy i zaczął robić zgromadzonym zdjęcia.

– Hej! Co pan robi? – oburzył się mężczyzna o urodzie byłego boksera. – Nie wyrażałem zgody na fotografowanie – dodał, zasłaniając dłonią twarz, na której dominował szeroki, zniekształcony nos.

– Jak to wybuchnie, trudno będzie odróżnić jeden kawałek krwawego mięsa od drugiego, a to nam ułatwi identyfikację zwłok. O ile je w ogóle znajdziemy – wyjaśnił Wilczyński.

Mężczyzna skrzywił się, przeklął pod nosem, a potem machnął ręką i drapiąc zdeformowane ucho, przypominające kształtem kalafior, ruszył w stronę domu. Za nim poszli pozostali i po chwili Bruno został z aspirant Konopacką przy taśmie sam.

– Oszalałeś? – zirytowała się Sylwia. – Pękała wyjdzie z siebie, jak się dowie. Co ty wyprawiasz?

– Ratuję ci tyłek. – Zerknął w stronę jej pośladków. – Ale spokojnie, obejdzie się bez wylewnych podziękowań. A o naczelnika się nie martw. Kto się czubi, ten się lubi.

Puścił do niej oko na odchodne i skierował się w stronę szefa, który stał w wejściu do namiotu i z kilkoma policjantami obserwował pracę techników. Ubrani w białe kombinezony, przy akompaniamencie spustu migawki aparatu skrupulatnie rejestrowali każdy detal na miejscu zdarzenia.

Bruno zamierzał zaserwować jakiś kąśliwy komentarz nowemu technikowi kryminalistyki, który zastąpił Daniela Sikorę, ale gdy znalazł się obok Mariana Pękały i zobaczył zwłoki, wszystkie słowa uwięzły mu w gardle. Na trawie leżała kobieta ubrana w skórzane botki i czarną sukienkę. W miejscu jej głowy znajdowała się miazga z krwi, odłamków kości oraz kawałków skóry i tkanek.

– Więcej was matka nie miała? Nie za dużo tu ludzi? – wyrwał go z zamyślenia głos prokuratora Tomasza Wojtyłki.

– Możesz wyjść – odparował.

Naczelnik wydziału zerknął za siebie, zgromił Wilczyńskiego wzrokiem i już zamierzał coś powiedzieć, gdy kątem oka dostrzegł zbliżającego się od strony ulicy Kazury dziennikarza TVN-u, a tuż za nim operatora z kamerą na ramieniu.

– A ci tu skąd? Hieny jedne. Dzieciak, wypierdol ich. – Skinął na chudego policjanta ze szczeniackim wąsikiem. – Wszystko nam tu zadcpczą. Powiedz, żeby poszli szukać sensacji gdzie indziej. A jak będą podskakiwać, to wyślij ich do mnie. Nie mam teraz czasu bawić się w udzielanie wywiadów.

Młody policjant kiwnął głową.

– Możesz też wysłać ich do mnie. Chętnie z nimi porozmawiam – wtrącił Bruno.

Marian Pękała wbił w podwładnego zimne, przeszywające spojrzenie.

– Nawet nie próbuj. – Wskazywał na niego palcem. – Wszystko słyszałem. Numer z niewypałem drugi raz nie przejdzie, a ja nie mam ochoty oglądać w najbliższych wiadomościach twojej gęby podpisanej moim nazwiskiem. Ani tym bardziej twojej koszulki. – Zawiesił wzrok na wielkim napisie „kurła” widniejącym na klatce piersiowej Wilczyńskiego.

Komisarz wzruszył ramionami i obdarzył przełożonego uśmiechem niewiniątka, a później skupił się na martwej kobiecie.

– Co o niej wiemy?

– Oliwia Socha. Według medyka zgon nastąpił jakieś dwie, trzy godziny temu. Zginęła najpewniej od uderzeń tępym narzędziem w głowę. Z jakiegoś powodu się tu zatrzymała, a później jej postój się przedłużył. – Pękała przygryzł wargę w zamyśleniu, po czym wskazał ręką w stronę wyjścia z namiotu. – Na zewnątrz stoi jej opel insignia. Znalazł ją przypadkowy przechodzień. Zobaczył umazanego krwią, przerażonego dzieciaka, który cały czas mówił coś o swojej mamie. Facet poszedł za nim i natknął się na ciało.

– Chryste, jej dzieciak oglądał tę masakrę? Ile ma lat?

– Trzy i pół roku. Nasza psycholog zabrała go do szpitala na badania. Pobędzie z nim do przyjazdu ojca. Facet był poza Warszawą, ale z tego, co wiem, jest już w drodze. Mógłbyś tam zajrzeć i dyskretnie wybadać, co widział.

– Mam nadzieję, że niewiele – szepnął Bruno.

Myśl o tym, że chłopak mógł patrzeć na to, jak ktoś miażdży twarz jego matki, sprawiała, że Wilczyński czuł się, jakby przed

chwila dostał pięścią w splot słoneczny. Zachwiał się i skrzywił, a później przełknął ślinę, by złagodzić gorzki smak w ustach. Wiedział, że musi skupić się na faktach, ucześcić tego, co namacalne i co miał na wyciągnięcie ręki. Uważnie przesuwając wzrokiem po ciele i okolicy, a w jego umyśle zapisywały się kolejne informacje i obrazy, od których kręciło mu się w głowie.

Doskonale wiedział, że takie obrażenia powstawały w wyniku wielu ciosów zadawanych pod wpływem silnych emocji. Zmasakrowana twarz oznaczała, że ofiara obudziła w sprawcy intensywne i gwałtowne uczucia, a to z kolei najczęściej wskazywało na kogoś z najbliższych. Bruno wyobrażał sobie, jak morderca uderzał dziko, raz za razem, aż do momentu, gdy poczuł ulgę. Od początku chciał zabić. Nie chodziło mu o to, by ofiara cierpiała, po prostu tłukł ją bez opamiętania, jakby pragnął się wyżyć albo ją ukarać.

Zamierzał już odejść, gdy na czarnej sukience kobiety zauważył niewielką białą kulkę czegoś, co z oddali przypominało zlepek pajęczyny.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując swoje odkrycie.

– Sprawdzimy to – rzucił chłopak w kombinezonie, zdejmując z ofiary jeszcze jeden podobny fragment i umieszczając go w szklanej probówce. – Trzeba będzie zbadać tę próbkę w laboratorium. Wydaje mi się, że to coś kleistego, bo przywiera do pęsety. Poproszę, by zweryfikowali ślad pod kątem obecności obcych tkanek.

Bruno mruknął potwierdzająco, po czym zwrócił się do szefa:

– Wiesz, że nie powinienem rozmawiać z chłopcem w szpitalu. Przesłuchania dzieci powinny odbywać się w niebieskich pokojach.

Naczelnik ciężko westchnął i przewrócił oczami.

– No to go nie przesłuchuj, tylko rozpytaj, jak zawsze. Może akurat coś powie – wyjaśniał półgłosem. – Chyba rozumiesz, że jak szybko tego nie posprzątam, to się nam dobiorą do tyłków. A poza tym o co ci chodzi? Od kiedy przejmujesz się procedurami?

Wilczyński pokręcił głową z niedowierzaniem, bo przełożony zachęcał go do tego, za co dotychczas najbardziej go beształ, a to

był znak, że góra musiała naciskać na wyniki i poprawianie statystyk.

– Wiesz, co myślę o zasadach: to instrukcje dla idiotów, którzy nie potrafią podejmować decyzji. Mam gdzieś formalności, gdy są absurdalne, ale nie wtedy, gdy mają sens – odparł komisarz. – Dziecko to cholernie delikatna materia, jeden fałszywy ruch i je tracimy. A jeśli jest najważniejszym i kto wie, czy nie jedynym świadkiem, to byłoby trochę głupio tak się wyłożyć, nie uważasz?

Marian Pękała spojrział na Brunona z niepokojem, rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili je zamknął i tylko pokiwał głową na znak zgody.

– A ten facet, który znalazł ciało? Gdzie go trzymacie? – dopytał Wilczyński.

– Siedzi w karetce. Miał się stamtąd nie ruszać, dopóki mu nie pozwolimy. Nazywa się Wiktor Zakrzewski. Zapamiętałem, bo tak samo nazywa się mój szwagier.

Bruno nie czekał na dalszą część wypowiedzi naczelnika, odwrócił się na pięcie i skierował w stronę ambulansu. Pograżony w myślach obserwował otoczenie. Teren, na którym leżały górka i park rowerowy, oddzielał szaroburą część blokową, pamiętającą lata osiemdziesiąte, od części willowej, pełnej pięknych domków skrytych za okazałymi ogrodzeniami. W tej drugiej mieszkali dobrze zarabiający ludzie na wysokich stanowiskach albo odnoszący sukcesy przedsiębiorcy, natomiast w pierwszej gnieździła się aspirująca klasa średnia, która podejrzliwie i z zazdrością spoglądała na właścicieli rezydencji. Wokół rozciągały się pola uprawne, łańcuchy drobnych skupisk drzew i dzikich krzewów, a w tle rysował się mroczny o tej porze Las Kabacki.

Być może Bóg, który powinien spoglądać na wszystko z pokrytej czerwoną blachą wieży kościoła Ofiarowania Pańskiego przy Stryjeńskich, przysnął wtedy na chwilę i nie zdołał ustrzec kobiety przed śmiercią. Może mrugnął albo przecierał zmęczone stare oczy i nie zauważył małego chłopca, który patrzył na zwłoki matki. A może w budynku z cegły, gdzie gromadzili się wierni, w ogóle go nie było, pomyślał Bruno i mocno zaciągnął się zapachem

jesiennego powietrza, ciężkiego od woni wilgotnej ziemi, gnijących liści i mokrej trawy.

Chwilę później do tego bukietu dołączył zapach dymu papierosowego, którego nitka wiła się w powietrzu, a potem rozpląwała i nikła.

– Wiktor Zakrzewski? To ty znalazłeś ciało? – zagaił Wilczyński do mężczyzny z papierosem, który stał obok karetki okutany w koc.

Blady czterdziestolatek ze szpecącymi bliznami po trądziku rzucił okiem na odznakę, którą komisarz mignął mu przed oczami, przytaknął i zgasił papierosa butem.

– Masakra. Na samą myśl robi mi się niedobrze – odparł.

Bruno przyglądał się jego gestom. Wydawały mu się usztywnione i nienaturalne, jakby świadek usiłował kontrolować reakcje ciała.

– Jak do tego doszło?

– Stałem na parkingu. O tam, po drugiej stronie górki. – Wskazał dłonią pobliskie bloki. – I wtedy zobaczyłem tego małego. – Wzdrygnął się. – Wybiegł z zarośli. Cały zapłakany i brudny. W kółko powtarzał te same słowa, ale zrozumiałem tylko, że woła matkę. Pomyślałem, że się zgubił czy coś, ale jak zobaczyłem jego ubrania i ręce, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Wszędzie była krew.

Mężczyzna wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i drżącą ręką włożył go w usta, odpalił, zaciągnął się, a potem pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Komisarz Wilczyński milczał. Wiedział, że nic tak nie zachęca do mówienia, jak przedłużająca się cisza, którą świadkowie pragną natychmiast wypełnić słowami, by tylko pozbyć się uczucia dyskomfortu.

– Miał poplamiony sweterek, buzię i ręce – kontynuował Zakrzewski. – Powiedział, że nie wie, gdzie mieszka, ale że zaprowadzi mnie do miejsca, w którym leży jego mama. – Mężczyzna ciężko westchnął. – A potem usiadł przy tym, co zostało z jej głowy, i przytulił się do jej ciała. Był przekonany, że tylko odpoczywa, a ja nie byłem w stanie mu powiedzieć, że ona nie żyje. – Ukrył twarz w dłoniach i kilkakrotnie pociągnął nosem. – Przepraszam.

Policjant obserwował, jak facet wyciera oczy i mocno wydmuchuje nos w pomiętą chusteczkę. To wszystko wydawało mu się przesadzone. Wprawdzie Zakrzewski doznał szoku, ale teatralność, z jaką przeżywał emocje, budziła podejrzenia. Celowo nie przerywał mu tego występu i milczał jak najdłużej, by zobaczyć, do czego ta rozmowa doprowadzi. Zauważył, że Wiktor zręcznie ominął powód swojej obecności na parkingu w późnych godzinach wieczornych.

– Zimno, co? – Bruno potarł ręce, nie spuszczał go z oka. – W taką pogodę raczej nie chce się wychodzić z domu, no chyba że trzeba. Prawda?

Facet wbił spojrzenie w czubki swoich butów.

– Nie ma wyboru, jak się pracuje do późna – wydukał, unikając kontaktu wzrokowego z komisarzem.

– Gdzie dokładnie mieszkasz? W którymś z tych bloków?

Wiktor Zakrzewski w końcu zerknął niepewnie na Wilczyńskiego, otworzył usta i ciężko wzdychając, pokręcił głową.

– Nie. Mieszkam na Pradze, przy Grochowskiej. Po prostu miałem tu sprawę do załatwienia – tłumaczył, pocierając nos. – Sprzedałem rower jednej babce z OLX. Taką aluminiową kolarzówkę Gianta. Mnie nie była już potrzebna, a kasa zawsze się przyda.

Bruno uśmiechnął się do faceta.

– Ile za nią wzięłeś?

– Dwa tysiące. – Na dowód swoich słów wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki portfel, otworzył go i pokazał pieniądze. – Była prawie nowa. A ta babka mieszka w tamtym długim bloku, pod ósemką. – Wskazał czteropiętrowy budynek znajdujący się nieopodal. – To chyba nie jest nielegalne?

– To nie, ale jest tyle innych rzeczy, za które można trafić do aresztu albo nawet więzienia – rzucił Wilczyński jakby mimochodem i wnikliwie obserwował reakcję mężczyzny.

Zakrzewski przełknął ślinę i podrapał się po szyi.

– Żona na mnie czeka. Chciałbym już pójść do domu – wydukał, przestępując z nogi na nogę i ciasniej owijając się kocem.

– Też bym chciał, ale wiesz, jak jest.



Paweł studiował skrupulatnie wszystkie zdjęcia faceta w masce, które znalazł w internecie, ale choć bardzo wyęźzał pamięć, nie potrafił rozpoznać w sylwetce i w spojrzeniu mężczyzny nikogo znajomego. Nie rozumiał też, dlaczego Fantomowi tak bardzo zależało na rozmowie właśnie z nim, czemu tylko jego chciał do siebie dopuścić. Być może chodziło o jakąś zadrę z przeszłości, o potrzebę wyrównania rachunków, albo wręcz przeciwnie, nieznajomy mógł chcieć opowiedzieć swoją historię komuś, do kogo żywił zaufanie.

Dawny redaktor naczelny „Magazynu” potarł dłońmi szczypiące oczy, ziewnął przeciągle, a później zębami odgryzł fragment suchej skórki na spierzchniętych wargach. Czuł, że wokół niego unosi się kwaśny zapach przetrawionego alkoholu, i nagle zrobiło mu się z tego powodu wstyd. By odepchnąć od siebie uczucie skrępowania, wrócił do pracy. Co kilka minut niecierpliwie odświeżał strony z artykułami o człowieku bez twarzy, pod którymi zostawił wiadomości oraz swój stary roboczy adres mailowy, na wypadek gdyby mężczyzna chciał się z nim skontaktować. Kiedy jednak orientował się, że komentarze pozostawały bez odpowiedzi, a w skrzynce nie pojawiały się żadne nowe wiadomości, doświadczał duszącej pustki.

W czasie, gdy Pawła dręczyły piętrzące się pytania i myśli o tym, skąd mógłby wziąć alkohol, niczego nieświadoma Larysa dynamicznie uderzała w klawiaturę swojego macbooka. Siedziała zgarbiona nad komputerem i była całkowicie pochłonięta pisaniem. Niekiedy odrywała się na moment, by zanotować coś w grubym zeszycie leżącym obok laptopa, a później z lekko otwartymi ustami wracała do stukania w klawisze. Gdy skończyła, przeciągnęła się i pokręciła głową na boki tak mocno, że coś chrupnęło jej w szyi.

– Sypiesz się – rzucił Wiśniewski znad starego laptopa, który mu podarowała.

Pracowali w jednym pokoju, jak w początkach ich znajomości. On na kanapie, na której wcześniej spał, ona przy biurku. Każde we własnym tempie i w pełnym skupieniu. Wystarczająco blisko, by na bieżąco dzielić się swoimi odkryciami, i dostatecznie daleko, by podtrzymać dystans, który rósł między nimi od rozmowy o picciu.

– A tobie zaczyna wracać poczucie humoru – odparła z delikatnym uśmiechem.

Jej były szef zbył ten komentarz machnięciem ręki.

– Zerknęłam na twoje reportaże w archiwum „Magazynu”. Nie próżnowałeś. Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat ukazało się prawie pięćset tekstów podpisanych twoim nazwiskiem. Oczywiście nie licząc wstępniaków. – Podała mu kartkę wyrwaną z notesu. – To dane do logowania. Przejrzyj artykuły i sprawdź, czy czegoś tam nie znajdziesz. Mam przecucie, że już kiedyś ze sobą rozmawialiście. On ci ufa, a to oznacza, że musiał cię wcześniej spotkać. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w przeszłości o nim pisałeś. Kto wie, może był bohaterem jakiegoś reportażu.

Paweł poczuł się dotknięty autorytarną nutą w głosie Larysy, jakby na powrót stał się dzieckiem, które trzeba prowadzić za rękę, wydawać mu polecenia i wyjaśniać, jak należy szukać informacji. Zamierzał jej odpowiedzieć, ale po chwili jego oburzenie stopniało, a on przypomniał sobie, kim się stał i dlaczego miała prawo zwracać się do niego w ten sposób. Zerknął na swoje poniszczone dłonie, które w niczym nie przypominały rąk dawnego charyzmatycznego redaktora naczelnego. Jego umysł też już nie działał jak dawniej, a teraz, kiedy ból głowy stawał się coraz intensywniejszy, a nudności narastały, nie miał siły na sprzeczkę.

Larysa dostrzegła, że posmutniał, a gdy dotarło do niej, co mogło być przyczyną jego wycofania, wzdrygnęła się. Zdziwiło ją to, jak lekko przeszła w tryb zarządzania dawnym szefem. Zamknęła go w mieszkaniu, dała zadanie do wykonania i pilnowała niczym surowy policjant. Ubezwłasnowolniła, jakby należał do niej, i ohydnie wmawiała sobie, że robi to dla jego dobra. Czy naprawdę tak było? A może chodziło tylko o artykuł, o cel, który zamierzała

osiągnąć bez względu na to, ile przyjdzie jej zniszczyć po drodze? Nie chciała się z tym mierzyć.

Odepchnęła na bok niewygodne myśli i posłała przyjacielowi blady, wspierający uśmiech. Paweł, który nawet na nią nie patrzył, niespodziewanie uniósł głowę, jakby wyczuł jej gest. Wykrzywił usta w dziwnym grymasie i ściskając mocno obie dłonie ze sobą, wyszeptał:

– Tak bardzo mi jej brakuje, wiesz? – Jego oczy się zaszkliły. – Zawsze lubiła moje teksty, zwykle jako pierwsza dostawała je do lektury, a później, kiedy traciła już wzrok, prosiła, bym czytał je dla niej na głos. – Przełknął napływającą ślinę. – Wiesz, czyje jeszcze artykuły lubiła?

Larysa pokręciła głową.

– Twoje.

Wpatrywała się tępo w migający na ekranie komputera kursor. Starła się skupić całą uwagę na nim, oderwać się od fali żalu, która chwyciła ją właśnie w swoje szpony. Nie mogła powiedzieć Pawłowi, że nie przyszła na pogrzeb, bo bała się, że umrze tam razem z Marią. Kobieta o ciepłych dłoniach, łagodnym, zamglonym spojrzeniu i matczynym głosie. Nie dała rady przyznać się do tego, że żałuje, iż ją opuściła, a później ze wstydu zostawiła także jego. Że chcąc ochronić siebie, zadała przyjacielowi jeszcze większy ból. Czowała, że jej żołądek zwija się w supeł, a w gardle rośnie wilgotna gąbka.

Kiedy Wiśniewski stanął niespodziewanie za jej plecami, miała wrażenie, że lada chwila tama pęknie, a łzy pociekną jej po policzkach.

– Uważaj, żebyś nie była silna zbyt długo – powiedział cicho. – Pójdę kupić coś do jedzenia. Pożyczysz mi jakieś pieniądze?

– Portfel leży w kuchni na blacie – rzuciła na jednym wydechu i zdała sobie sprawę, że przez ostatnie sekundy była jak zamrożona.

Gdy Paweł wyszedł, usiadła na podłodze pod ścianą i wypuściła na zewnątrz cały smutek. Płakała długo, aż w końcu zasnęła ze zmęczenia i od nadmiaru emocji.

Kiedy się ocknęła, bolał ją kark. Od wyjścia Wiśniewskiego musiało minąć sporo czasu, bo za oknem zrobiło się ciemno. Zerwała się nagle i nerwowo rozejrzała wokół. Mieszkanie tonęło w ciszy i półmroku. Po chwili dostrzegła, że drzwi na klatkę schodową są otwarte na oścież. Z bijącym sercem pobiegła zamknąć je na zasuwę, a później usiłowała cofnąć się myślami do momentu, gdy Paweł wychodził. Była pewna, że trzasnął wtedy drzwiami.

– Wiśnia?! – zawołała, ale nikt jej nie odpowiedział.

Na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze łazienkę i sypialnię, ale tam też go nie znalazła. Ostrożnie podeszła do okna – i wtedy go zobaczyła. Paweł leżał na ławce pod blokiem, obok niego stała pusta butelka po tanim winie i torba z jedzeniem z chińczyka, do której dobierał się jakiś kulejący gołąb. Twarz jej dawnego szefa, oświetlana blaskiem osiedlowych lamp, przybrała dziwny, żółtawy kolor, a włosy wydawały się jeszcze rzadsze.

Larysa poczuła nieprzyjemne ukłucie pod żebrami i uznała, że nie chce na to patrzeć. Zasunęła roletę w oknie, a później rozmasowała sobie kark i usiadła do komputera, przy którym wcześniej pracował jej przyjaciel.

Wyłączała kolejne okna przeglądarki, gdy dostrzegła, że w skrzynce mailowej Wiśniewskiego pojawiła się nowa wiadomość. Mail nie miał tytułu, a w polu nadawcy widniał szereg wybranych na chybił trafił liter. Zwykle w takiej formie do skrzynek trafiały wirusy, więc tych wiadomości nie należało otwierać, ale tym razem postanowiła zaryzykować. Po chwili była już pewna, że to odpowiedź od Fantoma.

„Jutro o osiemnastej na Patelni. Bądź sam”.



Bruno ziewnął przeciągle i potarł zmęczone oczy. Był tak zamyślony, że przy skręcie w aleję Rzeczypospolitej za późno

zauważył czerwone światło i niemal spowodował kolizję. Biały mercedes w ostatniej chwili odbił w lewo i tylko dzięki refleksowi tamtego kierowcy Wilczyński nie musiał marnować trzydziestu minut swojego życia na spisywanie zeznań i użeranie się ze wściekłym facetem.

Ta myśl pokrzepiła go, gdy pobierał bilecik do parkowania pod prywatnym szpitalem na Wilanowie. Podobno ojciec dziecka nalegał, by małego przywieziono właśnie tutaj, bo tylko tym lekarzom ufał i wierzył w jakość ich pracy. Bruno miał na to zgoła inny pogląd. Był pewien, że facet co miesiąc opłaca koszmarnie drogi abonament za usługi, z których do tej pory nie miał czasu ani powodu korzystać, a teraz postanowił odebrać należne.

Na recepcji za wysokim kontuarem siedziała długowłosa, pulchna brunetka ogrzewająca dłonie kubkiem aromatycznej kawy. Bruno zauważył, że w kąciку ust utknęły jej dwa maleńkie okruszki, a na jej biurku dostrzegł otwarte opakowanie biszkoptów i nagle zdał sobie sprawę, że jest potwornie głodny.

– Dobry wieczór. W czym mogę pomóc? – Dźwięczny głos dziewczyny przypominał pełną cukru i radości barwę przedszkolanki mówiącej do dzieci.

– Muszę porozmawiać z Ryszardem Sochą. – Machnął legitymacją. – Mały chłopiec, przywiozła go do was kilka godzin temu psycholog policyjna.

Radosny uśmiech recepcjonistki w ułamku sekundy spłynął z jej twarzy, a na jego miejscu pojawił się pełen napięcia grymas. Dziewczyna pobladła, przełknęła z trudem resztki ciasteczka, po czym zacisnęła usta w wąską kreskę, a jej dłoń chwyciła za słuchawkę.

– Proszę poczekać – wydukała.

Gdy wybierała numer, jej palce zostawiały wilgotne ślady na telefonie. W oczekiwaniu na połączenie nerwowo uderzała końcówką długopisu o blat biurka, a kiedy długo nikt nie odbierał, rozłożyła ręce w geście bezradności i spojrzała przepaszająco na Brunona. Po chwili jednak wyprostowała się, a jej wzrok stał się czujny.

– Pani ordynator. Przepraszam, że o tej porze, ale jest tu pan z policji. Mówi, że to pilne, chodzi o tego chłopczyka z Ursynowa – rzuciła jednym tchem, gdy tylko ktoś odebrał połączenie.

Przez chwilę nasłuchiwała, gryząc w tym czasie umalowane różową szminką wargi i niemo kiwając głową. Bruno zaczął rozglądać się ze zniecierpliwieniem, a w jego myślach coraz bardziej krystalizowała się obawa o to, czy w ogóle zostanie dopuszczony do rozmowy z dzieckiem.

– Dobrze. Tak, przekażę. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Wilczyńskiego. – Może pan do niego wejść. Proszę wjechać windą na drugie piętro i skierować się na oddział pediatrii. Pani ordynator będzie czekała na pana na górze. Tylko musi pan wiedzieć, że... – Urwała, bo policjant wychylił się nad kontuarem i sięgnął po paczkę biszkoptów.

– To dla chłopca – wyjaśnił zmieszanej recepcjonistce i nie czekając, aż dziewczyna przypomni sobie, co chciała powiedzieć, ruszył w stronę wind.

W drodze zdążył pochłonąć trzy ciasteczka i poczuł, że powoli wracają mu siły witalne. Przez przeszklone drzwi windy obserwował stojącą w holu kamienną rzeźbę przedstawiającą noworodka trzymanego w olbrzymiej, około dwumetrowej dłoni. Domyślał się, że dzieło miało symbolizować opiekę, jaką szpital otacza najmłodszych, i zapewniać o tym, że pacjenci znajdują się w dobrych rękach, ale on na jego widok doświadczył tylko niepokoju. Niemowlę było nieproporcjonalnie drobne w stosunku do dłoni i wydawało się, że czarne, zimne palce lada chwila się na nim zacisną.

Bruno parsknął nerwowym śmiechem, kiedy przyłapał się na tych absurdalnych rozważaniach. Musiał przyznać sam przed sobą, że wizja rozmowy z Ryszardem Sochą budziła w nim lęk. Nie chodziło o to, że nie wiedział, jakich użyć słów, tylko o świadomość, że są w życiu sytuacje, gdy wszystkie słowa stają się niewłaściwe.

Chwilę później, gdy dzwonek windy zadźwięczał, a dźwig zatrzymał się na drugim piętrze, Wilczyński dostrzegł atrakcyjną lekarkę po czterdziestce, w białym kitlu, ze stetoskopem

przewieszonym przez szyję i burzą włosów w kolorze mieniającego się złota. Jego uwagę przyciągnęły wydatne kości policzkowe, jej posągowy wzrost i oczy pociągnięte czarną kreską. Trzymała ręce w kieszeniach, a jej prawa stopa, w bucie ze zdecydowanie zbyt wysokim jak dla medyka na nocnym dyżurze obcasie, wystukiwała niespokojny rytm.

– Komisarz Bruno Wilczyński. – Wyciągnął rękę i uściśnął kobiecie dłoń, trzymając ją o kilka sekund dłużej, niż wymagała tego sytuacja. – Chcę się zobaczyć z chłopcem.

– Ma pan podwójne szczęście. Rysiu niedawno się obudził po lekach, które mu podaliśmy, a przed chwilą przyjechał jego ojciec i wyraził zgodę na odwiedziny policji, więc będzie pan mógł z nimi chwilę porozmawiać. Proszę jednak, żeby nie trwało to zbyt długo. Zwykle w takich godzinach nie wpuszczamy służb na oddział, ale jako że to wyjątkowa sytuacja, dam panu kwadrans – powiedziała tonem niepozostawiającym miejsca na negocjacje, a następnie skrzyżowała ramiona na piersi. – Dziecko nie jest w najlepszym stanie, chłopiec przeżył szok i powinien jak najwięcej odpoczywać. Wprawdzie na razie jeszcze nie rozumie tego, co się stało, ale chyba nie muszę mówić, że ta sytuacja wymaga wiele taktu.

– Z tego właśnie słynę – skomentował z pewnością w głosie, a gdy zobaczył, że lekarka wpatruje się z powątpiewaniem w niefortunny jak na te okoliczności napis na jego podkoszulku, ściągnął mocniej poły kurtki. – Co wykazały badania? – dopytał rzeczowo.

– Na pierwszy rzut oka chłopcu nic nie dolega. Poza tym, że doznał potwornego wstrząsu i trudno było nam go uspokoić bez leków. Cały czas pytał o mamę i o jej rozbitą głowę. – Ordynator wskazała dłonią w stronę korytarza po lewej i ruszyła w tamtym kierunku, a policjant podążył za nią. – Oczywiście pobraliśmy wszystkie próbki, był tu też wasz specjalista, zrobiliśmy pacjentowi wymazówkę z policzka i zbadaliśmy go pod kątem molestowania seksualnego, ale nic nie wskazuje na to, by ktoś go skrzywdził. Krew i mocz są czyste, na resztę analiz czekamy. Chociaż... – zawahała się – na lewym ramieniu ma rany, które wyglądają, jakby ktoś wbił mu w skórę paznokcie. I to całkiem niedawno.

Bruno zatrzymał się, zmrużył oczy i przez chwilę wpatrywał się w podłogę, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał, po czym spojrzał na lekarzkę pytającym wzrokiem.

– Wiem, o czym pan myśli – uprzedziła go. – Jak mocno trzeba ścisnąć ramię dziecka, by zostawić mu na skórze tak głębokie obrażenia.

– Cholernie mocno.

Kiwnęła smutno głową, po czym wskazała ręką drzwi, przed którymi właśnie się zatrzymali, a następnie położyła dłoń na klamce i delikatnie ją nacisnęła.

– To tutaj – wyjaśniła, otwierając drzwi.

Wewnątrz na łóżku pokrytym białą pościelą siedzieli objęci ojciec z synem. Mężczyzna głaskał białe włosy chłopca i miękko głosem czytał mu o przygodach Kubusia Puchatka. Malec, przytulając do siebie maskotkę, z rozpalonym wzrokiem obserwował ojca. Dorosły modulował głos, wcielając się w poszczególne postaci, a wtedy jego syn wydawał z siebie dźwięki zachwyty i niekiedy podrygiwał w emocjach. Był tak pochłonięty opowieścią, że nawet nie zauważył stojących w drzwiach lekarki i policjanta. Tymczasem jego ojciec zmierzył Brunona surowym spojrzeniem i wskazał na książeczkę, dając mu do zrozumienia, że chce dokończyć lekturę.

Wilczyński nie miał mu tego za złe, właściwie nigdzie się nie spieszył. Oparty o futrynę chłonał każdy detal tej sytuacji. Rejestrował gesty, ton głosu i emocje ukryte w fizycznym kontakcie ojca i syna, które bardzo trudno podrobić. Pomyślał, że ludzie, nawet nic nie mówiąc, zawsze coś przekazują i że nie da się uciec od siebie. Zerknął na leżącą na szafce otwartą paczkę białoróżowych pianek marshmallow, które wypełniały pokój słodkim zapachem, dostrzegł też napoczętą trójkątną czekoladę Toblerone i żółtą reklamówkę ze sklepu wolnocłowego na lotnisku, z której wypadł paragon. Uśmiechnął się na widok zakupów, ale nie dlatego, że przywodziły mu na myśl dzieciństwo i przypominały powroty ojca ze służbowych wyjazdów, tylko dlatego, że wyczuwał w powietrzu kłamstwo. W swoim podejrzeniu upewnił się chwilę

później, gdy podniósł rachunek z podłogi i odkrył pewną niespójność.

Tymczasem spojrzął raz jeszcze na błękitnookiego chłopca i stwierdził, że nawet jeśli poinformowano go już o tym, co się stało, to sens tej wiadomości nie zdążył do niego dotrzeć.

Zadziwiająco, jak powoli buduje się w nas świadomość o nieodwracalności i sensie zdarzeń, pomyślał. Bruno postrzegał ją jako cienką chustę tańczącą na wietrze i unoszącą się nad człowiekiem, muskającą skórę aż do dnia, gdy ten woal opadał na twarz, zaciskał się wokół niej i dusił bolesną świadomością tego, co się stało. Pamiętał, że pierwszy raz poczuł ten brak tchu w Wigilię tuż po śmierci matki. Spojrzął wtedy na puste krzesło przy świątecznym stole i zdziwiony nieobecnością Alicji, pobiegł na piętro. Otworzył wielką szafę w sypialni rodziców w nadziei, że znajdzie tam ślady matki, zapach jej perfum, dotyk zwiewnych sukienek albo pachnące skórą buty zamknięte w kartonowym pudełku. Niczym w amoku przerzucał koszule i garnitury ojca, a woal wokół jego twarzy owijał się coraz ciaśniej. Ten moment dogłębnego uświadomienia sobie, że jej już nie ma i że nigdy więcej jej nie dotknie ani z nią nie porozmawia, bolał go chyba nawet bardziej niż pogrzeb.

Trzyipółletni Ryszard Socha miał ten etap jeszcze przed sobą. Na razie łaskotał tatę, piszcząc z radości, gdy tylko jego opiekun zapowiadał odwet.

Lekarka zastukała lekko w drzwi, by zwrócić na siebie uwagę, a głowy chłopca i jego ojca zwróciły się w ich kierunku.

– Przyprowadziłam wam gościa – wyjaśniła, rozciągając usta w życzliwym uśmiechu. – Pan Bruno Wilczyński jest z policji, chciałby zadać kilka pytań.

Malec wychylił się zza ramienia ojca i wielkimi oczami zerknął na mężczyznę przy drzwiach, a później wtulił się w opiekuna i skrył za jego torse. Ojciec otoczył dziecko ramionami i niechętnie skinął głową.

– Świetnie. Zostawię was samych – rzuciła na odchodne ordynator, po czym zerkając na Wilczyńskiego, pokazała mu

zegarek na swoim nadgarstku i znacząco zastukała w szybkę.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, w pokoju zapanowała pełna napięcia cisza.

– Niech pan usiądzie – zaproponował mężczyzna. – Filip Socha. – Wyciągnął dłoń. – Jestem ojcem Rysia.

Bruno uścisnął jego rękę, a następnie sięgnął po krzesło, postawił je obok łóżka i miękko popatrzył na chłopca. Starał się go wyczuć, wyłapać mikrosygnały zdradzające, na ile może sobie pozwolić, zadając pytania. Prawda była taka, że nikt i nic nie mogło przygotować policjanta na taką rozmowę, a wszystkie podstępne zagrania i manipulacje, które komisarz zwykle bezpardonowo stosował podczas weryfikowania zeznań dorosłych, w przypadku dziecka traciły swoją moc.

– Dla jasności – podjął jeszcze Socha – zgodziłem się na tę wizytę tylko dlatego, że wiem, jak ważny jest czas w takiej sytuacji. Chcę jednak, żeby pan wiedział, że jestem adwokatem, znam procedury i jeśli przekroczy pan granicę, będziemy musieli przerwać, a ja wniosę skargę.

Wilczyński mocniej zacisnął szczęki. Był wystarczająco bystry, by zdawać sobie sprawę, w jakim położeniu się znajduje, i nikt nie musiał mu grozić. Zamierzał odpowiedzieć, ale jego spojrzenie zatrzymało się na dziecku wczepionym w ojca i uznał, że dyskusja tylko wystraszy małego. Wziął więc głęboki wdech, kiwnął Sosze głową ze zrozumieniem i skoncentrował się na Ryszardzie.

Odwlekał moment rozmowy i w myślach układał najlepszą strategię. Musiał zrobić to wprost, nie mógł schować się za sztuczkami stosowanymi przez psychologów: sięgnąć po symboliczne rysunki, kukiełki i metaforyczne odniesienia. Wbrew temu, co zarzucało mu wielu jego kolegów z komendy, nie cierpiał na brak empatii, po prostu wyłączał ją, by móc wykonywać swoją pracę. Uważał, że zajmowanie się bliskimi ofiar czyni większość śledczych żałosnymi. Według niego należało się skupiać jedynie na sprawie. Ludzie mylnie sądzili, że potrzebują jego współczucia i zrozumienia, gdy tak naprawdę zależało im na tym, by na nowo uwierzyć, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Jakby oczekiwali od

niego, że poskleja ich życie. Uważał to za skrajną naiwność, sam chciał jedynie rozgryźć zagadkę.

– Cześć, Rysiu. – Uśmiechnął się delikatnie do dziecka. – Razem z moimi kolegami z policji staramy się zrozumieć, co się wydarzyło dziś wieczorem. Czy mógłbyś mi opowiedzieć o tym, co się stało?

Chłopiec poruszył się nerwowo, a Bruno poczuł, że cienki lód, po którym stapa, zaczyna trzeszczeć.

– Nie spiesz się – dodał ku pokrzepieniu. – Wszystko, co pamiętasz, jest bardzo ważne.

Dziecko spojrzało na ojca, a ten zachęcił je skinieniem głowy i buziakiem w czoło.

– Obudziłem się i zrobiło mi się smutno – zaczął malec nieśmiało, ale chwilę później jego usta ułożyły się w podkówkę, a twarz nabiegła czerwienią. – Wołałem mamę, a ona nie przychodziła – mówił coraz słabszym głosem.

– Spokojnie, Rysiu. – Tata objął go mocniej ramieniem. – Świetnie ci idzie.

Chłopczyk popatrzył na opiekuna, jakby szukał w jego twarzy potwierdzenia tych słów, po czym ostrożnie się uśmiechnął i wrócił do Brunona.

– Mama leżała na trawie, ale nic nie mówiła. – Rozłożył maleńkie rączki w geście bezradności. – Ten pan weźmiał mnie za rękę i zadzwonił po lekarza. Obiecał, że pan doktor wyleczy mamusi głowę – dodał z nadzieją.

Wilczyński poczuł, że wszystko w środku mu zamarza, krew tężeje w żyłach, a chwile ciszy między kolejnymi uderzeniami serca stają się jakby dłuższe i coraz bardziej przerażające.

– Jaki pan wziął cię za rękę? – zapytał z trudem.

– No biegłem, przewróciłem się i on tam był. – Wzruszył ramionami. – Taki brzydki.

Bruno pomyślał o bliznach po trądziku na twarzy Wiktora Zakrzewskiego, mężczyzny, który natknął się na dziecko.

– Czy to on zrobił krzywdę twojej mamie? – drażył.

– Nie. On tylko tam stał, a mama leżała. Ten pan się zabojał bardzo.

– Widziałeś kogoś jeszcze? A może słyszałeś czyjś głos?

Malec pokręcił głową. Wilczyński zerknął na jego ramię schowane pod dziecięcą piżamą w gwiazdki. Wiedział, że musi zapytać o rany po paznokciach, a jednocześnie miał świadomość, że wtedy kruchy łód pod jego stopami zapewne pęknie. Przygryzł wewnętrzną część policzka, a potem, by pozbyć się wątpliwości, zapytał:

– Czy ktoś cię dotykał albo uderzył? Ktoś chciał ci zrobić krzywdę?

– Dosyć! – przerwał ostro Filip Socha, zanim chłopiec zdołał odpowiedzieć. – Na dziś wystarczy. Syn musi odpocząć, wystarczająco dużo już przeszedł.

Ryś skulił się w sobie, być może na skutek słów policjanta albo z powodu nagłego wybuchu ojca. Bruno posłał dziecku kojący uśmiech i powoli zaczął się zbierać do wyjścia. Z tego, co usłyszał, wnioskował, że mały najwyraźniej spał, gdy to wszystko się stało, i obudził się już po fakcie. Szukał matki, a kiedy jej nie znalazł, wyszedł z samochodu i od razu natknął się na jej ciało. Przerażony i zapłakany biegł przed siebie, aż spotkał tamtego faceta.

Nagle coś tknęło Wilczyńskiego.

– Jeszcze jedno. – Odwrócił się do chłopca. – Rysiu, powiedz, jak wyszedłeś z samochodu?

– Normalnie.

– A drzwi? Umiesz je sam otworzyć?

Malec pokręcił głową.

– Były otwarte – wyjaśnił.

– No ale pasy w foteliku na pewno miałeś zapięte.

– Nie. Odpięte.

Bruno zerknął na ojca dziecka, który był tak samo zafrapowany jak on.

– Mama często wozila cię bez zapiętych pasów?

– Nigdy. Zgniatła mnie, o tak, mocno. – Zacisnął małe piąstki, aż jego kostki pobielaly. – Wtedy zawsze zgniataly mi się nóżki i czasem płakałem. Ale mama mówiła, że tak trzeba. Żeby nie umarnął, jak będzie wypadek.

Filip Socha pobladł, jego dotychczasowa waleczność ustąpiła miejsca lękowi dostrzegalnemu w rozbieganym spojrzeniu i drżącym głosem. Mężczyzna poprosił syna, by przytulił swojego króliczka, i obiecał, że za moment do niego wróci. Sam podniósł się z łóżka i kiwnięciem głowy dał Wilczyńskiemu znak, że chce z nim porozmawiać na osobności.

Kiedy obaj znaleźli się na korytarzu, ojciec chłopca nie mógł opanować trzęsących się dłoni.

– Jaki morderca wypiąłby dziecko z fotelika chwilę po tym, jak zakatował jego matkę? – Socha wpatrywał się w policjanta ogromnymi oczami, w których czaiło się przerażenie.

– Intrygujący – odparł Bruno.



Michał Prokop spoglądał na przyjaciela błagalnie swoimi przekrwionymi oczami, które zamykały się pod naporem zmęczenia. Odkąd wrócili do domu i zaparkowali w garażu, starał się przekonać Bartka, że zniszczenia tylnego zderzaka nie są na tyle duże, by spędzać pół nocy na rozważaniu, jak rozwikłać ten problem.

– Wyluzuj, chłopie – mówił, kładąc mu jedną dłoń na ramieniu, a drugą ospale gestykułując. – Ojciec wraca dopiero jutro wieczorem, do tego czasu ogarniemy jakiegoś lakiernika, skołujemy, co trzeba, i wymienimy zderzak, tak że stary się nie pozna.

Luboń popukał się w czoło. Stał nachmurzony z rękami opartymi na biodrach i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Albo nadal jesteś narąbany, albo naoglądałeś się za dużo filmów.

– Potencjalnie jedno i drugie. – Michał błysnął zębami. – Słuchaj, mówię tylko tyle: połóżmy się spać, bo obaj jesteśmy zrypani, rano

spojrzymy na to świeżym okiem. I nic się nie martw, jesteśmy w tym razem. – Poklepał go po ramieniu.

– Chyba skacowanym okiem – sarknął Bartek i potarł dłonią czoło. – Wiesz chociaż, co to było? W co grzmotnęliśmy?

– Pewnie w jakąś gałąź albo pniak, tam niedawno była wycinka i sporo tego jeszcze zostało między drzewami. A może ten skurczybyk dzik gdzieś się tam jeszcze plątał. Nieważne. Chodźmy się kimnąć, bo zejdem, a wtedy to dopiero miałbyś problem – zachichotał.

Luboń, który sam ledwie trzymał się na nogach, w końcu niechętnie przystał na propozycję kumpla. Uzgodnili, że wstaną wcześniej rano, by posprzątać bałagan po imprezie, a jeden z nich od razu obdzwoni wszystkich mechaników w pobliżu. Wyczerpani powlekli się na górę, gdzie Prokop wskazał koledze pokój gościnny, po czym zniknął za sąsiednimi drzwiami, rzucił się na łóżko i od razu zasnął. Chrapał tak głośno, że Bartek słyszał go przez ścianę i przez grubą poduszkę, którą położył sobie na głowie, by odciąć się od dźwięku przypominającego warkot traktora.

Nadal nie mógł uwierzyć, że dał się wciągnąć w to szaleństwo, i gorliwie sobie obiecywał, że nigdy więcej nie sięgnie po narkotyki, nawet te miękkie, ani nie wsiądzie do samochodu z człowiekiem pod wpływem, choćby przysięgał, że wlał w siebie tylko jedno piwo. Pomyślał o siostrze, która z pewnością ochrzaniłaby go od góry do dołu, gdyby miała pojęcie, co nawywijał, a samo wyobrażenie jej gniewu sprawiło, że poczuł w żołądku mdlący wstyd. Rzucił się pędem do łazienki i klęcząc nad sedesem, zwymiotował. Głowa bolała go coraz bardziej, a przed oczami pojawiły mu się mroczki. Odkręcił kurek z lodowatą wodą, a kiedy już spryskał twarz i wypłukał usta, opadł ciężko na sedes, unikając przy tym spotkania ze swoim odbiciem w lustrze.

Dopiero teraz mógł przyjrzeć się pomieszczeniu, w którym się znajdował. Było wyposażone w drewnianą, stylizowaną na starodawną szafkę, lustro w złoconej ramie zawieszone nad umywalką i wolnostojącą wannę retro, na mosiężnych nóżkach przypominających łapy lwa. Jedna ze ścian wykończona była cegłą,

przez co wyglądała na surową, a zarazem dodawała wnętrzu charakteru. Kiedy zdał sobie sprawę, czym się zajmuje, parsknął śmiechem.

Sekundę później usłyszał pukanie do drzwi. Pomyślał, że jego przyjaciel być może również wpadł w szpony ponarkotykowej głupawki, i ochoczo zawołał:

– Otwarte, włącz!

Jednak kiedy osoba po drugiej stronie pchnęła drzwi, jego oczom ukazał się nie Michał, ale jego ojciec, Wojciech Prokop, który na widok Bartka był równie zdziwiony i zaskoczony, co Luboń.

– Co robisz w mojej łazience? – zapytał w końcu dziekan Wydziału Elektrycznego i wbił w chłopaka wyczekujące spojrzenie.



Kawa ze szpitalnego automatu smakowała niczym błotnista kałuża. Bruno wziął jeszcze jeden łyk, skrzywił się i wyrzucił kubek wraz z zawartością do kosza.

– Lura – skomentował pod nosem dokładnie w tej samej chwili, w której usłyszał za sobą ciężkie kroki.

– Na komisariacie macie lepszą? – Filip Socha założył ramiona na piersi i ściągnął usta w ciup.

W czasie, gdy mężczyzna usypiał syna, komisarz Wilczyński, siedząc na eleganckiej, ale potwornie niewygodnej sofie w korytarzu prywatnego szpitala na Wilanowie, pogłębiał swoją wiedzę na temat ojca małego Ryszarda Sochy. Okazało się, że uwielbia on dyskutować na sali sądowej i często celowo prowokuje przeciwników. Był adwokatem znanym z tego, że stosuje chwyt poniżej pasa i nie ma dla nikogo taryfy ulgowej. Na zdjęciach w internecie prezentował się z profesjonalnym uśmiechem, skórzaną aktówką w jednej i togą w drugiej dłoni, a w rekomendacjach klientów określany był jako waleczny i bezkompromisowy. Być może teraz, po tym, czego doświadczył, potrzebował dać komuś w zęby, by rozładować wzbierające w nim napięcie, i to z tego powodu uderzał w Brunona. Ale istniało jeszcze inne wyjaśnienie. Socha mijał się z prawdą i czuł, że nie jest jedynym, który ma tego świadomość.

– Dlaczego przyjechałeś do szpitala tak późno? – zaatakował go Wilczyński.

– Mówiłem już pana koleżance, że miałem spotkanie we Wrocławiu i przyleciałem dopiero przed dziesiątą.

Mężczyzna włożył dłonie do kieszeni tak, że na zewnątrz widać było tylko jego kciuki. Miał potargane włosy i zmiętą koszulę, ale wokół niego unosiła się woń świeżości. Stał obok śledczego, który wiedział wszystko o sprawie jego żony, a jednak nie zadawał

żadnych pytań. Niekiedy rodzinie trudno było rozmawiać o tym, co spotkało najbliższych. Obawiali się, że jeśli wypowiedzą na głos słowo „śmierć” albo „zabójstwo”, to coś nieodwracalnie się zmieni. Dlatego zastępowali je określeniem „to”. Pytali, jak „to” się stało, a nie w jaki sposób umarli albo zostali zamordowani. Jakby wyraźne stwierdzenie, że ktoś nie żyje, odzierało z ostatnich złudzeń. Ale Bruno wiedział, że to wyjaśnienie nie dotyczy człowieka, na którego patrzył.

– Ile dni spędziłeś poza domem? – dociekał.

– Cztery. To była długa delegacja, miałem sporo spraw do załatwienia i nie mogłem się doczekać powrotu do rodziny.

– Wyobrażam to sobie. Myślałeś pewnie, że jeszcze tylko jeden długi, ciężki dzień w pracy, potem ostatnie spotkanie z klientem i wreszcie podróż do domu. Zastanawiam się, i wierz mi, to pytanie bez podtekstów, jakim cudem... – policjant nachylił się w stronę Sochy i zaciągnął się słodkim, owocowym zapachem – tak ładnie pachniesz?

– Ten cudowny wynalazek nazywa się prysznic. Serdecznie polecam – ironizował adwokat.

Wilczyński przyglądał mu się podejrzliwie. Wiedział od Sylwii, że gdy dzwoniła do mężczyzny, czekał jeszcze we Wrocławiu na samolot. Mało prawdopodobne było, by kąpał się na lotnisku, a kiedy wylądował w Warszawie, zapewne wsiadł w pierwszą lepszą taksówkę i od razu przyjechał do syna. Przynajmniej tak powinien zrobić, w przeciwnym razie byłby skończonym idiotą. Bruno pomyślał, że to właściwie nie było wykluczone, i uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem, po czym wyprowadził mocny cios.

– Nie byliście z Oliwią najlepszym małżeństwem, prawda? Możesz mi powiedzieć, umiem dotrzymać tajemnicy. Nikomu nie powiedziałem, że mój szef ssie kciuka.

– Słucham? Jak pan śmie? – Na twarzy mężczyzny malowało się oburzenie. – Moja żona została brutalnie zamordowana, a pan, zamiast szukać jej zabójcy, tworzy jakieś chore insynuacje.

Wilczyński miał świadomość, że prowokując Filipa Sochę, drażni lwa, a jednocześnie wierzył, że to właściwy kierunek. Zamierzał

śmiało posuwać się naprzód do czasu, aż jego rozmówca pęknie i powie to, co dotychczas tak skrzątnie ukrywał. Do chwili, gdy pokaże, kim jest naprawdę. Policjant wzruszył więc ramionami i zrobił minę niewiniątka, obserwując, jak oblicze mężczyzny tężeje.

– Po prostu się zastanawiam, jak długo są w stanie wytrzymać ze sobą mało popularna trenerka fitness i rozchwytywany wrocławski adwokat – kontynuował. – Dużo dla niej poświęciłeś, przeniósłeś się do stolicy, rozstałeś się ze współnikiem renomowanej kancelarii. To musiało w końcu wybuchnąć. Ile lat byliście małżeństwem?

– Osiem, ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Może zamiast wygłaszać swoje urojone fantazje odpiardoli się pan ode mnie i zaczniesz szukać tego, kto to zrobił?

Ojciec Ryszarda Sochy dyszał ciężko, a jego twarz nabiegła krwią.

– Właśnie to robię. Są jacyś świadkowie tego, że przyleciałeś samolotem o dziesiątej?

Mężczyzna prychnął.

– To jest naprawdę absurdalne. – Pokręcił głową i sięgnął do kieszeni po telefon. Poszukał w nim czegoś, a następnie zwrócił ekran w stronę Brunona. – Proszę. Bilet elektroniczny, a tu potwierdzenie odprawy on-line. Zadowolony?

Wilczyński rzucił okiem na smartfona i skinął potwierdzająco głową.

– Przez chwilę mogę być. Chociaż to o niczym nie świadczy. Ale zostawmy ten temat do czasu, aż aspirant Konopacka porozmawia z liniami lotniczymi. – Poklepał Sochę pojednawczo po ramieniu, jakby właśnie zawarli ze sobą niepisaną umowę. – Komuś mogło zależeć na jej śmierci?

– Nie wiem. Nie sądzę. – Mężczyzna westchnął ciężko, opadając na fotel. – Odkąd się dowiedziałem, analizuję wszystkie swoje sprawy i zastanawiam się, czy to nie był jakiś chory akt zemsty. Zajmuję się prawem spadkowym. Chyba tylko w sprawach z obszaru prawa rodzinnego jest więcej emocji niż u nas. Ludzie w sądzie biją się, płaczą, podkładają sobie świnię. Ale nikt nigdy mi nie groził. Nawet nie wiem, kogo miałbym podejrzewać.

– Spotykała się z kimś? Ciebie często nie było, może pocieszała się w ramionach kochanka?

– Nie Oliwia. Ona nie miała na to czasu. Zresztą gdyby kogoś miała, wyczułbym to. Takie rzeczy się wie. Jest cała masa sygnałów.

– I tu wracamy do mojego pytania o twój zapach – przerwał mu Bruno. – Bo widzisz, nie potrafię ustalić, kiedy miałeś czas, by wskoczyć pod prysznic. Pachniesz świeżo i słodko, niemal kobieco, ale na pewno nie jak facet po długim, ciężkim dniu pracy, który na złamanie karku pędził do dziecka. Mówiłeś, że gdzie się wykapałeś?

– Komisarz Wilczyński przygwoździł rozmówcę wzrokiem, a następnie wyjął z kieszeni pognieciony papierek i podał go adwokatowi. – Zastanawia mnie też, dla kogo kupiłeś perfumy w strefie bezcłowej, skoro wchodząc na lotnisko, wiedziałeś już, że z twoją żoną stało się coś złego – dodał, dotykając paragonu, który mężczyzna ścisnął w wilgotnych od potu palcach.

Filip Socha w pierwszej chwili zamarł, po czym spuścił głowę i schował twarz w dłoniach. Balon wyrzutów sumienia, który w nim pęczniał, pękł, a ze środka wysypały się brzydkie rzeczy, które tak bardzo usiłował ukryć.



Rankiem, gdy profesor Prokop w swoim ulubionym skórzanym fotelu popijał espresso nad egzemplarzem „Wyborczej”, a Bartek i Michał, łypiąc na siebie wzrokiem, sprząтали kuchnię, świat prezentował się wyłącznie w czarnych barwach. Nawet pogoda za oknem zdawała się odzwierciedlać nastrój domowników, bo już od kilku godzin padało, słychać było grzmoty, a niebo przykrywała gruba kołdra ciemnogramatowych chmur, przecinana niekiedy smugą błyskawicy.

Minionej nocy brat Larysy doświadczalnie zweryfikował tezę o tym, że długotrwałe palenie marihuany ma negatywny wpływ na

ludzka pamięć. Okazało się, że to nie dziekan wrócił wcześniej, ale jego syn pomylił daty. Wojciech Prokop od początku miał przyjechać do domu w piątek, tyle że Michał wszystko pokręcił, a przez to doprowadził swojego najlepszego przyjaciela do stanu przedzawałowego. Na szczęście profesor przyleciał do Warszawy po długim dniu na uczelni w Londynie, jego samolot był spóźniony, on sam miał zaś rozstrój żołądka po obfitym i tłustym angielskim obiedzie i marzył tylko o tym, by zamknąć się w spokoju we własnej toalecie. Z tego powodu uznał, że rozmowy o śmietniku na kuchennym blacie i sroga reprimenda, jakiej zamierzał udzielić młokosom, mogą poczekać do następnego dnia, gdy wszyscy poczują się lepiej.

– Co masz taką kwaśną minę? – wyszeptał Luboń do swojego kumpla, który od rana zwracał wszystko, co włożył do ust. – Gdzie się podział twój słynny luz? Następnym razem może poproś, żeby ci stary wysłał informację do kalendarza w Google’u, co? Wtedy przynajmniej się nie zdziwię, jak mi w środku nocy wparuje do kibla. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak mu powiemy o samochodzie? – rzucił po cichu, zbierając puszki i kartony po pizzy do wielkiego foliowego worka.

Głowa nadal bolała go niemiłosiernie, a żeby ulżyć męczącemu pragnieniu, co chwilę pociągał łyk wody z wysokiej szklanki do piwa. Tymczasem Michał, którego twarz przybrała kolor pobielonej ściany, zamrugał, krzywiąc się przy tym, jakby każdy najmniejszy ruch sprawiał mu ból. Położył palec na ustach i nachylił się do przyjaciela.

– Jak nie będziesz tyle paplał, to coś wymyślę – wymamrotał, chuchając na Bartka nieświeżym oddechem, od którego tamten aż odwrócił głowę. – Muszę się skoncentrować, a w moim stanie to nie takie proste.

– Co ty nie powiesz? Nigdy bym nie pomyślał. Może chciałbyś jeszcze zajarać albo piwko sobie strzelić?

Młody Prokop przewrócił oczami i natychmiast tego pożałował, bo żołądek na nowo zaczął podchodzić mu do gardła. Przełknął gwałtownie ślinę, zacisnął na chwilę powieki, po czym westchnął

i wrócił do sprzątanania. Po kolejnej godzinie kuchnia wyglądała prawie jak przed imprezą, jeśli nie liczyć urwanego uchwyty od szuflady, drobnej dziury w blacie i zbitego dzbanka na mleko, który matka Michała przywiozła z Grecji. W powietrzu unosił się cytrusowy zapach płynu do podłóg, którego Bartek zużył chyba z pół butelki, a wszystkie śmieci znalazły się w odpowiednio oznaczonych kontenerach przy bramie wjazdowej.

– Dobra, to teraz najgorsze. Idziemy do starego. – Chłopak wskazał głową salon, w którym siedział jego ojciec.

Lubonź zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersi.

– Jak się z tego wygrzebiemy? – zapytał zduszonym głosem.

– Wezmę to na siebie – odparł Michał, rejestrując zaskoczone spojrzenie przyjaciela. – Powiem, że zabalowaliśmy i nabrałem ochoty na przejażdżkę. Wytłumaczę, że mnie powstrzymywałeś, ale byłem pijany i w ogóle cię nie słuchałem. Jesteś dobrym kumplem i nie chciałeś, żeby coś mi się stało, więc pojechałeś ze mną.

– No coś ty, długo nad tym myślałeś, geniuszu? Bo dla mnie to brzmi jakoś dziwnie znajomo – irytował się Bartek. – Kto w tej opowieści prowadził samochód? Ty czy ja?

– O Boże! No ja, przecież ci mówię, że się podłożę. Przestań marudzić. – Uśmiechnął się blado, a w jego źrenicach błysnęło coś złowieszczonego. – Ale nie za darmoszkę. Pójdiesz za mnie na egzamin z mechaniki płynów.

Brat Larysy nabrał powietrza w płuca, by odparować koledze i powiedzieć mu, że po bezmyślności minionej nocy nigdy więcej nie zamierza robić niczego niezgodnego z prawem, ale jego bunt natrafił na zimne spojrzenie dziekana i natychmiast zmienił zdanie.

– Załatwione – szepnął do kumpla, a wtedy Michał podniósł kurtynę i odstawił cały teatrzyk, na który się umówili.

Bartek obserwował to przedstawienie z ciekawością i zastanawiał się, czy jego znajomy przypadkiem nie minął się z powołaniem. Tłumacząc się i przepraszając, był tak wiarygodny, że Luboniowi aż zrobiło się go żal. Kiedy skończył, profesor Wojciech Prokop w milczeniu patrzył dłuższy czas na swojego syna, a potem rzucił krótkie: „Rozumiem”, i wyszedł z pokoju.

– Co? – zdziwił się Bartek. – I o to było tyle hałasu? „Rozumiem”, i już? Jakbym wiedział, to sam bym się przyznał. Czy to jakaś gra i on za chwilę tu wbiegnie, i zacznie się na nas wydzierać?

– Nie – odparł smutno Michał. – To wszystko, nie będzie innej kary. Równie dobrze mógł powiedzieć: „Rozczarowałeś mnie” czy coś w tym stylu.

– Chcesz powiedzieć, że konsekwencją jest jego obojętność?

– Za każdym razem dłuższa i coraz chłodniejsza – wyjaśnił młody Prokop, patrząc gdzieś w dal.



Larysa Luboń mocno zaciskała dłonie na kierownicy citroëna saxo z podrasowanym silnikiem. Gryzła się w język, by nie skomentować dosadnie wczorajszego zachowania Pawła i nie wykrzyzczyć narastającej w niej złości po tym, jak Wiśniewski w środku nocy zjawił się pod jej drzwiami i tłukł w nie, prosząc, by go wpuściła. Skórzane rękawiczki bez palców, które włożyła, tarły o kierownicę, skrzypiąc bezlitośnie przy każdym ostrzejszym zakręcie, ale ona zdawała się tego nie słyszeć. Jej wzrok skupiony był na drodze, a myśli krążyły wokół mężczyzny w masce i tego, czy Paweł, który przysypiał na siedzeniu obok, będzie umiał dotrzeć do jego wnętrza. Czy zdoła go otworzyć, czy będzie wiedział, jakie zadawać pytania, i czy uda mu się zadbać o bezpieczne warunki do tego, by Fantom pokazał prawdziwego siebie? Nie była tego pewna.

Na wysokości Łazienek Królewskich, gdy jej samochód zatrzymał się na światłach, zdecydowała się spojrzeć na dawnego szefa. Z ulgą przyjęła fakt, że miał zamknięte oczy, w przeciwnym razie zapewne bez trudu dostrzegłby na jej twarzy wszystkie wątpliwości. Z otwartymi ustami posapywał cicho, a jego czoło, zwykle naznaczone głębokimi liniami zmarszczek, teraz wydawało się znacznie gładsze. Ciało Wiśniewskiego zsunęło się lekko z fotela, a głowa oparła o szybę w drzwiach. We śnie wyglądał na mniej

przybitego, niż był w rzeczywistości. Być może śniła mu się Maria, bo czasami kąciki jego ust unosiły się nieznacznie i układały w grymas przypominający uśmiech.

Do niedawna Larysa wierzyła, że nadanie codzienności Pawła nowego znaczenia pozwoli mu wstać z kolan, otrząsnąć się po śmierci żony. Szybko jednak zrozumiała, że praca i obsesja na punkcie wykorzeniania zła były sensem jej życia, nie jego. Dotknęła wierzchem dłoni zapadłego policzka przyjaciela. Był miękki i pomarszczony, przypominał w dotyku pokrytą meszkiem i plamami skórę przejrzałej brzoskwini, tyle że o szarawym zabarwieniu. Mężczyzna muśnięty jej ręką otworzył oczy i w panice rozejrzał się wokół.

– Co się stało? Już jesteśmy? Widzisz go? – wyrzucił z siebie zdezorientowany.

Larysa automatycznie cofnęła dłoń i zacisnęła usta. Nie chciała, by przyłapał ją na tej chwili słabości.

– Już dojeżdżamy – oznajmiła, skręcając w zatłoczone o tej porze Aleje Jerozolimskie. – Zaparkuję pod Pałacem Kultury i stamtąd się przejdziemy.

– Ja się przejdę, ty zaczekasz na mnie w samochodzie. Fantom wyraźnie napisał, żebym przyszedł sam. – Paweł odzyskał przytomność, a jego nachmurzone czoło ewidentnie wskazywało na niezadowolenie. – Skoro poprosiłaś mnie o pomoc, to daj mi to zrobić. Muszę sprawdzić, czy... – Urwał, jakby słowa „czy jeszcze to potrafię” nie chciały mu przejść przez gardło albo jakby z góry znał odpowiedź na to pytanie. – Czy go rozpoznam – dokończył, unikając jej wzroku.

Dziewczyna kiwnęła głową w milczącej zgodzie na wszystko, co się wydarzy. Wiśniewski miał rację: nie mogła go prowadzić za rękę. Jeśli chciała, by wrócił do żywych, musiała dać mu kredyt zaufania.

– Weź to ze sobą. – Wyjęła ze schowka prosty telefon komórkowy na kartę. – Ma dyktafon, a na szybkim wybieraniu ustawiłam swój numer. Na wypadek gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Paweł podziękował cicho, schował telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki i z posępnym wyrazem twarzy wpatrywał się w okno. Gdy wreszcie Larysa zatrzymała się przed szlabanem wjazdowym na parking od strony Emilii Plater, skorzystał z okazji, odpiął pas i wyskoczywszy z samochodu, zatrzasnął za sobą z hukiem drzwi. Rozbawiła ją myśl, że tak bardzo potrzebował zaznaczyć swoją niezależność. Ciekawość tego, kim jest mężczyzna w masce, przynajmniej na chwilę osłabiła jego zobojętnienie. Może chciał się sprawdzić, zobaczyć, czy miesiące alkoholowego zamroczenia nie pozbawiły go tej części jego osobowości, która kiedyś go określała.

Dziewczyna patrzyła na oddalającą się postać, która kulejąc, szybkim krokiem podążała w stronę wejścia do stacji Metro Centrum, a później wtopiła się w tłum przechodniów, jakby zawsze była jedną z nich.

Gdy Larysa zaparkowała pod czasowo nieczynnym Narodowym Muzeum Techniki, przygarbiona sylwetka Wiśniewskiego zdążyła już zniknąć z jej pola widzenia. Spojrzała na grube kamienne mury Pałacu Kultury i Nauki, a później na znajdujący się po drugiej stronie ulicy błękitny wieżowiec Skylight z przyklejonym do niego centrum handlowym Złote Tarasy i stojący nieopodal luksusowy apartamentowiec przy Złotej 44. Ten kontrast między historią a nowoczesnością rozbawił ją, a jednocześnie w jakiś sposób poruszył, bo pokazywał, jak długą drogę przebyło to miasto.

W oczekiwaniu na powrót Pawła zamierzała zająć myśli pobieżną lekturą serwisów informacyjnych, ale kiedy podniosła komórkę, telefon rozdzwonił się niespodziewanie. Na wyświetlaczu zobaczyła imię Brunona i choć bardzo się przed tym broniła, na jej usta wypełził delikatny uśmiech. Nie miała z Wilczyńskim styczności od kilku miesięcy, ale bezczelny policjant i tak raz na jakiś czas przechadzał się po jej myślach. Gdy zerwała z nim kontakt, dzwonił kilka razy, podobno szukał jej też w Pięściarzu, ale trener Grisza z chłopakami z klubu bokserskiego skutecznie przypomnieli mu, że nie powinien się tam pokazywać. Później odpuścił.

Larysa uznała, że lepiej będzie, jeśli się od siebie oddalą. Nie chciała, by stali się jedną z tych par, których związek najtrafniej

określał status „to skomplikowane”. Wmawiała sobie, że nie jest pewna, czy Wilczyński bardziej ją irytuje, czy pociąga, choć tak naprawdę jej dystans wynikał głównie z lęku. Tym razem jednak opuściła gardę i odebrała połączenie.

– Tęskniłaś za mną? – zapytał zaczepnie policjant.

– Jak za odra, świnką lub różyczką.

– Wolę cholereę. Brzmi groźniej i ludzie się jej boją.

Dziewczyna przewróciła oczami i spojrzała na elektroniczny zegar wyświetlający się w panelu samochodowego radia. Jego cyfry przeskoczyły, a ona poczuła ukłucie w żołądku. Nie potrafiła stłumić obaw o Pawła i o to, czy wszystko pójdzie dobrze.

– Dzwonisz z czymś konkretnym czy wygłosiłeś już swoje mądrości i mogę się rozłączyć? – wróciła do rozmowy z Brunonem.

– Jestem trochę zajęta i nie mam czasu na pogaduchy.

– A tak miło się gawędziło. – Westchnął teatralnie. – Pamiętasz niejakiego Ireneusza? Taksówkarza amatora, który wywoził klientki do lasu? Zdaje się, że skompromitowałaś go swoim reportażem.

Larysa mruknęła potwierdzająco.

– Dostałem cynk, że szuka cię na mieście, a to oznacza, że wkrótce możesz mieć nieproszonych gości.

– Poradzę sobie – odparła po chwili namysłu i się rozłączyła.

Publikując tekst, doskonale rozumiała, na co się naraża, ale zakładała, że ma jeszcze dużo czasu, zanim facetowi uda się ją namierzyć. Zaledwie kilka najbliższych osób znało jej adres i trzeba się było naprawdę postarać, żeby go zdobyć. W tej chwili dużo bardziej interesował ją Paweł.

Wcześniej w jej mieszkaniu uzgodnili, że Wiśniewski ma przede wszystkim ustalić tożsamość Fantoma. Jeśli to się uda, ma go zaprowadzić podziemiami na Dworzec Centralny, a tam w spelunie „Nie ma jak u mamy”, w której podobno serwują najlepsze schabowe w Śródmieściu, przeprowadzić rozmowę. Plan był prosty, ale nie uwzględniał jednego. Dworzec znajdował się w trójkącie bermudzkiem niedawnego życia Pawła. Larysa miała świadomość, że w tym rewirze natknięcie się na starych znajomych z wysokoprocentową butelką za pazuchą było więcej niż pewne.

Jeszcze kilka dni temu Centralny był dla Wiśniewskiego niemal domem, a ona bardzo nie chciała, by przyjaciel na nowo się w nim rozgościł.

Wyszła z samochodu i w zamyśleniu mijając przechodniów, maszerowała w stronę Rotundy. Po chwili dotarła do Patelni, miejsca, gdzie jej dawny szef umówił się z Fantomem. Potoczna nazwa tego betonowego placu przy wejściu do stacji metra Centrum przyjęła się już na tyle, że umieszczano ją nawet na tablicach dla niewidomych. Larysa uznawała to miejsce za soczewkę, w której skupiał się portret współczesnej Warszawy. Można tu było spotkać turystów, biznesmenów z aktówkami, studentów ciągnących ciężkie walizki wyładowane słoikami i eleganckie kobiety w garsonkach. Wszyscy mieli głowy napęczniałe od marzeń, ambicji lub zmartwień. Przy wejściu do podziemnego tunelu zazwyczaj grywała kapela wykonująca dawne piosenki o Warszawie, nieopodal zniszczony życiem mężczyzna bez opamiętania uderzał drewnianymi pałkami o krzesło, a w jeszcze inne dni Patelnię okupowali podrabiani Indianie. Można tu było kupić kwiaty, sznurówki, podpisać petycję przeciw aborcji, załapać się na darmowe przytulasy od nieznajomych albo stać się świadkiem kolorowego flash mobu. To było miejsce nawróceń, pikiet i randek. Brzydkie, a zarazem w dziwny sposób magnetyzujące. Otoczone kolorowymi muralami, tętniące gorzkim życiem, które pędziło w oszałamiającym tempie nie wiadomo dokąd.

Larysa poczuła na ciele zimny powiew wiatru i automatycznie się wzdrygnęła. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu Pawła, a gdy go nie dostrzegła, stwierdziła, że dziennikarz zapewne dotarł już do dworca i teraz raczy się ciepłym schabowym. Uznała, że mogłaby sprawdzić, czy rzeczywiście obaj tam trafili, ale natychmiast się skarciła, wiedząc, jak bardzo by to zabolalo Wiśniewskiego. Jednak zanim zdążyła podjąć decyzję, jej nogi same poniosły ją w stronę ulicy Emilii Plater. Obiecywała sobie, że zachowa dystans i tylko przyjrzy się im z oddali. Postara się być przezroczystym

obserwatorem i robi to tak, by Paweł nigdy się nie dowiedział, że się tam pojawiła.

Gdy zbiegała schodkami do podziemia, wyobrażała sobie, że zobaczy Wiśniewskiego w dawnej aurze, zasłuchanego i czujnego, ale kiedy znalazła się przed wejściem do baru „Nie ma jak u mamy”, zrozumiała, jak bardzo się myliła i jak ogromny popełniła błąd. Wewnątrz obsługa zbierała z ziemi potłuczone talerze, ktoś podnosił złamane krzesło, a gruba kucharka opierająca ręce na biodrach ze smutkiem patrzyła, jak ledwie ugryziony schabowy ląduje w koszu.

– Co tu się stało? – Larysa rzuciła jeszcze okiem na wnętrze w nadziei, że być może Paweł siedzi gdzieś w głębi, ale nie znalazła go tam.

– A, da pani spokòj. – Kucharka machnęła ręką. – Zeszło się to meliniarstwo, zaczęli się szarpać, kłócić, wie pani, w stylu: „Co ty, kolegi nie poznajesz? Na obiad nie zaprosisz, wódeczki nie postawisz?”. Obsiedli tego, co to na niego Wiśnia cały czas mówili, a on zamiast ich pogonić, to się tak dziwnie uśmiechał tylko. Ten młody to go chciał odciągnąć, widział, że się starszy pan kryguje, ale wzięły go te łachmaniarze na ziemię rzuciły, kopać zaczęły, to i nic nie mógł zrobić. Ech... – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– A gdzie jest Wiśnia?

– A co, znajomy? On taki sam jak tamte. Kolegów od butelki wyniuchał, to i o chłopaku zapomniał. – Machała energicznie rękami. – Wynosić się im kazałam. Na zбитy pysk. A gdzie poleżli, to nie wiem. Wystarczająco dużo kłopotów tu mamy z Czeczenami, z policją, jeszcze nam bezdomnych awanturnych trzeba. – Zerknęła w stronę połamanego krzesła. – Tylko tego młodego szkoda. Smutny jakiś taki dzieciak był. Ale pomocy nie chciał. Zaraz zabrał się i poszedł.

Larysa miała wrażenie, że świat się zatrzymał. Sunęła wzrokiem po tandetnym, ale schludnym wnętrzu pustej knajpy niczym w zwolnionym tempie. Prześlizgiwała się po ceratowych obrusach w czerwono-białą kratę, przewróconej solniczce, porzuconych sztuccach, z których jeden widelec miał wygięty ząb,

i bożonarodzeniowych światełkach, migoczących ciepło i radośnie, choć był dopiero listopad.

Zawładnęło nią uczucie wszechobejmującej niemocy, jakby przegrała swoją nieudolną walkę o Pawła. W ułamku sekundy dotarło do niej, jak bardzo okłamywała siebie samą, wmawiając sobie, że jej na nim nie zależy, że potrzebuje go tylko do pracy. Jeszcze dotkliwsze było uświadomienie sobie, że jakkolwiek zbroję by przywdziała, i tak nie uniknie cierpienia, jakby było ono koniecznym składnikiem nielogicznej egzystencji na tej dziwnej planecie. Wyobraziła sobie siebie jako małą postać w szklanej kuli z sypkim śniegiem, którą ktoś potrząsa raz za razem, by zobaczyć, jak dużo zamknięta w niej istota jest w stanie znieść.

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Proszę pani! – krzyknęła kucharka.

Larysa poczuła szarpnięcie za łokieć i spojrzała na kobietę oszołomioną.

– No już myślałam, że zaraz pani polec. Błada się taka pani zrobiła, nic do pani nie docierało.

– Zamyśliłam się. – Przetarła dłońmi twarz.

– Ech. – Tamta machnęła ścierką. – Nie ma co języka strzępić. Takie miejsce. Spokojnie to tu nigdy nie będzie. Do roboty trzeba się brać, schabowe bić, a nie filozofie uprawiać.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i bez słowa odwróciła się do wyjścia.

– Pani! – zawołała za nią kucharka. – Notes ten może chociaż pani weźmie. – Podała jej małego moleskine'a w skórzanej czarnej oprawie. – Mnie to się do niczego nie przyda. I tak tych śmieci wszędzie tyle się wala. A ten Wiśnia to pewnie już zapomniał o bożym świecie, więc raczej po niego nie wróci. – Kobieta obserwowała, jak Larysa obraca w palcach notatnik i dziwnie mu się przygląda. Nagle położyła dłoń na ustach, jakby zdała sobie z czegoś sprawę. – O Boże, a może ja jakieś głupstwo palnęłam? To może pani ojciec był, a ja tak bez szacunku o tych pijakach... albo kto inny jakiś ważny.

– Nie. – Głos Larysy pozostawał cichy i spokojny. – To nie był nikt ważny.



W niewielkiej salce, w której tłoczyli się policjanci, zrobiło się duszno i gorąco. Pomieszczenie wypełniał gryzący zapach potu zmieszany z aromatem kawy. Funkcjonariusze siedzący na skrzypiących krzesłach z wyrobionymi siedziskami rozpinali górne guziki koszul, wachlowali się plikami kartek, a większość z nich znacząco wpatrywała się w szefa w nadziei na to, że odprawa skończy się, zanim zaczną mdleć. Naczelnik Marian Pękała poprosił Dzieciaka, chudego jak tyczka policjanta, który naprawdę nazywał się Jan Ogórek, by wyłączył „cholerne grzejniki”, ale choć chłopak pocił się i kombinował, to temperatura w pokoju nie spadała.

– Coś się zacięło, szefie. Nie da rady. – Ogórek starł z czoła lśniące krople.

– Mózg ci się zaciął – rzucił komendant pod nosem, po czym dodał już głośniejszym głosem: – Okno otwórz tam na końcu, bo się tu podusimy.

W powietrzu dało się wyczuć napięcie tak silne, że gdyby zgasić światło, można by zapewne dostrzec przeskakujące impulsy elektryczne. Aspirant Sylwia Konopacka była wykończona poprzednią nocą, siedziała przy stole z głową opartą na dłoni, jej włosy posklejały się w strąki, a oczy poprzecinane były siatką czerwonych żyłek. Przed sobą położyła notatnik ze sfatygowaną okładką i żółty długopis z niebieską, pogryzioną skuwką, którą nerwowo wybijała rytm, uderzając nią o blat stolika.

Nowy technik kryminalistyki, który pracował poprzedniego wieczoru na miejscu zdarzenia, rozparł się na krześle, jakby był u siebie. Założył nogę na nogę na kształt amerykańskiej czwórki, dłonie splótł za głową i odchylił się do tyłu. Bruno zauważył, jak

intensywnie wsłuchiwał się w każde słowo Pękały, śledząc skupionym wzrokiem ruchy przełożonego. Wilczyńskiemu się to nie podobało. Nie dość, że facet zajął miejsce jego przyjaciela, Daniela Sikory, to jeszcze miał czelność pojawiać się na odprawie, na której obecność technika nie była powszechną praktyką. Domyślał się, że jego udział w spotkaniu nie wynikał z samowolki, lecz raczej z decyzji naczelnika, ale i tak czuł do niego niechęć.

Podobno chłopak przyjechał z Siedlec, gdzie był lokalną sławą i łamaczem damskich serc. Bruno patrzył, jak odrzuca gęste włosy ruchem głowy wziętym z reklamy szamponu przeciwłupieżowego dla mężczyzn i zrobiło mu się niedobrze. W myślach nadał mu ksywkę Piękniś i obiecał sobie, że szybko udowodni gogusiowi, kto tutaj rządzi.

Kiedy oddawał się tym fantazjom, szcęknięły drzwi i do środka wkroczył prokurator Tomasz Wojtyłka, który z niezadowoleniem usiłował zetrzeć błoto z dłoni i rękawa swojego drogiego garnituru. Skrzywiony, jakby ktoś właśnie puścił przy nim bąka, szorował materiał chusteczką, a przy tym siarczyście przeklinał pod nosem.

– Co się tak gagicie? Moglibyście coś zrobić z tym parkingiem – fuknął. – Dziury jak na jakimś zadupiu. Potknąłem się, cholera jasna.

– O swoje rozbuchane ego? – zapytał Wilczyński z uśmiechem na twarzy, a Jan Ogórek parsknął śmiechem, który natychmiast zgasł pod lodowatym spojrzeniem prokuratora.

Wydawało się, że lada moment dojdzie do potężnego wyładowania elektrycznego między Tomaszem a Brunonem, ale dokładnie w chwili, gdy Wojtyłka podniósł dłoń i zaczął wymachiwać swoim zakrzywionym palcem, do pokoju weszła kobieta o pocziwej twarzy. Miała na sobie zielony sweter, spod którego wystawał kołnierzyk białej koszuli, dżinsy i skórzane botki na płaskim obcasie. Jej ciemne włosy związane były w wysoki kucyk, a grzywka opadała na oczy.

– Przepraszam za spóźnienie – wyjaśniła i pospiesznie zajęła miejsce obok Sylwii Konopackiej.

Wilczyński pomyślał, że nawet jeśli już kiedyś ją widział, to jej rysy były tak pospolite, że nie zdołałby ich zapamiętać. Dokładnie tak wyobrażał sobie osobę, którą zwykle określało się słowami „szara myszka”. Obserwował wyprostowane plecy kobiety, jej dłonie równo ułożone na blacie stolika i to, jak kiwała głową, potwierdzając każde słowo przełożonego. Te gesty przypominały mu szkolne prymuski w plisowanych spódnicach, zasiadające w pierwszych ławkach. Dziewczyny równie przerażone w środku, co perfekcyjne na zewnątrz.

Pękała musiał zauważyć zaciekawione spojrzenie Brunona, bo odchrząknął i przedstawił kobietę oraz irytującego młodzika.

– Jest z nami Dawid Gajda, nowy członek zespołu techników kryminalistyki, który zabezpieczał ślady na miejscu zdarzenia. – Młody policjant kiwnął naczelnikowi głową. – I psycholog policyjna Justyna Dembska, niektórym z was być może już znana. – Wskazał ręką na kobietę, a ona pod naporem spojrzeń wyprostowała się jeszcze bardziej i ledwie dostrzegalnie zacisnęła szczęki.

Wilczyński zastanawiał się, jaki był powód jej obecności na spotkaniu. W jego myślach pojawiło się pewne uzasadnienie, ale odsunął je od siebie, bo zdecydowanie nie chciał, by się ziściło. Dotychczas traktował psychologów policyjnych z pobłażaniem, skutecznie omijał rozmowy z nimi, a gdy już musiał zapukać do ich gabinetów, robił wszystko, by były to najkrótsze wizyty w ich karierze.

Jeszcze większy dystans miał do psychologów przygotowujących profile kryminalne nieznanymi sprawców. Komisarz postrzegał ich jako współczesnych szamanów, którym wydawało się, że potrafią odtworzyć przeszłość i przewidywać przyszłość. Byli wróżbitami wygłaszającymi na tyle ogólne opinie, że zawsze coś można było pod nie podciągnąć. Zakładał, że niektórzy z nich obejrzeliby zbyt wiele odcinków serialu *Mindhunter* i nieudolnie starali się wcielić w postać agenta Holdena Forda, niestety najczęściej z marnym skutkiem.

Było jeszcze coś, czego nie chciał przyznać sam przed sobą. Świadomość, że ci nieliczni dobrzy profilerzy, znajdujący się na swojej

pracy przenikliwi specjaliści, pozbawiali go poczucia, że tylko on umie rozgryźć sprawcę i ze wszystkim potrafi poradzić sobie sam.

– Podsumujmy, co wiemy o tej cholernej sprawie. – Naczelnik wydziału przerwał rozmyślenia Brunona i skinął na aspirant Sylwię Konopacką.

Policjantka podniosła głowę, otworzyła notatki i zaczęła czytać.

– Oliwia Socha, lat trzydzieści sześć, mężatka, żona Filipa Sochy. Była trenerką fitness w sieci klubów Calypso.

– Raczej marną. Na Facebooku ma ledwie czterystu fanów – dopowiedział Wilczyński.

Skonsternowana Sylwia zerknęła na komisarza, który w tym momencie przeglądał zdjęcia ofiary na portalu społecznościowym, po czym westchnęła i wróciła do swoich notatek.

– Po siedemnastej odebrała dziecko z przedszkola i pojechała z nim na zakupy – czytała dalej. – Najpierw do Galerii Mokotów, a później do lidla, skąd najpewniej od razu udała się do domu przy ulicy Ziemskiej, nieopodal miejsca, w którym ją znaleziono. W bagażniku miała torby z zakupami, i to właśnie dzięki paragonom wiemy, gdzie i o której była. – Aspirant Konopacka schowała pasmo włosów za ucho. – Jechała z synem, trzypółletnim Ryszardem Sochą, który uciekł z miejsca zdarzenia i zawiadomił przypadkowego przechodnia. Pan... – Zmrużyła oczy, bo nie mogła odczytać notatek, a następnie przysunęła zapiski bliżej twarzy.

– Wiktor Zakrzewski – pomógł jej Bruno. – Twierdzi, że przyjechał na Ursynów, żeby sprzedać rower, który wystawił na OLX-ie, i przypadkiem natknął się na chłopaka.

– Sprawdziłam to – wtrąciła Sylwia. – Jego domniemana klientka rzeczywiście taki rower ma i potwierdza, że tego wieczoru doszło do transakcji.

– A co z mężem ofiary? Gdzie wtedy przebywał? – zapytała niespodziewanie Justyna Dembska, a wszystkie oczy zwróciły się na nią. – Zbrodnia wygląda na taką, którą mógł popełnić ktoś bliski.

Nawet jej głos brzmiał do granic poprawnie. Wystudiowany, dźwięczny, a przy tym wyważony i przyjemny dla ucha.

Wilczyńskiemu wydawało się, że policzki psycholog delikatnie zaróżowiły się po tym, jak się odezwała, a w jej ciało wstąpiło jeszcze więcej napięcia. Jakby wyjście z bezpiecznego, przytulnego gabinetu leżało daleko poza jej strefą komfortu.

– Mężczyzna był w tym czasie we Wrocławiu, przyleciał do Warszawy samolotem po dziesiątej – wyjaśniła aspirant Konopacka.
– Linie lotnicze potwierdzają, że pasażer Filip Socha był na pokładzie.

Bruno wydał z siebie długie przeciągłe „buu”, dźwięk, który rozlega się w teleturniejach, gdy grający postawią wszystko na jedną kartę i przegrają.

– Nieprawda – zawołał. – Pała za łatwowierność. Okazało się, że przyleciał wcześniejszym samolotem, choć rzeczywiście miał wykupione bilety na obydwa loty i na każdy z nich się odprawił. Wszystko po to, by ukryć swój romans z koleżanką z pracy – relacjonował. – Po przylocie do Warszawy Socha, zamiast wskoczyć w taksówkę i pojechać do domu, wskoczył do łóżka swojej przyjaciółki. A kiedy po wszystkim spełniony stał pod prysznicem i z dumą myślał o swojej sprawności seksualnej, na jego telefon zadzwoniła aspirant Sylwia Konopacka z wiadomościami, które sprawiły, że satysfakcja z niedawnych uniesień rozwiała się jak we mgle.

Policjantka przygryzła wargi i zaczęła nerwowo uderzać długopisem o okładkę notesu.

– Jednego nie rozumiem – odezwała się, marszcząc brwi. – Jeśli masz rację, to dlaczego linie lotnicze potwierdzają, że Filip Socha był na pokładzie tego drugiego samolotu? Przecież gdyby tylko się na niego odprawił, wiedzieliby, że nie stawił się na lot.

Oparty o ścianę prokurator Wojtyłka z ciekawości aż się wyprostował.

– Bingo! – skomentował Wilczyński z uznaniem. – W rzeczywistości po dziesiątej przyleciał jego kumpel. Skończył zlecenie wcześniej i nie miał ochoty spędzać w hotelu kolejnej nocy. Pożalił się Filipowi, a ten zaproponował, że odstąpi mu swój bilet pod warunkiem, że tamten poda się za Sochę, który już wcześniej

odprawił się on-line. Na lotach krajowych we Wrocławiu bardzo rzadko sprawdzają dowody osobiste, więc ryzyko zdemaskowania było bliskie zeru. Mężczyzna zeskanował elektroniczny bilet, uśmiechnął się do stewardessy i *voilà!* Przyleciał do Warszawy jako Filip Socha.

Aspirant Konopacka pokręciła głową z niedowierzaniem. Była na siebie zła za to, że niczym pelikan łyknęła podsunięte przez adwokata bilety, potwierdzenie odprawy i informację od linii lotniczych. Gdyby ojciec chłopca nie postanowił pomóc koledze, zdecydowanie szybciej odkryłaby, że kłamał. Westchnęła ciężko i zrezygnowana oparła brodę na dłoni.

– A co z tą kochanką? Mamy tę kobietę? – dopytał Pękała.

– Wpadnie tutaj po południu. Zajmę się nią z należytą starannością.

Bruno uśmiechnął się znacząco, na co naczelnik popukał się w czoło i przewrócił oczami.

– Dawid, powiesz coś? – zwrócił się do technika kryminalistyki, a Wilczyński zarejestrował, że zrobił to w sposób nad wyraz koleżeński. Jakby zwracał się do znajomego, a nie do współpracującego funkcjonariusza policji.

– Wedle naszych ustaleń kobieta zginęła od kilkunastu do kilkudziesięciu uderzeń tępym narzędziem w głowę – odezwał się Gajda. – Precyzyjną liczbę trudno określić, biorąc pod uwagę stan uszkodzenia czaszki. Ze wstępnych oględzin wynika, że jedyną uszkodzoną częścią ciała była głowa i że przestępstwo nie ma znamion napaści na tle seksualnym. Nie wygląda też na to, żeby się broniła, sprawca musiał ją zaskoczyć. Z dużym prawdopodobieństwem czyn został popełniony młotkiem. Świadczy o tym charakter ran, ale więcej, oczywiście, będzie wiadomo po sekcji i wszystkich badaniach. – Technik przekazał kolegom zdjęcia z miejsca zdarzenia. – Pierwszy cios musiał zostać zadany, gdy tylko otworzyła drzwi samochodu, bo na fotelu i tapicerce znaleźliśmy rozbryzgi krwi. Później ofiara prawdopodobnie jeszcze o własnych siłach wyszła na zewnątrz i wtedy spadł na nią grad ciosów, po których już się nie podniosła.

– Coś niezwykłego? Jakieś tropy, które pomogą nam w identyfikacji sprawcy? Odbitki palców, odciski butów, ślady biologiczne? Masz coś, na czym moglibyśmy się oprzeć? – dociekał Marian Pękała.

Dawid Gajda podrapał się po policzku, jakby jeszcze układał w głowie odpowiedź.

– Pozbieraliśmy trochę materiału, wszystko trafiło do laboratorium, ale na wyniki trzeba jeszcze poczekać – tłumaczył. – Mamy rozstaw osi samochodów, które tamtędy przejeżdżały, a to pozwoli zawęzić listę aut potencjalnie związanych ze sprawą. Chociaż na razie trudno stwierdzić, czy sprawca poruszał się pieszo, czy kierował pojazdem. Specjaliści zbadają też tę dziwną lepłą substancję z jej sukienki i odblaski palców, które udało się zdjąć z samochodu. Myślę, że jutro powinniście dostać raport.

– Nie brzmi to najlepiej – podsumował przełożony.

– Deszcz niestety nie działał na naszą korzyść, a psy zgubiły trop na przecięciu się szlaków – zaczął się usprawiedliwiać technik. – Do tego patrolowi, którzy pierwsi przybyli na miejsce, mówiąc delikatnie, nie popisali się, zabezpieczając teren. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

Naczelnik machnął ręką. Jego czoło lśniło w świetle jarzeniówek, a górna warga niepokojąco drgała. Bruno pomyślał, że niewiele brakuje mu do wybuchu.

– Są jacyś świadkowie? Ktoś coś widział albo słyszał? – drążył naczelnik.

Aspirant Sylwia Konopacka zerknęła z wyrzutem na Jana Ogórka, który od dłuższego czasu się nie odzywał, ale policjant jeszcze bardziej wcisnął się w kąt przy grzejniku i ledwie zauważalnie pokręcił głową, a potem dał jej znak, by to ona mówiła.

– W tamtym miejscu nie jest specjalnie widno, a przy takiej wstrętnej pogodzie ludzie raczej wolą siedzieć w domach – podjęła z niechęcią. – Poza tym ta cholerna mgła sprawiła, że nic nie było widać. Mamy natomiast staruszkę z psem, który twierdzi, że słyszał krzyk kobiety, ale nie jest nawet pewien, o której dokładnie

godzinie to było. Sprawdzamy jeszcze okoliczne fotoradary, monitoring ze sklepów, kamery z przejeżdżających tamtędy autobusów i system do sczytywania rejestracji.

Pękała założył dłonie za głowę i ze świstem wypuścił powietrze z płuc. W tym samym czasie prokurator Tomasz Wojtyłka oparł ręce na biodrach i szeptem rzucił pod nosem komentarz: „żałosne”. W reakcji na jego słowa, które bez trudu dotarły do uszu policjantów, Sylwia Konopacka i Jan Ogórek spuścili głowy. Tylko komisarz Wilczyński spojrział na mężczyznę wyzywająco.

– Chciałbyś coś dodać? – zagaił prowokująco prokurator. – Jakiś cichy dziś jesteś. Może nam powiesz, jaki masz pomysł na motyw?

Bruno, który dotychczas przysłuchiwał się kolegom, rysując na kartce znak nieskończoności, odłożył długopis i przeciągnął się, jakby ktoś go właśnie wybudził z drzemki.

– Całe szczęście, że w końcu zapytałeś. Właśnie rozważałem, czym zabić nudę tego spotkania. W grę wchodziły krzyżówki panoramiczne i dzierganie na drutach. – Marian Pękała rzucił mu mordercze spojrzenie. – Według mnie motorem tej zbrodni była nienawiść. Sprawca od początku chciał zabić, nie czekał na rozwój wydarzeń, po prostu tłukł bez opamiętania, jakby chciał się wyżyć. Oliwia Socha albo go znała, albo porządnie zalaźła mu za skórę. Jeśli go znała, to pół biedy, bo wtedy najpewniej chodziło o coś osobistego, a my mamy szansę znaleźć skurwiela. Ale jeśli to ktoś obcy, dla kogo była tylko wyzwalaczem, to... – zawiesił głos, by lada moment postawić ostatni akcent, ale nie zdołał, bo odezwał się ktoś inny.

– To mamy duży problem, bo ten ktoś może zabić ponownie, gdy nienawiść znów przejmie nad nim kontrolę i sam wpadnie w szal. – Krystalicznie czysty głos Justyny Dembskiej zmroził wszystkich, a ona sama z niepokojem popatrzyła na Wilczyńskiego.



Larysa Luboń rzuciła notes Wiśniewskiego na fotel samochodowy, na którym jeszcze niedawno jej szef spał przy wtórze pomruków silnika. Przepęniała ją gorycz, bo jednocześnie straciła przyjaciela i szansę na napisanie reportażu. Zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę. Część niej chciała wrócić na Dworzec Centralny, odnaleźć Pawła i wyciągnąć go stamtąd, ale druga część, ta, która odwoływała się do rozsądku, wierzyła w to, że nie można zbawić kogoś, kto nie chce być zbawiony. Że najlepszym, co może teraz ofiarować swojemu przyjacielowi, jest zapomnienie. Dlatego bez żalu włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła go. Wydawała się przekonana o swojej decyzji. Tylko delikatne drżenie jej ust zdradzało, jak trudne było to postanowienie. Silnik warknął, a gdy Larysa obróciła głowę w prawo, by zerknąć w boczne lusterko, jej wzrok prześlizgnął się po notesie. Zawahała się, po czym zatrzymała samochód jeszcze na chwilę.

Okładka notatnika miała przyjemną w dotyku, chropowatą fakturę. Przywiozła go Wiśniewskiemu kilka dni wcześniej razem z ubraniami z jego starego domu. Chciała, by poczuł się jak dawniej, choć przecież wiedziała, że to niemożliwe. Kiedy pracowali w redakcji, Paweł nosił go zawsze w kieszeni, na wypadek gdyby działy się rzeczy warte zapisania. Dokładnie pamiętała dzień, w którym podarowała mu pierwszy taki notes z serii. To było dwa lata temu, w dniu jego urodzin. Powiedział jej wtedy, że na niego chyba już czas i teraz młodzi muszą przejąć pałeczkę, a wówczas jak oparzona wyskoczyła z budynku i wróciła po półgodzinie z notatnikiem. „Jak go zapiszesz, kupię ci następny, a potem kolejny. Dopóki nie skończą ci się słowa, nie odejdiesz na emeryturę” – oznajmiła. Paweł zażartował wtedy, że to brzmi, jakby chciała go sztucznie utrzymać przy reporterskim życiu. Dziś jego komentarz miał dla niej gorzki smak.

Zsunęła czarną gumkę i otworzyła reporterski moleskine, szeleszcząc kartkami. Wnętrze notesu pachniało papierem, atramentem długopisu i Pawłem. Na czystych, kremowych kartach niechlujne pismo Wiśniewskiego wydawało się zakłóceniem.

Pochyłe, szarpane notatki, robione najwyraźniej w pośpiechu i trudne do odczytania, biegły po przypadkowych stronach, rwały się i zaczynały w najmniej oczywistych miejscach. Ślady brudnych palców, tłuste plamy i mokre kleksy, może od łez, a może od wódki. Na wszystkich stronach jej przyjaciel pisał o żonie. Choć może trafniejszym określeniem byłoby to, że majaczył. Zapisywał wspomnienia, urywki dialogów i listy do Marii. Takie, których już nigdy nie wyśle, i których jego żona nie będzie miała możliwości przeczytać.

Larysa poczuła, jakby coś ją przygniatało i odbierało jej dech. Przekartkowała cały notes, ale nie znalazła w nim niczego na temat Fantoma. Dopiero gdy wertowała notatnik po raz drugi, zwróciła uwagę na datę na dole ostatniej strony. Początkowo myślała, że Paweł po prostu zapisał, którego dnia robił notatki, ale data odnosiła się do sierpnia dwa tysiące czwartego roku, a wtedy Maria jeszcze żyła.

Zamierzała właśnie wpisać tę datę w wyszukiwarce i sprawdzić możliwe tropy, gdy odezwała się jej komórka. Na widok nazwiska dzwoniącego zacisnęła mocno szczęki. Przez chwilę uderzała nerwowo dłonią o udo, jednocześnie szukając powodu, dla którego miałyby zaakceptować połączenie. Ostatecznie uznała, że skoro przyjaciół należy trzymać blisko, a wrogów jeszcze bliżej, to właśnie nadarzyła się ku temu okazja.

– Czego chcesz? – odebrała oschle.

– W taki sposób witasz człowieka, który uratował ci życie? Myślę, że masz wobec mnie dług wdzięczności i przyszła kolej na twoją przysługę. – Robert Haller był spokojny i opanowany. – Gdybym nie odwołał wtedy psów, wyskoczyłyby przez okno i rozszarpałyby cię na kawałki. To bestie szkolone do zabijania, nie cofną się przed niczym.

– Nie mówisz przypadkiem o sobie? – zakpiła, choć wiedziała, że biznesmen ma rację. Spodziewała się tego telefonu już od dawna. – Według mnie jesteście kwita – kontynuowała. – Nikt nie dowiedział się, jakim popieprzonym sadystą jesteś, więc to raczej ty

powinieneś mi dziękować za to, że nie wrzuciłam do sieci artykułu o tobie.

Jej rozmówca roześmiał się po drugiej stronie, jakby usłyszał wyśmienity żart.

Właściciel Haller Investments, a zarazem jeden z głównych udziałowców spółki medialnej, do której należała dawna redakcja Larysy, był człowiekiem zimnym i pozbawionym skrupułów. Rozgrywał ludzi jak figury na szachownicy, a mimo to nadal ceniono go za charyzmę i klasę. Jego twarz pojawiała się w rankingach najlepiej zarabiających Polaków magazynu „Forbes”, był zaangażowany w działalność charytatywną, przy tym słynął ze swojej miłości do zwierząt. Szczególnie psów rasy rottweiler, które hodował. Należał do tego rodzaju osób, za którymi zawsze kroczyła jakaś świta, kobiety patrzyły na takich jak on maślanym wzrokiem, studenci ekonomii chcieli pójść w jego ślady, a inni przedsiębiorcy pluli sobie w brodę, że nie byli tak przewidujący i odważni.

Larysa postrzegała biznesmena zupełnie inaczej. Pracując nad materiałem o sponsoringu, poznała jego najbardziej obrzydliwe oblicze i zależało jej tylko na tym, by trzymać się od niego z daleka. Niestety w przeszłości popełniła błąd, naraziła się mu, a on najwyraźniej uznał, że nadszedł czas zapłaty. W świecie, w którym żyła, nie było przypadków i nikt nie dostawał niczego za darmo, dlatego zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia Haller wystawi jej rachunek za życie, które ocalił. Nie wiedziała tylko, jak wysoka będzie cena.

– Te twoje groźby są naprawdę śmieszne – skomentował. – Zachowujesz się, jakbyś zapomniała, które z nas ma pieniądze i najlepszych prawników w tym mieście. Nie jesteś ciekawa, do czego cię potrzebuję?

– Wcale. Nie widzę powodu, żeby ci w czymkolwiek pomagać. Szczerze mówiąc, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Szkoda, bo pewien biznesmen, z którym zamierzam zawrzeć bardzo korzystny dla mojej firmy kontrakt, bardzo się ucieszył, gdy zaoferowałam mu ciebie jako gwarancję naszej umowy.

Larysa prychnęła. Insynuacja Roberta Hallera była tak niedorzeczna, że nie rozumiała, jak mógł w ogóle przypuszczać, że kiedykolwiek pozwoliłaby traktować się przedmiotowo i grać rolę karty przetargowej w jego interesach. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tak naprawdę zaserwował jej zaledwie przystawkę, a główne danie zapewne właśnie nadchodziło.

– Pomyślałem, że ta propozycja ci się spodoba. W końcu jesteś najważniejszą bohaterką reportażu o luksusowej prostytutce, który przygotowujemy do „Magazynu”. Dziwka, która chciała być reporterką. – Cmoknął z zadowoleniem. – Po prostu opiszemy to, czym zajmujesz się naprawdę. Mamy twoje zdjęcia z hotelu Intercontinental, ogłoszenia, które zamieszczałaś na portalach w poszukiwaniu sponsora, negocjacje stawek. Pewnie powiesz, że to było do artykułu... Tylko że żaden tekst się nie ukazał. Poza tym taki smród się do ciebie przyklei i długo będzie się za tobą ciągnął.

– To, co masz, o niczym nie świadczy. Jesteś skrajnie naiwny, jeśli uważasz, że ktoś uwierzy w te bzdury. Zresztą nikogo nie obchodzi, z kim chodzę do łóżka i czym się zajmuję. A jeżeli chcesz mnie zawstydzić, to źle trafiłeś.

– Nie rozumiesz – zaśmiał się. – Nie chodzi o ciebie, tylko o kogoś, kto jest ci najbliższy. Uderzę w twojego brata, Bartka. Zaczę od tego, że zniszczę jego zaufanie do ciebie. Nie będzie już wiedział, komu wierzyć, zagubi się i w końcu zacznie popełniać błędy. Przecież wiesz, że mogę z niego zrobić każdego. Pedofila, gwałciciela, mordercę. Media to potężna broń. A taki wrażliwy chłopak jak on nie udźwignie presji.

Dziewczyna przygryzła wargi tak mocno, że po chwili poczuła na języku znany, dziki smak czerwieni.

– Nie pozwolę ci na to – wysyczała przez zęby.

– Nie będziesz miała nic do powiedzenia. Szach i mat, Laryso Luboń. Niebawem odezwę się i powiem ci, co dla mnie zrobisz – rzucił triumfalnie Haller, zanim się rozłączył.

Czuła, jakby ktoś włożył ją pod strumień lodowatej wody, a gdy wreszcie się ocknęła, zaczęła wściekle tłuc rękami o kierownicę. Waliła nimi aż do chwili, kiedy boleśnie uderzyła w nadgarstek,

a całe jej ramię przeszył prąd. Opadła na siedzenie bezsilna i pokonana, jej klatka piersiowa unosiła się i opadała, myśli zaś wirowały w obłąkanym tańcu. Dawno temu obiecała sobie, że nie będzie od nikogo zależna, teraz jednak czuła, jakby niepostrzeżenie ktoś spętał ją grubym sznurem, którego nie umiała z siebie zdjąć.



Głośny łomot i okrzyki z pokoju Brunona sprawiły, że aspirant Sylwia Konopacka nieśmiało zapukała do drzwi, a gdy je uchyliła i weszła do środka, zachęcona krótkim „włazić”, stanęła jak wryta i otworzyła usta ze zdumienia. Na podłodze leżało pełno cukierków w kolorowych błyszczących papierkach, przy żyrandolu wisiały strzępy piniaty, która kiedyś miała kształt czerwonego ptaka z gierki Angry Birds, a komisarz Wilczyński najwyraźniej przysiadł właśnie zdyszany na krawędzi biurka, ściskając w ręku kij do bejsbola.

– Jeśli chcesz się poczęstować cukierkiem, po prostu go weź, bo kiedy tak patrzysz na mnie z rozdziawioną buzią, mogę to mylnie zinterpretować.

– Nie przyszłam po słodycze, tylko po mój notes. Masz go? – Wpatrywała się w niego z nachmurzoną twarzą. – Dzieciak mówi, że widział, jak go przeglądałeś. Po co w ogóle go dotykałeś?

– Wyluzuj. Na odprawie byłem zbyt zmęczony, żeby cokolwiek zarejestrować, wziąłem twój kajecik, żeby sprawdzić, jakie nudy mnie ominęły.

Otworzył szufladę biurka i wyjął stamtąd notatnik. Zanim zdążył go podać Sylwii, aspirant Konopacka sama wyszarpnęła go z jego ręki. Na jej twarzy malowała się mieszanina satysfakcji i oburzenia. Rzuciła Wilczyńskiemu triumfujące spojrzenie, ale kiedy zamierzała opuścić pokój, usłyszała pytanie, które sprawiło, że się zatrzymała.

– Dlaczego przy zapiskach o kobiecie, która kupiła rower od Wiktora Zakrzewskiego, wpisałaś najpierw tysiąc złotych, a potem poprawiłaś kwotę na dwa tysiące?

– Bo za tyle jej go sprzedał – Sylwia mówiła wolno, zastanawiając się nad każdym słowem i mrużąc oczy, jakby odtwarzała w pamięci tamto spotkanie. – Kiedy wspomniała o tym za pierwszym razem, pomyliła się. Na początku zeznała, że zapłaciła za kolarzówkę tysiąc złotych, a później to skorygowała.

Wilczyński zamrugnął powiekami z niedowierzaniem.

– Serio? Chyba właśnie odjechał mój pociąg seksualny do ciebie. Zastanów się.

Policjantka ściągnęła brwi w zamyśleniu. Miała ochotę odparować komisarzowi, ale po chwili zastygła, a w jej oczach błysnęła iskra zrozumienia.

– Gdyby kupiła od niego rower, wiedziałaby, ile kosztował – stwierdziła. – Rozmawiałam z nią zaledwie kilka godzin po jej spotkaniu z Zakrzewskim, więc mało prawdopodobne, żeby zapomniała, ile właśnie wydała kasy. To nie było przejęzyczenie, tylko kłamstwo.

Bruno chwycił z podłogi śliwkę w czekoladzie owiniętą w kolorowy papierek i rzucił ją Sylwii.

– Bingo! Nagroda za dedukcję, Sherlocku. Poza tym: litości, ile osób kupuje rower w listopadzie?

Aspirant Konopacka westchnęła ciężko i posmutniała. Ręce, które dotychczas trzymała buntowniczo na biodrach, opadły i zwisały smętnie wzdłuż jej ciała, a podbródek, do tej pory wojowniczo wysunięty, schował się razem z całym jej oburzeniem z powodu podkradzionego notesu. Zmęczenie po wczorajszej nocy, które dotąd próbowała bagatelizować, po cichu zakradło się do niej i boleśnie ścisnęło skronie, wywołując pierwsze oznaki migreny.

– Pojadę do niej – zaoferował Wilczyński. – Mieszka niedaleko mnie, co daje mi pretekst, by się stąd bezkarnie wyrwać. A gdybyś zamierzała mi podziękować, to najlepiej zrób to już za drzwiami. Twoja udreńczona mina psuje mi aurę.

Sylwia prychnęła pod nosem i pokręciła głową.

– Jesteś niereformowalny. Wiesz, że nie musisz być zawsze sarkastyczny?

– To naturalna obrona mojego mózgu przed mniej inteligentnymi. Nic na to nie poradzę. – Wzruszył ramionami.

Aspirant Konopacka tylko przewróciła oczami, po czym wyszła z pokoju kolegi. W drzwiach minęła ją elegancka kobieta, której towarzyszył mocny piżmowy zapach i dźwięk pobrzękującej biżuterii. Nie czekając na zaproszenie, bezpardonowo postawiła swoją torebkę na biurku Brunona i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

– Prokurator Karolina Stein. Mam pół godziny, spieszę się na ważne spotkanie – ostrzegła, zdejmując beżowy płaszcz, który nonszalancko rzuciła na oparcie krzesła, po czym usiadła w swoim ciut przyciasnym kostiumie, zakładając nogę na nogę.

– Nie byłbym sobą, gdybym nie powiedział, że jestem pod wrażeniem. – Bruno otaksował kobietę wzrokiem i z uznaniem pokiwał głową. – Tego, że ktoś może być równie bezczelny i bezpośredni jak ja – dodał prowokacyjnie.

Karolina Stein skrzywiła się z niesmakiem.

– Posłuchaj, dowcipnisiu – odparła. – Jestem tu tylko dlatego, że poprosił mnie o to Filip Socha. To u mnie był, gdy zginęła jego żona. Zapisz więc sobie, co tam potrzebujesz, i miejmy to z głowy.

Wilczyński uśmiechnął się z satysfakcją. A więc tak prezentowała się żelazna Stein, jak nazywali ją niektórzy, znana warszawska prokurator, o której w kularach mówiło się, że ma serce z kamienia. Bruno musiał przyznać, że na pierwszy rzut oka była pociągająca. Długa, łabędzia szyja, nieskazitelna cera i kruczoczarne włosy miękko opadające na plecy, a do tego ta zaczepna nuta w głosie, która sprawiała, że na dźwięk jej słów można było dostać gęsiej skórki. Jednak gdy przyjrzał się jej wnikliwiej, dostrzegł zimne spojrzenie oczu przypominających nieruchome czarne koraliki i usta, które zwijały się w nieprzyjemny dzióbek, co razem nadawało twarzy kobiety ptasi wygląd.

– Skoro czas nagli, to przejdźmy do konkretów – zaproponował. – Gdzie byłaś wczoraj między siódmą a dziesiątą wieczór?

Karolina Stein nastroszyła się i posłała policjantowi groźne spojrzenie.

– Już mówiłam, w swoim domu z Filipem Sochą – odparła oschle.
– I ubiegając twoje pytanie: nie mam na to świadków. Zawsze dbaliśmy o dyskrecję. Wczoraj koło ósmej odebrałam go z lotniska, a potem pojechaliśmy do mojego domu w Józefosławiu. Zaparkowałam w garażu, zresztą jak zwykle, bo staraliśmy się nie dawać sąsiadom powodów do plotek, a stamtąd wewnętrznymi drzwiami weszliśmy do środka. Kiedy Filip wychodził, było zazwyczaj na tyle późno, że ciekawscy już spali, więc bez problemu wsiadał do taksówki i odjeżdżał niezauważony. Tak się składa, że dwa domy dalej mieszka pewna sędzia, z którą dość często spotykamy się na sali sądowej, więc zapewne rozumiesz, że afiszowanie się z kochankiem nie leżało w moim interesie.

Wilczyński kiwnął głową ze zrozumieniem, choć wiedział, że czas sekretów właśnie się skończył. Zakładał, że relacja z Sochą zaczęła się jak klasyczny biurowy romans. Może stawali przeciwko sobie w sądzie albo umówili się na służbową kawę, by coś przedyskutować, ona niby niechcący musnęła jego skórę, on za długo patrzył na jej usta, a później się już potoczyło. Jak lawina, którą trudno zatrzymać.

– Jak długo to trwało?

– Kilka miesięcy, może pół roku – wyjaśniła. – Filip wyjątkowo dobrze się pieprzył, ale cała reszta wychodziła mu zdecydowanie gorzej. Z jednej strony chciał z tym skończyć, a z drugiej cały czas wracał po więcej. Myślę, że oszukiwał samego siebie, żeby złagodzić wyrzuty sumienia. Jak narkoman, który obiecuje sobie, że dziś przyjmuje ostatnią dawkę. Tak naprawdę ten układ mu odpowiadał, był mną odurzony, rzucał się na mnie, zanim zdążyliśmy przekroczyć próg domu. To nie był romans, raczej zwierzęca fascynacja.

Prokurator zaśmiała się zmysłowym, gardłowym śmiechem i spojrzała mu w oczy w sposób, którego nie powstydziliby się bohaterka *Nagiego instynktu*. Bruno wnikliwie słuchał, z jaką dumą opowiadała o spotkaniach z kochankiem. Obserwował, jak

bawiła się przy tym wisiorkiem zawieszonym na szyi i kokieteryjnie oblizywała wargi. Stein była bez wątpienia łowcą. Bawiło ją wabienie zdobyczy, a później jej konsumpcja. Czy to możliwe, by złapała w swoje sidła także Oliwię Sochę, która być może dowiedziała się o upojnych nocach męża z wyuzdaną panią prokurator?

– O której wyszedł?

– Nie jestem pewna. Zakładam, że między dziewiątą a dziesiątą. Po wszystkim poszedł do łazienki wziąć prysznic. Wspominał, że chce jeszcze ucałować syna na dobranoc, a kiedy się kąpał, ja zasnęłam. Nigdy nie zostawał na noc, więc nie zdziwiło mnie to, że wyszedł. Dopiero jakiś czas później obudził mnie telefon od niego. Był roztrzęsiony, mówił, że rozmawiał z policją i że Oliwia nie żyje. Cały czas powtarzał, że musimy przez jakiś czas od siebie odpocząć, a potem zadzwonił raz jeszcze i zażądał, żebym zgłosiła się na komendę, by potwierdzić jego alibi. Żałosny dupek.

Bruno przyglądał się Karolinie Stein z ciekawością. Nie dostrzegł w niej ani grama współczucia dla kochanka, ale to, co mówiła, zgadzało się z informacjami, które uzyskał od Sochy. Był pewien, że nie przyszła na komendę jedynie po to, by zapewnić alibi Filipowi, ale również sobie. Dopóki oboje zgodnie twierdzili, że byli wtedy razem, każde z nich pozostawało poza kręgiem podejrzanych.

Zafrapowany sięgnął po akta i wyjął z nich plik zdjęć martwej Oliwii. Podał je siedzącej na krześle kobiecie, by sprawdzić jej reakcję. Wiedział, że najmniejszy grymas na jej twarzy może teraz ujawnić prawdę o tamtym wieczorze. Niestety, ona najpewniej też była tego świadoma, dlatego Bruno całą swoją uwagę skupił na wszelkich lukach w autokontroli. Niespójnej gestykulacji, zmienionej barwie głosu, drobnych anomaliach, które mogły pojawić się pod wpływem emocji. Wkrótce jednak okazało się, że nie musi tego robić. Twarz Karoliny Stein najpierw zastygła, po czym przybrała zielonkawy kolor. Prokurator przerzucała zdjęcia, ale każde następne było straszniejsze od poprzedniego, a barwa jej skóry przeistaczała się w trupio błądą.

– O Boże – wyszeptała, zatrzymując wzrok na obrazie zmiążdżonej głowy Oliwii Sochy i choć w pośpiechu przyłożyła obie dłonie do ust i zerwała się z krzesła, by biec do łazienki, nie zdołała powstrzymać nagłej fali wymiotów, która wylała się na jej elegancki kostium i błyszczące szpilki.

Wilczyński odruchowo się odsunął, a później powiódł wzrokiem po zalanych wymiocinami cukierkach i uznał tę sytuację za ironię losu. Nie udało mu się wprawdzie zaobserwować wiele w twarzy prokurator Stein, ale jej fizjologiczna reakcja była dla niego wystarczającą odpowiedzią.

Ta kobieta nie miała nic wspólnego ze śmiercią Oliwii Sochy.
Ale to nie znaczyło, że Filip również.



Mieszkanie Larysy bez Pawła wydawało się wyjątkowo puste i zimne. Przy biurku stał taboret, na którym niedawno siedział, nieopodal znajdował się kubek po kawie, a w powietrzu unosił się jego zapach. Wprawdzie Wiśniewski zabawił u niej krótko, ale jego obecność nadawała temu miejscu cechy domu. Jakby dom tworzyli dopiero ludzie połączeni znaczącą relacją, bez której dwupokojowe mieszkanie na Wilanowie na nowo stawało się jedynie betonowym lokum.

Przekreśliła wszystkie trzy zamki, zasunęła zasuwę i zasłoniła okna. Ostatnio często czuła na sobie czyjś przenikliwy wzrok. A teraz, gdy Wilczyński poinformował ją, że Ireneusz, taksówkarz, którego zdyskredytowała w mediach, stara się ją namierzyć, jej niepokój jeszcze się wzmógł. Sięgając do lodówki po mleko, myślała o tym, jak bardzo wszystko się skomplikowało i jak trudno było jej uciec przed przeszłością. Radziła sobie z nią całkiem nieźle – gdy konsekwencje dotyczyły tylko jej. Teraz, kiedy miały spaść również na jej brata, opadło ją duszące poczucie winy.

Zmęczona osunęła się na podłogę, a później niczym w transie patrzyła przed siebie, skupiając wzrok na tłustej plamie na ścianie. W tle słyhać było tykanie zegara i szum samochodów dochodzący z ulicy. Ten dźwięk kołysał ją i uspokajał. Poczowała, że jej powieki stają się coraz cięższe, a umysł zwalnia. W końcu stwierdziła, że powinna się zdrzemnąć, nabrać sił, by potem z nową energią ruszyć do pracy. Chwyciła koc z oparcia kanapy i zwinęła się na niej w kulkę, ale po półgodzinie przewracania się z boku na bok skapitulowała. Nie potrafiła przestać myśleć o Pawle i mężczyźnie w masce.

Wstała, zrobiła kilka pompek, by krew zaczęła mocniej krążyć w żyłach, i odpaliła komputer. Przejrzała wszystkie serwisy w poszukiwaniu nowych doniesień o Fantomie, ale nie trafiła na nic świeżego. Dopiero chwilę później przypomniała sobie o dacie z notesu Wiśniewskiego. Sięgnęła po notatnik i wpisała cyfry do wyszukiwarki. Serwer wypluł stek bzdurnych wyników, które nie prowadziły do niczego konkretnego. W wirtualnym kalendarzu sprawdziła jeszcze, jaki dzień tygodnia był szesnastego sierpnia dwa tysiące czwartego roku i gdy okazało się, że poniedziałek, przypomniała sobie o reportażach Wiśniewskiego. Z bijącym sercem zalogowała się do archiwum „Magazynu”, który od niepamiętnych czasów wychodził właśnie w poniedziałki. Przefiltrowała wyniki pod kątem nazwiska Pawła, a później odnalazła artykuł, który ukazał się dokładnie tamtego dnia.

Jej oczom ukazał się reportaż sprzed lat o rodzicach dzieci z zespołem Downa, zatytułowany *Swój, ale obcy*. Wzięła laptopa na kolana i usiadła z nim na podłodze, opierając plecy o kanapę. Wiśniewski opisywał w tekście trzy gorzkie historie rodzin, które za wszelką cenę próbowały żyć normalnie, gdy w ich domu pojawiło się dziecko z zespołem wrodzonych wad wywołanych nieprawidłową liczbą chromosomów. Tłumaczyli sobie, że Bóg nie posyła takich dzieci do przypadkowych rodziców, daje je tylko tym, którzy potrafią to udźwignąć, i w pewien sposób czuli się wybrani.

„Pamiętam, jak kiedyś na placu zabaw usłyszałam szept innej matki. »Z czego ona się cieszy, z tego mongola?« – wspomina

Barbara, przytulając Anię z trisomią. – Mój uśmiech i podniesiona głowa były dla matek zdrowych dzieci prowokacją. Budziły zniecierpliwienie i złość. Jakby te kobiety chciały mi odebrać prawo do szczęśliwego macierzyństwa, bo według nich, jako matka downa, musiałam być cierpiętnicą w rozciągniętym swetrze i z szarą, zmęczoną twarzą”. Larysa przeczytała ten fragment i mruknęła z zaciekawieniem. Wyobrażała sobie, że to jej dawny szef siedzi obok i swoim startym, lekko zachrypniętym głosem opowiada jej tę historię. Niemal widziała Pawła, jak gestykuluje pomarszczonymi dłońmi i nachyla się ku niej, by nie uronić ani jednego słowa. Ta myśl ogrzała jej wnętrze. Uśmiechnęła się do siebie delikatnie i wróciła do lektury.

„Te dzieci uważają się za równie ładne, mądre i zdolne, jak dzieci bez zespołu Downa. Nie dostrzegają, że są wolniejsze, grubsze i z dużym opóźnieniem chwytają zasady zabaw. Trudno im zrozumieć, dlaczego są odrzucane i szykanowane, bo gdy patrzą na siebie w lustrze, widzą jedynie pięknego człowieka. Może dlatego czasem, gdy chcę, by dzieci bawiły się z moim Michasiem, przekupuję je czekoladkami. Tyle że zapłata działa krótko, to rodzi jedynie chwilowe przyjaźnie, a najwierniejszą towarzyszką dzieci z downem pozostaje samotność”. Gdy czytała tekst Wiśniewskiego, z każdym kolejnym akapitem odczuwała, że jej gardło zaciska się coraz bardziej, a jednocześnie nadal nie rozumiała, z jakiego powodu Paweł zapisał w notesie właśnie tę datę i wskazał na tę konkretną publikację. Co chciał jej w ten sposób powiedzieć?

Uważnie przyglądała się zdjęciu, na którym na pierwszym planie widać było jedną z matek, Barbarę, z dziesięcioletnią Anią z zespołem Downa – obie tuliły się do siebie, ich twarze były promiennie roześmiane, a dłonie splecione. Matka przyciskała czoło do czoła córki i mówiła do niej coś, co – jeśli sądzić po minie dziecka, błyszczących oczach i jakiejś intymności uchwyconej w kadrze – było albo deklaracją miłości, albo wyrazem zachwytu. Ale najciekawsze znajdowało się w tle. Stał tam chłopiec, właściwie nastolatek, który sprawiał wrażenie, jakby ktoś dokleił go do tej fotografii. Ze zwieszonymi ramionami, zagryzioną dolną wargą

i ustami wygiętymi w podkówkę przyglądał się tej scenie pełnej radości, choć sam przesiąknięty był smutkiem. Larysa pomyślała, że gdyby słowo „samotność” mogło mieć swoją ilustrację w Wikipedii, fotografia chłopca doskonale by się do tego nadawała. Był tak blisko swojej rodziny, a jednak jakby za szybą. Razem, ale osobno.

Larysa szybko skanowała wzrokiem tekst, by sprawdzić, czy Paweł wspomniał o chłopcu. Po chwili znalazła fragment, który ją interesował. Okazał się wypowiedzią starszego brata dziewczynki. „Nie przeszkadza mi, że Ania jest taka, ale nie lubię, gdy inne chłopaki jej dotykają i robią jej zdjęcia. Biję ich wtedy, ale mama mówi, że mi nie wolno. Że jak będę to robił, to Bóg się rozgniewa i zabierze nam Anię, tak jak zabrał tatę, a my ją z mamą bardzo kochamy. Mama mówi, że to grzech się smucić, gdy ma się wszystko, bo Ania nie ma tego co my, a i tak jest najbardziej radosna”. W artykule nie pojawiło się imię chłopca, jedynie wzmianka o tym, że są z Anią rodzeństwem i że gdy dziewczynka przyszła na świat, on miał trzy lata.

Larysa zamyśliła się, stukając końcówką ołówka w policzek. Czy to możliwe, że zamroczony umysł Wiśniewskiego pozwolił mu rozpoznać mężczyznę ukrywającego się pod maską, a później zdołał skłonić byłego dziennikarza do zapisania daty w notesie i wyznaczenia dziewczynie kierunku poszukiwań? Że właśnie w ten sposób mówił jej, kim jest człowiek bez twarzy?

Postanowiła zaryzykować. Otworzyła starego laptopa, którego jeszcze niedawno używał Paweł, a gdy stwierdziła, że nie wylogował się ze swojej poczty, otworzyła wcześniejszą wiadomość od Fantoma i odpisała na nią jednym zdaniem. „Wiem o Ani, porozmawiajmy”.

Niemal w tej samej chwili rozwrzeszczał się jej telefon. Była tak pogrążona w myślach o tajemniczym mężczyźnie, że na dźwięk przychodzącego połączenia aż podskoczyła, a jej ciało zalała fala gorąca. Kiedy wzięła do ręki smartfona, zorientowała się, że nie ma zapisanego numeru dzwoniącego. Przez moment walczyła ze sobą, ale ostatecznie ciekawość zwyciężyła.

– Słucham – odebrała niepewnym głosem.

Rozmówca jednak nie odpowiadał, tylko ciężko dyszał do słuchawki. Larysa rozejrzała się nerwowo wokół, po czym odruchowo podeszła do wyjścia i upewniła się, że drzwi są zaryglowane.

– Halo. Kto mówi? – dopytała, ostrożnie wyglądając przez wizjer, za którym widniał jedynie pusty korytarz.

– Pamiętasz mnie? – wychrypiął głos, który dochodził gdzieś z oddali i brzmiał, jakby rozmówca owinał telefon w warstwę grubego materiału. – Jechaliśmy kiedyś razem uberem, a później napisałaś o mnie bardzo brzydki artykuł.

– Ireneusz – wyszeptała.

Przed oczami stanął jej wysoki mężczyzna z mocno zarysowaną szczęką.

– Znalezienie twojego numeru telefonu zajęło mi kilka dni. Chcesz sprawdzić, jak długo będę szukał twojego adresu? – roześmiał się.



Wchodząc do gmachu Instytutu Techniki Ciepłej przy Nowowiejskiej, Bartosz Luboń rozglądał się nerwowo i oddychał płytko, czując, że w ogóle nie powinno go tam być. Zamyślony potknął się na schodach, a przy tym boleśnie obił sobie kolano. Na jego białym podkoszulku pod pachami pojawiły się mokre plamy, a dłonie przybrały fioletowy kolor z zimna, które odczuwał za każdym razem, gdy potwornie się czymś stresował. Nie martwił go sam egzamin z mechaniki płynów, bo uważał, że bez problemu sobie z nim poradzi, zresztą swój test zdał jakiś czas temu śpiewająco i dziwił się, dlaczego tylu studentów ma z tym przedmiotem problem. Trapił go natomiast fakt, że może zostać zdemaskowany.

By wyglądać inaczej niż na co dzień i uniknąć rozpoznania przez profesora Stryczka, włożył męski kardigan na guziki, który dostał

kiedyś od matki i ukrył na dnie szafy, bo był zbyt obcisty, a do tego wykonany z jakiejś drapiącej wełny, która sprawiała, że nawet gdy miał pod spodem podkoszulek, swędziało go całe ciało. Na nos wetknął okulary zerówki, kupione na bazarku – Michał przekonywał, że uczynią z Lubonia nowojorskiego intelektualistę i sprawią, że dziewczyny będą ustawiały się do niego w kolejkach. Podwinął też nogawki spodni, a na bose nogi, czego szczerze nie znosił, wsunął sportowe buty. Mimo tylu poświęceń miał poczucie, że zamiast się ukryć, jeszcze bardziej rzuca się w oczy. Przekonał się o tym chwilę później, gdy ktoś przyjaźnie klepnął go w plecy, a on usłyszał:

– Cześć, Bartek, to ty? – Ewka, koleżanka z imprezy, przyglądała mu się z rozbawieniem. – No gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że to jakiś Grzegorz Krychowiak się tu płacze.

Luboń rzucił jej napominające spojrzenie znad rogowych okularów, ale wywołał tym jedynie kolejną falę śmiechu.

– A ty nie mówiłeś, że zdawałeś już ten egzamin? – zapytała, lustrując go spojrzeniem.

Bartek lekko poczerwieniał, przełknął ślinę, która zatykała mu gardło, i odchrząknął.

– Sorry, nie najlepiej się dziś czuję – wyjaśnił. – Chyba się załatwiłem u Michy na tej imprezie. Przewiało mnie czy coś, łeb mi pęka, jestem jakiś połamany i do tego niewyraźnie słyszę. – Dotknął dłonią ucha i skrzywił się, jakby go coś zabolalo.

– Spoko, po prostu myślałam, że masz już Stryczka za sobą.

– A! Chodzi ci o egzamin! – udał, że wreszcie do niego dotarło. – No, ja też tak myślałem, ale nie poszło mi najlepiej i podchodzę do niego raz jeszcze. Mam nadzieję, że ostatni.

Jego znajoma nie dosłyszała już ostatniego zdania, bo pod salą pojawił się profesor Stryczek z teczką pod ręką i wśród studentów zapanowało poruszenie. Bartek z niepokojem zerkał na twarze mijających go ludzi i kiedy stwierdził, że zgodnie z zapewnieniem Prokopa są wśród nich przedstawiciele różnych roczników i kierunków, odetchnął z ulgą. Tłum wokół niego nagle się zagęścił i mimo że Luboń należał do ludzi wysokich, miał wrażenie, że zaraz

zabraknie mu powietrza. W którymś momencie poczuł, że Ewka szturcha go palcem w ramię.

– Przygotuj legitymację studencką – zasugerowała. – Słyszałam, że jak przychodzi tak dużo ludzi, to zwykle jego asystent sprawdza wszystkich na liście, żeby nie było jakichś wałków.

Luboń kiwnął niemo głową, być może nawet zmusił się do bladego sztucznego uśmiechu, ale w myślach miał tylko chaos i pragnienie ucieczki. Kiedy sam zdawał, nikt nie weryfikował dokumentów. Obiecał sobie, że jak stąd wyjdzie i dorwie Michała, to go udusi gołymi rękami, a przynajmniej każe sobie postawić porządne piwo. Wilgotną od potu dłonią wyjął legitymację; łudził się jeszcze, że w tym zamieszaniu może uda się nią jedynie machnąć, rzucić nazwisko przyjaciela i odhaczyć na liście, a potem w pośpiechu zająć miejsce z dala od czujnego oka profesora Stryczka i jego posępnego asystenta.

W drzwiach wejściowych do sali TC1 ludzka rzeka zwężała się, jakby ktoś przelewał ją przez lej, i w tym wąskim gardle wszyscy studenci mijali doktoranta Mateusza Pajączka, asystenta profesora, a zarazem człowieka, który do zaków pałał taką miłością, jakby sam zapomniał, że niedawno był jednym z nich. Obserwował wchodzących, spoglądając na nich spod ściągniętych, krzaczastych brwi i wyrywkowo zatrzymywał wybranych, by pokazali dokument. Bartek był pewien, że lada chwila wszystko się wyda, wstrzymał oddech, a jego dłoń zacisnęła się na legitymacji studenckiej. Skupiał się tylko na tym, by iść i nie patrzeć w stronę Pajączka. Kiedy wreszcie odzyskał kontakt z rzeczywistością, okazało się, że jakimś cudem dotarł już do połowy schodów i zajmował miejsce w górnym rzędzie auli. Otarł czoło z ulgą, pewien, że najgorsze minęło, ale wtedy salę wypełnił donośny głos doktoranta:

– Proszę, by każdy podchodzący do egzaminu położył na ławce legitymację zdjęciem do góry.

– Zajebicie – szepnął Bartek i zazgrzytał zębami, po czym wykonał polecenie Mateusza Pajączka.

Kiedy profesor Stryczek podyktował pierwsze pytanie, Luboń był tak przerażony, że nie mógł utrzymać długopisu w dłoni, a litery na

jego kartce były równie rozedrgane, jak on. Kątem oka obserwował doktoranta, który przemierzał kolejne rzędy i sprawdzał, czy numer indeksu na dokumencie zgadza się z tym zapisanym na pracy. Bartek niemal słyszał, jak skrzywienie skórzanych butów mężczyzny narasta, w miarę jak się do niego zbliżał. Luboń czuł na sobie palące spojrzenie doktoranta, był przekonany, że tamten już go zdemaskował i tylko bawi się z nim – jak drapieżnik, który pozwala uciekać swojej ofierze, by za moment na powrót ją schwytać. Mężczyzna znajdował się na tyle blisko, że Bartek wyczuwał ciężki zapach jego wody kolońskiej. W tym momencie nie słyszał już niczego poza dudnieniem własnego serca. Ani pytań dyktowanych przez egzaminującego, ani szeptów studentów, ani nawet dźwięku uderzania jego drgającego kolana o blat. Wiedział, że to koniec. Skulił się, jakby miały spaść na niego gromy, i wtedy zauważył, że Mateusz Pajączek z telefonem przy uchu zbiega ze schodów i wychodzi z sali.

Chłopak zamrugał, po czym klepnął się mocno w policzek, tak, że aż poczuł nieprzyjemne pieczenie i syknął z bólu.

– Coś się stało? – zapytał dziewczynę siedzącą obok.

Studentka zmierzyła go oceniającym wzrokiem.

– Z choinki się urwałeś? – Uniosła pytająco jedną brew. – Jego żona rodzi, pojechał na porodówkę – wyjaśniła niechętnie.

Luboń na te słowa aż przyklasnął z radości, a gdy poczuł na sobie napominające spojrzenie profesora Stryczka, kiwnął mu przepraszająco głową i skoncentrował się na zadaniu.

Zamknął na chwilę oczy, powtórzył ćwiczenie oddechowe, które niekiedy stosował w klubie bokserskim przed sparingami, a gdy odzyskał względną równowagę, wpadł w trans pisania. Pod koniec niemal zupełnie zapomniał, gdzie jest i w jaką kabałę się wplątał. Pilnował jedynie tego, by odpowiedzi nie były idealnie poprawne i by w obliczeniach pojawiały się drobne pomyłki, zgodnie z zasadą, że doskonały plan to taki, który zakłada niedoskonałą rysę.

Dumny z siebie skończył przed czasem i czuł się tak rozochocony swoją dobrą passą, że miał ochotę pomóc jeszcze innym, w tym Ewce, która pochylona nad kartką, miała nachmurzone czoło

i nietęgą minę. Ostatecznie uznał, że nie będzie się jednak wychylał. Zweryfikował raz jeszcze wszystkie odpowiedzi, a gdy profesor Stryczek obwieścił koniec egzaminu, razem z falą studentów zszedł na dół i odłożył kartkę na katedrze.

– Proszę pana – usłyszał za sobą głos egzaminatora.

To był zaledwie ułamek sekundy, ale Bartek miał wrażenie, że właśnie pękły mu wszystkie wrzody żołądka, których, był pewien, nabawił się od czasu imprezy u Prokopa.

Odwrócił się tak wolno, jakby ktoś puszczał go na nagraniu w trybie *slow motion*.

– Słucham? – zapytał na tyle cicho, że nie był pewien, czy rzeczywiście się odezwał, czy tylko miał taki zamiar.

– Nie podpisał pan swojej pracy. – Profesor podał mu kartkę, a on w pośpiechu machnął na niej nazwisko Michała, oddał ją i uciekł najszybciej, jak potrafił.

Szedł zdyszany korytarzem, mając wrażenie, że zostawia za sobą krople potu na podłodze, a gdy usłyszał, że ktoś za nim biegnie, był już bliski omdlenia. Odwrócił się nagle i ze zdziwieniem odkrył, że to jego kumpel, Prokop.

– Co ty tu robisz, idioto? – syknął, złapał przyjaciela za frak i wciągnął go we wnękę w ścianie. – Oszalałeś? Chyba nie przyszedłeś zapytać, jak mi poszło?

Michał pokręcił niemo głową. Jego policzki były blade, ręce miał schowane w kieszeniach bluzy, a wzrok rozbiegany. Gryzł nerwowo wargę, a cały jego łobuzerski urok gdzieś wyparował.

– Wszystko się popierdoliło – powiedział w końcu.

Wyjął z kieszeni komórkę, otworzył jakąś stronę w internecie i podał telefon koledze. Bartek, nie rozumiejąc, o co chodzi, pochylił się nad ekranem, a po chwili głośno przeklął.

– Kurwa, chcesz powiedzieć, że... – Nie był w stanie dokończyć pytania, gapił się na Prokopa, jakby prosił, by to on wypowiedział te słowa.

– Że w tym lesie mogliśmy potraścić człowieka.



Budynek Haller Investments, oparty na metalowej konstrukcji wypełnionej wielkimi blokami szkła, miał w sobie ten rodzaj klasy, który powodował, że ludzie wchodzący do środka automatycznie prostowali plecy i stawali się bardziej spięci. Wnętrze wypełniał szum rozmów, stukot obcasów o wypolerowaną na błysk kamienną podłogę i dzwonki niecierpliwych telefonów. Larysa zatrzymała się w holu, obserwując teatr sztucznych uśmiechów i nienaturalnie entuzjastycznych powitań. Miała nadzieję, że chociaż piękne, wysokie palmy w korytarzu będą prawdziwe, ale i one okazały się plastikowe.

Rzuciła okiem na ochroniarza zajętego rozmową z kurierem, a później na dziewczyny w recepcji, które wymieniały opinie na temat nowo otwartego salonu manicure i z entuzjazmem oglądały swoje paznokcie. Korzystając z ich nieuwagi, wśliznęła się za panem kanapką przez uchyloną szklaną bramkę i już po chwili jechała windą na ósme piętro, na którym mieściły się gabinety członków zarządu oraz prezesa firmy, Roberta Hallera. W swojej ocieplanej skórzanej kurtce, martensach i z ostrzyżoną na krótko głową odstawała od pozostałych pasażerów, a przez to ściągała na siebie ukradkowe spojrzenia.

Kiedy drzwi windy z charakterystycznym dzwoneczkiem otworzyły się na docelowym piętrze, z ulgą opuściła wyperfumowane towarzystwo lepkich od brylantyny mężczyzn przechwalających się swoimi osiągnięciami.

Na korytarzu natknęła się na półokrągłą wysoką ladę, za którą siedziała recepcjonistka w eleganckiej garsonce, zajęta rozmową przez telefon.

– Dzień dobry – przywitała się, gdy tylko odłożyła słuchawkę, a jej głos do złudzenia przypominał nagranie na automatycznej sekretarce. – W czym mogę pomóc?

– Robert Haller na mnie czeka.

Kobieta zerknęła do komputera, a później do swoich notatek i zmarszczyła czoło.

– Jest pani pewna? Prezes nie poinformował mnie o tym spotkaniu. Czy mogę prosić o nazwisko?

– Luboń. Larysa Luboń.

Asystentka raz jeszcze przejrzała dostępne rejestry, po czym z zafrasowaną miną chwyciła za telefon.

– Panie prezesie... – zaczęła, gdy po drugiej stronie odezwał się męski głos, ale nie dokończyła, bo Larysa wyrwała jej słuchawkę.

– Musimy porozmawiać – rzuciła. – Wpuść mnie.

Haller milczał przez ułamek sekundy, po czym najwyraźniej zrozumiał, z kim ma do czynienia, i się roześmiał.

– Powiniennem był od razu rozpoznać ten niepowtarzalny styl pojawiania się bez zaproszenia. Zaskoczyłaś mnie, punkt dla ciebie. A teraz oddaj telefon mojej asystentce, nie otworzy ci drzwi bez mojej zgody.

Dziewczyna przekazała recepcjonistce słuchawkę i obserwowała, jak tamta z uwagą rejestruje każde słowo prezesa. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się zimno i nadal nieufnie przyglądając się Larysie, zaprowadziła ją do wysokich szklanych drzwi, które odblokowała za pomocą karty magnetycznej.

– Prezes zaprasza, gabinet znajduje się na końcu korytarza – poinformowała, wskazując kierunek dłonią. – Napije się pani czegoś? Kawy, herbaty?

– Nie sądzę, żebyś zdążyła ją przygotować. To będzie raczej krótka wizyta – odparła.

Szła szybkim, pewnym krokiem wzdłuż stalowoszarych ścian. Dywan, którym wyłożono korytarz, był przyjemnie gruby i miękki, jakby miał za zadanie uspić czujność kontrahentów zmierzających do pokoju prezesa, wprawić ich w miłą, otępiający letarg. Sprzyjały temu lawendowy zapach unoszący się w powietrzu i cicha relaksująca muzyka. Wreszcie Larysa dotarła do lśniących czarnych drzwi, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Kiedy siedzący za biurkiem Robert Haller ją zobaczył, przekrzywił głowę i otaksował jej sylwetkę wzrokiem.

– Wiedziałem, że kiedy przemyślisz moją propozycję, zmienisz zdanie – odezwał się. – W końcu czym jest jedna noc spędzona z mężczyzną, który cię pragnie, wobec wizji utraty zaufania brata.

Uśmiechając się z satysfakcją, podszedł do niewielkiego stolika na kółkach i nalał sobie bourbona do kryształowej szklanki. Larysa w tym czasie przysiadła na brzegu jego biurka i korzystając z nieuwagi mężczyzny, niepostrzeżenie wpięła do jego laptopa małej pendrive, na którym Bartek zainstalował program szpiegujący. Przyszła tu, by zweryfikować, czy biznesmen nie blefował, i by pokazać mu, że nie wszystko podlega jego kontroli. A już na pewno nie ona. Patrzyła na jego idealnie skrojony granatowy garnitur i srebrne spinki do mankietów, połyskujące przy rękawach.

– Artykuł o tobie już się pisze. Zaplanowałem publikację na poniedziałek – oświadczył, pociągając długi łyk. – Możesz go zatrzymać tylko w jeden sposób. Spotkasz się na kolacji z pewnym biznesmenem i będziesz dla niego wyjątkowo uprzejma, na tyle, by zechciał podpisać z nami umowę na budowę jego drugiej, ultranowoczesnej masarni. Jeśli to zrobisz, cofnę tekst i zostawię w spokoju Bartka. – Odchylił się na krześle i złożył dłonie w piramidkę. – Domyślam się, że ciekawość cię zżera, więc nie będę trzymał tego dłużej w tajemnicy. Przedsiębiorca, o którym wspomniałem, nazywa się Marek Kamiński.

Na dźwięk nazwiska kolegi z liceum, który zgwałcił ją na studniówce i przed którym uciekła do Warszawy, Larysa poczuła dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Zaciśnęła dłonie w pięści, a po jej wnętrzu rozlał się piekący żar. Miała ochotę chwycić Roberta Hallera za głowę i rozbić ją na swoim kolanie, a później patrzeć, jak z jego nozdrzy wypływa brunatna, ciepła jeszcze krew. Biznesmen rozgrzebywał najbardziej bolesną, ledwie zabliźnioną ranę na jej zyciorysie, dla niego liczyły się tylko interesy i satysfakcja z jej upokorzenia.

– Nie zrobię tego. Spotkanie skończone. – Odwróciła się do wyjścia, ale mężczyzna mocno ścisnął ją za rękę. Usiłowała się wyszarpnąć, to jednak było niemożliwe.

– Ja decyduję o tym, kiedy spotkanie jest skończone. – Puścił jej nadgarstek, po czym wyciągnął z szuflady papierową teczkę i rzucił ją w stronę Larysy.

W środku znajdowały się zdjęcia jej brata zrobione przez kogoś, kto go obserwował. Kadry uchwycone przed uczelnią, zrobione przez szybę zakładu fotograficznego, gdzie pracował popołudniami, i na jakiejś imprezie ze znajomymi. Zrozumiała, że Haller jej nie zwodził, on naprawdę chciał zniszczyć Bartka i solidnie się do tego przygotowywał.

– Moja asystentka zarezerwowała tobie i Markowi Kamińskiemu stół u Amaro w sobotę o dziewiętnastej, i nocleg w Intercontinentalu, w naszym ulubionym pokoju na czterdziestym piętrze. Pamiętasz? – Dotknął dłonią jej policzka, który natychmiast odsunęła, patrząc na niego, jakby zamierzała go ugryźć. – Jeśli dotrzymasz warunków, a Kamiński podpisze umowę, nikt nigdy nie dowie się, jaką suką jesteś. Nawet twój brat. – Zaśmiał się.

Larysa zacisnęła szczęki. Złość, która jeszcze przed chwilą jedynie się żarzyła, teraz szalała w niej niczym nieokiełznany ogień. Trzęsły się jej ręce, a serce dziko pompowało krew. Wydawało się jej, że jeszcze chwila, a ogłuchnie od narastającego szumu w uszach. Podeszła bardzo blisko Roberta Hallera, nachyliła się nad nim, zbliżyła usta do jego ucha i dmuchnęła delikatnie na pachnącą kardamonem skórę na szyi biznesmena. Mężczyzna przymknął powieki, a wtedy ona zręcznym ruchem wyciągnęła pendrive.

– Dobrze wiem, kim jestem, i dlatego gram tylko według swoich zasad – wyszeptała, po czym opuściła gabinet prezesa.



W pubie Student przy Waryńskiego pachniało piwem, a na drewnianych ławach tłoczyli się roześmiani mieszkańcy domu

studenckiego Riviera. Słysząc było głośne rozmowy podchmielonych młodych ludzi, śmiech dziewcząt i ryk telewizora, w którym komentator sportowy relacjonował jakiś trzecioligowy mecz. Tylko Bartosz Luboń i jego przyjaciel Michał Prokop szeptali nachyleni do siebie jak para zakochanych.

– Dobra, jeszcze raz. Co wiesz o tym facecie? – dopytywał Bartek.

Syn dziekana westchnął ciężko, wypił duszkiem pół kufla i zaczął opowiadać.

– Z tego, co ludzie gadają, wynika, że koleś był myśliwym i nocami chodził na polowania. Nie wiem, może poszedł szukać tego dzika albo po prostu tamtędy przechodził? Chuj go wie. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie podobno miał przy sobie strzelbę i flaszkę gorzkiej żołądkowej. Pustą. Nie wiadomo, czy się ululał i przysnął oparty gdzieś o drzewo, czy w ciemności wlaźł komuś pod koła, ale rano jakiś grzybiarz znalazł go nieprzytomnego, z rozwaloną głową.

– „Podobno”, „nie wiem” – przedrzeźniał go Luboń. – Ty siebie słyszysz? Gównu się dowiedziałeś. A udało ci się chociaż dopytać, gdzie konkretnie go znaleźli?

Prokop pokręcił głową.

– Nie. Słyszałem już tyle wersji tej historii, że sam nie jestem pewien, której z nich wierzyć. Jedni mówią, że nic mu się nie stało i jest tylko trochę poobijany, a inni, że jest z nim kiepsko i nie wiadomo, czy się z tego w ogóle wykaraska.

Bartek skrzywił się i syknął, jakby ktoś przyłożył mu w potylicę. Okrągła podkładka pod kufel, którą od jakiegoś czasu ścisnął w dłoniach, nagle zgięła się wpół i pękła. Chłopak rzucił skrawki na stół, przeklinając. Jego umysł nieustannie odtwarzał moment, gdy podczas ucieczki przed policją uderzyli w coś w lesie. Nie pamiętał żadnego krzyku ani nie dostrzegł człowieka, ale zdawał sobie sprawę, że był wtedy pod wpływem alkoholu i marihuany, a przy tym wariował ze strachu, więc nie zdziwiłby się, gdyby zwyczajnie coś przeoczył. Nieoczekiwanie dotarło do niego to, co za chwilę nastąpi, i aż się wzdrygnął z powodu chłodu, który objął jego ciało.

– Wiesz, co się teraz stanie, prawda? – zapytał, choć brzmiało to jak stwierdzenie. – Policja będzie jeździć po domach i wyciskać z ludzi, czy widzieli tamtej nocy jakiś samochód w okolicy lasu, a później sprawdzą wszystkich lakierników w pobliżu, żeby sprawdzić, czy ktoś w ostatnim czasie naprawiał rozbity zderzak, i jesteśmy ugotowani. Już po nas, gościu, rozumiesz? Zmiotą nas z planszy, zanim się zorientujemy.

– Niezupełnie – rzucił Michał z uniesionym palcem i zmrużonymi oczami. – Jeszcze kilka godzin temu beemka stała w naszym garażu, w tym samym miejscu, w którym ją zostawiliśmy. To znaczy, że ojciec raczej nie zdążył jej do tej pory naprawić. Zresztą gdyby to zrobił, gliny już dawno by nas namierzyły. Domyślam się, że stary jest tak zarobiony na uczelni, że nawet nie wie o wypadku w lesie. Jeśli przekonam go, by się wstrzymał z wymianą części i przykrył samochód pokrowcem, nikt nas nie wyniucha. Mogę się nawet kopsnąć tym cackiem którejś nocy do Płocka albo Białegostoku i ogarnąć je tak, że będzie wyglądało jak nowe – dodał z miną, jakby właśnie odkrył Amerykę.

Luboń schylił głowę, chwycił palcami włosy i pociągnął je mocno, wydając przy tym złowrogi pomruk, jakby brakowało mu już słów na niedorzeczne pomysły kolegi.

– Muszę cię zmartwić, Einsteinie, ale ten sprytny plan nie przewiduje reakcji dziekana Wojciecha Prokopa, jednego z bardziej praworządnych ludzi, jakich znam. Mam takie dziwne przeczucie, graniczące z pewnością, że kiedy mu powiesz o tym, co zrobiliśmy, nie popędzi do garażu przykrywać auta, tylko na najbliższy komisariat, żeby im o wszystkim opowiedzieć, kretynie. – Założył ręce na piersi. – Swoją drogą nie wiem, czy na tym twoim Orgazmusie doszły cię słuchy, że twój stary wywalił w międzyczasie z uczelni dwie osoby za plagiat i zyskał dzięki temu ksywkę Don. To od Vita Corleone, tego z *Ojca chrzestnego*, bo podobnie jak on nie cacka się z oszustami. Kapujesz?

Michał otworzył oczy, pokręcił głową, zaśmiał się pod nosem i machnął ręką, jakby słowa przyjaciela nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Oj, Luby, Luby, taki niby bystry jesteś, ale nie uwzględniłeś jednego. Mój stary jest przekonany, że to ja prowadziłem samochód, a który ojciec, będąc przy zdrowych zmysłach, doniesie na własnego syna i wsadzi go za kratki? – Puścił do kumpla oko, jakby właśnie przed chwilą skreślił kupon totolotka i był pewien, że przyniesie mu wygraną.

– Twój, Prokop. Ze wszystkich ojców, których znam, właśnie twój to robi.

Michał uśmiechał się jeszcze delikatnie, ale półksiężyc na jego twarzy powoli zniknął, aż w końcu całkowicie zgasł. Chłopak chwycił szklankę z piwem i dopił to, co w niej zostało, a potem spojrzał na kolegę smutnym, matowym wzrokiem.

– No to jesteśmy w dupie – powiedział.



Bruno obudził się na kanapie w ubraniu z poprzedniego dnia. Kilkakrotnie usiłował otworzyć piekące oczy, ale za każdym razem ciężkie powieki opadały z powrotem, a on stękał i przewracał się na drugi bok w nadziei, że jeszcze uda mu się odpłynąć w objęcia Morfeusza. Czuł się wymięty i zmęczony. Jednak gdy sen nie nadchodził, skapitulował. Podniósł tułów i przeciągnął się, ziewając. Przypomniało mu się, że wieczorem wysłał do Larisy zaczepnego SMS-a, sięgnął więc po telefon, a gdy zobaczył, że na niego nie odpowiedziała, poczuł się dotknięty. Robił sobie wyrzuty, że powinien być bardziej konsekwentny w swoich decyzjach dotyczących tej dziewczyny, a jednocześnie widział, jak trudno było mu trzymać się od niej z daleka.

Kiedy pochylał się nad umywalką i oblewał twarz lodowatą wodą, myślał o słowach zmarłego prawnika, Wiktora Osiatyńskiego: „Rano spójrz w lustro, zrób przedziałek na głowie i odpierdol się od siebie”.

– Na przedziałek mogę się zgodzić – rzucił, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, po czym uśmiechnął się gorzko.

Sprawa Oliwii Sochy dręczyła go. Minęły ponad dwie doby od zdarzenia, a on nie miał niczego konkretnego. Żadnych świadków, kilku wątpliwych podejrzanych i brak wyraźnego motywu. Jakby brodził w głębokim, gęstym bagnie, nad którym unosiła się lepka mgła ograniczająca widoczność. Postanowił to zmienić i odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Chwycił z wieszaka kurtkę, w pośpiechu wskoczył w buty i ruszył w stronę bloków okalających Wzgórze Trzech Szczytów. Po drodze złapał w żabce, w której był stałym bywalcem, bajgla i owocowe smoothie, po czym, korzystając z przerwy między samochodami, przeskoczył przez ulicę na czerwonym świetle. Kiedy już zostawił za sobą hałaśliwą budowę południowej obwodnicy Warszawy, skoncentrował się na kobiecie, która kupiła rower od Wiktora Zakrzewskiego. Poprzedniego dnia nie udało mu się jej zastać w domu, a jego telefony długo pozostawały bez odpowiedzi. Dopiero późnym wieczorem kobieta wysłała mu krótką wiadomość, że miała dyżur w szpitalu, i poprosiła o kontakt po południu następnego dnia. Bruno nie należał jednak do tych, którzy lubią czekać, i uznał, że złoży jej poranną wizytę.

Kilka minut później znalazł się pod blokiem przy ulicy Kazury. Wśliznął się do środka, korzystając z uprzejmości staruszki wychodzącej z psem, i już po chwili stał pod drzwiami z numerem osiem. Kiedy naciskał dzwonek, zastanawiał się, co tak naprawdę Zakrzewski robił w tym mieszkaniu i dlaczego kobieta zdecydowała się zapewnić mu alibi, opowiadając policji bajeczkę o sprzedaży roweru. Po chwili usłyszał kroki po drugiej stronie drzwi i poczuł na sobie czyjś wzrok.

– Nie mógł pan przyjść później? – rzuciła kobieta, spod ściągniętych brwi przyglądając się nieufnie odznace, którą Bruno zapobiegawczo trzymał w dłoni.

Trzydziestoparolatka, która mu otworzyła, miała podkrążone oczy, była opatulona w gruby koc, a jej potargane blond włosy, zamglone spojrzenie i spodnie od piżamy wystające spod pledu

świadczyły o tym, że jeszcze przed chwilą odsypiała nocny dyżur. Stała w wejściu i skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała dać policjantowi do zrozumienia, że ich rozmowa odbędzie się tutaj, na klatce schodowej. Wilczyński uznał, że pozwoli jej się jeszcze chwilę łudzić, i jedynie nieznacznie się wychylił, dostrzegając za jej plecami opartą o ścianę sportową kolarzówkę.

– Widzę, że oboje jesteście w nastroju na filiżankę mocnego i aromatycznego niech-to-wszystko-spierdala – odparł z uśmiechem. – Może usiądziemy w kuchni i porozmawiamy przy porządnej kawie?

– Wydaje mi się, że nie mamy o czym. Przecież powiedziałam już wszystko o zakupie tego roweru – kontynuowała z niechętną miną.

– Chyba nie będziecie nas ścigać za podatki? Tylu ludzi sprzedaje używane rzeczy przez internet.

Gdy jeszcze mówiła, Bruno odsunął ją delikatnie na bok i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Zatrzymał się w korytarzu przed ścianą, na której wisały fotografie oprawione w ramki oraz dziesiątki obrazów z puzzli poprzyklejanych do papieru i zamkniętych w antyramach. Nie wiedział, czego dokładnie szuka, ale zauważył, że w jednym miejscu jest ślad po gwoździu i inny odcień farby niż na reszcie ściany.

– Nie może sobie pan ot tak wchodzić do mojego domu. – Kobieta oparła ręce na biodrach, a jej ton stawał się coraz bardziej poirytowany.

Wilczyński nie zareagował, ściągnął brwi i intensywnie się nad czymś zastanawiał.

– Brakuje jednej ramki – powiedział, dotykając dłonią miejsca na ścianie, w którym wyraźnie rysował się ciemniejszy prostokąt farby.

– Co się z nią stało?

Właścicielka mieszkania zamrugła i zerknęła w stronę zamkniętych drzwi do jednego z pokoi.

– Zdjęłam ją – oznajmiła. – Wisiało tam zdjęcie z moim byłym chłopakiem, jest już nieaktualne – dodała po dłuższym czasie. – Zerwaliśmy ze sobą, więc postanowiłam się go pozbyć. Ale chyba nie interesuje pana moje życie prywatne?

– To zależy od tego, czy pozbyłaś się zdjęcia, czy chłopaka.

Kobieta westchnęła ciężko i przewróciła oczami. Bruno przyglądał się jej, próbując zrozumieć, skąd brało się to napięcie, które dostrzegął na jej twarzy. Była zmęczona po dyżurze w szpitalu, a przez to dużo gorzej maskowała emocje, jedna po drugiej wymykające się jej spod kontroli. Zauważył, że gdy nieznacznie zbliżył się do zamkniętych drzwi po prawej, właścicielka mieszkania drgnęła i zacisnęła dłoń na kocu, którym była otulona.

– Co tam jest? – zapytał, kładąc rękę na klamce, i zanim zdążyła zaprotestować, otworzył drzwi, a następnie stanął jak wryty.

Kobieta nic nie powiedziała, owinęła swoje ciało ciaśniej w pled i razem z policjantem patrzyła na stosy niemowlęcych ubranek, dziecięce łóżeczko i kolorową karuzelkę zawieszoną na długim pałaku. Na ławie stała plastikowa wanienka z naklejoną kaczuszką, a obok znajdowały się dziecięce kosmetyki. Oliwka, puder i płyn do kąpieli dla niemowląt.

– Jestem w ciąży – powiedziała cicho.

– Nie gratuluję, nie jestem fanem pasożytów, którym kobiety nadają imiona i kupują ubranka, ale ciekawi mnie, po co przyszelej matce, do tego, jak mniemam, samotnej, zważywszy na rozstanie z chłopakiem, rower szosowy?

– Będę dbać o formę, gdy już urodzę – odparła drżącym głosem.

Bruno uniósł brwi i pokręcił głową.

– Postaraj się bardziej. Kłamiesz tak beznadziejnie, że czuję się obrażony.

Właścicielka mieszkania przygryzła wargę i spuściła głowę, miętosząc w palcach frędzle przy pledzie. W końcu wzięła głęboki wdech, weszła do pokoju i wsunęła rękę pod stertę ręczników, a po chwili wyciągnęła stamtąd zdjęcie w ramce i podała je Wilczyńskiemu. Na fotografii znajdowała się roześmiana kobieta oparta o rower. Wiatr rozwiewał jej włosy, słońce opalało twarz, a na policzkach mieniły się zdrowe rumieńce.

– To ja. Moja koleżanka zrobiła to zdjęcie latem we Włoszech. Spędzałyśmy tam razem ostatnie wakacje. Mogłabym kłamać, że to

nie ten sam rower, który stoi w przedpokoju, tylko bardzo podobny, ale to chyba nie ma sensu. Mam go od ponad roku.

– To co w takim razie robił tu Wiktor Zakrzewski, skoro nie sprzedawał roweru? Wy się w ogóle znacie?

Kobieta odwróciła wzrok i utkwiała go w ścianie.

– Domyślam się, że kręci cię to budowanie napięcia, ale może po prostu wydusisz to z siebie? Nie piłem dziś kawy i powoli zaczyna mi brakować cierpliwości – zasugerował Wilczyński, gdy jej milczenie się przeciągało.

– Wiktor sprzedawał nasienie. Jest inseminatorem – wymamrotała. – Wcześniej widzieliśmy się kilka razy. Wymyślił to kłamstwo z rowerem, bo gdyby jego żona dowiedziała się, jak dorabia do kredytu, wpadłaby w szal. Poza tym wstydział się przyznać, że pomaga kobietom takim jak ja. Tym, które bardzo chcą mieć dzieci, a nie mają z kim. Tamtego dnia przyszedł po pieniądze, bo wszystko się udało i zaszłam w ciążę.

– Ewidentnie źle dobrałem sobie zawód. – Bruno patrzył na nią wielkimi ze zdziwienia oczami. – Nie wydaje ci się, że przepłaciłaś? Dwa tysiące za nasienie? A co z bankami spermy? Nie mówiąc już o tym, ilu facetów zrobiłoby to za darmo.

– Wziął ode mnie tysiąc. Skłamałam, żeby cena roweru była wiarygodna. To, co mu zapłaciłam, to i tak dużo mniej, niż żądałoby ode mnie w profesjonalnym banku nasienia. Zależało mi na kimś, kto podchodzi do tego jak do poważnego biznesu. Nie uwierzy pan, ile w sieci jest ofert facetów, którzy chcą to zrobić za butelkę dobrego alkoholu.

– Raczej nie uwierzę – odparł, nadal intensywnie mrugając.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć. Mój dawca zrobił wszystkie niezbędne badania, nie oczekuje kontaktów z dzieckiem, ma własną szczęśliwą rodzinę i zdrowe, mądre dzieci. Poza tym to człowiek o wysokim ilorazie inteligencji.

– W to akurat nie wątpię. A do tego z genem przedsiębiorczości.

Wilczyński pomyślał o tym, jak bardzo zdesperowanym trzeba być, by decydować się na samotne macierzyństwo z dawcą

z ogłoszenia, a zarazem jak egoistyczne jest to w stosunku do dziecka, które od początku będzie skazane na dorastanie bez ojca.

– Wiem, co pan myśli. – Jej głos przerwał jego rozważania. – Że jestem samolubna i skrzywdzę w ten sposób to dziecko. Ale to nieprawda. Dam mu całą swoją miłość i uwagę, której dzieci w z pozoru normalnych domach nie mają. – Otarła wilgotne oczy. – Nie chciałam małżeństwa. Nie wierzę w nie. Uważam, że relacja między mężczyzną a kobietą wyczerpuje dwie strony tak bardzo, że nie ma tam miejsca dla dziecka. To się zawsze kończy źle. Albo związek się rozpada, albo jedno z małżonków żyje w cieniu drugiego. Moi rodzice byli tak zajęci własnymi dramatami, że zupełnie zapomnieli o moim istnieniu. Od lat staram się pozbierać i uwierzyć w to, że jestem wystarczająco dobra i zasługuję na szczęście.

Bruno skinął głową, patrząc na smutną, poszarzałą twarz kobiety.

– Pokażę coś panu. – Kiwnęła na niego i zaprowadziła go do okna. – Po pracy czasami patrzę na ten plac zabaw i wie pan, co zauważyłam? – zapytała, ale nie oczekiwała odpowiedzi. – Że najpiękniejsze rodziny robią swoim dzieciom najbrzydsze rzeczy. A brak miłości nie zostawia siniaków. To niewidzialna przemoc.



Larysa usłyszała pukanie do drzwi, a po chwili dobiegł ją głos brata:

– Piwo przyszło! – krzyczał tak głośno, że z pewnością słyszeli go ludzie zamieszkujący po sąsiedzku.

Uśmiechnęła się, bo wiedziała, że gdy Bartek zachowuje się w ten nieokrzesany sposób, to znaczy, że jest naprawdę zadowolony. Otworzyła mu drzwi, a on z uznaniem pokiwał głową, patrząc na zamki, które zainstalowała.

– Strzeżona jak tajne archiwa Watykanu. Ukrywasz tu coś, o czym nie powinienem wiedzieć?

– Tylko kilka trupów w szafie. – Puściła do niego oko.

– Ty nie masz szafy. Kiepska próba – skomentował, lustrując ascetycznie urządzone wnętrze. – A skoro mowa o tajnych archiwach, to tak jak prosiłaś, przejrzałem potwornie nudną zawartość służbowego komputera Roberta Hallera i znalazłem tę umowę, której szukałaś. Dostaniesz ją później na maila.

Młody Luboń wszedł do środka i zajął miejsce na kanapie. Larysa lubiła tę jego swobodę, to, że gdziekolwiek się pojawiał, czuł się tam komfortowo i szybko zjednywał sobie ludzi. Niekiedy zachowywał się jak dziecko ciekawe świata, otwarte, spontaniczne i pełne energii. Obserwowała go ukradkiem, uśmiechając się lekko, ale gdy dopadło ją echo gróźb Hallera, poczuła nieprzyjemny ból w skroniach.

– To co dziś oglądamy? – zagaił Bartek, otwierając piwo. – Przyniosłem *Green Book*, coś klasycznego dla ciebie, czyli *Dwunastu gniewnych ludzi*, i coś, co się nigdy nie zestarzeje, czyli *Fight Club*.

– O nie! – zaśmiała się. – Znasz ten film już na pamięć.

– Oj przestań, pozwól mi być chłopcem tęskniącym do walk gladiatorów. Zrób to dla mnie, wszak – modulował głos, by brzmieć

jak bohater filmu – „bez bólu, bez poświęcenia nie osiągnęlibyśmy niczego”.

– Dzieciak. – Rzuciła w niego popcornem, który przygotowała na wieczór. – Dlaczego akurat ta historia tak cię kręci?

– Bo zawsze sobie myślę, że każdy człowiek codziennie walczy w swoim prywatnym Fight Clubie, o którym nie mamy pojęcia – odparł poważnie, po czym zerknął na nią z nadzieją.

Oczekiwał złośliwego komentarza albo na pytania, które pozwoliłoby mu wspomnieć o tym, co wydarzyło się u Michała, ale jego siostra tylko pokręciła głową z uśmiechem i odwróciła się w stronę laptopa, skupiając na nim całą swoją uwagę. Zorientował się, że coś przykuło jej wzrok, śledził, jak wystukuje tekst na klawiaturze, a później w napięciu czeka na odpowiedź. Wreszcie uderzyła dłonią w biurko i przeklęła pod nosem.

– To dokąd zabierasz mnie na wycieczkę? – zapytał, odgadując, co się święci.

Przerabiał z nią takie scenariusze już kilka razy. Ktoś dzwonił, przychodziła jakaś wiadomość, a wtedy ona wstawiała i bez słowa wychodziła. Za pierwszym razem jakoś to sobie wytłumaczył, za drugim było mu cholernie przykro, a za trzecim się wkurzył. Teraz postanowił, że nie pozwoli się zostawić jak zbędny balast. Uznał, że wystarczająco długo to znosił i tym razem pojedzie z nią.

– Nigdzie, Bartek – odparła smutno. – Wiem, że nie tak miało być, ale to sprawa zawodowa, którą muszę załatwić sama. Być może to jedyna szansa, żeby pogadać z facetem, o którym piszę artykuł. – Wstała i zaczęła wkładać kurtkę.

– Akurat z gadania to mam doktorat, więc chętnie zamienię kilka słów z tym kolesiem.

Larysa pokręciła głową.

– Nie mogę. Nie dzisiaj.

Starła się jak najmniej patrzeć mu w oczy, by tylko nie zobaczyć rozczarowania, którego teraz nie dałaby rady unieść. Szczególnie że zaplanowała ten wieczór z myślą o Bartku, chciała posiedzieć z bratem, zachwycać się tym, jak opowiada o swoim życiu, i śmiać się razem z nim z jego czerstwych dowcipów. Obawiała się jednak,

że Fantom nie odpowie drugi raz na jej wiadomość i szansa na spotkanie z mężczyzną ukrywającym się pod maską przepadnie, dlatego postanowiła zacisnąć zęby i zrobić to, co należało.

Zgarnęła plecak, wrzuciła do niego dokumenty i laptopa, po czym podeszła do drzwi i zaczęła sznurować buty. Jej brat z założonymi rękami stanął obok niej, przez chwilę skubał palcami usta, jakby wybierał z nich właściwe słowa, ale ostatecznie nic nie powiedział. Niemal namacalnie czuła jego złość, która zdawała się kłuć na odległość. Kiedy otwierała zamki, miała wrażenie, że wzrok Bartka wypali jej dziurę w plecach. Poczowała nagłą potrzebę, by mu coś powiedzieć, a może nawet go przytulić, ale ostatecznie z jej ust wydobyło się tylko nędzne:

– Masz tu komplet kluczy. – Podała mu pęk z czerwoną wstążką.
– Żebyś wiedział, że zawsze jest tu dla ciebie miejsce. Zostań, ile chcesz.

– Już nie chcę – odparował głosem przesiąkniętym żalem i złością.

Larysa kiwnęła głową, po czym zamknęła za sobą drzwi. Kiedy zbiegała ze schodów, nie mogła wymazać z pamięci smutnego wyrazu jego twarzy.

Z każdym krokiem czuła się coraz podłej, a gdy dotarła do garażu, uznała, że nie może tak zostawić brata.

– Niech cię szlag, Bartek – rzuciła, wracając na klatkę schodową.

Przeskakiwała po kilka schodów, gorączkowo układając plan spotkania z Fantomem. Nurtowało ją to, dlaczego mężczyzna zaproponował, by spotkali się w opuszczonym budynku przy skrzyżowaniu Maczka i Armii Krajowej, na Bielanach. Mijała to gmaszysko kilkakrotnie i niemal za każdym razem miała ciarki, gdy na nie patrzyła.

Kamienny kolos z charakterystycznym elementem na dachu, przypominającym wieżę kontroli lotów lub statek kosmiczny, należał do EuRoPol Gazu, firmy będącej właścicielem części gazociągu jamalskiego. O ile wiedziała, w zamierzeniu miał być oszłamiającą wizytówką przedsiębiorstwa, tymczasem stał tam w surowym stanie już od kilkunastu lat i straszył swoim

szkieletem. Pogłoski mówiły, że pierwotnie wewnątrz miały powstać zimowy ogród, dwupiętrowy parking podziemny na prawie czterysta samochodów, bar dla VIP-ów i korty tenisowe, ale żaden z tych planów nie doszedł do skutku.

Kiedy dotarła do mieszkania, drzwi otworzyły się przed nią w trybie natychmiastowym, a za nimi pojawił się uśmiechnięty od ucha do ucha i ubrany Bartek.

– Byłabyś głupia, gdybyś nie wróciła – powiedział. – Stałem przy wizjerze i czekałem na moment, w którym odzyskasz rozum. Przyznaję, że chwilę to zajęło.

Chwilę później Larysa wskoczyła na Wisłostradę, którą o tej porze sprawnie można było przejechać na północ Warszawy. Na wysokości mostu Grota-Roweckiego skręciła w lewo w Armii Krajowej i wreszcie zaparkowała samochód przy ulicy Literackiej, na tyłach opuszczonego budynku EuRoPol Gazu.

Przez całą drogę Bartek nawijał jak szalony, najwyraźniej podniecony wizją wielkiej dziennikarskiej przygody, ale siostra zbywała jego pytania oszczędnymi pomrukami i półsłówkami. Usiłowała się skupić na zadaniu, zaplanować drogę ucieczki, na wypadek gdyby człowiek w masce okazał się mniej zrównoważony, niż zakładała.

– Serio chcesz tam wejść? – zapytał jej brat, przyglądając się gmaszysku. – Słyszałem, że CBA interesuje się tym budynkiem. Podobno mają tu przenieść swoją siedzibę, żeby nie gnieździć się przy Alejach Ujazdowskich. Dlaczego ten koleś umówił się z tobą akurat tutaj?

– Miejsce nie ma znaczenia – powiedziała, by go nie niepokoić, choć tak naprawdę sama zadawała sobie to pytanie. – Ważne, że zgodził się porozmawiać. Zadam mu kilka pytań, on na nie odpowie i po wszystkim.

– Nie no, jasne. Po co spotykać się w kawiarni, skoro można w wielkim, opuszczonym budynku. A to, że trzy dni później policja wyłowi twoje oskórowane ciało z Wisły, to już nieistotne.

– Nie dramatyzuj. Jestem przygotowana.

Wyjęła z plecaka latarkę i gaz pieprzowy, pokazała je demonstracyjnie bratu, po czym schowała do kieszeni bojówek.

– Powiesz mi chociaż, z kim się spotykasz? – drażył. – Jak się nazywa ten facet?

– Za dużo pytasz, młody, wyluzuj. Mam telefon, w razie czego zadzwonię. Przesiadź się za kierownicę i nie ruszaj się stąd nawet na chwilę. Gdybyśmy musieli uciekać, poprowadzisz.

– Czyli teraz mam robić za baby drivera? – Bartek wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki słuchawki podłączone do smartfona i włożył je w uszy, a potem wyciągnął do niej rękę. – Daj mi jeszcze na chwilę swój telefon, zainstaluję ci lokalizator; dzięki temu będę wiedział, gdzie szukać twoich zwłok.

Larysa popukała się w głowę i z niechęcią podała mu telefon.

– Później to usunę. Spokojna twoja rozczochna. – Puścił do niej oko i zaczął klikać palcami tak zwinnie, jakby nie zajmował się w życiu niczym innym. – Trzymaj. – Oddał jej smartfona, gdy skończył.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale siostra nie czekała na kolejne przejawy troski, tylko zatrzasnęła za sobą drzwi i przeskoczyła przez prowizoryczne ogrodzenie wykonane z białej falistej blachy. Ostrożnie obchodziła budynek dookoła, szukając sposobu na wejście do środka.

Ku jej zdziwieniu gmach był utrzymany w dobrej kondycji, większość okien została osadzona i tylko niektóre z nich szczelnie zaklejono folią. Nagle wydało jej się, że dostrzegła błysk latarki. Obserwowała budynek przez chwilę, a gdy podeszła bliżej, zauważyła, że w jednym miejscu folia nieco odstaje.

Powoli wśliznęła się do środka i znalazła się w wielkiej, zaciemnionej hali, do której wpadały jedynie smugi światła ulicznych latarni. Jej wzrok szybko przyzwyczał się do półmroku i gdy zamierzała ruszyć przed siebie na poszukiwanie mężczyzny w masce, usłyszała czyjś głos.



Na biurku Brunona piętrzyły się żółte samoprzylepne karteczki. Zapisał na nich nazwiska potencjalnych podejrzanych. Filipa Sochy, Karoliny Stein, Wiktora Zakrzewskiego i Agnieszki Bieleckiej, kobiety z bloku przy ulicy Kazury. Trzy z nich oderwał, zwinął w kulkę i cisnął do kosza.

Po chwili namysłu Wilczyński dopisał jeszcze jedno nazwisko, Jacka Lewickiego. Wprawdzie mężczyzna na pierwszy rzut oka nie miał związku ze sprawą, ale słowa, które powiedział w ostatniej rozmowie, nie dawały policjantowi spokoju. Usiłował zrozumieć, co ten chory człowiek chciał mu przekazać, mówiąc: „Nie masz pojęcia, co nadchodzi”, i uznał, że być może morderstwo na Ursynowie było jakąś nową, obłąkaną grą Lewickiego. Postanowił go mieć na oku, a przy tym zanotował, by zweryfikować alibi Jacka. Co więcej, w ostatnich dniach zaczął poważnie zastanawiać się nad przyjęciem zaproszenia mężczyzny i spotkaniem się z nim w restauracji w Konstancinie. Ze wszystkich irracjonalnych pomysłów, jakie przychodziły Wilczyńskiemu do głowy, ten wydawał się najbardziej kuszący.

Spoglądając w stronę okna, sięgnął po zimną już czarną kawę, a drugą ręką wybrał numer znajomego patologa, Stefana Kościa.

– Cześć, Grubasie – przywitał się utartą ksywką, na którą jego kumpel zawsze reagował suchym rechotem nałogowego palacza. – Czytałem twój raport z sekcji Oliwii Sochy, straszne nudy. Powiesz mi coś ciekawego czy będę się musiał nauczyć czytać między wierszami?

– A to ty w ogóle umiesz czytać? Zobacz, dałem się nabrać na te stereotypy o policjantach.

– Tylko te o pączkach są prawdziwe, a poza tym mam dziś nastrój pod tytułem „jem lody prosto z pudełka”, więc przestań mnie torturować.

– No co mam ci powiedzieć? Wszystko jest w papierach. Ktoś jej bardzo nie lubił. Trzeba się postarać, żeby tak roztrzaskać czaszkę. Dostała minimum dwadzieścia ciosów, wszystkie w głowę, więc sprawca musiał być podobnego wzrostu albo wyższy. Na ciele nie znalazłem żadnych śladów walki. Brak zadrapań, rys, jakby w ogóle się nie broniła. Być może ktoś zaatakował ją z zaskoczenia albo była to osoba, której ufała i nie spodziewała się z jej strony napaści.

Bruno milczał, wyobrażając sobie, jak auto Oliwii Sochy jedzie wąskimi drózkami po nierównym terenie za Górką Kazurką, gdy nagle coś je zatrzymuje. Ktoś stoi na poboczu i macha do niej, a może jedzie za nią samochodem i długimi światłami daje jej znak, by się zatrzymała. Kobieta gasi silnik, spogląda na śpiącego w foteliku syna, a później otwiera drzwi, podnosi się i odwraca w stronę mordercy, który zniemacka uderza ją w głowę. Oliwia zatacza się oszołomiona, po jej czole płynie gęsta struga krwi. Kobieta unosi do góry dłoń, po czym dotyka rany, a na jej twarzy maluje się zdziwienie, które za chwilę, gdy spada na nią grad ciosów nie do udźwignięcia, zamienia się w przerażenie. Ranna, a może już martwa upada na trawę, ale dla sprawcy to za mało, tłucze młotkiem w jej głowę bez opamiętania, do czasu, aż napięcie w nim ustępuje. Wilczyński niemal widział, jak zdyszany zabójca podnosi się znad ciała Oliwii, ale zanim zniknie, ostrożnie otwiera tylne drzwi w samochodzie i przez chwilę przygląda się dziecku, dotyka jego różowego policzka, a potem odpina pasy w foteliku chłopca i odchodzi.

– To nie ma sensu – rzucił komisarz do telefonu, który cały czas trzymał przytknięty do ucha. – Jego działania były najpierw gwałtowne i dzikie, a gdy już ją zabił, postępował w sposób niezwykle opanowany. Niczym doktor Jekyll i mister Hyde. Jak gdyby coś go po drodze przemieniło.

Stefan Kość mruknął po drugiej stronie, jakby głośno myślał.

– Techniczni nie znaleźli niczego na foteliku chłopca? – dopytał. – Sprawca mógł coś tam zostawić, skoro wypiął małego z pasów.

– Mógł, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Wszystko było wytarte, kłamka, kłamra pasa. Jedyne ślad to dziwna, lepka substancja na ubraniu ofiary. Według laboratorium to najpewniej klej, ale nie wiadomo skąd, bo nie zachowały się w nim komórki naskórka.

– No to macie do czynienia z cholerną matryoszką. Potworem schowanym w człowieku.

Bruno pomyślał, że to przypomina nieco indiańską legendę o dwóch wilkach, białym i czarnym, żyjących w duszy człowieka. Pomiedzy nimi trwa nieustanna walka, konflikt między ludzką, mroczną stroną a jaśniejszą i szlachetniejszą częścią nas. Wygrywa ten, którego karmi człowiek. Pytanie nie brzmiało więc, czy czarny wilk zaatakuje ponownie, tylko kiedy zostanie nakarmiony.

– A te drobinki krwi pod paznokciami? Zdażyliście to już zbadać?
– przypomniał sobie nagle komisarz.

– Masz idealne wyczucie czasu. Koleżanka z laboratorium przed chwilą przyniosła mi wyniki. Stwierdziła po genotypie, że należą do krewnego ofiary, a dokładnie do jej syna, Ryszarda Sochy.

Wilczyński aż zagwizdał.

– Muszę lecieć – rzucił do słuchawki.

Wbiegł do pokoju, w którym wśród innych policjantów pracowała aspirant Sylwia Konopacka. Siedziała przy komputerze i oglądała nagrania z monitoringu sklepowego, na których widać było Oliwię Sochę spacerującą po lidlu z synem. Bruno stanął za plecami policjantki i klasnął w dłonie tak mocno, że aż podskoczyła.

– Jezu – westchnęła, przyciskając dłonie do piersi i patrząc karcąco na kolegę, po czym wróciła do przewijania materiału.

– Niektórzy mówią na mnie Wilk, ale ta nowa ksywka zdecydowanie bardziej mi się podoba. Szczególnie idąca za nią umiejętność pomnażania wina. – Puścił do niej oko. – Mam nowe informacje z laboratorium kryminalistyki – dodał przekonany, że zyska tym uwagę policjantki, ale ona patrzyła w ekran jak zahipnotyzowana.

– Ja pierdołę, zobacz to. – Sylwia cofnęła nagranie i puściła je od momentu, w którym Oliwia Socha wchodzi z dzieckiem w alejkę

z napojami.

Wilczyński patrzył, jak na zarejestrowanym w markecie materiale kobieta z telefonem w ręku najpierw ciągnie zmęczone dziecko za sobą, a później, gdy mały się zatrzymuje i coś do niej mówi, chwytą go za ramię i ściska je tak mocno, że chłopiec upada na posadzkę. Oliwia Socha najwyraźniej usiłowała go podnieść za ubranie, ale malec wyrwał się jej i schował za paletą z sokami. Wtedy zza rzędu półek wyszedł pracownik sklepu, mówił coś do matki, żywo gestykułując, ale ona go zignorowała, chwyciła syna za rękę i powlekła go za sobą w stronę kas. Drobny Rysio Socha cały czas trząsał się od płaczu i ocierał kapiące z nosa gile dłonią.

Gdy nagranie się zatrzymało, przez chwilę obok biurka aspirant Konopackiej panowała cisza.

– Dowiedz się, jak się nazywa ten facet. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiali i co robił później. – Bruno patrzył na policjantkę, która w pośpiechu notowała zadania. Czuł, jakby właśnie otrzymał zastrzyk pobudzającej adrenaliny. – Przejrzyj dokładnie nagrania z garażu w galerii i te spod lidla, zobacz, czy ktoś się jej przyglądał albo za nią szedł. Prześledź całą jej drogę. Raz jeszcze przeczesz monitoring uliczny na Stryjeńskich i przy Belgradzkiej. Zweryfikuj każdą rejestrację. Chcę wiedzieć, kto poruszał się po okolicy w czasie, gdy popełniono przestępstwo – wyrzucił na jednym wdechu. – A ja złożę wizytę ojcu chłopca.

– Mogę pojechać z tobą? – psycholog Justyna Dembska, która niespodziewanie pojawiła się obok, wpatrywała się w Wilczyńskiego wielkimi oczami, przypominającymi spojrzenie jelonka Bambięgo z disneyowskiej bajki. – To mi pomoże w budowaniu profilu.

Kobieta stała wyprostowana, patrzyła mu prosto w oczy, raz na jakiś czas naturalnie uciekając wzrokiem, i tylko jej stopy zwrócone czubkami butów do siebie świadczyły o tym, że nie czuje się pewnie, rozmawiając z komisarzem. Z bliska Bruno wyraźnie widział wyprasowany kołnierzyk koszuli, perfekcyjny, aczkolwiek subtelny makijaż Justyny, czuł zapach jej delikatnych, nienachalnych perfum i jedynie drobne ranki przy paznokciach,

powstałe zapewne na skutek obgryzania skórek, były drobną rysą na tym wzorowym wizerunku.

– Zróbmy tak – odparł. – Udam, że nie dosłyszałem, o co pytasz, a ty w swojej nieśmiałości nie odważysz się drugi raz poprosić.

– Chcę pojechać – powiedziała twardo, a jej usta zacisnęły się w wąską kreskę.

Przypominała teraz upartą dziewczynkę, która lada chwila zacznie tupać nogami, by osiągnąć swój cel.

Bruno zastanawiał się, co zrobić, i ta chwila zawahania go zgubiła. Do jego wnętrza zaczęło wślizgiwać się nieuzasadnione współczucie w stosunku do tej kobiety. Wydawało mu się, że stopniowo wypełnia jego wnętrze. Jakby patrząc w jej oczy, dostrzegł, że gdzieś w środku jest już złamana, i nie chciał stać się tym, który pograży ją całkowicie. Zamierzał jej wyjaśnić, że nie pracuje w duetach, że jego zmysły są najczulsze, gdy sam analizuje sprawę, a każdy głos z boku deformuje obraz, ale pierwszy raz w życiu nie potrafił tego zrobić.

Czuł, że jeśli kategorycznie jej odmówi, będzie odpowiedzialny za to, co się z nią stanie.

– Dobra, zabiorę cię, ale to ja będę rozmawiał z Sochą. Jasne?

Dembska kiwnęła głową.

– I błagam, bez uprzejmościowych small talków w samochodzie – dodał. – Jeśli już musisz prowadzić jakiś dialog, to niech to będzie dialog wewnętrzny.



Larysa stała nieruchomo w opuszczonym budynku EuRoPol Gazu, czując w opuszkach palców pulsującą krew. Tuż za jej plecami znajdował się nieznajomy w masce.

– Jesteś potwornie uparta – powiedział. – Wybrałem to miejsce, żeby sprawdzić, czy zadasz sobie aż taki trud i czy wystarczy ci

odwagi. Nie boisz się, że coś ci zrobię? – zapytał, a gdy zaprzeczyła, dodał: – Dlaczego tak bardzo zależy ci na tej rozmowie?

Dziewczyna odwróciła się powoli, czując pod stopami pokruszone kawałki cementu, a potem z uwagą przyglądała się męskiej sylwetce w bluzie z kapturem i jego białej masce, na której widok przeszedł ją dreszcz. Chłopak miał przyjemny, budzący zaufanie głos, ale z jego postawy biła jakaś niepokojąca siła.

– Chcę się dowiedzieć, kim jesteś i dlaczego to robisz – odparła. – Chcę cię zrozumieć.

– Nie możesz – zaprotestował ostro, a jego głos poniósł się echem w pustej hali. – Nic o mnie nie wiesz. Nie przeszłaś tego, co ja. Wydaje ci się, że potrafisz mnie przejrzeć, ale tak naprawdę się mylisz.

Na dłuższy czas zapadło między nimi głębokie milczenie. Larysa pomyślała, że pewnie chłopak ma rację. Nie dowiedziała się o nim absolutnie niczego więcej – poza tym, co wyczytała w artykule Pawła. Nie udało jej się odnaleźć jego matki, Barbary, ani tym bardziej siostry, Anny. W jej głowie było zdecydowanie więcej pytań niż odpowiedzi.

– Paweł powiedział, że mnie odnajdziesz. Wtedy, gdy go zabierali na dworcu – wyjaśnił Fantom. – Zmienił się, inaczej go zapamiętałem – dodał po chwili.

– Dlaczego chciałeś rozmawiać tylko z nim? Przypuszczam, że poznaliście się, gdy pisał reportaż o twojej siostrze.

– Wszyscy wokół kłamali, a on nie. Ufałem mu. On pierwszy mi powiedział, że to nie moja wina. Choroba Ani, odejście ojca, że to nie przeze mnie. – Zaśmiał się gorzko niczym filmowy Joker, a Larysa poczuła, że cierpnie jej skóra. – Gdyby matka nie ocenzurowała artykułu, wszyscy dowiedzieliby się, jak to u nas było naprawdę, a tak... została tylko jej radosna wizja świata. – Niespodziewanie kopnął kamień, który leżał na podłodze.

Dziewczyna aż podskoczyła, przygryzła wargi i nagle poczuła przeszywające zimno wbijające się w jej ciało milionem maleńkich, ostro zakończonych szpilek. Fantom opowiadał o swoim życiu lekkim, niemal żartobliwym tonem; w barwie jego głosu było coś,

co kazało myśleć, że pod maską jego usta rozciągały się w szerokim uśmiechu. Jakby jego system obronny osłaniał go przed wspomnieniami tego, czego doświadczył.

Chłopak, który dotychczas stał oparty o betonowe podwyższenie, z nienacka wskoczył na nie i gestem zaprosił Larysę, by zajęła miejsce obok niego. Wahala się przez moment, z niepokojem rozejrzała się wokół, ale w końcu przyjęła zaproszenie.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał pojednawczo.

Dziennikarka przyglądała się mu w skupieniu, a w myślach rozważała różne scenariusze rozmowy.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – powiedziała w końcu, zapraszając go do zwierzeń.

– Kiedy na świat przyszła moja siostra, Ania – zaczął – w domu zrobiło się bardzo smutno. Mama wymyśliła wtedy, że będziemy się na siłę uśmiechać. Za każdym razem, gdy przyłapywała mnie z inną miną, wpadała w furję. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Miałem wtedy trzy lata, ale szybko zrozumiałem, że matka kocha mnie tylko wtedy, gdy się uśmiecham, a kiedy jestem smutny albo zdenerwowany, już nie. Doskonale pamiętam, jak wydzierała się na mnie cała czerwona ze złości i straszyla, że jeśli nie przestanę się mazgaić, to mnie wyrzuci z domu.

Chłopak chwycił jakiś kamień i cisnął nim z furią o ścianę tak nagle i niespodziewanie, że Larysa się wzdrygnęła. Powoli uspokoiła oddech i dyskretnie sprawdziła, czy dyktafon, który ma w kieszeni, cały czas nagrywa.

– W tej całej historii nie znalazłam niczego o twoim ojcu. Co się z nim stało?

– Zostawił nas. – Fantom parsknął śmiechem. – Czasami w snach wraca do mnie dziwne wspomnienie. Bawię się drewnianymi klockami na dywanie, mama nosi na rękach płaczącą Anię, a tata czyta przy stole gazetę. Wieża, którą buduję, upada, więc denerwuję się i zaczynam płakać, na co matka od razu mnie upomina. „Adamie, Bóg widzi, jaki jesteś niewdzięczny” – naśladował głos matki. – Zaciskam zęby i staram się budować dalej, ale jestem tak zdenerwowany, że mi nie wychodzi. Klocki

upadają, a ja znowu zaczynam pociągać nosem. Wtedy podchodzi do mnie tata, wstaje od stołu zupełnie zwyczajnie, zostawia na nim niedopitą herbatę, otwartą gazetę, kładzie mi rękę na głowie i mówi: „Przepraszam, synu”, a potem wychodzi. Jakby poszedł sprawdzić skrzynkę na listy albo zobaczyć, kto dzwoni do drzwi. Tyle że on nigdy już nie wrócił. Nigdy więcej go nie widziałem, ale zawsze myślałem, że wyszedł przeze mnie. Bo się wtedy rozplakałem. – Ostatnie zdanie wypowiedział niemal szeptem i spuścił głowę.

Larysa wzięła głęboki wdech i zaczęła nerwowo pocierać płatek ucha. Czuła, że robi się jej duszno od nadmiaru ciężkich emocji, które nosił w sobie ten mężczyzna.

– Rozumiem, że musiało ci być trudno – powiedziała, by zachęcić go do opowieści.

– Niczego nie rozumiesz! – ryknął niespodziewanie. – Matka mówiła, że jeśli będę się mazgaił, to Bóg zabierze nam też Anię. Tak jak zabrał ojca. Za karę. Ona za wszelką cenę starała się udowodnić wszystkim, że ma normalne dziecko. Jeśli ktoś odważył się użyć w naszym domu słowa „down”, karała go kilkudniowym milczeniem i traktowała, jakby był powietrzem. Dopiero niedawno zrozumiałem, że ojciec zostawił nas przez nią, a nie przeze mnie.

Larysa podciągnęła nogi pod brodę i objęła swoje ciało ramionami. Tak bardzo żałowała, że nie widzi jego twarzy, nie może w niej czytać i obserwować, jak się zmienia.

– Dlaczego ukrywasz się za tą maską?

– A nie robiłem tego zawsze? – zapytał. – Za każdym razem, gdy za wszelką cenę starałem się zadowolić matkę, zakładałem maskę. Wtedy wydawało mi się to normalne, myślałem, że tak trzeba, ale kiedy umarła Ania, wszystko się posypało. – Jęknął i ścisnął skronie, jakby coś go zabiło.

– A ci ludzie? Z jakiego powodu ich prześladujesz? Czego od nich chcesz?

Chłopak przez dłuższy czas milczał. Patrzyła na jego duże, silne dłonie, ciasno splecione ze sobą, na klatkę piersiową, która poruszała się pod bluzą w rytm miarowego oddechu.

– Któregoś dnia ustawiałem wózki na parkingu w jednej galerii handlowej – zaczął opowiadać, wpatrując się w posadzkę. – Było późno, jakaś matka szarpała zmęczone dziecko. Mówiła tej dziewczynce, że za wolno chodzi, że takie ślimaki do niczego się nie nadają, że ma przez nią same kłopoty. Słyszałem, jak z niej szydzi i ją wyśmiewa, a potem patrzyłem, jak wpycha ją do samochodu, potrząsa nią i doprowadza do płaczu, za który później ją bije. – Pokręcił głową i jeszcze ciaśniej splótł dłonie. – Miałem ochotę rzucić się na tę kobietę i pieprzyć ją o ścianę. Walnąć tak mocno, żeby zrozumiała, co robi, ale nie byłem w stanie się ruszyć. Widziałem, jak odjeżdżają, i stałem niczym zamurowany w miejscu, do czasu aż jakiś inny samochód na mnie zatrafił. Tamtej nocy zrozumiałem, że to, co robiła moja matka, nigdy nie było normalne. I że przemoc wcale nie musi oznaczać bicia.

Larysa pomyślała o ludziach, którzy opisywali swoje doświadczenia z człowiekiem bez twarzy. Wszyscy, których udało się jej zweryfikować, byli rodzicami.

– Czy to znaczy, że planujesz teraz wymierzać sprawiedliwość? Zamierzasz nękać ludzi, którzy krzywdzą swoje dzieci? Skąd ich w ogóle bierzesz?

– Z ulicy albo z internetu. Idioci chwalą się na forach, jak to nienawidzą swoich bachorów i jak je gnębią, żeby wiedziały, gdzie jest ich miejsce. Poczytaj, robi się od tego niedobrze. – Rzucił kamieniem w posadzkę. – Chcę im zafundować wstrząs, obudzić ich. A według mnie tylko gdy czujesz, że możesz stracić wszystko, że jesteś o krok od śmierci, zaczynasz inaczej patrzeć na to, co masz.

Nachylił się ku niej i spojrzał jej w oczy w sposób, który sprawił, że zadrżała. Siedziała obok człowieka po brzegi wypełnionego nienawiścią i zdolnego do wszystkiego.

Niespodziewanie wyciągnęła dłoń w stronę jego maski, jakby chciała ostatecznie go odsłonić, ale Fantom wyrzucił ramiona przed siebie i trafiając Larysę w klatkę piersiową, zepchnął ją z betonowego bloku, jednocześnie wydając z siebie ryk rannego zwierzęcia.

Działo się to tak szybko, że chyba sam był zaskoczony swoją reakcją. Kiedy dziewczyna upadła na twardą betonową podłogę, krzyknęła z bólu, jej zuchwa niefortunnie uderzyła w sporej wielkości kamień. Powoli podniosła się, trzymając dłonią za brodę, z której ciurkiem ciekła krew.

– I po co to zrobiłaś?! – grzmiał, miotając się. – Wszystko zepsułaś. Jesteś zła, tak jak oni!

Widziała, że trzęsą mu się ręce.

– Chciałam jej tylko dotknąć – usiłowała wytłumaczyć.

W chwili, gdy to mówiła, oboje usłyszeli kroki, a za oknami zamajaczyła jakaś sylwetka. Kilka sekund później folia w oknie zaszeleściła i do środka wsunęła się niewyraźna postać.

– Kto to?! – krzyczał Fantom, uderzając się pięściami w głowę. – Okłamałaś mnie. Miałaś być sama. Jesteś taka jak wszyscy!

Chłopak zeskoczył z podwyższenia i rzucił się pędem w głąb budynku. Tymczasem Larysa odwróciła się w stronę człowieka, który właśnie wszedł do środka, a kiedy odkryła, że jest nim Bartek, zacisnęła zęby ze złości.



Komisarz Wilczyński wrzucił piątkę i przycisnął mocniej gaz, by jak najszybciej przeskoczyć Puławską, a później bocznymi uliczkami dojechać do domu Filipa Sochy.

Justyna Dembska wydawała się niewzruszona nagłymi zrywami samochodu, patrzyła przed siebie niczym zahipnotyzowana, a jej dłonie były równo ułożone na kolanach. Przypominała manekina sklepowego usadzonego sztywno w witrynie. Bruno zerknął na nią przelotnie i zauważył, że porusza delikatnie ustami, jakby była w transie, ale jej głos był na tyle cichy, że nie zdołał wyłowić poszczególnych słów.

– Mogłabyś mówić głośniej? Kiedy tak szepczesz, nie jestem w stanie podsłuchiwać – zagaił.

Profilerka, wyrwana z letargu, spłoszyła się, a na jej policzki wystąpił delikatny rumieniec.

– Mówiłam coś? Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy – wydukała, wyłamując palce. – Ostatnio mam sporo na głowie. Wiecznie siedzę sama z dziećmi i niekiedy już od tego wariuję.

Bruno przyglądał się jej z ciekawością. Bez wątpienia była introwertyczką, odzywała się rzadko i tylko wtedy, gdy miała coś konkretnego do powiedzenia, reszta jej bujnego życia toczyła się w ukryciu i nikt nie miał do niego dostępu.

Ostatniej nocy poczytał trochę o niej w internecie, ale nie znalazł tam wielu wartościowych informacji. Dobre uczelnie, wieloletnia praktyka, kilka pochlebnych opinii policjantów, z którymi współpracowała w charakterze profilerki. Wszędzie powtarzały się słowa: pracowita, ambitna, perfekcjonistka. Najbardziej zaciekawiła go rozmowa na jednym z wiodących portali informacyjnych, w której Dembska opowiadała o metodzie zanurzenia, z której korzystała w pracy, przypominającej w opisie aktorską metodę Stanisławskiego. Ten rosyjski reżyser teatralny nakazywał aktorom czerpać z własnych przeżyć i wspomnień, ożywiać w sobie dawne emocje, by móc lepiej oddać stany uczuciowe odgrywanego bohatera. Justyna przyznała, że na potrzeby tworzenia profilu niekiedy wyobraża sobie, że staje się sprawcą, a także usiłuje zbudować w sobie podobne obsesje, by dzięki temu zrozumieć, co popchnęło go do zbrodni.

Dembska w wywiadzie podkreślała, że zawsze stara się dowiedzieć jak najwięcej o ofierze, jej stylu życia i zwyczajach, przygotowuje skrupulatny wywiad wiktymologiczny, a przy tym analizuje zgromadzony w aktach materiał. Funkcjonariusze, którzy z nią współpracowali, twierdzili, że często przyjeżdża obejrzyć miejsce zdarzenia i odwiedza osoby z otoczenia ofiar w ich domach. Twierdzi, że dzięki temu może zdjąć swoje okulary i spojrzeć na świat ofiary przez jej soczewki.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – podjął Wilczyński. – Nie męczą cię to nieustanne bycie idealną? Wiesz, te białe kołnierzyki, wypastowane buty i okrągłe, mądre zdania. Nie przeklinasz, nie

palisz, alkoholu raczej też nie pijesz, bo masz za ładną cerę. A jak się spóźniasz, to przepraszasz tak profesjonalnie, że gdybym kiedykolwiek chciał użyć tego słowa na „P”, przyszedłbym do ciebie na szkolenie. Ludzie muszą cię nienawidzić.

– Serio? Naprawdę tak mnie postrzegasz? – Justyna patrzyła na niego zdziwionymi oczami, a jej usta pozostawały otwarte. – Dużo się stresuję... Czy to mnie jakoś ratuje przed wizerunkiem perfekcjonistki?

– To akurat cię zabije, ale to nie moja sprawa. I nie, nie ratuje cię. Wymień chociaż trzy swoje wady.

– Chrapię, jestem krótkowidzem i krzyczę na dzieci.

Bruno zakrył dłonią twarz.

– Czujesz ten zapach? – zapytał po chwili. – To chyba swąd siarki z piekieł; właśnie uchyłili drzwi, bo usłyszeli o twoim największym grzechu: byciu idealną. – Wzdrygnął się, udając obrzydzenie. – Dwie z rzeczy, które wymieniłaś, są niezależne od ciebie, to czysta fizjologia, a ta trzecia to dość powszechna cecha przemęczonych rodziców. Gdybyś wbijała swoim dzieciom paznokcie w skórę i przyciskała je aż do krwi, jak Oliwia Socha, byłbym pod wrażeniem, a tak... zmarnowałaś swoją szansę.

– Najwyraźniej nie jestem w stanie ci zaimponować.

Justyna Dembska powiedziała to w jakiś smutny sposób, jakby świadomość tego, że kogoś nie zadowala, budziła w niej bezmierną gorycz. I nagle Bruno zrozumiał, dlaczego poczuł się za nią odpowiedzialny. Profilerka przypominała mu matkę. Podobnie jak ona była perfekcyjna na zewnątrz, ale krucha i popękana w środku.

– Zastanawiałam się nad charakterem obrażeń Sochy – przerwała jego rozmyślenia Justyna. – Świadczą o dużej brutalności i agresji, to z kolei by oznaczało, że sprawca mógł czuć się skrzywdzony przez nią albo kogoś, kogo symbolizowała. Chciał jej w ten sposób wymierzyć sprawiedliwość, ukarać ją za jej grzechy albo za te same, które w stosunku do niego popełnił ktoś inny, a ona tylko je odzwierciedlała – wyjaśniała w skupieniu. – Wynikałoby z tego, że

ich drogi już się wcześniej przecięły, że musiał ją już gdzieś spotkać i coś o niej wiedzieć, ale niekoniecznie byli w bliskiej relacji.

Wilczyński mruknął w zamyśleniu, analizując hipotezę Dembskiej. On też cały czas wracał do wątku silnych emocji, którymi napędzany był atak, i usiłował zrozumieć, jak po tak brutalnej zbrodni morderca mógł się wyciszyć i ze spokojem zatroszczyć się o dziecko. A może się mylili? Może chłopca też chciał zabić, tyle że nie zdążył? Szybko jednak odrzucił tę teorię. Gdyby zamierzał skrzywdzić dziecko, nie rozpinałby mu pasów na tyle delikatnie, by go nie obudzić. On ewidentnie przygotował małemu drogę ucieczki, po czym bezszelestnie wycofał się z tej makabrycznej scenerii.

– Nie wydaje ci się to dziwne, że zostawił chłopca? – zwrócił się do Justyny Bruno. – Dużo w ten sposób ryzykował. Dzieciak mógł coś słyszeć albo widzieć. Człowiek, który potrafił zatłuc kobietę młotkiem, nie zawahałby się przed skrzywdzeniem dziecka.

– Może nie jest takim potworem, za jakiego go masz – zasugerowała. – Najwyraźniej chodziło mu tylko o nią. Ryś z jakiegoś powodu musiał być dla niego ważny – powiedziała, marszcząc czoło. – A poza tym sam mówiłeś, że chłopiec spał, więc nie stanowił dla sprawcy zagrożenia. Właściwie to, że zasnął, uratowało mu życie. – Spojrzała w przymglone okno i wzięła głęboki wdech.

Wilczyński zastanawiał się nad słowami profilerki; pobrzmiewało w nich zbyt dużo współczucia, które on skutecznie w sobie dusił. Uczucia rozmywały obraz, utrudniały rzeczową ocenę sytuacji i zaślepiały.

– Masz dla tego dzieciaka zadziwiająco dużo czułości, zdecydowanie więcej niż dla jego matki. O niej mówisz chłodno i bezosobowo – zauważył.

Justyna zaczęła bawić się obrączką zawieszoną na łańcuszku.

– Mam syna w jego wieku – wyznała cicho.

– Chryste, Pękała o tym wie?

– Nie wiem, nie jestem pewna, ale nie mów mu, proszę. – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – Potrafię być obiektywna.

– Właśnie widzę – rzucił z przekąsem, parkując pod domem Filipa Sochy.

Gdy wysiadł z auta, Dembska podeszła do niego i złapała go za ramię.

– Zapewniam cię, że to nie ma wpływu na moją pracę. – Wpatrywała się w niego z oczekiwaniem.

Bruno nic nie odpowiedział, strząsnął z siebie rękę kobiety i wcisnął guzik domofonu. Po kilku chwilach zadźwięczał charakterystyczny brzęczyk, a bramka ustąpiła przy lekkim pchnięciu.

Wilczyński wszedł pierwszy przez furtkę i zacisnął usta. Każdy jego krok wydawał się ciężki. Przepęniała go złość wymieszana z rozczarowaniem. Nie wierzył w to, że profilerka będzie w stanie odsunąć emocje na bok, i żałował, że przez chwilę już prawie zobaczył w niej partnera o podobnej do jego wnikliwości. Justyna szła za nim z rękami w kieszeniach kurtki i ze spuszczoną głową.

Gdy znaleźli się pod drzwiami, chciała coś jeszcze powiedzieć, wyciągnęła rękę i dotknęła łokcia policjanta, ale dokładnie w tej samej chwili ojciec chłopca otworzył drzwi.

– Wejdźcie. – Zaprosił ich do środka gestem. – Jakieś nowe informacje? Wiecie już, kto to zrobił? – Popatrzył na nich z nadzieją.

– Nie, staramy się to ustalić – wyjaśniła pospiesznie Dembska.

– Staracie się. – W wypowiedzi Sochy pobrzmiewała kpina.

Właściciel domu patrzył wyzywająco na funkcjonariuszy, jakby oczekiwał, że zaczną się tłumaczyć, ale gdy nic takiego się nie wydarzyło, odwrócił się tyłem i idąc w głąb domu, rzucił w przestrzeń:

– Właśnie zaparzyłem kawę. Zapraszam.

Bruno i Justyna podążyli za gospodarzem, a każde z nich lustrowało wnętrze na swój sposób. Ich uwagę zwróciły porozrzucane gdzieś tam ubrania i zabawki, buty stojące w nieładzie oraz suszarka na pranie rozłożona w salonie. Nieotwarte jeszcze, zaadresowane do Oliwii przesyłki z Zalando poniewierające się w korytarzu, mop upchany za drzwiami i kurz

na meblach. Krajobraz po zniknięciu osoby, która dotychczas dbała o porządek. Pejzaż otoczenia wdowca, dla którego w obliczu śmierci żony ten bałagan nie miał żadnego znaczenia.

W domu było nadzwyczaj cicho. Wilczyński pomyślał, że ojciec powierzył opiekę nad chłopcem komuś z rodziny, by w spokoju zająć się przygotowaniem pogrzebu, który miał się odbyć niebawem. Idąc korytarzem, uważnie przyglądał się ścianom pokrytym farbą w kolorze błękitnego nieba. Zauważył tłuste ślady dziecięcych dłoni mniej więcej na wysokości swojego biodra i rodzinne zdjęcia, na których Oliwia Socha trzymała na rękach niemowlę, a jej twarz emanowała szarością i zmęczeniem.

Kiedy przekroczyli próg kuchni i usiedli przy stole, dotarła do niego przyjemna woń świeżo zmielonej kawy, a jego żołądek przypominał o sobie głośnym burczeniem.

– Niestety nie mam was czym poczęstować. Od śmierci Oliwii chodzimy z Rysiem do knajpek albo zamawiamy jedzenie na wynos – tłumaczył się gospodarz, stawiając kubki na blacie. – Wciąż nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł jej to zrobić. Czym sobie na to zasłużyła?

– To musi być potwornie trudne. – Justyna wysłała wdowcowi pokrzepiający uśmiech, który zgasł chwilę później, gdy Bruno spiorunował ją spojrzeniem.

Spuściła wzrok i zawstydzona sięgnęła po naczynie pełne parującego czarnego napoju, ale choć próbowała, trudno jej było ukryć drżenie dłoni.

– Jako że robi mi się mdło od nadmiaru uprzejmości, przejdę do rzeczy – zaczął Wilczyński. – Po pierwsze, ludzi nie spotyka to, na co zasługują, tylko to, co się im przytrafia. Po drugie, czy twoja żona biła małego? – zapytał o to niefrasobliwym tonem, jakim goście zazwyczaj proszą o cukier albo o wskazanie drogi do toalety.

Filip Socha, który właśnie wziął duży łyk kawy, najwyraźniej się tego nie spodziewał. Zachłysnął się, po czym zaczął spazmatycznie kaszleć, wypluwając resztki napoju na granitowy blat. Dopiero po chwili udało mu się odzyskać oddech. Jego twarz przybrała purpurowy kolor, a oczy nabiegły wilgocią.

– Przepraszam – wycharczał, ścierając rozlaną kawę papierowymi ręcznikami. – Nie. Nic podobnego. Co to za bzdury?

– Mamy nagrania, na których widać, jak Oliwia ściska ramię Rysia tak mocno, że twój syn upada z bólu. Założę się, że ta rana na jego ramieniu pochodzi właśnie stąd. – Złapał przerażone spojrzenie adwokata. – Gdybyś zamierzał wnieść sprzeciw, od razu wyjaśnię, że krew za paznokciami ofiary należy do chłopca.

Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zamknął je i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niemożliwe – odparł. – To pewnie jakaś pomyłka. Moja żona była dobrą matką. Kochała Rysia – tłumaczył Socha.

– Być może, ale czasem miała pewnie ciężki dzień i nie wystarczało jej cierpliwości – stwierdził Wilczyński. – Po tym, jak go szarpała i wlokła przez cały sklep, nie było widać, żeby traktowała go z jakąś nadmierną troską. Właściwie wydawało się, że dziecko jej zawadza.

– Absurd! – oburzył się. – Ale nawet gdyby było w tym choć ziarno prawdy, to nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Szukacie chyba sprawcy morderstwa, a nie haków na Oliwię.

Bruno popatrzył na Sochę przeciągle, oparł łokcie na blacie, złączył ze sobą dłonie i położył na nich brodę.

– Widzisz, chodzi o to, że jeśli twoja żona krzywdziła wasze dziecko, to jesteś pierwszą osobą, która wpadłaby w szal, gdyby się o tym dowiedziała. Kto wie, do czego taka furia mogłaby cię doprowadzić? A przy tym miałeś romans, to dodatkowe tło do konfliktu z ofiarą.

Ojciec chłopca aż wstał z krzesła. Sięgnął dłonią do krawata, którego akurat nie miał pod szyją, ale który zapewne zwykł rozluźniać w takich sytuacjach. Skóra na jego policzkach była wyraźnie napięta, a nozdrza mężczyzny rozszerzyły się i lekko drgały.

– Jak śmiesz! – wysyczał. – Ile razy mam powtarzać, że byłem wtedy u Karoliny Stein? Mam alibi.

– Twoje alibi zrzygało się w moim pokoju – odparował policjant. – Poza wami dwojgiem nie ma żadnych świadków tego, że byliście

wtedy razem w jej domu. Co więcej, tak zaszalałeś ze Stein, że po waszym gorącym numerku zasnęła i niestety nie jest w stanie potwierdzić, o której od niej wyszedłeś.

Mężczyzna zacisnął pięści, jego szczęka drżała, a oczy pociemniały.

– Wynoście się stąd – warknął. – Tę rozmowę będę kontynuował tylko w obecności adwokata.

– Serio? Myślałem, że fakt, iż sam nim jesteś, załatwia sprawę – prowokował komisarz.

Socha chciał się odgryźć, ale w kuchni rozległo się głośne kichnięcie. Głowy obecnych podążyły za dźwiękiem i natknęły się na przecierającego zaspane oczy chłopca. Jego obecność do tego stopnia zaskoczyła wszystkich, że nikt nawet nie skomentował tego, jak cicho zakradł się do kuchni. Bosy Rysio stał w progu, ubrany w błękitny dres, a w dłoniach ścisnął maskotkę króliczka z długimi kończynami.

– Tato – powiedział, przeciągając się. – Chce mi się pić.

Ojciec sięgnął po szklankę z szafki i drżącą ręką nalał do niej wody z kranu, a później posadził sobie chłopca na kolanach i podał mu naczynie. Gdy mały zachłannie połykał wodę, Socha delikatnie całował tył jego głowy i wdychał słodki zapach dziecka.

– Możesz mu rozpiąć guziki? – Bruno wskazał na dwa zatrzaski na lewym ramieniu chłopca.

Mężczyzna niechętnie posłuchał policjanta i z ociąganiem zsunął bluzę z ramienia dziecka, ukazując żółty już siniak i ledwie widoczne rysy w kształcie półksiężyców na plecach. Kiedy na nie patrzył, przygryzł wargi, a potem odwrócił głowę.

– Rys, pamiętasz mnie? – zaczął ostrożnie Wilczyński i uśmiechnął się, gdy mały kiwnął głową. – Co ci się stało? – Wskazał na zasinienie.

Chłopiec posmutniał, spuścił głowę i wzruszył ramionami. Tylko jego nogi podrygiwały i z narastającą siłą uderzały w sąsiadujące krzesło, które szurając o podłogę, odsuwało się coraz dalej przy każdym kolejnym kopnięciu.

– Chcę do mamy – powiedział, wciskając twarz w szyję ojca.

Justyna przełknęła głośno ślinę, patrzyła przy tym na dziecko ze strapionym wyrazem twarzy, jakby pragnęła zdjąć z niego ciężar i ochronić je przed bólem. Położyła mu dłoń na rękę, tak delikatnie, jak gdyby dotykała śpiącego niemowlęcia.

Rysio posłał profilerce nieufne spojrzenie. Wydawało się, że usiłuje zrozumieć, dlaczego ta obca kobieta go dotyka. Dembska najwyraźniej wyczuła niestosowność sytuacji, bo niezgrabnie cofnęła dłoń i poczerwieniała na twarzy. Wydawało się, że atmosfera w kuchni stężała w ciągu ostatnich kilku minut. Młec zerknął jeszcze badawczo na ojca, a gdy ten posłał mu krzepiący uśmiech, uspokoił się.

– Chyba już czas na kąpiel, co, maluchu? Nie możemy jej w nieskończoność odkładać. – Socha pogłaskał włosy syna, a gdy dostrzegł niepokój w twarzy dziecka, rozpogodził się jeszcze bardziej, by dodać mu otuchy. – Wiem, że dotychczas zawsze robiła to mama, ale chyba już pora, żebyś dał mi szansę. Zapewniam cię, że sobie poradzę. – Podniósł do góry dwa palce, jak dzieci, które przyrzekają na „słowo harcerza”. – Napuścimy dużo wody, zrobimy pianę i będziemy chlapać na całego.

Rysio przypatrywał się ojcu z niedowierzaniem. Zamiast radości na maleńkiej dziecięcej twarzy malował się niepokój.

– Nie chcę. Nie lubię tej zabawy – odparł buntowniczo. – I nie kłam, tato, nie wolno chlapać.

Filip Socha zamrugął, nie rozumiejąc, co dokładnie jego syn ma na myśli. Wystraszony spojrzał w twarze policjantów, ale żaden z jego gości nawet się nie poruszył. Wszyscy w napięciu oczekiwali na to, co powie dziecko.

– Mama mi kazała siedzieć w zimnej wodzie, jak byłem niegrzeczny i chlapałem. Tyle godzin, ile mam lat. Mówiła, że muszę być jak śliwka, wtedy mnie wyjmie.

– Jak suszona śliwka? Taki pomarszczony? – dopytał jego ojciec.

– Nie. Fioletowy, tato.

Bruno obserwował drobną twarz dziecka i zastanawiał nad paradoksem miłości, która była silniejsza niż przemoc, a może nawet mocniejsza niż śmierć.



– Odezwiesz się w końcu do mnie? – zapytał Bartek, wciśnięty w siedzenie pasażera z powodu prędkości, z jaką Larysa prowadziła swoje saxo. – Krew ci kapie na kolana.

– Zamknij się – wyrzuciła przez zaciśnięte szczęki.

Sięgnęła po kilka chusteczek, które trzymała w kieszeni w drzwiach, i otarła nimi brodę. Znajdowali się właśnie na węźle Konotopa, w miejscu, w którym droga dość ostro zakręca, a ona trzymała kierownicę tylko jedną ręką, więc jej brat zacisnął mocno powieki i przeklął pod nosem.

– Lara, no sorry. Ile razy jeszcze muszę to powiedzieć? Usłyszałem, że coś się dzieje. Ten koleś się wydzierał, wydawało mi się, że doszło do jakiejś przepychanki między wami, więc przyszedłem z odsieczą.

– Nikt cię o to nie prosił. Wręcz przeciwnie, miałeś siedzieć na dupie w samochodzie.

Ścisnęła mocno kierownicę, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko pokręciła głową i docisnęła pedał gazu. Musnęła dłonią brodę, by sprawdzić, w jakim jest stanie, ale gdy oceniła, że rozcięcie jest dosyć długie, a skóra mokra od krwi, wrzuciła kierunkowskaz i na wysokości węzła Opacz skręciła w siódemkę.

– Gdzie jedziemy? – Bartek rozglądał się po okolicy.

– Muszę to zszyć. Wpadnę do Suchara. Wyrzucę cię po drodze przy Niepodległości, będziesz miał stamtąd blisko do akademika. I nie, nie możesz iść ze mną.

– Suchar na pewno się ucieszy, że cię widzi. Po tym, jak go okradłaś, wręcz nie może się doczekać twojej wizyty. Może już nawet stoi w oknie i tęsknie wygląda na ulicę.

Larysa zmieniła gwałtownie pas i zatrzymała się z piskiem opon w zatoczce autobusowej nieopodal centrum handlowego Blue City.

– Wysiadaaj – rzuciła do brata, patrząc przed siebie. – Jest ładna pogoda, przejdiesz się albo złapiesz jakiś autobus.

– Nie mówisz poważnie, prawda? – zapytał z nadzieją w głosie, choć wiedział, że jego siostra nie żartuje sobie z takich rzeczy. – Obiecuję, że przestanę gadać. Będę milczał jak grób, słowo.

– Oboje wiemy, że to się nie wydarzy. Wsiądź, zanim powiem o słowo za dużo i zrobi się nieprzyjemnie. – Zacisnęła dłonie w pięści.

Bartek westchnął ciężko, po czym pociągnął za kłamkę i zrezygnowany wysiadł z auta. Kiedy odjeżdżała, widziała w lusterku bocznym jego zgarbione plecy i zwieszoną głowę. Domyślała się, że będzie mu przykro, i czuła w trzewiach palące wyrzuty sumienia, ale wiedziała też, że to, co zamierzała mu wykrzyczeć, byłoby znacznie gorsze i zraniłoby go o wiele bardziej.

Skupiła się na Adamie, chłopaku w masce. Gdy go słuchała, tam, w pustym, marniejącym budynku, dotarło do niej, jak mocno wierzył w swoją misję. Według niej ludzie, których ścigał, nawet jeśli na chwilę stawali się lepsi, to wkrótce potem wracali na utarte koleiny i nadal krzywdzili swoje dzieci. Zastanawiała się, jak Fantom to zniesie, jak zachowa się, kiedy zrozumie, że tak naprawdę ma niewielki wpływ na innych ludzi. Czy wściekły nie przekroczy cienkiej granicy i po prostu nie zrobi tego, co od dawna w nim dojrzewało? Czy zabije? A może już to zrobił?

Swoje rozważania porzuciła dopiero pod drzwiami gabinetu weterynaryjnego Tygrysek. Wprawdzie przychodnia była już zamknięta, ale przy dokładniejszej inspekcji można było zauważyć poświatę ekranu komputerowego przebijającą przez opuszczone żaluzje. Znak, że jej przyjaciel weterynarz i wybawca z wielu opresji, Maciej Sachara zwany Sucharem, został dłużej w pracy i albo wypełniał zaległe papiery, albo – co bardziej prawdopodobne – oglądał jakiś stary rockowy koncert, zając się chińszczyzną z pudełka.

Larysa zapukała delikatnie w szybę, a chwilę później otworzyły się drzwi Tygryska.

– Dobrze, że w końcu przyjechałaś, bo zmęczyło mnie to czekanie na ciebie – przywitał ją Suchar.

– Bartek do ciebie napisał?

Maciek kiwnął głową i zaprosił ją do środka.

– Ostrzegł mnie, że nadchodzi burza z piorunami i że bym zarygłował zamki. Od razu wiedziałem, że chodzi o ciebie.

Usiedli naprzeciwko siebie i na chwilę zapadła między nimi krępująca cisza.

– Mam wyjść do toalety, żebyś mogła coś zwinąć jak ostatnio? – odezwał się w końcu Sachara.

– Nie musisz być wredny.

– Jestem na ciebie zły. Okradłaś mnie.

– Miałam swoje powody. Nie dałbyś mi tych leków, gdybym o nie poprosiła.

– Oczywiście, że nie, bo w przeciwieństwie do ciebie troszczę się o twój los. Zrób coś w końcu ze sobą, bo któregoś dnia wpakujesz się w kłopoty, z których nikt cię nie wyciągnie. Ani Bartek, ani Paweł, ani nawet ten twój gliniarz.

Dziewczyna odwróciła głowę, przygryzła wargę i syknęła, czując bolesne ukłucie w miejscu rany.

– Pokaż to – powiedział, zapalając światła.

Włożył rękawiczki, obrócił twarz Larisy w stronę lampy i zagwizdał.

– Głęboka. Trzeba to porządnie zszyć. W jaki sposób ją sobie zafundowałaś? – pytał, dezynfekując ranę.

– Upadłam na kamień.

Suchar spojrzał na nią wymownie, przewracając oczami. Gdy wyjmował narzędzia, milcząco obserwowała jego ruchy. Wydawało jej się, że przytył i nosił jeszcze większe T-shirty niż ostatnio. Do tego miał podkrążone oczy, jakby nie spał już od kilku dni. Patrzyła, jak przygotowuje strzykawkę, a jego dłonie delikatnie drżą, jak za pierwszym razem, gdy zszywał jej brzuch. Maciek podał jej środek znieczulający, po czym sięgnął po igłę do szycia rany.

– Coś się u ciebie dzieje? Wyglądasz na bardzo zmęczonego – stwierdziła.

– Nie odzywaj się teraz, będę szył – uciszył ją i podsunął sobie metalowy pojemnik z narzędziami.

Jego ruchy były pewne i delikatne. Całkowicie skupiony na swojej pracy, oddychał miarowo i uważnie przyglądał się ranie. Kiedy skończył, pozbierał narzędzia i puścił oko do Larysy.

– Będziesz żyła. Oczywiście o ile za chwilę nie zrobisz czegoś głupiego. Założyłem ci trzy szwy, pokaż się z nimi za tydzień. I pamiętaj, że podałem ci znieczulenie, będzie cię trzymać jeszcze przez co najmniej godzinę.

Dziewczyna podziękowała przyjacielowi, po czym zerknęła na telefon i zobaczyła nieodczytaną wiadomość od brata. Na zdjęciu, które załączył, był elegancki błyszczący samochód i Bartek z szerokim bananem na twarzy, a fotce towarzyszyły słowa: „Patrz, jaką złapałem okazję”. Najpierw się uśmiechnęła, ale po chwili poczuła ukłucie niepokoju, bo samochód wydawał się jej łudząco podobny do tego, którym jeździł Robert Haller.

Zamyślona poczuła na sobie wzrok weterynarza. Suchar spojrział na nią w jakiś taki smutny sposób, a potem bez słowa zaczął sprzątać narzędzia, brudne gazy, w końcu ściągnął rękawiczki i umył ręce.

– Idź już, dobrze? – rzucił słabym głosem, stojąc odwrócony do niej plecami.

Zacisnął mocno powieki i czekał na wstrzymanym oddechu. Larysa poczuła, jakby dostała w twarz. To nie było zachowanie w jego stylu. Maciek był typem misiowatego kumpla, człowiekiem o złotym sercu, który nie ranił bliskich w ten sposób. Patrząc na włosy i brodę, które zapuścił, uznała, że przypominał dobrotliwego Hagrida z *Harry'ego Pottera*.

– Nie wiem, co ci się stało, ale to nie ty. Nie jesteś taki – powiedziała. – Jeśli nadal się na mnie wściekasz, powiedz mi to prosto w oczy. Spójrz na mnie i każ mi się stąd wynosić, wtedy pójdę.

Suchar nadal stał do niej tyłem. Podniósł dłoń do czoła i otarł je, ciężko wzdychając.

– Maciek – odezwała się do niego po imieniu, co robiła niezwykle rzadko.

– Narozrabiałem – wyrzucił w końcu i odwrócił się do niej. – Pamiętasz tych dwóch typów, którzy chcieli cię okraść? Tych dresów, przed którymi cię uratowałem wtedy, kiedy się poznaliśmy? Przyszli tu dzisiaj i zaczęli o ciebie wypytywać. Mówili, że ich przyjaciel bardzo się tobą interesuje. Przegnałem ich, ale po kilku godzinach wrócili. Z takim wysokim gościem o kwadratowej szczęce. I zrobiło się nieprzyjemnie.

Larysa ściągnęła brwi i skupiła całą swoją uwagę na przeglądaniu w myślach twarzy mężczyzn, którym zależałoby na tym, by ją dopaść. Jeden z nich wyraźnie wysuwał się na prowadzenie. Ireneusz, taksówkarz gwałcący swoje klientki. Na samą myśl o nim zrobiło się jej gorąco, a dłonie automatycznie zacisnęły się w pięści.

– Zrobili ci coś? – zapytała z przejęciem.

Maciek odsunął brodę i pokazał długą szramę na szyi.

– Dałem im twój adres. – Suchar potarł załzawione oczy. – Przepraszam. Nie wiedziałem, co zrobić. Oni grozili, że mnie zabiją i podpalą gabinet.

Dziewczyna patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie była pewna, na kogo jest bardziej zła, na Ireneusza, który groził jej przyjacielowi, czy na Suchara, który powinien się zamknąć, a jeśli już nie potrafił, to poinformować ją o tym, co nadchodzi.

– Czemu mnie nie uprzedziłeś?! – W jej oczach zapłonął gniew. – Wystawiłeś mnie tak po prostu na odstrzał?

Weterynarz zaprzeczył, przygryzł drżącą wargę i zaczął nerwowo pocierać nos.

– Nigdy bym tego nie zrobił. Powiedziałem o tym twojemu koledze, temu glinie, Brunonowi Wilczyńskiemu, a kiedy się tu dziś pojawiłaś i zapukałaś w okno, wysłałem do niego wiadomość. Czeka na ciebie na parkingu.

Gdy tylko skończył mówić, nie miała już wątpliwości, na kogo jest bardziej zła.



– Coś dziś nie w humorze – przywitał się Bruno, gdy Larysa wypadła na chodnik z gabinetu Macieja Sachary niczym burza i zatrzasnęła za sobą drzwi tak mocno, że metalowa tabliczka z godzinami otwarcia gabinetu weterynaryjnego Tygrysek urwała się i spadła z hukiem.

Wilczyński stał oparty o swój czarny motocykl Ducati Panigale i patrzył, jak Larysa zagryza wargi we wściekłości, w której – musiał przyznać – naprawdę było jej do twarzy.

– Nie zdążyłem po białego konia, mam nadzieję, że czarny też się nadaje. – Posłał jej ujmujący uśmiech.

Larysa podeszła do niego. Widać było, jak chodzą jej szczęki.

– To co, jedziemy do mnie czy do ciebie? – prowokował.

– Kompletnie was popierdoliło. Nie zamierzam się bawić w *Bodyguarda*. Jadę do domu, poradzę sobie z Ireneuszem sama.

Ruszyła w stronę saxo, otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Bruno nagle znalazł się tuż obok niej i zatrzymał ręką drzwi przed zatrzaśnięciem.

– Pojadę za tobą – powiedział.

– Nie ma takiej opcji.

– To nie jest pytanie, tylko informacja. Pod twoim mieszkaniem stoi teraz pewnie kilku łysych i z całym szacunkiem dla twojej podlaskiej fantazji, ale niby jak poradzisz sobie z nimi sama?

Dziewczyna zamilkła. Wiedziała, że policjant ma rację, a przez to była jeszcze bardziej wściekła. Nawet gdyby na kilka dni schowała się w hotelu albo u kogoś znajomego, Ireneusz i tak wystawi pod jej blokiem wartę i nie odczepi się, dopóki jej nie dopadnie. Zmełała w ustach wyrafinowane przekleństwo i uderzyła pięściami o kierownicę.

– Naprawdę lubię ten twój temperament – zażartował Wilczyński.

Larysa wyskoczyła z samochodu, złapała Brunona za ubranie i przygwoździła go do karoserii. Komisarz nie spodziewał się tego, patrzył na nią zaskoczony z rękami uniesionymi w obronnym geście.

– Jeszcze jeden taki żart, a obiecuję, że na zawsze zetrę ci ten uśmiezek z gęby – warknęła.

Dyszała ciężko, a jej pociemniałe od gniewu oczy niemal przewiercały go na wylot. Dopiero gdy pojednawczo kiwnął głową, zwolniła uchwyt.

– Jak chcesz to załatwić? – zapytała, przecierając zroszone czoło.

– Nawet jeśli spuścimy mu teraz wpierdol, za jakiś czas wróci. Został dyscyplinarnie zwolniony z policji. Bezprawnie jeździł uberem zarejestrowanym na inne nazwisko, zgwałcił kilka swoich klientek, a do tego układał się z gangsterami. Tak się przypadkiem składa, że byłam ostatnią osobą, którą przewoził. Tuż po tym, jak opuściłam jego taksówkę, pijany uderzył samochodem w drzewo, a największa telewizja w tym kraju nagrała materiał z miejsca wypadku i wyemitowała oświadczenia dziewczyn, które skrzywdził. Podobno dzięki pomocy anonimowego informatora.

Bruno przewrócił oczami.

– Co za niesamowity zbieg okoliczności – rzucił sarkastycznie. – Coś ci ta anonimowość średnio wyszła, biorąc pod uwagę, że rozjuszony facet czeka teraz pod twoimi drzwiami w asyście kilku naspedowanych dzieciaków. Masz jeszcze więcej takich historii w zanadrzu? Bo może łatwiej będzie się wyprowadzić do innego kraju niż tłuc wszystkich po kolei.

Larysa tylko prychnęła, po czym wsiadła do samochodu i odpaliła silnik.

– Jedź za mną – zawołała przez uchylone drzwi. – Sarmacka dwanaście.

W drodze na Wilanów gorączkowo myślała, jak wybrnąć z kłopotów. Sytuacja wydawała się patowa. Ireneusz znał jej adres, a do tego był na tyle wściekły, by ścigać ją, aż jej nie dopadnie i nie zemści się za swoje zranione ego. Co jakiś czas spoglądała

w lusterko wsteczne, by upewnić się, że czarne ducati podąża za nią. Podczas otwierania bramy garażowej rozglądała się czujnie po okolicy, a gdy dostrzegła łysego chłopaka w dresach i z papierosem, opartego o ścianę, z całych sił starała się nie patrzeć w jego stronę. Po plecach ściekła jej strużka zimnego potu, a mięśnie mimowolnie się napięły. Gdy zaparkowała, Bruno zatrzymał się obok jej citroëna, zsiadł z motocykla, rozejrzał się po garażu, po czym podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Nie przeginaj! – Odepchnęła go.

Wtedy nachylił się do jej ucha i wyszeptał:

– Nie jesteśmy sami, zachowuj się. – Położył rękę na jej plecach. – Pójdziemy w stronę wind. Ten typ, który stoi za filarem, pewnie zawołał już kolegów, więc zrobimy co najwyżej kilka kroków. Za chwilę rozpęta się tu prawdziwe piekło, więc mówiąc wprost, kulturalnie spierdalamy najdalej, jak się da – wyjaśnił.

Larysa ściągnęła brwi, spojrzała na swojego towarzysza zdezorientowana i już zamierzała zaprotestować, kiedy Wilczyński ponownie nachylił się w jej stronę.

– A tak przy okazji, ładnie pachniesz – dodał, uśmiechając się do niej znacząco i biorąc ją pod ramię.

Dziewczyna udała, że cieszy ją ten komplement, i poklepała Brunona w pierś, zdecydowanie mocniej, niż było to potrzebne. Objęci szli właśnie w stronę wind, gdy zza załomu ściany wyłonił się Ireneusz z kijem bejsbolowym w ręku.

Mężczyzna o kwadratowej szczęce i imponującym wzroście zagroził im drogę.

– Dokąd to? – zapytał.

Bruno automatycznie rozejrzał się wokół i zarejestrował, że za plecami jego i Larysy ustawilo się trzech chłopaków Ireneusza. W myślach ocenił swoje szanse i optymistycznie uznał, że nie jest najgorzej. Po czym złapał dziennikarkę za rękę i pociągnął ją za sobą, w nadziei, że uda mu się opóźnić atak. Nie uszedł jednak daleko, gdyż rosły taksówkarz położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

– Nie radziłbym – uprzedził. – Im mniejszy będziecie stawiać opór, tym szybciej to się skończy.

Policjant dostrzegł w twarzach oprychów gniew, a w ich ruchach zniecierpliwienie. Przypominali sforę wygłodniałych psów, szczerzących kły, które otoczyły swoje ofiary i szykowały się do szarży, gotowe rzucić się do gardeł nieszczęśników w każdej chwili. Bruno zacisnął mocniej pięści i napiął mięśnie na wypadek, gdyby jego plan zawiódł, a on musiałby podjąć walkę sam. W głębi duszy jednak liczył na to, że umówiony ratunek nadejdzie w porę.

Nie minęło nawet pół minuty, gdy tak banda zbirów, jak i ich ofiary, dotychczas wpatrujący się w siebie w narastającym z każdą chwilą napięciu, usłyszeli pisk opon i zobaczyli błyszczący, czarny sportowy samochód wyjeżdżający z impetem zza rogu. Auto zatrzymało się w poprzek garażowej uliczki, zostawiając za sobą zapach palonych gum, a jego drzwi natychmiast się otworzyły, wypuszczając na zewnątrz trzech rosnących gości w kominiarkach, którzy teraz sprężystym krokiem zbliżali się do zebranych.

– Nie było cię tu, nie widziałas niczego – szepnął do Larysy Wilczyński, ściskając jej rękę.

Ireneusz chwycił mocniej bejsbola i zerknął porozumiewawczo na swoich pomagierów. Ekipa rozsunała się automatycznie, jakby tworzyła szyk bojowy. Z zaciśniętymi w pięści i uniesionymi jak do bójki dłońmi przyjmowali stabilne pozycje i poruszali głowami, rozmasowując karki. Jeden z ogolonych na łyso facetów splunął na ziemię i spojrzał na przeciwników spode łba. Powietrze tak zgęstniało, że można je było kroić nożem.

W przeciwieństwie do ludzi Ireneusza mężczyźni, którzy wyskoczyli z samochodu, wydawali się spokojni. Powoli zbliżali się do chłopaków w dresach, ale ich ruchy były bardziej kocie i zwinne. Larysa pomyślała, że przypominają jej pумы. Tajemnicze, silne i skrajnie niebezpieczne.

– Co jest grane? – zapytała Brunona.

Policjant nie zdążył jej jednak odpowiedzieć, bo za plecami bandziorów z drużyny taksówkarza coś kliknęło, a chwilę później pojawił się tam krzepki mężczyzna w eleganckiej czarnej koszuli

i spodniach od garnituru. W palcach jednej dłoni obracał cygaro, w drugiej zaś trzymał gilotynę, którą się bawił przy wtórze drażniącego zgrzytającego dźwięku. Przybysz zmierzył wysokiego mężczyznę o kwadratowej szczęce lodowatym wzrokiem, po czym uśmiechnął się, jakby spotkał dawno niewidzianego przyjaciela.

– Szukałem cię – powiedział. – Nieźle się ukryłeś.

– Listwa – odparł Ireneusz głosem nabrzmiałym równie mocno od nienawiści, co przerażenia.

– Zabierzcie stąd tego psa i jego dziunię – rzucił władczo elegancki mężczyzna, który najpewniej dowodził grupą gangsterów w kominiarkach. – Niech spierdalają, póki jeszcze mogą.

Larysa rozglądała się niepewnie, nadal nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Silne ręce złapały ją żelaznym chwytem i pchnęły na drzwi przeciwpożarowe prowadzące do wind, mocno ściskając za nadgarstki.

– Wpisz kod! – wrzasnął facet w kominiarce, przyciskając jej twarz do drzwi.

Jej palce drżały, gdy klepywała kolejne cyfry, a gdy się jej to udało, razem z Wilczyńskim została wepchnięta do windy. Napastnicy sprzedali im na odchodne kilka mocnych kopniaków, po czym wybrali guzik najwyższego piętra i wyszli, nim zasunęły się drzwi.

Dziewczyna doczołgała się do Brunona totalnie zagubiona.

– Co to, kurwa, było? – wycharczała. – Jakaś gangsterka?

– Wy tłumaczę ci to jak dziecku. Mały bandzior nie boi się policjanta. Można mu grozić, zasłaniać się prawem, ale to go nie rusza. Prawdziwy respekt czuje tylko przed innym, dużym bandziorem. Bo w świecie, w którym oni żyją, żadne prawo nie obowiązuje. – Błysnął zębami. – Operacyjni tacy jak ja często muszą mieć znajomości po dwóch stronach barykady i czasami korzystamy ze swoich przysług.

– Układasz się z przestępcami?

– Oni tak myślą, ale tak naprawdę to jest bardziej jak taniec, w którym ja prowadzę.

Dziennikarka pokręciła głową i podniosła się z podłogi, bo winda zatrzymała się na czwartym piętrze apartamentowca. Larysa wyminęła Wilczyńskiego i skręciła na klatkę schodową, którą zeszła jedno piętro w dół, a potem dotarła do drzwi swojego mieszkania. Policjant dogonił ją chwilę później.

– Nie wystawiłem Ireneusza na odstrzał, jeśli o to się ciskasz – wyjaśnił. – Na dole powinni już być nasi. Zwiną wszystkich, zaobrączkują i każdego wsadzą na wózek, a potem równo przetrzepią. Na Listwę niczego nie mają, więc trochę się z nim pobawią i go puszczą, a twój taksówkarzyna co najwyżej będzie miał jeden palec mniej i nauczy się, że nieładnie jest sypać kolegów, bo tacy jak Listwecki nigdy nie zostawiają tego bez konsekwencji.

– Nasi, mówisz? – zapytała z przekąsem. – Pytanie tylko, kto jest swój, a kto obcy – powiedziała, po czym weszła do mieszkania i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Komisarz Wilczyński opierał się o ścianę jedną ręką. Słowa Larysy boleśnie go drasnęły, ale nie chciał rozważać teraz moralnych dylematów. Wiedział, że z zewnątrz niekiedy ta gra, którą policja prowadziła z gangsterami, wydawała się trudna do zrozumienia i nielogiczna, jednak gdy było się w jej centrum i dostrzegało wszelkie zależności oraz konsekwencje poszczególnych ruchów, nagle nabierała sensu. Czasami trzeba było poświęcić pionka, by zdobyć wieżę.

Bruno odwrócił się w stronę wind, gdy drzwi mieszkania jego koleżanki na nowo szczęknęły.

– A tak w ogóle to dzięki za uratowanie mi tyłka – rzuciła i gdy w jego umyśle, a właściwie w spodniach, pojawiła się nadzieja na seks, dziewczyna za nowo zniknęła za drzwiami.



Żółto-czerwony autobus z numerem sto pięćdziesiąt dwa wydał z siebie przeciągłe zgrzytnięcie, po czym sapnął i otworzył drzwi, by wpuścić do środka sennych jeszcze o tej porze pasażerów. Ludzie o szarych twarzach bez wyrazu wtaczali się do wnętrza solarisa przesiąkniętego zapachem potu i dezodorantów, a chwilę później z nerwowością dostrzegalną w ruchach i z rozbieganym spojrzeniem rozpoczynali grę o miejsce. Wśród młodych największym zainteresowaniem cieszyły się siedzenia przy oknach albo te na końcu autobusu, starsi zaś wybierali krzesła blisko drzwi i tuż przy przejściu, by móc jak najszybciej dobiec stamtąd do wyjścia i mieć gdzie postawić torbę na kółkach.

Bartek Luboń z ciekawością przyglądał się tym absurdalnym rozgrywkom i gdy inni pasażerowie przepychali się, depcząc sobie nawzajem buty, on, oparty o poręcz przy oknie, czekał. Wprawdzie było mu niedobrze od zapachu spalin, gorąca i z powodu coraz bardziej ściskającego trzewia stresu, ale nie tracił czujności i bacznie obserwował drobną czterdziestoletnią kobietę w wełnianym płaszczu. To obok niej chłopak planował zająć miejsce, a później wykorzystać piętnaście minut wspólnej podróży na zadanie dręczących go pytań.

Irmina Kula, żona potrąconego w lesie myśliwego, wpatrzona w rozciągający się za szybą krajobraz ulicy Żyrardowskiej, nie miała pojęcia, że stała się tego dnia obiektem zainteresowania studenta. Jej wzrok wydawał się nieobecny, jakby myślami znajdowała się w zupełnie innym miejscu. Może przy mężu, walczącym o życie w szpitalu, albo przy człowieku, który zbiegł z miejsca wypadku i budził odrazę. Kobieta przyciskała do piersi skórzaną torebkę, a jej splecione palce i delikatnie poruszające się usta sprawiały wrażenie, jakby odmawiała modlitwę.

Kiedy solaris zatrzymał się na kolejnym przystanku, granat nieba stopniowo przechodził w szarość, jakby ktoś rozrzedził barwę chmur mlekiem. Bartek uznał, że to najwyższa pora, by wprowadzić w życie plan. Odchrząknął, rozpiął kurtkę i ledwie łapiąc dech, podszedł do Kuli.

– Można? – zapytał, wskazując sąsiadujące miejsce.

Starał się być przy tym swobodny i naturalny, ale gdy usłyszał swój drżący i zduszony głos, przestraszył się, że jednak nie podoła wyznaczonej sobie misji. Sam widok szarych, podkrążonych oczu żony myśliwego wywoływał w nim smutek i chęć natychmiastowego przyznania się do winy. Kobieta skinęła głową, a on dostrzegł w jej dłoniach różaniec i zaniemówił. Opadł ciężko na fotel, czując, jak całe jego ciało spina się, jakby doświadczał paraliżu. W myślach wyrzucał sobie, że nie powinien jej nachodzić ani tym bardziej wypytywać, ale jednocześnie z jakiegoś powodu czuł, że musi to zrobić, bo inaczej odejdzie od zmysłów.

Przez jakiś czas nie był w stanie nawet odwrócić głowy w stronę Irminy Kuli. Wszystkie przygotowane podczas bezsennej nocy pytania nagle przestały mieć jakikolwiek sens i wydawały się trywialne. Jednak gdy zarejestrował, że sto pięćdziesiątka dwójka mija skrzyżowanie z Ołówkową, uznał, że jego czas się kurczy. Wcześniej dowiedział się, że kobieta pracuje w carrefourze w Galerii Północnej i właśnie tym autobusem każdego ranka dojeżdża do sklepu. Nie bez powodu na to niby przypadkowe spotkanie wybrał pojazd komunikacji miejskiej. Założył, że gdyby cokolwiek poszło nie po jego myśli, wyskoczy z solarisa na najbliższym przystanku i ucieknie przed własnym wstydem oraz palącym spojrzeniem kobiety.

Teraz jednak musiał przynajmniej spróbować się z tym zmierzyć.

– Przepraszam... – zaczął i nerwowo potarł czoło, a uwaga Irminy Kuli skupiła się na nim. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale słyszałem o wypadku pani męża. Mieszkam niedaleko, przy Orneckiej i... – Urwał, napotykając ponaglące, a zarazem zdziwione spojrzenie kobiety. – Po prostu chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro. Mój dziadek też został kiedyś potrącony przez samochód.

Coś w oczach Kuli na te słowa zabłysło.

– Znaleźli sprawców? – zapytała niespodziewanie, jakby od dawna czekała, aż ktoś zechce z nią o tym porozmawiać. – Bo ja nadal nie rozumiem, jak można być takim bydlakiem, żeby zostawić ранego człowieka przy drodze? Wie pan, co jest w tym najgorsze? Że gdyby

od razu udzielono mu pomocy, nic by się nie stało. – Wbijając paznokcie w skórzany uchwyt torebki. – Może poleżałby w domu dzień, dwa, a teraz... – Pokręciła głową ze smutkiem.

Bartek pochylił głowę i przygryzł wargę, żeby nie zwymiotować. Zaciskał trzęsące się dłonie na oparciu sąsiedniego krzesła, a jego stopa wystukiwała nerwowy rytm. Opowieść, którą sobie wcześniej przygotował, jawiła mu się teraz jako tandetny, grubymi nićmi szyty blef. Czuł się wściekły na własną naiwność i głupotę.

– No a pana dziadek wyszedł z tego? – zagała.

– Tak – wydukał z trudem. – Utykał później już do końca życia na jedną nogę, ale w sumie nic wielkiego mu się nie stało.

– To dobrze. Tak powinno być. – Westchnęła ciężko. – Z moim Czarusiem to niestety nie jest najlepiej. Na razie przeszedł operację i mówią, że trzeba czekać, ale ja tam swoje wiem. Widzę te ich litościwe spojrzenia i to, jak unikają odpowiedzi na pytania. Okłamują mnie, jestem pewna. A wie pan, że jak ktoś nie mówi wszystkiego, to znaczy, że trzeba się przygotować na najgorsze. – Wyjęła z torebki pomietą chusteczkę i głośno wydmuchała nos. – Przepraszam pana, ja już tu wysiadam.

Bartek wstał, by przepuścić kobietę, ale dokładnie w momencie, gdy Irmina Kula się podniosła, kierowca autobusu gwałtownie zahamował, sprawiając, że żona myśliwego potknęła się o nogę Lubonia i upadając w przejściu, upuściła torebkę. Chłopak natychmiast ruszył jej z pomocą.

– Nic się pani nie stało? – zapytał, widząc jak kobieta trzyma się za brzuch i niespokojnie oddycha.

– Chyba nie, po prostu się przestraszyłam – odparła, powoli dochodząc do siebie, wsparta na jego ramieniu. – Na szczęście mam dziś wizytę u swojej ginekolog, to od razu sprawdzimy, czy z dzieckiem wszystko w porządku – dodała nieco ciszej, uśmiechając się łagodnie, a później pożegnała się i wysiadła z autobusu, zostawiając w nim oniemiałego Bartka.



Kiedy przyjechał do biura, na zewnątrz było jeszcze ciemno. Po ulicach jeździły śmieciarki, dostawcy przywozili prowiant do sklepów, a okoliczni dozorczy zamiatali chodniki, smętnie pogwizdując pod nosem. Zazwyczaj nie zrywał się o tej porze, ale tej nocy spał wyjątkowo paskudnie. Nieustannie wracał do niego obraz małego Ryszarda Sochy o fioletowej skórze i sinych ustach, skulonego i trzęsącego się z zimna w wannie. Wygięte w łuk, wychudzone plecy chłopca pokrywała gęsia skórka, nos był czerwony, a z przyklejonych do głowy włosów kapały krople wody. Bruno raz po raz odganiał ten koszmar, ale on powracał, jakby dziecko chciało mu coś powiedzieć, tyle że jego słabe, drżące usta nie były w stanie wyartykułować żadnego dźwięku. Poruszały się niemo na kształt warg szepczących modlitwę.

Po kolejnej serii majaków Wilczyński miał tego dość. Podniósł się gwałtownie, odrzucił z wściekłością kołdrę, strącając przy tym telefon ze stolika nocnego, i wstał z silnym postanowieniem udania się na komendę. W drodze pożałował, że z lenistwa zrezygnował z porannego prysznicu. Czuł się wymięty i nieświeży, a jego zapach, choć przez niektórych mógł zostać uznany za męski, był zwyczajnie nieprzyjemny.

Dopiero widok Justyny Dembskiej śpiącej z głową opartą na biurku, w ubraniu z poprzedniego dnia, dodał mu otuchy. Miała rozwichrzone włosy, z otwartych ust ciekła jej ślina, która skapywała na blat, tworząc niewielką kałużę, a wokół leżało pełno notatek i książek. Podniósł jedną z luźnych kartek, ciekaw obserwacji profilerki, ale gdy ją odwrócił i zobaczył, co znajduje się na zapisanej powierzchni, aż się wzdrygnął.

Na białej stronie formatu A4 widniał przerażający rysunek. Naszkicowana ołówkiem kobieca twarz patrzyła prosto na niego. Z jej ust wypełzały stada wijących się czerwonych, narysowanych tak realistycznie, że wydawało się, iż lada moment spadną z kartki na

powierzchnię biurka. Policzki kobiety pokryte były ropiejącymi krostami, a na łysej głowie rosły cienkie, rzadkie włosy posklejane w strąki. Zza głowy wyłaziły dłonie z długimi, szponiastymi paznokciami, takimi jak te, które Oliwia Socha wbijała swojemu synowi w skórę. Jednak najbardziej przerażały oczy o pionowej, wąskiej źrenicy, podobnej do tej, jaką mają żmije. Bruno poczuł zimny dreszcz na plecach, a później dotknął opuszką palca słowa „POTWÓR” zapisanego pod obrazkiem mocnymi kreskami. Litery były kilkakrotnie poprawiane, a w niektórych miejscach Dembska musiała tak mocno naciskać ołówkiem, że aż przerwała kartkę.

Wilczyński przyglądał się śpiącej policjantce i pomyślał, że była tak samo obiektywna, jak on uprzejmy. Ta myśl go rozbawiła, zaśmiał się, a jego głos obudził Justynę. Psycholog podniosła głowę, mrugając powiekami i rozglądając się wokół ze zdziwieniem.

– Cholera, zasnęłam. Wszystko mnie boli. – Poruszała żuchwą, na której odcisnęła się spirala notatnika. – Która godzina?

– Taka, o której trzeba trzasnąć podwójne espresso, żeby później móc się bardziej energicznie opieprzać.

Bruno poszedł do kuchni, a gdy uruchomił ekspres, Dembska dołączyła do niego. Przez chwilę oboje trwali w ciszy zakłócaną jedynie sykiem maszyny do kawy. Każde z nich pogrążone było w swoich myślach. Profilerka z rękami założonymi za siebie patrzyła gdzieś w dal nieobecny wzrokiem, jakby nadal budziła się z głębokiego snu.

– Miałem wczoraj koszmary wieczór – wyznał Bruno, podając jej kubek kawy. – Terapeuta poradził mi, że aby odnaleźć wewnętrzną równowagę, muszę dokończyć to, co zacząłem. Skończyłem więc butelkę whisky i rzeczywiście przez chwilę było lepiej. – Celowo ją prowokował, chcąc sprawdzić, gdzie wyznaczyła swoje granice i czy stanie w ich obronie, gdy zostaną przekroczone, ale kobieta nawet nie mrugnęła. – Myślałem też o tym, żeby przywiązać Filipa Sochę do krzesła i torturować go, aż się przyzna, co ty na to?

Profilerka nie była pewna, czy jej kolega mówi serio, czy jednak żartuje. Zmrużyła oczy, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć, a jej usta wykrzywiły się w grymasie niesmaku.

– To prostackie i nielegalne.

– Wiem. I dlatego mi się podoba – skwitował.

– Socha nie pasuje do profilu – zaczęła Justyna, ale Bruno jej przerwał.

– Możesz sobie wsadzić ten profil. – Wziął do ręki teczkę z raportem, którą zgarnął z jej biurka, otworzył ją i zaczął czytać na głos: – „Mężczyzna, wykształcenie średnie, introwertyk, na co dzień wycofany, nierzucający się w oczy, perfekcjonista, silne emocje w stosunku do ofiary, duży poziom tłumionej frustracji, odepchnięty w dzieciństwie przez zimną matkę, traktował ofiarę jako obiekt zastępczy swojej niewyrażonej złości, znał ofiarę lub spotykał ją i miał możliwość jej obserwacji”. Pięknie brzmi na papierze, ale w rzeczywistości nic nam nie daje. – Wrzucił dokumenty do pobliskiego kosza na śmieci.

– Jeszcze nie, ale może nam dać – broniła się Dembska. – Przez ostatnie dni starałam się ustalić, jaka była jej rutyna i zwyczaje. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego znalazła się w tamtym miejscu i czasie, w którym została zamordowana. – Justyna z ekscytacji podwinęła rękawy i zaczęła energicznie gestykulować. – Popatrz tylko, Oliwia Socha każdego dnia odbierała syna z przedszkola, co najmniej dwa razy w tygodniu jechała z nim na zakupy, prawie zawsze do lidla niedaleko miejsca, w którym mieszkała, a później tą samą drogą wracała do domu. On musiał znać jej rutynę.

Bruno pomyślał, że coś w tym jest, ale zanim zdołał poddać to głębszej analizie, jego uwagę przyciągnęła świeża blizna po wewnętrznej stronie przedramienia profilerki, przypominająca kształt stopy żelazka.

– Co ci się stało? – Wskazał na jej rękę.

Dembska na ułamek sekundy zastygła, po czym nerwowo obciągnęła rękawy i wygięła usta w niefrasobliwym uśmiechu.

– To nic takiego. Prasowałam poprzedniej nocy ubrania dzieci, musiałam być zmęczona, bo potknęłam się o kabel i upadłam na żelazko.

Czujne spojrzenie policjanta śledziło każdy jej ruch; był pewien, że nie mówi mu prawdy, a napięcie w jej ciele tylko potwierdzało

jego podejrzenie.

Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy nie wspominała o swoim mężu, zawsze jakoś zręcznie omijała ten temat. Fakt, że nieustannie sama zajmowała się dziećmi przez pewien czas, kazał mu nawet myśleć, że jest samotną matką, do czasu, gdy nie zobaczył obrączki na łańcuszku, zazwyczaj schowanej pod swetrem. Pomyślał wtedy, że Justyna jest jedną z tych osób, które w swoim perfekcjonizmie grubym murem oddzielają życie zawodowe od prywatnego, ale teraz, gdy patrzył w jej przerażone oczy, uznał, że się mylił.

Ona nie chciała zachować życia prywatnego dla siebie, ona musiała to zrobić, by nikt nie dowiedział się, jak źle to życie tak naprawdę wygląda. To dlatego tak bardzo zależało jej na pracy: tu budowała swoją niezależność i autorytet, którego w domu nie miała.

– Gdybyś chciała porozmawiać o tym wypadku, daj znać – zaproponował.

– Naprawdę nie ma o czym – zapewniła. – Nie skreślaj tak łatwo profilu. Przejrzyj go jeszcze raz, może naprowadzi cię na coś ważnego.

Bruno posłał jej blady uśmiech i przez chwilę zawisła między nimi niewygodna cisza.

– Widziałem twój rysunek – dodał już innym tonem. – Całkiem niezły.

Justyna Dembska przyglądała się mu nieufnie zmrużonymi oczyma.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ten z Oliwią Sochą i podpisem „potwór”. Leżał na twoim biurku.

– Sięgnął po herbatnika z paczki, którą znalazł na blacie.

– O matko! – Zakryła dłońmi twarz. – Strasznie mi głupio. Nie powinnam. Przepraszam, myślałam, że go wyrzuciłam.

– Gdyby cię kiedyś zwolnili z policji, śmiało możesz szkolić z samobiczowania. A jeśli jakimś cudem ktoś na świecie zorganizuje wybory miss uzalania się nad sobą, zgłoś się koniecznie, koronę masz w kieszeni.

Justyna uśmiechnęła się do niego zawstydzona, po czym zaoferowała, że pokaże mu, nad czym pracowała w nocy. Na widok leżącego na biurku szkicu przedstawiającego potworną kobiecą twarz z odrazą wygięła usta i pospiesznie zgmiotła kartkę w kulkę, a później upchnęła ją w przepelnionym koszu.

– Tu masz listę rejestracji wszystkich samochodów, które w tamtym czasie kręciły się w okolicy kościoła przy Stryjeńskich i tych, które parkowały w pobliżu Kazurki. Razem z nazwiskami i adresami właścicieli. – Podała mu plik zadrukowanych kartek. – Jest tam ten facet, który znalazł Rysia, i...

– Chwila – przerwał jej. – To nie jest twoja robota, zleciłem to Sylwii. Ty powinnaś zajmować się profilem, który nie jest nikomu do niczego potrzebny.

Dembska lekko poczerwieniała na twarzy.

– Chciałam tylko pomóc – wydukała. – Kiedy tu przyszłam po naszej wizycie u Sochy, Sylwia pracowała już ponad dziesięć godzin i wszystko zlewało się jej przed oczami. Akurat tego wieczoru moja mama wzięła dzieci, więc poprosiłam, żeby dziewczyna poszła do domu się przespać, i zaoferowałam, że dokończę oglądanie nagrań z monitoringu – tłumaczyła. – Zresztą to mi zajęło tylko chwilę, Sylwia zdążyła sprawdzić większość samochodów sama. Później pracowałam już wyłącznie nad profilem. – Podała mu plik spiętych kartek. – Myślę, że wiem już, jaki mógł być motyw. Według mnie Oliwia odzwierciedlała jego matkę. To na niej tak naprawdę chciał się zemścić.

Wilczyński zerknął na nią z powątpiewaniem, ale w końcu przegrał walkę ze swoją ciekawością i otworzył dokumenty. W pośpiechu przerzucał kolejne strony i mruczał co chwilę, zatopiony w lekturze raportów. Niekiedy marszczył czoło albo mrużył oczy. Po chwili sięgnął po listę nazwisk właścicieli samochodów, które znalazły się w okolicy miejsca zdarzenia, i zaczął je prześwietlać linijka po linijce. Nagle jego wzrok zatrzymał w jednym punkcie.

– Dawid Gajda? Nasz nowy technik? – Zerknął na Justynę z niedowierzaniem. – Jechał tamtędy?

Dembska skinęła głową i podała mu wydrukowane zdjęcie, na którym widać było przód czerwonej toyoty yaris. Za kierownicą siedział mężczyzna o bujnych kręconych włosach, a obok jego głowy dyndała zielona choinka zapachowa.

– Jego twarz została uchwycona przez kamerę autobusową – wyjaśniła. – Wprawdzie to ktoś od nas, więc może po prostu tamtędy przejeżdżał, ale czasem lepiej to sprawdzić.

Bruno pomyślał o tym, że kiedyś już popełnił taki błąd i do ostatniej chwili bronił funkcjonariusza policji, bo nie był w stanie traktować kogoś, z kim pracował ramię w ramię, jako podejrzanego. W swoim zaślepieniu odrzucał fakty, które miał przed nosem, i bagatelizował tropy. Postanowił, że tym razem nie dopuści do takiej sytuacji i najpierw przekopie cały internet, a później poruszy wszystkie znajomości, by dowiedzieć się o nowym techniku kryminalistyki jak najwięcej.

– Sprawdzisz go pod kątem profilu? – zapytał Justynę.

– Tego, który nie jest do niczego potrzebny? – Uśmiechnęła się. – Jak wrócę. Muszę odebrać dzieci od mamy, przygotować im drugie śniadanie i zawieźć je do przedszkola.

– A już myślałem, że zesłaś na złą drogę i wybrałaś pracę kosztem tych pasożytów w wyprasowanych ubrankach. Co ci kompensuje ten perfekcjonizm?

– A co tobie kompensuje sarkazm?

Bruno popatrzył na nią z uznaniem.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z Justyną Dembską? Jeden zero dla ciebie. Spadaj, zanim zapragnę ci się zwierzyć.

Profilarka zaczęła się tłumaczyć i przeproszać za swoje zachowanie, wspomniała coś o tym, że gdy jest przemęczona i niewyspana, nie kontroluje się i zdarza się jej wtedy być nieprzyjemną, ale on już jej nie słuchał.

Skupiał się na czymś zupełnie innym. Jego wzrok śledził zawartość kosza na śmieci i gdy tylko Dembska odwróciła się tyłem, sięgnął po jedną ze zmiętych kartek i schował ją do kieszeni.



Biała taksówka zatrzymała się pod numerem dziesięć przy placu Trzech Krzyży, ale siedząca na tylnej kanapie Larysa Luboń nawet nie drgnęła. Patrzyła zamyślona w okno i zastanawiała się nad konsekwencjami swojej decyzji. Nie czuła lęku, zależało jej tylko na bracie i na tym, by stanąć oko w oko z chłopakiem, który kiedyś ją skrzywdził. Robiła to dla siebie, chciała sprawdzić, co poczuje, mierząc się z traumą, przed którą tyle lat uciekała. Koniec uników, postanowiła.

Dotknęła dłonią zimnej szyby i obserwowała, jak po jej zewnętrznej stronie osiadają krople deszczu, a później leniwie pełzną w dół, by na końcu zlać się w jedną wilgotną plamę. Zniecierpliwiony kierowca odchrząknął, spoglądając we wsteczne lusterko.

– Wysiada pani czy nie? Nie mogę tu parkować – burknął.

Larysa bez słowa podała mu banknot i nie czekając na resztę, wysiadła z taksówki. Uniosła głowę, spoglądając na żółty neon z nazwą restauracji, a zimne krople deszczu bezlitośnie uderzały ją w twarz. Miała na sobie dzinsy, ciężkie wojskowe buty i ulubioną skórzaną kurtkę. Jedynie czerwona szminka na ustach korespondowała z dress code'em miejsca, do którego się wybierała. Reszta była co najmniej niewłaściwa, o ile nie obrażająca panujące tam zasady.

Kiedy szła w stronę oszklonego wejścia, pomyślała, że nie widziała Marka Kamińskiego od czasu studniówki. Wprawdzie zbierała o nim informacje, śledziła jego media społecznościowe, ale po tamtej nocy nigdy nie spojrzała mu w oczy. Choć minęło ponad dziesięć lat, doskonale pamiętała zapach wódki w jego oddechu i mętny wzrok, gdy siłą zdzierał z niej sukienkę, a wielką, spoconą dłoń przyciskał do jej ust. Usiłowała się wyrwać, szarpała się, ale uderzył ją pięścią w brzuch, a później złapał za włosy i popchnął na szkolną ławkę w klasie od chemii. Nawet nie próbował być

delikatny. Po wszystkim splunął na nią i z uśmiechem na ustach wrócił na bal. Ona nie wróciła już nigdy, ani do szkoły, ani do swojego dawnego życia. Maszynką ojca ogoliła głowę i zaczęła trenować boks, a potem uciekła do Warszawy. Bez matury, bez planu i bez poczucia sensu. Chciała uciec od tego, co ją zniszczyło, i na zgliszczach zbudować nową kobietę. Silniejszą, waleczniejszą i bezkompromisową.

– Wchodzi pani? – Jakiś mężczyzna w eleganckim płaszczu szarmanckim gestem przytrzymał jej drzwi do restauracji.

Wyrwana z zamyślenia jedynie kiwnęła głową i szybkim krokiem wmaszerowała do środka. W progu zatrzymała się jeszcze na chwilę i obrzuciła wnętrze wzrokiem. Nastrojowa muzyka, białe obrusy na stołach i atmosfera prostej elegancji. W powietrzu unosił się subtelny zapach ekskluzywności. Na jednej ze ścian w ciemnozielonym kolorze dostrzegła dekorację w postaci złotych jaskółek, symbolu odrodzenia i odnowy. Patrzyła na nie, zastanawiając się, co chcą jej przekazać, a w tym samym czasie czujny wzrok kelnerów lustrował nietypowego gościa.

– Czy mogę przyjąć od pani okrycie? – Młody kelner z wystudiowanym uprzejmym wyrazem twarzy wyciągnął do niej rękę.

– Nie trzeba. Nie zabawię tu długo.

Chłopak zaczął nerwowo mrugać powiekami i rozglądać się w poszukiwaniu wsparcia.

– A na jakie nazwisko ma pani rezerwację? – wydukał, wgapiając się w listę gości.

– Larysa Luboń.

– Oczywiście. – Na jego twarz znów wstąpił uśmiech. – Zapraszam. – Wskazał jej kierunek i zaprowadził do stolika. – Pani towarzysz lada moment wróci.

Dziennikarka zerknęła na odsunięte krzesło po drugiej stronie stołu i wino w kieliszku, świadczące o tym, że Marek czekał na nią już jakiś czas. Ku jej zdziwieniu spod serwety leżącej na stole wystawał kawałek telefonu Kamińskiego. Dyskretnie uniosła materiał, po czym chwyciła komórkę i uaktywniła ekran.

Wprawdzie smartfon był zablokowany, ale mogła przeczytać fragment wiadomości wyświetlającej się na pulpicie. „Ustawka przed meczem naszych...” Reszty tekstu nie widziała i mogła jedynie zakładać, że Kamiński, jako zagorzały fan Legii i pasjonat rozładowywania stresów przez brutalne mordobicie, planował skorzystać z uroków nietuzinkowych rozrywek stolicy.

– To chyba jest moje – usłyszała znajomy głos.

Obok stolika pojawił się Marek Kamiński. Miał pociągłą, lekko błyszczącą, pozbawioną zarostu twarz, w której najbardziej uwagę przyciągały duże usta w kolorze malin. Na nosie, do którego przykładał chusteczkę, błyszczały okulary w rogowej oprawie znanej marki, a na czoło opadały cienkie pasma blond włosów. Pachniał orzeźwiającą cytrusową kompozycją, w której wyczuła nuty limonki i bergamotki, i przyglądał się jej z zagadkowym uśmiechem na ustach. Kelner, który pojawił się niepostrzeżenie, najwyraźniej wyczuł napięcie panujące przy stoliku, bo wyjątkowo sprawnie przedstawił menu, a następnie skonsternowany poszedł do kuchni po mleko, o które poprosiła Larysa.

– Zmieniłaś się – zaczął Kamiński, a jego głos drażnił ją jak drapiąca metka pod ubraniem. – Wyglądasz inaczej, dojrzalej.

Nadal nic nie mówiła, obserwowała jego garnitur, zapewne szyty na miarę, i kolorową poszetkę wystającą z kieszeni. Pomyślała, że wtedy na studniówce Marek był silny tylko dlatego, że ona była słaba. Teraz, gdy stała się mocna, nie potrafiła zobaczyć w nim niczego więcej jak tylko małość. Przyglądała się chusteczce ze śladami krwi, którą odsunął od nosa, a później zwinął w kulkę i oddał jednemu z kelnerów, i poczuła, że już się nie boi.

– Ostatnio mam sporo stresów – podkreślił, jakby chciał wyjaśnić krwotok. – Przyznam, że kiedy poprosiłem Roberta Hallera o bonus do naszej umowy, a on zaproponował ciebie, bardzo się ucieszyłem. W pewnym sensie czekałem na to spotkanie od lat. Zastanawiałem się, dlaczego po tym, co nas łączyło, tak nagle zniknęłaś. – Spojrzał jej wymownie w oczy, oblizując przy tym wargi, a ona poczuła, że robi jej się niedobrze. – Ludzie plotkowali, że mieszkasz w Warszawie, że trenujesz boks, ktoś widział cię na wykładach na

Uniwersytecie Warszawskim, ktoś inny na SGH. Nie chciało mi się w to wierzyć, bo przecież nie zrobiłaś matury, ale teraz zaczynam rozumieć.

– Tak? A co zrozumiałaś? – Jej pytanie padło nagłe i niespodziewanie, niczym strzał.

Marek Kamiński uśmiechnął się i odpiął guzik marynarki, której poły rozchyliły się, ukazując białą koszulę.

– Haller opowiadał mi nieco o tobie, o twojej pracy dla „Magazynu” i buntowniczej naturze, przez którą cię zwolniono. Chwilami miałem wrażenie, jakby mówił o kimś zupełnie innym. Zastanawiało mnie, gdzie się podziała ta uległa i miła Larysa, którą znałem. A później dotarło do mnie, że to mnie zawdzięczasz to, kim dzisiaj jesteś. To ja z dziewczynki zrobiłem prawdziwą kobietę.

Larysa drgnęła na krześle. Wydawało jej się, że w jej wnętrzu buzuje lawa, która lada chwila wybuchnie, wyleje się na zewnątrz i pochłonie mężczyznę po drugiej stronie stołu. Tego w tej chwili najbardziej pragnęła: sprawić mu ból i poniżyć go tak bardzo, jak on upokorzył ją, a jednocześnie miała świadomość, że żadna krzywda, jaką jest w stanie mu wyrządzić, nie cofnie czasu. Postanowiła dać mu tylko małą próbkę tego, do czego była zdolna.

Nachyliła się w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej dłoń powędrowała do wewnętrznej kieszeni kurtki, chwyciła jakiś niewielki przedmiot, po czym błyskawicznie schowała się pod stolikiem. Marek zauważył tylko szybki ruch i nie do końca rozumiał, co się dzieje. Chwilę później poczuł na udzie dotyk zimnej stali i usłyszał charakterystyczne kliknięcie mechanizmu noża sprężynowego, którego czubek dotykał teraz jego przyrodzenia.

– Zabierz to – wysyczał, patrząc na nią przerażonym wzrokiem.

– Dlaczego? Przecież lubisz połączenie seksu i przemocy. Zabawimy się?

Uśmiechnęła się do niego niemal słodko, a przy tym lekko docisnęła nóż do jego spodni. Kamiński drgnął, ale ona pogroziła mu palcem jak małemu dziecku.

– Nie radzę. Czytałam gdzieś, że ból przebitego jądra jest nie do zniesienia.

– Czego chcesz?

– Żebyś przyjrzał się uważnie mojej twarzy i zapamiętał to, co teraz czujesz. – Zrobiła wymowną pauzę. – Ten strach i bezradność. Bo zapewniam cię, że jeśli kiedykolwiek skrzywdzisz jeszcze jakąś dziewczynę, znajdę cię i bez wahania utnę ci jaja. – Zręcznie zaczepiła czubkiem noża o materiał w okolicy rozporka i szarpnęła scyzorykiem, rozcinając Kamińskiemu spodnie.

Mężczyzna odskoczył gwałtownie, niemal przewracając krzesło. Wbijał w dziewczynę wściekły wzrok i dyszał ciężko, a na jego czole i nad górną wargą pojawiły się drobne krople potu.

– Suka – wysyczał. – Haller ci tego nie daruje. Zniszczy cię.

– Robert Haller chciał tylko, żebym się z tobą spotkała. Nie wspominał, że mam być miła. Chyba że czegoś nie zrozumiałam. – Zmrużyła oczy, jakby usilnie chciała sobie coś przypomnieć, po czym udała przerażenie, przykładając dłoń do ust.

Marek sięgnął dłonią, by rozpiąć górny guzik koszuli; jego nozdrza pulsowały, a szczęki napinały się pod skórą.

– Nie zapominaj, że mogę nie podpisać z nim umowy – zagroził. – Narobiłabyś sobie wtedy niepotrzebnych kłopotów.

– Nie zrobisz tego. Czytałam ją, to bardzo dobry kontrakt, na którym twoja firma skorzysta.

Kamiński uniósł brwi i przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– A jeśli jednak cię zaskoczę i zrezygnuję z inwestycji?

Larysa powoli podniosła się z krzesła. Oczy wszystkich pracowników i gości skupione były na nich. Kelner ze szklanką mleka na tacy zatrzymał się w pół kroku i w napięciu przyglądał się dziewczynie. Wydawało się, że powietrze stało się cięższe, rozmowy przycichły, a zebrani zastygli w bezruchu, czekając na rozwój wydarzeń.

– Spójrz na mnie – powiedziała spokojnie. – Naprawdę uważasz, że mam jeszcze coś do stracenia?

Marek Kamiński nic nie odpowiedział i rozejrzał się skonsternowany, posyłając gościom sztuczny, pokrzepiający

uśmiech, jakby chciał przeprosić za jej zachowanie.

Larysa zerknęła raz jeszcze na jaskółki na ścianie i wyszła.



Bartek Luboń rzucał czerwoną kauczukową piłeczką o ścianę w pokoju swojego kumpla. Przedmiot uderzał tuż obok plakatu *Domu z papieru*, popularnego serialu Netflix, odbijał się i wracał do rąk chłopaka. W pomieszczeniu było duszno i cicho. Przed ostateczną naradą Michał Prokop szczelnie pozamykał okna, a szparę pod drzwiami zakrył wełnianym kocem zwiniętym w rulon. Wszystko po to, by jego ojciec nie wychwycił nawet słowa z tej poufnej rozmowy dwóch przyjaciół.

Wymiana zdań okazała się jednak bardziej burzliwa, niż zakładali, i z pewnością wymknęła się z pokoju, bo choć zaczęła się od szeptów, skończyła się krzykiem i wyzwiskami. Poszło o to, co zwykle. O niefrasobliwość Prokopa i czarnowidztwo Lubonia. Michał uważał, że nie jest beztroski, tylko wyluzowany, a Bartek obraził się za nazywanie go pesymistą, kiedy odwoływał się jedynie do racjonalnych argumentów. Bez względu na to, kto znajdował się bliżej prawdy, atmosfera między kolegami siadła i w efekcie brat Larysy od ponad kwadransa zatopiony w myślach tłukł piłką o ścianę, a jego kumpel leżał na łóżku ze słuchawkami w uszach i ostentacyjnie gapił się w sufit.

Obaj czuli, że sytuacja jest patowa i wymaga działania, ale żaden z nich nie miał odwagi wykonać kolejnego kroku, bo każda decyzja, jak w tragedii antycznej, wydawała się zła i prowadziła do katastrofy. W końcu Bartek złapał piłeczkę i przysiadł na łóżku obok przyjaciela.

– Musimy mu powiedzieć – zawyrokował, gdy Prokop wyjął słuchawki z uszu. – Ja to zrobię, a ty będziesz stał cicho z boku. Przyznam się do wszystkiego, łącznie z tym, że to ja prowadziłem wtedy samochód. Nie ma innego wyjścia, przerobiłem w myślach

milion scenariuszy i tylko ten jeden ma sens. Jesteśmy to winni tej kobiecie i dziecku, którego się spodziewa.

Kiedy skończył mówić, wpatrywał się w Michała z nadzieją na zrozumienie, może nawet liczył na jakiś rodzaj wdzięczności za to, że zdecydował się wziąć wszystko na siebie, ale zamiast tego dostrzegł w oczach kumpla strach. Prokop wyprostował się nagle, pokręcił niemo głową i z przerażeniem patrzył na Bartka.

– Pogięło cię? Czy ty masz pojęcie, o czym mówisz? – zapytał. – Chłopie, pójdiesz do więzienia, rozumiesz? A wiesz, co tam robią takim jak ty? Nikt się nie będzie z tobą cackał. Zerzną cię przy pierwszej nadarzającej się okazji, będą cię lać i wyzywać od ciot, a w końcu zabiją. Dla takich jak oni jesteś nikiem. Śmieciem, którego trzeba spuścić w kiblu, czaisz?

Michał poczerwieniał na twarzy ze zdenerwowania, jego oczy błyszczały od gniewu, a klatka piersiowa unosiła się rytmicznie wraz z przyspieszonym oddechem. Luboń chciał powiedzieć, że się nie boi, ale gdy jego umysł zaczął mu podsuwać obrazy tego, co mogło się dzieć w zamkniętej celi, wycofał się ze swojej bohaterkiej deklaracji. W rzeczywistości ze strachu szumiało mu w uszach, a jego przepona była tak ściśnięta, że prawie nie mógł zaczerpnąć powietrza. Wpatrzony w podłogę, wyłamywał sobie palce, sprawiając, że jego kości wydawały nieprzyjemny, strzykający dźwięk.

– Nawarzyliśmy piwa, teraz musimy je wypić, stary – powiedział w końcu. – Lada chwila policja wejdzie ci na chatę, zaczną zadawać pytania, drążyć i wszystko, co tak bardzo chcieliśmy ukryć, wyjdzie na jaw. Chuj bombki strzelił. Jak cię wezmą na dołek, to im wyśpiewasz nawet to, od kogo kupujesz marihuanę. Dziekan się wścieknie, a potem rozpęta się taka zadyma, o której nawet nam się nie śniło. – Posłał koledze smutny grymas. – Mówią, że najgorsza prawda jest lepsza od kłamstwa. Przekonajmy się – rzucił i ruszył w kierunku drzwi.

Michał w ostatniej chwili złapał go za rękę.

– To pierdolona bzdura – zaprotestował. – Banał, jak powtarzanie, że pieniądze nie dają szczęścia albo że jeśli będziesz dobry dla

ludzi, to oni odwdzięczą się tym samym. Jedna wielka ściema, kurwa. – Gestykulował rozgorączkowany. – Wiesz, dlaczego bogaci wciskają innym kit, że kasa nie daje spełnienia? Żeby tym wszystkim biednym ludziom nie było przykro. Tacy jak ja i ojciec wmawiają im, że mają być mili i zaharowywać się w robocie, ale nie dlatego, że to recepta na sukces. Oszukujemy ich, bo wtedy nam żyje się łatwiej, a oni i tak niewiele osiągną. Prawda jest przereklamowana, Luby, a kłamstwa dają nam bezpieczeństwo i wygodę.

– O ile nas nie zabijają – odparł Bartek, po czym otworzył drzwi i nie oglądając się za siebie, zbiegł po schodach, wpadając wprost do salonu, gdzie napotkał zdzwiony wzrok dziekana Prokopa.

– Wszystko w porządku? – zapytał ojciec Michała.

Bartek zdołał jedynie pokręcić głową, zaschło mu w ustach, a jego serce uderzało tak donośnie, że nie był w stanie się skupić. Patrzył na mężczyznę siedzącego w fotelu, który nieświadomy tego, co nadchodzi, życzliwie się do niego uśmiechał.

– Chciałem... – zaczął cicho, po czym odchrząknął, by móc wydobyć z siebie głos. – Muszę porozmawiać z panem o tym samochodzie.

Prokop senior ściągnął brwi i nerwowo zamrugnął powiekami.

– Mam nadzieję, że nie chcesz się wstawiać za moim synem – powiedział ostro. – Michał musi nauczyć się odpowiedzialności za swoje czyny. Nie zmienię zdania i nie cofnę swojej decyzji. Oboje z jego matką jesteśmy przekonani, że to najwyższy czas, żeby się wyprowadził, znalazł pracę i zaczął radzić sobie sam. Tylko wtedy zrozumie, co oznacza słowo „konsekwencje”.

Luboń zerknął skonsternowany w stronę schodów, gdzie przyklejony do ściany, ze spuszczoną głową stał jego przyjaciel, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Bartkowi zrobiło się przykro, bo nie miał pojęcia, że ich imprezowy wybryk pociągnął za sobą tak poważne skutki. Domyślał się, że Michał nie chciał go martwić, i żałował, że jeszcze niedawno tak na niego naskoczył.

– Ale to nie tak – tłumaczył brat Larysy. – To nie pana syn prowadził wtedy samochód, tylko ja. Rozumie pan? To wszystko

moja wina.

Ku jego zaskoczeniu dziekan Prokop się roześmiał.

– Czasami zazdroszczę wam tej przyjaźni. Poszlibyście za sobą w ogień – skwitował. – Wiem, że kłamiesz tylko po to, by go chronić, ale to niepotrzebne. Klamka zapadła, pojutrze mój syn się wyprowadza. – Ostentacyjnie odłożył na bok gazetę, którą przeglądał. – A jeśli chodzi o samochód, to już dawno jest naprawiony. Po naszej rozmowie zawiozłem go do autoryzowanego serwisu i wygląda jak nowy.

Bartek chciał dodać coś jeszcze, ale miał mętlik w głowie. Był pewien, że cała krew odpłynęła mu z twarzy, która przybrała teraz trupio blady kolor. Z łomoczącym sercem, bez słowa wycofał się na schody, gdzie czekał na niego Michał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – wyszeptał do Prokopa.

– Nie miałem o tym pojęcia – tłumaczył się, wchodząc z kumplem po schodach. – Kiedy zerknąłem na samochód wczoraj, wydawało mi się, że stoi nietknięty, ale patrzyłem z daleka i byłem tak spietrany, że mogłem to sobie wyobrazić. Nie rozumiem tylko, dlaczego policja jeszcze nas nie namierzyła. To się nie trzyma kupy. – Zastygł na chwilę i w pośpiechu sięgnął po telefon. – Zaczekaj – rzucił. – Może już kogoś zgarnęli i mamy problem z głowy?

Bartek zamierzał sprostować, że pytał o wyprowadzkę, a nie o naprawę samochodu, ale zauważył skupiony i zaniepokojony wzrok przyjaciela.

– Ty... – zaczął Michał, wpisując raz po raz nowe hasła do wyszukiwarki. – Dziwne, nie ma żadnych informacji o tym wypadku. Wszystkie artykuły zniknęły, jakby nic się nie wydarzyło. – Prokop popatrzył na niego z nadzieją i głupim uśmiechem wykwitającym powoli na twarzy.

Luboń nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo na jego telefon przyszła wiadomość MMS. Mimo że nie znał numeru nadawcy, odruchowo kliknął, a gdy przyjrzał się obrazkom i zrozumiał, co przedstawiają, zachwiał się.

Patrzył na zdjęcia zrobione feralnej nocy, gdy razem z Michałem wyjechali autem z garażu. Widział na nich siebie za kierownicą

i w lesie, gdy szukał gałęzi, które mógłby podłożyć pod koła. Najbardziej zatrważająca była jednak krótka wiadomość tekstowa towarzysząca zdjęciom.

„Wiem, co zrobiłeś”.



Od rozmowy z Justyną Dembską Bruno zastanawiał się, jak podejść Dawida Gajdę, by go nie spłoszyć. Technik miał dostęp do wszystkich informacji związanych ze śledztwem i zapewne domyślał się, że niebawem pod jego adresem padną niewygodne pytania. Właściwie zastanawiające było to, że nie próbował uprzedzić faktów. Na pewno wiedział, że gdy sprawdzą rejestracje samochodów przejeżdżających w pobliżu miejsca zbrodni, będzie musiał zmierzyć się z podejrzeniami. Jeśli był wystarczająco bystry, przygotował się na taki scenariusz, a co za tym idzie klasyczne przesłuchanie nie miało większego sensu.

Wilczyński przekopał internet w poszukiwaniu jakichś punktów zaczepienia, wykonał kilka dyskretnych telefonów, ale dowiedział się tylko tego, co sam skonstatował, gdy pierwszy raz zobaczył bujną grzywę Gajdy. Dawid był wytrawnym uwodzicielem i zazwyczaj bez szwanku wyplątywał się z ciężących mu romansów, by móc zrobić miejsce dla kolejnej zdobyczy. Dawni współpracownicy z Siedlec wypowiadali się o nim pochlebnie, wprawdzie niektórych irytowało jego przesadne skupienie na wyglądzie i manieri, których nabył na studiach w Warszawie, ale nigdy niczego nie zawalił, a wręcz odznaczał się dużą dokładnością i precyzją. Koledzy z Wydziału Prawa i Administracji na Łazarskim wspominali go jako wesołego imprezowicza, a jednocześnie pilnego studenta, jeśli trafił na przedmiot, który wybitnie go interesował.

Normalnie złoty chłopak, pomyślał Bruno, odkładając telefon po rozmowie z przyjacielem Gajdy namierzonym przez Facebooka. Mężczyzna bez trudności połknął haczyk i uwierzył, że policjanci z warszawskiej komendy chcą przygotować powitalne przyjęcie niespodziankę dla nowego technika kryminalistyki, a przez to chętnie o nim opowiadał. Jedynie temat matki Dawida nadal pozostawał niejasny. Dzięki rozmowom udało się ustalić, że kobieta

nie żyje od wielu lat i że Gajda niechętnie o niej mówił. Bruno postanowił to zmienić. Wyposażony w notatki udał się do pokoju, w którym pracowali jego koledzy.

– Zaprosisz dziś Dawida Gajdę na piwo – powiedział, przysiadając na biurku Sylwii.

Aspirant Konopacka odłożyła telefon, który trzymała w dłoni, ekranem do dołu, i obejrzała się za siebie, jakby zakładała, że mówił do kogoś innego. Wilczyński sięgnął po jej komórkę na tyle szybko, że nie zdążyła jej zablokować, i uśmiechnął się z satysfakcją.

– Portal randkowy? Na serio? To urocze, jak wszystkie marzycie o czułych, wrażliwych chłopakach, ale zapominacie, że takie chłopaki już dawno mają swoich chłopaków – ironizował. – Daj sobie z tym spokój, proponuję ci randkę z pierwszej klasy żigolakiem z Siedlec.

– Odwal się. – Wyszarpnęła mu telefon i lekko poczerwieniała na twarzy. – To nie twoja sprawa.

– No wiesz, ale to, że w pracy świntuszysz przez telefon zamiast poszukiwać niebezpiecznego mordercy, to już moja sprawa. A właściwie nawet sprawa naczelnika Pękały. – Pokiwał głową, robiąc przy tym poważną minę.

Sylwia rzuciła mu mordercze, a zarazem podszyte niepokojem spojrzenie.

– Żartowałem, wyluzuj. – Poklepał ją po ramieniu. – Poza tym nie swatam cię z Gajdą. Ta randka to polecenie służbowe.

Bruno podał aspirant Konopackiej wydruk z numerami rejestracji i nazwiskami właścicieli samochodów przejeżdżających ulicą Stryjeńskich tamtego wieczoru, którego zginęła Oliwia Socha. Jedna z rejestracji była obwiedziona czerwonym długopisem. Chwilę później podsunął jej pod nos powiększone zdjęcie Dawida Gajdy za kierownicą czerwonej toyoty yaris.

– O cholera – wyszeptała Sylwia. – Podejrzewasz go?

– Na razie nie widzę motywu, ale nie podoba mi się, że nic o tym nie wspomniał. Gdyby był czysty, uprzedziłby nas, że jego samochód wypłynie w monitoringu – wyjaśnił Wilczyński. – Dlatego

chę, żebyś powęszyła. Piękniś lubi kobiety i alkohol, więc masz nade mną pewną przewagę. Zależy mi na tym, by dowiedzieć się, co się stało z jego matką i jakie miał z nią relacje. No i oczywiście wszystko po cichu.

– Żartujesz sobie? Mam go wziąć na koleżeńskie piwo za plecami Pękały i ni z gruchy, ni z pietruchy przejść do tematu jego matki? – Popukała się palcem w czoło. – Od razu się zorientuje, że coś jest nie halo. A jak to wyjdzie na jaw, to będziemy siedzieć w gównie po same uszy.

– Nie bój się na zapas, poradysz sobie. Poza tym będę cię miał na uchu i gdyby coś się sypnęło, wkroczę do akcji.

Sylwia westchnęła ciężko, oparła czoło na dłoniach i zaczęła pocierać nimi skórę.

– Dobra – rzuciła w końcu. – Ale w razie draki bierzesz wszystko na siebie. Ogarnij sprzęt, a ja zaproszę go do Lolka na Pole Mokotowskie. O ósmej grają tam dziś jakiś koncert. Oczywiście jeśli Dawid połknie przynętę.

– Akurat o to się nie martwię.

W przeciwieństwie do Brunona policjantka wyglądała na przejętą. Włożyła do ust skuwkę od długopisu i gryzła ją, wpatrując się w zablokowany monitor komputera. A gdy poczuła na sobie wzrok Wilczyńskiego, zaczęła gorączkowo przerzucać papiery na biurku.

– Wszystko w porządku? – zapytał jej kolega. – To bezpieczna akcja, klasyka gatunku, nie ma powodu do zmartwień – powiedział. Gdy posłała mu blady, uspokajający uśmiech, zmienił temat: – Udało ci się porozmawiać z nauczycielkami z przedszkola Rysia Sochy?

Policjantka potwierdziła skinieniem głowy.

– Jego wychowawczynie powiedziały, że nigdy nie zauważyły u niego żadnych siniaków ani śladów przemocy fizycznej, ale według nich gdy chłopiec wpadał w złość, wyzywał inne dzieci od sierot i groził im, że zamknie je w piwnicy. – Westchnęła ciężko. – Panie nie robiły z tego powodu afery, dzieci w przedszkolu powtarzają przecież różne rzeczy. O samej Oliwii mówiły to, co

wszystkie jej koleżanki: miła, uśmiechnięta, sympatyczna kobieta i dobra matka.

– Mam na ten temat zupełnie inne zdanie – usłyszeli niski męski głos, a gdy odwrócili głowy, zobaczyli Justynę Dembską w towarzystwie jakiegoś starszego mężczyzny o ponurym wyrazie twarzy i ogromnym czerwonym nosie, który skupiał na sobie całą uwagę.

– To pan Sławomir Talar z lidla – poinformowała profilerka. – To on rozmawiał z matką Rysia na nagraniu zarejestrowanym przez monitoring sklepowy.

– Nie rozmawiałem, tylko jej wygarnąłem – rzucił wściekle mężczyzna. – Do dziś się we mnie gotuje, jak sobie przypomnę. Zapytał tylko, czy kupi mu króliczka, a ona powiedziała, żeby się zamknął i przestał jęczeć, bo przeszkadza jej robić zakupy. Głupia krowa. – Zacisnął szczęki. – A potem ten mały płakał, a ona go wzięła za ramię... – Naśladował gest szarpania, ściskając dłoń w pięść tak mocno, że aż się trzęsła. – Do końca zmiany mną telepało – dodał wzburzony.

Komisarz Wilczyński przyglądał się mężczyźnie i niemal fizycznie czuł jego złość. W pewien sposób pracownik sklepu budził jego podziw, niewielu ludzi miało odwagę interweniować w takich sytuacjach. Większość obawiała się konfrontacji albo awantury o wtrącanie się w czyjeś życie. Pierwotny lęk przed atakiem i agresją powodował, że świadkowie przemocy często wybierali milczenie i odwracali wzrok.

– A o której godzinie skończył pan pracę? – zapytał jeszcze kontrolnie Bruno.

– O północy, siedziałem potem na kasie aż do zamknięcia – wyjaśnił, a po chwili wahania spojrzał prosto w oczy policjanta. – Wie pan, mnie kiedyś matka prała równo. Urwis byłem, to chciała mnie na ludzi wyprowadzić. Co przeskrobałem, to pas szedł w ruch i na goły tyłek tłukła. Bolało jak diabli. – Nerwowo pociągnął nosem. – Nienawidziłem jej za to. Szczerze mówię. Ale też kochałem. Bo to matka w końcu. – Drżącą dłonią potarł oko, jakby

coś mu w nie wpadło. – I jak zobaczyłem tego małego, to jakbym siebie zobaczył.

Mężczyzna chciał coś jeszcze powiedzieć, ale najwyraźniej bolesne wspomnienia zdusiły w gardle dalszą część opowieści, bo zdołał jedynie pokręcić głową i ciężko sapnął.

Aspirant Konopacka poprosiła pracownika sklepu na stronę, by spisać jego zeznania, a komisarz Wilczyński i Justyna Dembska trwali przez chwilę w zamyśleniu.

– No cóż. Według mnie nasz morderca też doświadczał w dzieciństwie przemocy i kiedy zobaczył, jak Oliwia Socha traktuje syna, coś w nim pękło – wtrąciła niespodziewanie profilerka. – To było morderstwo z poczucia krzywdy. Zabił ją, choć tak naprawdę chciał zabić swoją matkę – kontynuowała. – A przy tym ochronił dziecko, bo dostrzegł w nim samego siebie. On nie ratował Rysia, tylko siebie.



Tego popołudnia krzyczała przez sen. Wyczerpana ostatnimi przeżyciami zapadła w głęboką drzemkę. Śniło jej się, że ktoś zadzwonił do jej mieszkania, podniosła się ospale z łóżka, dotoczyła do drzwi i spojrzała przez wizjer, ale nikogo tam nie dostrzegła. Wracając do sypialni, zerknęła w lustro wiszące na korytarzu, zamiast siebie ujrzała tam jednak postać w masce, która niespodziewanie wybuchła obłąkanym śmiechem. Larysa zaczęła się szarpać i krzyczeć, a w końcu zerwała maskę i zobaczyła pod nią obrzydliwe, gnijące oblicze potwora. Obudziła się zlaną potem i na wpół przytomna. Koszmar był tak realistyczny, że z bijącym sercem rozejrzała się po pokoju. Wszystko wydawało się na swoim miejscu, tylko jej dłonie nadal delikatnie drżały.

Uspokoili się dopiero po gorącym prysznicu i szklance ciepłego mleka, którym popiła kanapkę. Rozumiała, że to emocje minionych dni dawały swój wyraz w sennych majakach. Jej spotkanie

z Markiem Kamińskim, pogróżki Roberta Hallera, odwiedziny Ireneusza i reportaż o Fantomie, który musiała oddać lada chwila, to wszystko zostawiało na niej swój ślad. Postanowiła uporać się z tym, co najbardziej ją prześladowało.

Wyjęła z plecaka komputer, na który przerzuciła pliki dźwiękowe z rozmowy z Adamem, człowiekiem w masce, i podłączyła słuchawki, by wczuć się w każde jego słowo. Kiedy dotarła do fragmentu o forach internetowych, na których rodzice wymieniają się informacjami o tym, jak biją swoje dzieci, zaczęła szukać głębiej. Znalezienie w sieci zwierzeń dumnych ze swojej władzy i dominacji matek i ojców nie zajęło jej dużo czasu. Kobieta o pseudonimie „Mamcia” wyjaśniała, że jej syn dostaje skórzanym kapciem na gołą pupę, a przed laniem musi wachać przedmiot, którym będzie bity, mężczyzna ukrywający się pod nickiem „Łojciec” chwalił się, że zamyka dzieci w łazience ze zgaszonym światłem, a „Elżunia” opisywała, jaką przyjemność sprawia jej szarpanie i szczypanie „tych wstrętnych bachorów”. Wszyscy uzasadniali swoje zachowanie koniecznością właściwego wychowania dzieci i podkreślali, że ich rodzice też tłukli, a mimo to – a może właśnie dlatego – wyrosli na porządnym ludzi.

Larysie od tych rewelacji zakręciło się w głowie. Internauci dzielili się wskazówkami, jak krzywdzić dzieci, by nie zostawiać śladów, i jak w inny sposób okazywać im swoją wyższość oraz egzekwować bezwarunkowe posłuszeństwo. Opisy przemocy fizycznej były jednak niczym wobec tego, jakie zwierzenia na temat agresji psychicznej znalazła. Setki, jeśli nie tysiące opowieści o poniżaniu, zastraszaniu, szantażowaniu i zawstydzaniu dzieci.

Najbardziej wstrząsnęły nią historie, w których opiekunowie kazali swoim latoroślom jeść z podłogi, bo nie zasługiwały na miejsce przy stole, albo zwyczajnie je głodzili. Zwierzenia, które opisywały groźby oddania dzieci do sierocińca czy wywiezienia do lasu albo wymuszanie na nich chodzenia wiele dni w tych samych brudnych ubraniach, by nauczyły się, że niechlujstwo ma swoje konsekwencje. To było zło w najczystszej postaci.

Wyznania rodziców, którzy ubliżali, gnębili i wyśmiewali, sprawiły, że Larysa zaczęła nerwowo przygryzać paznokcie. Coraz bardziej nabuzowana czytała zwierzenia dorosłych lubujących się w budowaniu w dziecku poczucia winy i oskarżaniu go o własne niepowodzenia. Oczy dziennikarki otwierały się szerzej, gdy zapoznawała się z historiami opiekunów, którzy porażki małego człowieka karali oziębłością albo wykorzystywali je, by udowodnić dziecku, że jest nikim. Najstraszniejsze było to, że wszyscy oni uważali te metody za coś zupełnie normalnego. Nie wiedzieli, że przemoc emocjonalna jest jak robak, który rośnie w duszy dziecka i sprawia, że gnije ono od środka.

Przed oczami stanął jej Adam bawiący się drewnianymi klockami na dywanie. Jego matka wykorzystywała swoją psychiczną przewagę, obarczała syna odpowiedzialnością za odejście ojca i chorobę siostry. Stosowała wobec niego niewidzialną przemoc, a teraz on się za to mścił.

Larysa poczuła zimny dreszcz na plecach i postanowiła odnaleźć Fantoma dzięki pomocy jedyne go człowieka, który potrafił to zrobić: Pawła Wiśniewskiego.



Po anonimowej wiadomości od świadka wypadku Bartosz Luboń przestał zakładać, że gorzej już być nie może, i pogрузił się w apatii. Godzinami leżał na łóżku w akademiku i nieustajaco analizował, jak koncertowo spieprzył sobie życie. Marazm nie trwał jednak zbyt długo, bo już następnego dnia do chłopaka zadzwoniła pani z dziekanatu, prosząc, a właściwie nakazując, by stawił się na rozmowę z profesorem Stryczkiem. Podczas krótkiej wymiany zdań kobieta kilkakrotnie podkreśliła, że to pilne, i traktowała go wyjątkowo oschle, nawet jak na pracownika dziekanatu.

W drodze na wydział Bartek starał się zrozumieć, o co mogło chodzić, i szybko doszedł do wniosku, że jakimś cudem profesor

musiał się dowiedzieć o oszustwie podczas egzaminu z mechaniki płynów. Włókł się noga za nogą, ze spuszczoną głową i miną kogoś, kto postawił wszystko na jedną kartę i przegrał.

Kiedy pukał do pokoju profesora Andrzeja Stryczka, drżały mu dłonie i czuł, że teraz właściwie mógłby się przyznać wszystkim i do wszystkiego, byle tylko odzyskać spokój i nie podskakiwać z lęku na każdy najdrobniejszy szmer.

– Proszę wejść – usłyszał zaproszenie wykładowcy.

Wilgotną ze stresu dłonią nacisnął klamkę, a gdy uchylił drzwi, jego brwi natychmiast powędrowały w górę ze zdziwienia. Na krześle naprzeciwko ciężkiego dębowego biurka siedział dziekan Wojciech Prokop, a tuż obok przyjaciel Bartka, Michał, który z opuszczonymi kącikami ust i matowym wzrokiem wyglądał jak zbity pies. Profesor Stryczek odchrząknął i wskazał wolne krzesło chłopakowi.

– Żeby nie tracić panów i mojego czasu, przejdę od razu do konkretów – rozpoczął.

Wykładowca położył na stole dwie prace zaliczeniowe z mechaniki płynów. Brat Larysy znał je doskonale, i choć jedna z nich podpisana była nazwiskiem Michała Prokopa, to dobrze wiedział, kto był jej autorem. Czując na sobie groźne spojrzenie profesora Stryczka, domyślił się, że on także ma tę świadomość.

– Jest pan bystrym człowiekiem, panie Luboń, i zapewne dostrzega pan pewne podobieństwo charakteru pisma na tych dokumentach.

Bartek milczał, coraz bardziej zaciskając szczęki, a dziekan Prokop niespokojnie spoglądał to na pedagoga, to na przyjaciela swojego syna.

– Przyznaję, że nie wpadłbym na pomysł, by porównywać prace – kontynuował Andrzej Stryczek. – Ale zaniepokoiła mnie jedna rzecz. – Mężczyzna dotknął zapisanego na kartce numeru albumu, który został przekreślony, a tuż pod nim pojawił się zupełnie inny identyfikator. – Jak to możliwe, że student trzeciego roku, pan Michał Prokop, nie pamiętał swojego numeru albumu i odruchowo

wpisał pański? To dość niebywała pomyłka, nie wydaje się panom?
– Wbił wzrok w studentów.

W pokoju zawisła gęsta i ciężka od napięcia cisza.

– Dobra, powiem to, co wszyscy już wiedzą – rzucił histerycznie Michał, jakby nie mógł wytrzymać przedłużającego się milczenia. – Poprosiłem Bartka, żeby napisał za mnie ten egzamin. To moja wina i jestem gotowy ponieść tego konsekwencje – wyrzucił jednym tchem.

Dziekan Prokop poprawił się na krześle, ale nadal nie skomentował zachowania syna w żaden sposób. W tym czasie brat Larysy tonął w wyrzutach sumienia z powodu tego banalnego, amatorskiego błędu, którym ściągnął na siebie i swojego kumpla jeszcze więcej kłopotów.

– Mam nadzieję, że rozumieją panowie, że takie zachowanie jest naruszeniem regulaminu naszej uczelni i pociąga za sobą określone skutki. Ostatecznie zadecyduje o nich komisja dyscyplinarna, ale uprzedzam, że będę wnosił o naganę z ostrzeżeniem dla obydwu panów – profesor spojrział na Lubonia – i o odebranie panu stypendium. A tobie, Wojtku, dobrze radzę trzymać syna krótko – zwrócił się do ojca Michała. – Inaczej do końca życia będzie ci przynosił wstyd.

Prokop senior zacisnął szczęki, ale ostatecznie jedynie kiwnął głową. Bartek był pewien, że gdyby byli młodszy, to wyprowadziłby ich z gabinetu profesora Stryczka za uszy, a za drzwiami dałby im po porządnym klapsie. Kiedy jednak znaleźli się na korytarzu, ojciec Michała spojrział zimno na swojego syna i powiedział tylko jedno zdanie:

– Masz się wyprowadzić jeszcze dzisiaj – rzucił i oddalił się korytarzem.

Chłopak przeklął po nosem, a później usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Luboń zajął miejsce obok niego i objął przyjaciela ramieniem.

– Sorry, to była cholerna pomyłka, nie wiem, jakim cudem tak się walnąłem – tłumaczył gorączkowo. – Mogę cię przewaletować kilka dni w akademiku, jeśli chcesz – zaproponował.

Michał spojrział na kumpla zdezorientowany.

– Czy ty w ogóle czytałeś SMS-a, którego ci wysłałem? – zapytał. – Nie martwię się Stryczkiem, to pierdoła. Mamy dużo większy problem.

Bartek sięgnął po telefon i zauważył, że w skrzynce odbiorczej ma jedną nieodczytaną wiadomość, która jakimś cudem mu umknęła. W treści znajdował się tylko link do artykułu umieszczonego na portalu informacyjnym.

„Myśliwy potrącony na polowaniu zmarł w szpitalu. Sprawca nadal jest na wolności” – brzmiał tytuł publikacji.



W pubie Lolek na Polu Mokotowskim było tak dużo ludzi, że powietrze wydawało się lepkie i gęste niczym kisiel. Tłumy przyciągnął koncert zespołu grającego covery popularnych piosenek. Początkowo Bruno strasznie cierpiał, słuchając nowych wersji utworów, które naprawdę cenił, ale po jednym piwie stwierdził, że właściwie mogłyby mu się spodobać, i nieświadomie zaczął wystukiwać nogą rytm. Siedział wciśnięty w kąt przy długim drewnianym stole, a wokół niego trwała impreza urodzinowa jakiejś mocno umalowanej studentki. Dziewczyna nie tylko nie miała problemu z tym, by tajemniczy nieznajomy w czapce z daszkiem się do nich przysiadł, co więcej, szybko znalazła się obok niego i z odwagą właściwą ludziom zaprawionym procentami namawiała go do tańca.

W tym samym czasie Sylwia, która siedziała kilka stolików dalej w towarzystwie Dawida Gajdy, zdawała się zapomnieć, jakie zadanie powierzył jej Wilczyński. Chichotała jak nastolatka, mizdrzyła się i co jakiś czas zalotnie zakładała niesforny kosmyk włosów za ucho. Gdyby jeszcze żarty technika były naprawdę dobre, komisarz by to zrozumiał, ale oceniał je na marną, naciąganą tróję. Gajda nachylał się blisko twarzy aspirant

Konopackiej i opowiadał jej do ucha nędzne anegdoty z siedleckiego życia. Był wyraźnie rozluźniony, żywo gestykulował, dużo się śmiał i kiedy tylko mógł, zarzucał swoją bujną czupryną, co wywoływało u Brunona odruch wymiotny.

Wilczyński docisnął słuchawkę do ucha, żeby lepiej słyszeć rozmowę między swoimi kolegami, którzy powoli zaczęli przechodzić do fazy zwierzeń, ale rozbawiony tłum nie sprzyjał podsłuchiwaniam. Ludzie gromadzący się pod sceną zaczęli niespodziewanie wiwatować na cześć zespołu i przez chwilę w lokalu zrobiło się naprawdę głośno. Solenizantka siedząca przy jego stoliku złapała go za rękę i nie zważając na opór, wyciągnęła na parkiet. Bruno rozglądał się nerwowo, ale dziewczyna wirowała wokół niego w tańcu i spychała w coraz bardziej oddalony od miejsca obserwacji kąt. Gdy wreszcie się jej wyrwał, między bawiącymi się gośćmi doszło do sprzeczki, na skutek której nie mógł przebić się do stolika, a przy tym całkowicie stracił z oczu Sylwię i Dawida. Dopiero kiedy ochrona rozdzieliła awanturujących się, na powrót odzyskał widok na miejsce, przy którym wcześniej siedzieli. Tyle że teraz ich tam nie było.

Rozejrzał się gorączkowo po sali, prześwietlił wzrokiem parkiet i przestrzeń przy barze, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Nie spodobało mu się też to, że przestał ich słyszeć. Zaniepokojony przeprosił swoją nachalną towarzyszkę i lawirując między gośćmi, krążył po lokalu w poszukiwaniu aspirant Konopackiej. Jak na złość dokładnie w tej samej chwili zadzwonił do niego naczelnik Marian Pękała.

– Jestem trochę zajęty – powiedział Wilczyński do słuchawki, sprawdzając w międzyczasie damską toaletę.

– Mamy drugie morderstwo. W Powsinie. Obawiam się, że to ten sam sprawca – odparł naczelnik poważnym tonem.

Bruno poczuł nagły przyptyw adrenaliny, uderzył pięścią w drzwi jednej z kabin i przeklął pod nosem. Nie chciał zostawiać Sylwii samej z Gajdą, a fakt, że nie mógł ich znaleźć, martwił go coraz bardziej. Ostatecznie założył, że ich także szef wezwał do zdarzenia,

co wydawało się rozsądnym wyjaśnieniem nagłego zniknięcia tych dwojga.

– Już jadę. Wyślij mi dokładny adres – odpowiedział przełożonemu i skierował się do wyjścia.

W oczekiwaniu na ubera dla własnego spokoju wysłał jeszcze wiadomość do aspirant Konopackiej, ale nie otrzymał od niej żadnej odpowiedzi. Wsiadając do taksówki, starał się to racjonalizować, przyjął, że jego koleżanka jest zajęta albo nie usłyszała SMS-a, ale kiedy wjeżdżał w Żwirki i Wigury, kątem oka dostrzegł subaru Sylwii zaparkowane pod Jeff'em i natychmiast sięgnął po telefon. Po chwili, głosem wyzutym z emocji, odpowiedział mu automat: „Abonent jest poza zasięgiem sieci”. Wilczyński poczuł bolesny skurcz żołądka i huknął na kierowcę, by mocniej przycisnął gaz do dechy. Wszystko w nim buzowało, powoli docierało do niego, że może nie docenił Gajdy, a przez to popełnił koszmarny błąd.

Wyrzuty sumienia trzymały go w kleszczach przez całą drogę do Powsina, w czasie której pogryzł do krwi wewnętrzną stronę policzka. Kiedy dotarł do ulicy Opieńki, wyskoczył z samochodu i niemal biegnąc, dopadł do Pękały, który przyjechał wcześniej i właśnie szedł w stronę białego domu z dużymi oknami.

– Jest z tobą Sylwia? – zapytał przełożonego.

Naczelnik spojrział na niego zdziwiony.

– Nie. Ma dziś wolne popołudnie, w ostatnim tygodniu siedziała w fabryce od rana do nocy. Lepiej niech się prześpi, będzie nam potrzebna jutro – wyjaśnił. – Wezwałem kilku naszych i techników. Są w drodze. Tak samo jak prokurator.

Bruno mruknął, zastanawiając się, czy Dawid Gajda przyjedzie na miejsce.

– Co się stało? – Komisarz zerknął w stronę białego domu, w którym paliło się światło.

– Sąsiada obudziły jakieś krzyki. Facet wyjrzał przez okno i zobaczył małą dziewczynkę w ogródku – opowiadał przełożony. – Kiedy poszedł sprawdzić, co robiła sama na zewnątrz w deszczu i o tak późnej godzinie, powiedziała mu, że szuka mamy, bo gdzieś

zniknęła. Chwilę później martwą Paulinę Ostrowską znaleziono na trawniku, tuż przy skalniaku. Ktoś roztrzaskał jej głowę kamieniem.

Pękała zrobił wymowną pauzę, a Bruno ściągnął brwi w zamyśleniu. Miał wrażenie, że zimno przeszywa go aż do kości, postawił kołnierz i chuchnął ciepłym powietrzem w dłonie, by choć odrobinę ogrzać sztywne palce, a gdy to nie pomogło, wcisnął ręce głęboko do kieszeni kurtki. Krótki odcinek dzielący posesję od ulicy przeszli w milczeniu. Na miejscu Jan Ogórek, zwany Dzieciakiem, zdążył już rozstawić namiot oględzinowy, a policjanci patrolowi zabezpieczali teren.

Wilczyński zatrzymał się przed wejściem do namiotu i zerknął w ogromne, niczym nieprzystłonięte okno domu. Jego wzrok przyciągnęła scena, która przypominała kadr żywcem wycięty z katalogu Ikei. Na żółtej kanapie obsypanej kolorowymi poduszkami siedziała urocza dziewczynka w błękitnej piżamce w białe chmurki. Przytulała do siebie wielkiego pluszowego rekina i wydawała się nieobecna. Tuż obok na charakterystycznym uszaku z przewieszonym przez oparcie ciemnozielonym pledem siedział policjant. Bruno pomyślał, że mężczyzna zupełnie nie pasuje do tego wnętrza, jakby ktoś dokleił go do obrazka na siłę i zaburzył w ten sposób pieczołowicie zaplanowaną skandynawską inscenizację. Uśmiechnął się do siebie i wszedł do namiotu, w którym jego uśmiech od razu zrzędł.

Kobieta leżała odwrócona twarzą do ziemi. Miała na sobie getry, ciepły różowy kardigan o grubym splocie i buty australijskiej marki Emu, które Bruno uważał za skrajnie aseksualne. Jednak jego wzrok najbardziej przykuł widok roztrzaskanej głowy kobiety i kamienia, który znajdował się kilka metrów dalej.

– Potrzebny mi kombinezon. Jest już jakiś technik? – krzyknął. – Od tej chwili nie chcę tu widzieć nikogo bez odpowiedniego ubrania – gorączkował się komisarz. – Trzeba to zabezpieczyć i obfotografować.

– Jestem, jestem – odezwał się Dawid Gajda, który właśnie dojechał ze sprzętem i przekazywał ekipie kombinezony podobne

do tego, jaki miał na sobie. – Co się tak niecierpliwisz? Raczej nigdzie już nie ucieknie.

Wilczyński zacisnął dłoń w pięść. Kusiło go, by nieco oszpecić tę przystojną twarz, ale powstrzymał się, czując na sobie badawcze spojrzenie Pękały. Bacznie obserwował każdy ruch technika, szukał w jego rysach jakiegoś niepokoju po spotkaniu z Sylwią albo oznak podniecenia związanych z obecnością na miejscu zbrodni, ale Gajda niczego takiego nie zdradzał. W skupieniu robił zdjęcia i z uwagą zabezpieczał ślady. Później odwrócił kobietę, by umożliwić pełne oględziny i zweryfikować, czy nie miała jakichś innych ran. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Poza tym, że jej przednia część ciała była umorusana rozmazaną krwią i ziemią, a za paznokciami miała czarne półksiężyce. Bruno przyjrzał się uważnie trawnikowi i dostrzegł, że fragment tuż za skalniakiem aż do okolicy jej nóg wydaje się bardziej wygnieciony, a na trawie znajdują się ślady krwi.

– Musiała się czołgać – stwierdził. – Kiedy dostała pierwszy raz, upadła, ale nadal żyła. Usiłowała uciekać. Tyle że nie zdążyła. – Wilczyński przekrzywił głowę i przygryzł wargę. – To była okrutna śmierć, bo od pierwszego ciosu ofiara wiedziała, że umrze, i nie mogła nic z tym zrobić.

Dawid Gajda pokiwał głową z zatroskaną miną. Przez ułamek sekundy w namiocie zapanowały całkowita cisza i bezruch, jakby wszyscy przeżuwali w myślach słowa Brunona i wyobrażali sobie ostatnie chwile życia tej kobiety. Komisarz Wilczyński przyglądał się uważnie białym włosom ofiary, posklejanym krwią, i nagle wróciły do niego słowa patologa Stefana Kościa: „Macie do czynienia z potworem schowanym w człowieku”. Odwrócił się gwałtownie do Dawida Gajdy i bez zbędnych wstępów zapytał:

– Gdzie jest Sylwia?



Kiedy Larysa stanęła w hali głównej Dworca Centralnego, nie była już tak pewna swojego pomysłu. Dawny budynek, dla którego niegdyś charakterystyczne były przygnębiający mrok, nieprzyjemny zapach unoszący się w powietrzu i lepkie, brudne podłogi, dziś miał w sobie lekkość i nowoczesność. Głównymi elementami hali stały się teraz ruchome schody i przyjemna antresola z popularną fastfoodową restauracją oraz dyskontem. Wnętrze zostało rozjaśnione intensywnym oświetleniem, a całość zyskała bardziej europejski charakter.

Tylko perony, przejścia między nimi i dworcowe tunele uniknęły przeobrażenia. Wprawdzie pojawiły się na nich nowe ekrany informujące pasażerów o rozkładach jazdy, ale szarość, zimno i ponura atmosfera zostały te same, co dawniej. To właśnie tam, w mrocznych rewirach Dworca Centralnego, dziewczyna postanowiła odnaleźć Pawła.

Przemierzała pachnące stęchlizną tunele z myślą o tym, że wkracza do innego świata. Nie była pewna, gdzie znajdzie Wiśniewskiego, bo modernizacja architektury wiązała się też ze zmianami w zwyczajach kręcących się tu kloszardów. Kiedyś bezdomni mogli przesypiać na Centralnym całe noce, dziś ochrona bardzo dbała o to, by nie tylko na dworcu nie nocowali, ale też nie pojawiali się tam za dnia.

Niestety większość noclegowni otwierała się późnym popołudniem, więc nie zważając na protesty, bezdomni i tak kręcili się po dworcu i w jego okolicy. Niektórzy z nich nie chcieli wracać do schronisk, zbierali puszki, pomagali w parkowaniu samochodów, których później pilnowali, by w ten sposób zarobić i ocalić resztki godności.

W jednym z korytarzy dziewczyna dostrzegła ochroniarza przeganiającego mężczyznę w brudnej kurtce, z raną na nodze. Włóczęga mamrotał coś pod nosem, ale nie stawiał oporu, powoli, chwiejnym krokiem sunął w stronę drzwi. Nie zastanawiała się długo – pobiegła za nim z nadzieją, że może będzie wiedział coś o jej przyjacielu. Mężczyzna miał brudną twarz, a jego zapach nie należał do przyjemnych.

– Szukam Pawła Wiśniewskiego, Wiśni. Widziałeś go może? – zapytała.

Mężczyzna popatrzył w dal, jakby stracił kontakt z rzeczywistością, ale po chwili odwrócił się do niej z całkiem przytomnym wzrokiem.

– Dobrodziejko, on na puszki chodzi. Pewnie gdzieś tam łązi pod Pekinem. Tam go trzeba szukać, królowo złota. Tutaj to już dla bezdomnych nie ma miejsca. Wygnały nas te dziady. – Zrezygnowany machnął ręką.

Larysa pokiwała głową ze zrozumieniem. Zamierzała odejść, ale jeszcze posłała mężczyźnie szybkie spojrzenie.

– Potrzebujesz jakiejś pomocy? Może kupić ci coś do jedzenia?

– Nie, kochanieńka. Spokoju tylko mi trzeba, nic więcej. – Uśmiechnął się bezzębny półksiężycem, od którego zrobiło jej się jakoś cieplej.

Kiedy wyszła od strony Emilii Plater, uderzył w nią lodowaty powiew wiatru, a wraz z nim dziwna melancholia, która spowolniła jej ruchy. Szła w stronę przejścia dla pieszych, gdy przy koszu na śmieci dostrzegła znajomą sylwetkę.

Paweł miał na sobie te same dzinsy i kremową kurtkę, w której przywiozła go na spotkanie z Fantomem. Wprawdzie stan ubrań znacznie różnił się od pierwotnego, ale dzięki temu łatwiej było wyłowić Wiśniewskiego wzrokiem. Z oddali widziała, jak wyciągnął z kosza niedojedzoną kanapkę z Subwaya, którą chwilę wcześniej wyrzuciła nastolatka w różowym futerku i puchatych nausznikach.

Dawny szef Larysy podniósł bułkę do ust, otrzepał ją ze śmieci, które się do niej przykleiły, a potem wgrzyzł się w nią i cmoknął z zadowolenia.

– Smacznego – powiedziała, gdy podeszła bliżej. – Szukałam cię.

Wiśniewski zakrztusił się jedzeniem i zaczął spazmatycznie kaszleć, a kiedy wreszcie doszedł do siebie, zlustrował Larysę przestraszonym, mętłym wzrokiem.

– Po co przyszłaś? Znowu czegoś chcesz? – odburknął.

Jego słowa ją zabolowały. Zrzuciła je na karb alkoholu, którego woń mu towarzyszyła, ale nadal wywoływały u niej nieprzyjemną

cierpką gulę w gardle. Myślała, że się ucieszy, i nawet jeśli będzie mu wstyd, że wtedy ją tak zostawił, to uzna jej wizytę za chęć pojednania i wyciągnie do niej rękę.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Przyjaźniliśmy się, pamiętasz jeszcze? – usiłowała załagodzić sytuację.

Paweł splunął jej pod nogi.

– Gówno prawda – podniósł głos. – Wyciągnęłaś mnie tylko dlatego, że chciałaś mieć artykuł. Gdyby nie to, nigdy byś się tu nie pojawiła.

– Mylisz się.

– Tak? To co, teraz przychodzisz towarzysko? Pójdziemy na kawę i plotki czy od razu na wódkę?

Larysa spuściła głowę i westchnęła ciężko. Wiśniewski miał rację, nie dlatego przyszła do niego, że się o niego troszczyła, tylko dlatego, że potrzebowała informacji. Czuła się jak skamieniała, a chwilę później gruba skorupa, którą się otoczyła, zaczęła pękać i rozpadać się na kawałki.

– Co? Nie powiesz, jaki masz interes? – drażył. – Dałem ci namiary na Adama. Bystra jesteś, to na pewno go znalazłaś.

Odwrócił się do niej tyłem i zaczął kuśtykać chwiejnym krokiem w stronę dworca.

– Zaczekaj! – zawołała za nim.

Paweł zatrzymał się.

– Nie, Larysa, to koniec. Ja już wybrałem. To jest moje życie. Karton i woda. Te same zakazane mordy co dzień, zupa z Caritasu, wszy i smród szczyń. Nawet nie próbuj mnie ratować – rzucił, gdy tylko wyczuł, że dziewczyna chce coś powiedzieć. – Sobą się lepiej zajmij.

Zgięła się, jakby dostała pięścią w brzuch, zacisnęła zęby, by nie dać się ponieść napływającej fali złości, ale było już za późno. Nagły wyrzut adrenaliny do krwi, wzrost ciśnienia i kłujący ból w podbrzuszu nie powstrzymały jej reakcji na trudne do przełknięcia, kłujące ją słowa dawnego przyjaciela.

– Myślałam, że jesteś inny, ale teraz widzę, że się myliłam. Stałeś się zwyczajnym pijakiem, jak oni wszyscy. – Kiwnęła głową w stronę dworca.

Wiśniewski odwrócił się powoli, utkwił w niej swoje zmęczone spojrzenie i przyglądał się jej tak, jakby patrzył na nią po raz ostatni. Jakby odtwarzał w pamięci długi i zagmatwany film o ich relacji, pełnej zakrętów i wybojów. Nie potrafiła odgadnąć, co się w nim dzieje, ani wyczytać emocji kryjących się za szklanym wzrokiem.

W końcu Paweł dotknął brudną ręką jej policzka, westchnął ciężko i odszedł.

Nad ich głowami przeleciał wielki kruk. Ptak zakrakał i wylądował na stojącym nieopodal koszu na śmieci. Larysę przebiegł dreszcz na jego widok; kojarzył jej się ze śmiercią i rozpadem. Potrącana przez ludzi spieszących się na pociąg, do pracy czy na zakupy do pobliskiego centrum handlowego Złote Tarasy, stała na środku chodnika i patrzyła na zgarbione plecy i skołtunione włosy oddalającego się przyjaciela.

Nagle poczuła podchodzący do gardła gryzący żal. Wszystko wydało jej się bez sensu i zapragnęła naprawić to, co przed chwilą w złości zniszczyła.

Rzuciła się za Wiśniewskim.

– Zależy mi na tobie – wydusiła, doganiając go.

Paweł spojrzał na nią wilgotnymi oczami, a na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech. Szara dotychczas twarz mężczyzny zdawała się rozjaśniać, jakby przez te wszystkie lata czekał właśnie na te jej słowa.

– Powiedz, po co przyszłaś – nalegał.

– Muszę odnaleźć Adama, zanim zrobi coś strasznego.

Wiśniewski prychnął i pokręcił głową.

– Wszystko masz w reportażu. Na zdjęciu jest logo stowarzyszenia, tam szukaj szczęścia. – Przełknął ślinę. – I nie przychodź do mnie więcej. Lepiej będzie, jak przestaniemy się widywać – powiedział ze ściśniętym gardłem, a później odszedł

powoli, unikając jej wzroku. Obawiał się, że gdyby patrzył jej w oczy, dostrzegłaby, że coś przed nią ukrywa.



Dawid Gajda, zaskoczony pytaniem komisarza Wilczyńskiego, drgnął, a po jego twarzy przebiegł cień niepokoju.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł na odczepnego, po czym zerknął kątem oka na naczelnika Mariana Pękałę i wrócił do swoich obowiązków.

Dłonie Brunona automatycznie zacisnęły się w pięści. Nie lubił, gdy ludzie kłamali w tak nieudolny sposób, ubliżając jego inteligencji. Uważał, że jak już ktoś łże, to powinien to robić z talentem. Policjant wziął głęboki wdech, na chwilę przymknął powieki i dopiero wtedy podszedł do technika.

– Randka w Lolku się udała? – zapytał prowokacyjnie. – Sylwia mówiła, że wybieracie się na koncert.

– Musiałem odwołać. – Dawid schylił się i zaczął intensywnie grzebać w swojej walizce.

Tym razem Wilczyński nawet nie próbował się uspokajać. Chwytał technika za kombinezon i przyciągnął do siebie, tak że ich twarze znalazły się bardzo blisko. Gajda, patrząc na komisarza przerażonym wzrokiem, dał mu do zrozumienia kiwnięciem głowy, że są obserwowani przez przełożonego, a później, bezgłośnie poruszając ustami, poprosił, by policjant nic więcej nie mówił. Bruno zastanawiał się, dlaczego twarz technika nagle stężała i zbladła. Jakby obawiał się reakcji Mariana Pękały na wieść, że wybrał się na piwo z aspirant Konopacką.

Komisarz postawił mężczyznę na ziemi, otrzepał mu kombinezon i nachylił się ku niemu.

– Przestań ściemniać. Widziałem was tam razem. Gdzie ona jest? – zapytał na tyle cicho, by przełożony ich nie słyszał. – Od ponad godziny nie odbiera ode mnie telefonu.

Dawid popatrzył na Wilczyńskiego z zaskoczeniem.

– Nie mam pojęcia – wyjaśniał przejęty, zerkając nerwowo w stronę naczelnika. – Wyszliśmy stamtąd od razu po telefonie od szefa. Wsiadłem w taksówkę, a Sylwia miała iść do samochodu i jechać do domu. Nie miałem z nią od tamtej pory kontaktu.

– Co ty pierdolisz? Jej samochód cały czas stoi pod Jeff'em. I dlaczego pozwoliłeś jej po pijaku wsiadać za kierownicę?

Gajda aż się wyprostował.

– Nie była pijana. Piliśmy tylko piwo bezalkoholowe. Nie wiem, może kogoś spotkała, zagadała się?

– Poflirtujecie później, panowie, robota jest! – krzyknął Marian Pękała i zmierzył podwładnych napominającym wzrokiem.

Obaj spojrzeli na niego w tym samym momencie i zgodnie przytaknęli. Bruno obserwował, jak Dawid zręcznie przechodzi z jednych stanów emocjonalnych w kolejne. Nie było widać po nim śladu niepokoju o Sylwię, który jeszcze chwilę temu prezentował. Technik w skupieniu wyciągnął z walizki nową parę rękawiczek i oddychające tekturowe pudełko. Komisarz wiedział, że ze względu na ryzyko degradacji DNA opakowanie nie może być szczelne. Mokry od deszczu kamień w takich sytuacjach trafiał do suszarni, specjalnego pomieszczenia na komendzie, gdzie sechł w pokojowej temperaturze, a następnie jechał do laboratorium kryminalistycznego. Tam daktyloskop za pomocą odczynników chemicznych ujawniał linie papilarne, a biolog, w celu ustalenia DNA, pobierał substancję koloru brunatnoczerwonego, którą krwią można było oficjalnie nazywać dopiero po badaniach.

Tym razem już gołym okiem widać było na kamieniu odbitki palców. Wilczyński wstrzymał oddech i w napięciu przyglądał się śladom, wyraźnym na twardej, chropowatej powierzchni ogrodowego otoczaka.

– Większość jest fragmentaryczna – komentował Gajda, oglądając narzędzie zbrodni. – Poza tym są strasznie pozacierane i mało czytelne, ale z tego może coś będzie. – Wskazał na jedyną na pierwszy rzut oka pełną odbitkę linii papilarnych. – Niech te tęgie głowy z laboratorium się wypowiedzą.

Bruno poczuł, że robi mu się gorąco, i odruchowo rozpiął kurtkę. Nie tylko dlatego, że wreszcie miał jakiś namacalny trop sprawcy, ale również z powodu satysfakcji z błędu, który popełnił morderca.

– Dobra, zabezpiecz to i sprawdź potencjalną drogę dojścia i odejścia sprawcy – dyrygował Wilczyński. – Stawiałbym na ścieżkę do posesji i ulicę Opieńki, ale tamtą dalej za kolejnym gospodarstwem też trzeba będzie wziąć pod lupę.

Bruno rozejrzał się uważnie, aż w końcu jego wzrok zatrzymał się na lesie, który jakby na żądanie zamruczał ponuro pozbawionymi liści kikutami drzew. Po plecach przebiegł go dreszcz. Wpatrywał się w gęstą ciemność i zastanawiał się, ile tajemnic kryje ona w sobie. Wydawało mu się, że las również na niego patrzy, jakby był żywym organizmem, któremu nie podoba się, że ktoś zakłóca jego spokój. W oddali słychać było pohukiwanie sowy i świst wiatru poruszającego gałęziami. Komisarz pomyślał, że morderca mógł przyjść od tej strony, a po zbrodni ukryć się w gęstwinie.

– Musimy przeszukać las, on tam może być – rzucił do Pękały. – Potrzebujemy więcej ludzi i przewodników z psami tropiącymi.

– Są w drodze – odparł naczelnik, nerwowo zerkając na telefon, jakby chciał pospieszyć ekipę samym patrzyeniem na wyświetlacz. – Powinni być lada chwila – dodał.

Bruno odwrócił się w stronę domu, wdychając wilgotny zapach nocy. Myślał właśnie o tym, że wreszcie jest bliżej sprawcy, a wtedy siedząca w salonie dziewczynka spojrzała w stronę okna. Ich oczy spotkały się niespodziewanie, wywołując u niego przykre ukłucie pod żebrami. W jej wzroku zawierał się cały strach i ból, którego zapewne doświadczyła na widok martwej matki, ale najbardziej poruszająca była bezradność. Siedząc nieruchomo na żółtej ikeowskiej kanapie, z nogami podciągniętymi pod brodę, przypominała rozbitka na dryfującej tratwie.

Nie rozumiał dlaczego, ale uniósł dłoń i pomachał do niej, a ona mu odmachała. Uśmiechnął się cierpko, po czym wszedł do środka, wylegitymował się i przedstawił starszej kobiecie, o której wiedział jedynie, że jest matką ojca małej i że wyraziła zgodę na jego rozmowę z dziewczynką. Chwilę później poprosił funkcjonariusza,

który siedział na fotelu, by zostawił ich samych, a tamten niechętnie na to przystał. Gdy mężczyzna wyszedł, Bruno spojrzał na maskotkę rekina w rękach dziecka.

– Lubisz zwierzęta? – zapytał, wskazując zabawkę.

Dziewczynka kiwnęła głową i przytuliła się mocniej do pluszaka.

– To żarłacz błękitny – wyjaśniła cichym, miękkim głosem. – Zwykle pływa sobie spokojnie, ale kiedy poluje, staje się bardzo szybki. To jeden z najszybszych rekinów na świecie.

Wilczyński zamyślił się nad jej słowami, które równie dobrze mogłyby określać mordercę.

– Jak masz na imię?

– Urszula, ale wszyscy na mówią na mnie Ula. Nie znoszę tego imienia. – Przewróciła oczami.

– W takim razie nie będę go używał – obiecał z uśmiechem. – Opowiesz mi o tym, co się stało?

Mała wzruszyła ramionami i zaczęła tarmosić plastikowe oko maskotki.

– Dlaczego wyszłaś na zewnątrz w samej piżamie? Nie powinnaś spać o tej godzinie?

– Szukałam mamy – powiedziała. – Miałam zły sen i chciałam się do niej przytulić. Nie było jej w środku i pomyślałam, że może pali papierosa za drzwiami, żeby nie denerwować taty. On bardzo nie lubi, jak mama pali w domu.

Komisarz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Są jeszcze jakieś rzeczy, których tata nie lubi w mamie?

– Nie podoba mu się, gdy pije wino, kiedy zostajemy same, i jak wydaje dużo pieniędzy w internecie, ale ona i tak to robi po kryjomu.

Bruno rozciągnął usta w delikatnym uśmiechu.

– Dużo wiesz, jak na taką małą dziewczynkę.

– Nie jestem mała! Mam sześć lat i często zostaję sama w domu.

– Tak? – zapytał zdziwiony. – A gdzie są wtedy rodzice?

– Tata w Anglii, a mama na zakupach albo na drinku z koleżankami. Ma dużo zmartwień i musi się relaksować.

Policjant zerknął na babcię siedzącą w otwartej kuchni, która po słowach wnuczki podniosła się raptownie, strącając przy tym szklankę z blatu i teraz w panice zbierała szkło.

– Tata o tym wie? – Komisarz wrócił do rozmowy.

Dziewczynka pokręciła głową. Jej drobna dłoń pociągnęła za oko rekina; czarny koralik oderwał się i został jej w ręce.

– Mama powiedziała, że jak się wygamam, to przestanie mnie kochać. – Spuściła głowę, bawiąc się plastikowym okiem.

Wilczyński poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią w splot słoneczny. Na moment zabrakło mu tchu, z trudem przełknął ślinę, a później podszedł do dziewczynki i przykucnął obok kanapy. Dotknął delikatnie jej podbródka. Wtedy mała podniosła na niego swoje załzawione oczy.

– Twoja mama kłamała – powiedział. – Nie można przestać kochać swojego dziecka.

Ula przez chwilę przyglądała mu się podejrzliwie, po czym spuściła wzrok i zaczęła palcem wiercić dziurę w maskotce, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno było oko. Bruno odgarnął jej włosy z czoła, pożegnał się i ruszył w stronę drzwi.

– Ja myślę, że można – powiedziała nagle.

Bruno chciał coś jeszcze powiedzieć, jakoś ją pocieszyć, ale nie znalazł w sobie wystarczająco dużo siły ani odpowiednich słów, które mogłyby pomóc uwierzyć temu dziecku w to, czego nigdy nie zaznało.



Tym razem Bartosz Luboń nie konsultował swojej decyzji z przyjacielem. Miał dość kręactwa i przygniatającego go poczucia winy. Wstał o świcie z myślą, by działać. Pod zmęczonymi powiekami wyczuwał drażniący piasek, a jego blade policzki kęsał mróz. W ostatnim czasie sypiał coraz gorzej, męczyły go koszmary, a strach przed nagłą wizytą policji był tak ogromny, że chłopak

często w ogóle nie potrafił zasnąć i spędzał noce na nerwowym nasłuchiowaniu.

Kiedy stanął pod szarym budynkiem Komisariatu Policji Warszawa-Białołęka, był przekonany, że postępuje słusznie. Wprawdzie trzęsły mu się nogi, jego koszulka cuchnęła od potu, a żołądek zwijał się w supeł, ale nadal zapewniał samego siebie, że to jedyne słuszne rozwiązanie. Biały na twarzy wszedł do środka, a gdy policjant dyżurny zapytał, z czym przychodzi, zamarł i nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Na jego czoło wystąpiły krople potu, na przemian czuł fale zimna i gorąca obejmujące jego ciało i choć mobilizował się do działania, nie potrafił wyjść ze stuporu. Był pewien, że porusza ustami, ale o dziwo nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Jakby zamienił się w niemą rybę, która, wyrzucona na brzeg, lada chwila udusi się z powodu braku powietrza.

Ponaglany spojrzeniem oficera przełknął ślinę i w końcu powiedział:

– Chciałem porozmawiać o tym potrąceniu myśliwego przez samochód – zaczął, uporczywie wpatrując się w twarz policjanta. – Myślę, że... – Urwał, bo na komisariat wbiegł nagle jakiś wielki, wściekły chłopak, który w ułamku sekundy znalazł się obok niego.

Olbrzym nie szczędził czasu na uprzejmości, huknął płaską dłonią w blat tak mocno, że szyba oddzielająca ich od funkcjonariusza zadrżała, a Bartek, któremu niewiele brakowało do ataku serca, jęknął ze strachu.

– Kto za tym stoi, co?! – wrzeszczał rosły osiłek. – Jak to możliwe, że jeszcze wczoraj szukaliście mordercy, a dziś dzwonicie do mojej matki z informacją, że to był nieszczęśliwy wypadek?

Policjant przyglądał się awanturującemu się petentowi bez emocji, jakby doświadczył już setek, może nawet tysięcy podobnych akcji.

– Proszę się uspokoić – powiedział kojącym, wystudiowanym głosem. – O jaką sprawę panu chodzi? Ma pan jakieś dokumenty?

Chłopak wyjął z kieszeni dowód osobisty i pchnął go w stronę dyżurnego.

– Już ty dobrze wiesz, o jaką! – pokrzykiwał zwalisty typ. – Nazywam się Sebastian Kula, mój ojciec, Cezary Kula, został potrącony w lesie, po kilku dniach zmarł z powodu uszkodzenia mózgu, a teraz chcecie nam wmówić, że był pijakiem i po prostu uderzył się w głowę. Żądam śledztwa! Macie znaleźć jego zabójcę! – grzmiał.

Funkcjonariusz zdawał się niewzruszony. Spokojnie wpisał jakieś dane do komputera, przeczytał dokument, który wyświetlił mu się na ekranie, a następnie z politowaniem zwrócił się do mężczyzny.

– Według raportu medycznego pański ojciec miał prawie osiem promili alkoholu we krwi – wyjaśnił. – Zmarł na skutek uderzenia w głowę, którego doznał podczas upadku w lesie, w trakcie nocnego polowania. Domyślam się, że to dla pana trudne, ale nic więcej nie możemy zrobić. Proszę przyjąć moje kondolencje – wyrecytował formułkę, której zapewne nauczył się w szkole policyjnej.

– W dupę sobie wsadź swoje kondolencje – odgryzł się chłopak i wybiegł z komisariatu, trzaskając drzwiami.

Bartek, który w osłupieniu przyglądał się z boku całej scenie, mrugał intensywnie i oszołomiony zerkał w stronę wyjścia. Policjant posłał mu przepaszające spojrzenie i westchnął ciężko.

– Taka praca. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Z tego wszystkiego zapomniałem już, w jakiej sprawie pan przyszedł.

Luboń po chwili zastanowienia stwierdził, że w nowych okolicznościach dużo chętniej porozmawiałby z dryblasem niż z oficerem dyżurnym, i postanowił wycofać się rakiem z tej sytuacji.

– Wie pan, nagle dotarło do mnie, że to drobiazg, zwyczajna pierdoła i że policja ma dużo ważniejsze rzeczy na głowie – powiedział, po czym podziękował i najszybciej, jak potrafił, opuścił komisariat.

Chwilę później namierzył Sebastiana. Ku jego zaskoczeniu Kula nadal znajdował się w pobliżu. Zatrzymał się za rogiem przy budce z fast foodem i z telefonem przy uchu, prowadząc jakąś żywiołą rozmowę, zachłannie połykał kebaba. Bartek nie chciał wejść

w drogę olbrzymowi, dlatego zaczął się za winklem i uważnie przysłuchiwał się konwersacji.

– Mówię ci, mamó, coś tu śmierdzi – wyrzucał pomiędzy kolejnymi kęsami. – Żadne: daj spokój. Ojciec nie żyje, a ty chcesz mnie uspokajać? – rzucał się. – Ja wiem, że nic mu życia nie wróci, ale chcę wiedzieć, co tu się odpierdala. Był artykuł, nie ma artykułu. Był potrącony, a teraz, że niby się uderzył. Nie widzisz, że nas w wała robią? – Chłopak rzucił na ziemię papier, w który zawinięta była bułka. – Trzeba znaleźć tę pindzię, co to sekcję robiła. Nie wiem, Biała czy jakoś tam. Niech się tłumaczy laska. – Splunął na chodnik gęstą, zieloną flegmą. – Na moje to ojca potrącił jeden z tych bogatych lalusiów, co to im tatusiowie dupy podcierają. Rozbijają się te gnoje po pijaku, a potem kasa wszystko załatwia. Ale ty się, mamó, nie martw, ja ich jeszcze dojadę – obiecywał, wygrażając palcem.

Bartosz Luboń, który stał za ścianą, przełknął nerwowo ślinę, a później wybrał numer do swojego przyjaciela.



Rozwijający się leniwie poranek mimo ostrego słońca na przejrzystym błękitnym niebie wydawał się Brunonowi koszmarny. Po nocnych, zakończonych fiaskiem poszukiwaniach w Lesie Kabackim cały czas było mu zimno, miał podrapane gałęziami ręce, a z nosa ciekł mu wodnisty katar. Jeszcze półświadomy opatulił się szczelnie kołdrą i patrzył nieprzytomnym wzrokiem na ścianę. Pod powiekami przewijały mu się obrazy minionego dnia. Roześmiana Sylwia w Lolku, dziewczynka na żółtej kanapie, błękitny rekin, kobieta leżąca na trawniku i mrok lasu.

W uszach wciąż dźwięczało mu szczekanie psów i świst wiatru, któremu towarzyszył zapach zgnilizny i mokrej ziemi. Dotknął językiem spierzchniętych warg, a później potarł dłonią piekące od kataru wgłębienie pod nosem. Marzył tylko o tym, by nakryć głowę

kołdrą i zasnąć, wysiąść z tego obłąkanego pociągu okropnych zdarzeń. Wiedział jednak, że dopóki sam go nie zatrzyma, on nie przestanie pędzić.

Odrzucił kołdrę i zwał się z łóżka. Wyciągnął z szafy najcieplejsze ubrania, a później zrobił sobie kawę, którą przelał do kubka termicznego. Wydmuchując nos, rozważał, czy nie pojechać na komendę uberem i nie oszczędzić sobie wychodzenia na ziąb, ale ostatecznie włożył skórzane spodnie i kurtkę motocyklową. W drodze do pracy słuchał *Kotysanki*, charakterystycznego motywu przewodniego z filmu *Psy*, skomponowanego przez Michała Lorenca. Sunął po złotym asfalcie, który lśnił od odbijającego się w kroplach wody słońca, i tonął w nostalgicznej melodii wygrywanej na trąbce. Zwykle w takich chwilach doświadczał uczucia bezbrzeżnej wolności, ale dziś dławiła go melancholia. Myślał o aspirant Konopackiej, która nadal nie dała znaku życia, i czuł się winny, że namówił ją na tę prowokację z Gajdą. Gryzła go też świadomość, że potwór, którego szukają, być może spaceruje sobie teraz po tych samych ulicach, przepełniony przekonaniem o własnej bezkarności.

Na komendzie panował nastrój pełnej mobilizacji. Wszyscy chodzili spięci, nieustannie dzwoniły telefony, niektórzy stukali w klawiatury, a inni prowadzili gorączkowe dyskusje. Tylko Justyna Dembska, niczym wyspa na niespokojnym morzu, niewzruszona zajmowała miejsce przy biurku pod ścianą, gdzie obłożona dokumentami w skupieniu robiła notatki.

Wilczyński podszedł do profilerki.

– To ten sam sprawca? – rzucił zamiast zwyczajowego przywitania.

Psycholog kiwnęła głową, a komisarz, patrząc na nią, uznał, że ona też nie miała najłatwiejszej nocy. Podkrążone oczy, spowolnione ruchy i włosy w nieładzie sugerowały, że albo jej dzieci wyciągnęły policjantkę z łóżka o świcie, albo doszło do kolejnej scysji z mężem, przez którą długo nie mogła zasnąć.

– Zbyt dużo rzeczy się zgadza, żeby to był przypadek – odparła, pokazując swoje zapiski. – Obie sprawy łączą duża agresja, działanie ukierunkowane na to, by zabić, i silne uderzenia w głowę – wymieniała, podkreślając poszczególne fragmenty notatek. – Ten facet chciał zrobić krzywdę ofierze, rozładowywał dzięki temu emocje, dokładnie tak samo jak w sytuacji Oliwii Sochy.

– Pytanie, co było źródłem tych emocji. Konflikt z ofiarą, sytuacja? A może zabita Paulina Ostrowska była tylko obiektem rozładowania?

– Ofiara była matką i z tego, co przeczytałam w twojej notatce, wynikało, że nie dbała specjalnie o potrzeby córki, szczególnie gdy mąż wyjeżdżał za granicę i nikt nie patrzył na to, co robiła z dzieckiem. Według mnie to ten sam motyw, zemsta z poczucia krzywdy. Co by oznaczało, że matka sprawcy nie żyje, a on wyładowuje się na innych kobietach – skwitowała. – Ewentualnie żyje, ale zabójca nie jest w stanie jej skrzywdzić.

Wilczyński zamyślił się. Coś w tym, co powiedziała Dembska, mu nie pasowało, ale jego umysł nie rozgrzał się jeszcze na tyle, by to uchwycić. Poprzedniej nocy szedł podobnym tokiem myślenia, usiłował nawet znaleźć w otoczeniu ofiar jakichś wspólnych znajomych albo inne punkty styczności, ale poza tym, że mieszkały w sąsiadujących dzielnicach i każda z nich była matką, wszystko je różniło.

– Czuję, że coś nam umyka – powiedział zamyślony. – Ale mamy odcisk linii papilarnych, a to oznacza, że nasz morderca traci grunt pod nogami. Skoro zostawił na miejscu narzędzie zbrodni, to sygnał, że nie panuje już nad wszystkim.

Justyna otworzyła oczy ze zdumienia, a później potarła dłonią czoło, na ułamek sekundy odsłaniając ukrytego pod grzywką siniaka. Bruno zdołał go zauważyć i już zamierzał zapytać, czy tym razem również się potknęła, ale nagle do pokoju weszła aspirant Konopacka. Uśmiechnięta, zrelaksowana i podejrzenie promienna.

Wilczyński natychmiast doskoczył do niej, a cały jego dotychczasowy niepokój o życie policjantki zaczął przemieniać się w złość.

– Dlaczego, do cholery, nie odpowiadasz na moje wiadomości?! – zaatakował. – Byłem przekonany, że coś ci się stało.

Sylwia przygryzła wargę i walcząc z uśmiechem, który nie chciał zejść jej z twarzy, przeprosiła.

– Coś nawaliło w moim subaru, miałam wezwać pomoc drogową, ale napisał do mnie mój znajomy i od słowa do słowa jakoś tak... – Skrępowana podrapała się za uchem. – Akurat był w pobliżu, pomógł mi ze wszystkim, a później spędziliśmy ze sobą...

– Dobra, wystarczy! – przerwał jej Bruno, przykładając policjantce dłoń do ust, po czym obrzucił jej garderobę wzrokiem i zorientował się, że ma na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia w Lolku. – Nie mogę tego słuchać, nie jestem aż tak otwarty jak ty.

– Serio? – Aspirant Konopacka popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Mówiłem o bluzce – dodał, wskazując na rozpięte dwa guziki na wysokości biustu.

– O matko! – Sylwia spłonila się i w pośpiechu poprawiła garderobę.

– I przestań robić tę minę pod tytułem „chyba się zakochałam” – rzucił, udając obrzydzenie. – I tak nigdy się nie dowiesz, czy to miłość, ostatecznie, jak wszyscy, wyjdiesz za mąż ze strachu przed samotnością i starością.

Ledwie wybrzmiało ostatnie słowo Wilczyńskiego, do pokoju wpadł jak huragan naczelnik Marian Pękała. Trzymał w ręku jakieś papiery; miał podwinięte rękawy koszuli, a pod oczami fioletowe cienie.

– Koniec tych pogaduszek – zarządził. – Dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą: psy wywęszyły coś w lesie i za domem Ostrowskiej, ale w dużym skupisku ludzi i przy drodze na tyłach posesji zwierzaki straciły trop. Jedyne, co mamy, to kamień ze śladami linii papilarnych sprawcy. Odbitka palca jest niestety fragmentaryczna i nie odpowiada żadnej zarejestrowanej w naszej bazie. Sprawdzamy jeszcze u sąsiadów za granicą, może tam coś wyskoczy.

Bruno przeklinał w myślach swoje stracone nadzieje, gdy poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Kiedy zobaczył, że dostał wiadomość od Jacka Lewickiego, otworzył ją i natychmiast tego pożałował.

„Nie masz wrażenia, że wszystko wymyka ci się z rąk?” – odczytał, czując szum w uszach, narastający z powodu wściekłości.



Rozmowa z Pawłem tkwiła w niej jak bolesna drzazga. Nie potrafiła otrząsnąć się z uczucia, że coś przed nią ukrywał, i ze wspomnienia ciepła na policzku, którego doświadczyła, gdy położył na nim swoją dłoń. Jakby ten czuły dotyk coś w niej rozpuścił, na nowo ożywił to, co przez lata było zamarznięte.

Wzięła do ręki wydruk archiwalnego reportażu Wiśniewskiego i uważnie przyglądała się zdjęciu. Uśmiechnęła się, gdy dostrzegła, że w tle, na ścianie, widniały logo i nazwa jakiegoś stowarzyszenia na rzecz osób z zespołem Downa. Fotografia nie była wystarczająco ostra, ale Larysie udało się odczytać część nazwy. Wpisała ją do wyszukiwarki, a gdy komputer wypluł wyniki, przeglądała je z podniesionym tętnem. Znalezienie strony internetowej z tym samym logotypem, który widziała na zdjęciu w „Magazynie”, zajęło jej kilka minut. Symbol elipsy z trzema kropkami na górze okazał się znakiem Stowarzyszenia Nasi Kochani, zrzeszającego rodziny i opiekunów osób z trisomią. Organizacja została założona w dwa tysiące pierwszym roku, a jej działania skupiały się na wspieraniu rodziców dzieci dotkniętych zespołem Downa.

Dziennikarka pospiesznie otwierała kolejne zakładki, a gdy dotarła do informacji o specjalistach i wolontariuszach, wstrzymała oddech. Z ekranu spoglądała na nią ta sama kobieta, która na fotografii w „Magazynie” przytulała małą Anię. Matka Adama, która – jak się okazało – nazywała się Barbara Zielińska. Dziewczyna nie

zastanawiała się ani chwili, chwyciła kurtkę i pobiegła do samochodu.

Pół godziny później wysiadła przy ulicy Conrada z nowym planem i zdecydowanie lepszym samopoczuciem. Przeszła przez targowisko składające się z małych budek sprzedających warzywa i owoce, po czym wspięła się po skrzypiących stalowych schodach pokrytych odpryskującą białą farbą. Budynek, w którym znajdowało się Stowarzyszenie Nasi Kochani, miał betonową podmurówkę z rzędem okazałych okien w dużej mierze pozaklejanych reklamami, a jego pierwsze piętro obite było blachą falistą.

Larysa weszła z impetem do środka, ściągając na siebie uwagę dwóch kobiet pracujących przy biurkach zawałonych papierami. W tle grało Radio Żłote Przeboje, a w powietrzu unosił się zapach dawno niewietrzonego pokoju i taniego dezodorantu. Jedna z pracownic miała na głowie krótką tlenioną trwałą przypominającą futro baranka, druga zaś włosy w mysim kolorze, które spięła w kok podtrzymywany czarną klamrą. Otoczone paprotkami, segregatorami i ulotkami, wpatrywały się teraz w niecodziennego gościa z ciekawością.

– W czym mogę pani pomóc? – odezwała się blondynka z uprzejmym, acz zdystansowanym uśmiechem.

Jej koleżanka zamieszała łyżeczką w kubku z herbatą i siorbnęła z niego spory łyk. Gdy odstawiła naczynie, na ceramice pojawiły się ciemnobrązowe okręgi po wypitym napoju, a Larysę przeszedł dreszcz na samą myśl o tym, że podobne ślady zapewne tworzyły się również na zębach kobiety.

– Szukam Barbary Zielińskiej, matki Adama i nieżyjącej Ani – wyjaśniła dziennikarka, uważnie przyglądając się swoim rozmówczyniom.

W myślach starała się odtworzyć zdjęcie kobiety ze strony internetowej. Szukała w pracownikach stowarzyszenia jej oczu, ale twarze, na które patrzyła, wydawały jej się obce. W pokoju zapadła krępująca cisza, w której słychać było jedynie *Statki na niebie* De Mono i irytujące tykanie zegara wiszącego na ścianie. Larysa dostrzegła w obliczach kobiet napięcie, jakby wypowiedziała jakieś

zakazane słowa i rzuciła na nie w ten sposób czar. W końcu jedna z nich drżącymi dłońmi chwyciła za notes i długopis.

– Niestety Basia wyszła niedawno – tłumaczyła. – Chciałaby jej pani coś przekazać? Mogę zapisać wiadomość. – Jej wzrok uciekł na ułamek sekundy w stronę zamkniętych drzwi na tyłach pokoju.

Tyle wystarczyło Larysie, by zrozumieć, że osoba, której szukała, znajdowała się bliżej, niż jej powiedziano.

– Zawołasz ją czy sama będę musiała się pofatygować? – zapytała dziewczyna, robiąc kilka kroków w stronę zamkniętych drzwi.

– Ale... Ale... – Kobieta w koku aż się zapowietrzyła.

Zerwała się z miejsca tak raptownie, że zahaczyła biodrem o krawędź biurka, a przez to stos książek i czasopism zachwiaił się, po czym z łomotem upadł na podłogę. Klamka w zamkniętym pokoju drgnęła, ze środka wychyliła się zaś szczupła blondynka po pięćdziesiątce, z grzywką i włosami do ramion, łudząco przypominająca Izabelę Trojanowską.

– Co tu się dzieje? Mówiłam wam, że potrzebuję załatwić jedną prywatną sprawę... – Urwała, gdy dostrzegła prześwietlające ją ogromne ciemne oczy nieznajomej dziewczyny z językiem na głowie.

– Kim pani jest?

– Dziennikarką – odezwała się Larysa. – Przyszłam porozmawiać o Adamie, twoim synu. Piszę o nim artykuł.

Blondynka zacisnęła i tak wąskie usta w jeszcze cieńszą kreskę, a jedna z jej koleżanek, która zapewne znała już ten wyraz twarzy i wiedziała, co on zwiastuje, jęknęła z przestrawieniem.

– Proszę się stąd natychmiast wynosić i przestać mnie nękać! – wyrzuciła z siebie Barbara. – To on panią nasłał, prawda? Wiem to, uparł się, żeby mnie wykończyć. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Może zmienisz zdanie, jeśli ci powiem, że za tydzień w jednym z najlepiej sprzedających się tygodników w tym kraju ukaze się artykuł o Adamie. Na razie publikacja zawiera tylko jego punkt widzenia, ale pomyślałam, że pewnie chciałabyś pokazać też swoją perspektywę. Bo ta obecna przedstawia cię w bardzo niekorzystnym świetle.

Kobieta z przesadnym zaangażowaniem zeszkrobywała lakier z paznokcia na kciuku, udając, że ta informacja nie zrobiła na niej wrażenia. Zdradziła ją jednak jej twarz, która stała się ciemnoróżowa, i kiepsko ukrywane drżenie ust.

– Przykro mi, nie mam czasu – odparła sucho. – Wystarczająco zdrowia mi napsuł. Dla mnie on już nie żyje, nie ma go, jest nikim! Rozumie pani? – wykrzykiwała w emocjach i dopiero po chwili zauważyła, że cała się trzęsie. – Przepraszam – rzuciła i zamknęła się w pokoju.

Pracownice stowarzyszenia spojrzały po sobie, ale żadna z nich nawet nie drgnęła. Larysa postanowiła wykorzystać ten moment zamieszania i poszła za matką Fantoma. Zastała ją szlochającą, z twarzą ukrytą w dłoniach, skuloną w peerelowskim fotelu o musztardowym kolorze.

– Ja wiem – wyrzuciła z siebie w końcu kobieta. – O wszystkim, co on robi. Że chodzi za tymi ludźmi, że im grozi. Chwalił się tym, kiedy do mnie przyszedł. Zachowywał się jak obłąkany. Krzyczał, rzucał przedmiotami. Mówił, że niczym się od nich nie różnię, że to przeze mnie jest dziś potworem i dziwadłem.

Barbara oparła czoło na dłoniach i przymknęła oczy.

– A myślisz, że jesteś bez winy?

Matka Adama uniosła na dziewczynę pełen oburzenia wzrok.

– Jak pani śmie? – zaperzyła się. – Próbowałam go wychować na silnego mężczyznę. Chciałam, żeby się nie mazgał jak te inne dzieciaki, żeby nie jęczał za każdym razem, gdy coś mu nie wychodziło, ale on od początku był nie taki jak trzeba. Musiałam tępić w nim tę wrażliwość i delikatność, trzymać go twardą ręką, żeby nikt sobie nie pomyślał nie wiadomo czego. A teraz on mi wyrzuca, że go nigdy nie przytulałam i traktowałam jak żołnierza, a nie jak syna. Nonsens – prychnęła.

Larysa pomyślała, że to ciekawe, jak umysł kobiety broni się przed wszystkim, co było trudne do przyjęcia i mogło zburzyć wyidealizowany obraz jej samej.

– Ale z Anią było już inaczej – podjęła, by zachęcić kobietę do mówienia.

– Ania – wypowiadała imię dziecka przeciągle, uśmiechając się do siebie. – Nasze słońce. Zawsze zadowolona, roześmiana. Cudowna dziewczynka. Nie tak pochmurna i milcząca jak Adam.

– Dlaczego powiedziałaś mu, że ojciec odszedł przez niego?

Barbara drgnęła, chwyciła w dłoń serduszko zawieszane na łańcuszku na szyi i zaczęła się nim bawić.

– Bo miałam nadzieję, że dzięki temu się otrząśnie. Przystanie wiecznie płakać, zadawać głupie pytania i gapić się na ludzi z rozdziawioną buzią, a ja nie będę się już za niego wstydzić. Chciałam, żeby stał się normalny. To tak wiele?! – wykrzyczała z pretensją.

Wydawało się, że to pytanie upadło ciężko między dwiema kobietami, jakby było ukrytym błaganiem Zielińskiej o odpuszczenie win, o zrozumienie i uwolnienie od wyrzutów sumienia, którego Larysa nie zamierzała jej ofiarować.

– To wystarczająco dużo, by zniszczyć małego chłopca – powiedziała, patrząc matce Adama w oczy.

Ciało Barbary przeszedł dreszcz. Jej skóra pobladła, wzrok stał się nieobecny, a ona jakby zapadła się w sobie. Ze zgarbionymi plecami i dłońmi splecionymi na kolanach, uwalniała spod powiek drobne pojedyncze łzy, które łapała do zmiętej w dłoni chusteczki. Płakała tak, jak żyła – zachowawczo i ze wstydem, byle tylko nie utracić kontroli.

– Gdzie go znajde? – Dziewczyna przerwała jej cichą rozpacz.

– Nie wiem, ale lepiej niech go pani nie szuka. Wyprowadził się, gdy skończył osiemnaście lat, i tylko czasem wpadał do Ani. Nie mówił, z czego żyje ani gdzie mieszka. Kiedyś natknęłam się na niego na Starówce. Tańczył tam z ogniami półnago jak jakiś dzikus, ale to było dawno temu. – Westchnęła. – Później widziałam go w dniu pogrzebu córki. Pokłóciliśmy się, a on mi wykrzyczał, jak bardzo zatrulał życie jego i jej. Myślałam, że to mu wystarczy, ale jakiś tydzień temu przyjechał do domu wieczorem. Ręce i twarz miał całe we krwi, mówił, że pobili go jacyś źli ludzie, ale ja mu nie wierzyłam, wiedziałam, że zrobił coś złego. Bredził, biegał po domu jak oszalały i szukał pamiątek po Ani. Zaczęliśmy się szarpać, a on

złapał mnie za szyję i przycisnął do ściany. Miał w oczach coś takiego, że byłam pewna, że mnie zabije. – Pokręciła głową z przerażeniem, a następnie położyła dłoń na krtani. – Myślę, że niektóre dzieci po prostu nie zasługują na miłość – dodała z zaciętym wyrazem twarzy.

Larysa rzuciła kobiecie spojrzenie, od którego tamta aż się wzdrygnęła.

– Niektóre matki na pewno – powiedziała ostro, nim wyszła.



Słońce przedzierało się przez gałęzie drzew parku Zdrojowego w Konstancinie i muskało promieniami neoklasyczną willę znajdującą się na styku ulic Sienkiewicza i Piłsudskiego.

Budynek w różowym kolorze przypominał komisarzowi Wilczyńskiemu pawilony Łazienek Królewskich. Goście z gracją wysiadali z samochodów o błyszczącej karoserii, a później w eleganckich płaszczach, kryjących zgrabne sylwetki, i wypolerowanych butach, z niefrasobliwymi uśmiechami wędrowali w stronę drzwi wejściowych ukrytych za rzędem kolumn.

Bruno utkwiał wzrok w grubym dywanie z żółtych i czerwonych liści, zaciągnął się zapachem jesieni, a jego myśli powędrowały do Jacka Lewickiego, który za murami budynku zapewne delektował się lunchem i swoją chorą grą, w którą usiłował wciągnąć policjanta.

Napinając mięśnie, Wilczyński ruszył do restauracji, a gdy znalazł się w środku, dobiegły go odgłosy przyciszonych rozmów, dziecięcych sprzeczek, brzęku szkła i leniwe dźwięki fortepianu oraz zapach świeżych kwiatów. Przystojny młody mężczyzna o aparycji studenta Oxfordu z oddali pochwycił spojrzenie komisarza i wysłał mu uprzejmy, przepaszający uśmiech, subtelnie wskazując na dużą grupę gości, którą właśnie obsługiwał. Niezrażony tym Bruno dalej przemierzał lokal i sunął

wzrokiem po sali w poszukiwaniu Lewickiego, a gdy go zauważył, przystanął w miejscu i poczuł dziwne swędzenie po wewnętrznej stronie dłoni.

Patrzył na człowieka, który mając po bokach dwóch niezwykle podobnych do siebie chłopców, żartował, śmiał się w głos i podkradał dzieciom lody z deseru. Z jego gestów biły ciepło i miłość, wyraźne w tym, jak delikatnie ocierał policzek syna umazany bitą śmietaną i jak tarł włosy drugiego z chłopców.

Komisarz pomyślał, że jeśli jeszcze chwilę będzie patrzył na tę słodką scenę, to zwymiotuje. Podeszedł do stolika mężczyzny i nie pytając o zgodę, przysiadł się, a następnie sięgnął po krewetkę w tempurze leżącą na talerzyku.

– Zimna – skomentował, gdy ugryzł nietkniętą przystawkę.

Synowie Jacka patrzyli na niespodziewanego gościa z niepokojem, ale ich ojciec przywitał policjanta z uśmiechem.

– Cieszę się, że przyjąłeś moje zaproszenie – przywitał się Lewicki, po czym poprosił dzieci, by poszły się pobawić w ogrodzie.

Bruno w napięciu odprowadzał chłopców wzrokiem, a gdy tylko zostali przy stoliku sami, chwycił Jacka za koszulę i szarpnął go mocno w swoją stronę.

– Skąd masz informacje o moich sprawach? – zapytał odrobinę za głośno, ściągając na siebie uwagę osób siedzących przy sąsiednich stolikach.

Po twarzy Lewickiego przemknął cień satysfakcji.

– Po prostu czytam gazety i bardzo się o ciebie niepokoję – odparł.

– Obserwuję, jak się miotasz. Twoje śledztwo stoi w miejscu, a ty nie widzisz tego, co nadchodzi. Twoja przyjaciółka też nie. Nieustająco dajesz się zaskakiwać. Ile jeszcze kobiet musi zginąć, zanim się ogarniesz?

Wilczyński ścisnął dłoń w pięść, gotowy, by użyć jej w każdej chwili.

– Nie wiem, czego chcesz, ale jeśli okaże się, że masz z tym cokolwiek wspólnego, osobiście odprowadzę cię do pierdła – rzucił wściekle.

Jacek się roześmiał.

– Możesz śmiało sprawdzić moje alibi, najlepiej z firmą ochroniarską, która monitoruje nasz nowy dom. Zdziwisz się, ale wieczory spędzam głównie w towarzystwie dzieci. – Mężczyzna podniósł do ust szklankę i wypił z niej resztkę wody. – Nie rozumiesz, że chcę ci tylko pomóc?

– Daruj sobie. Jeśli chcesz być moim doktorem Hannibalem Lecterem i odkrywać przede mną tajniki umysłu mordercy, dziękuję. Casting na psychopatę w roli konsultanta zakończył się w ubiegłym tygodniu.

– Nie przyszło ci do głowy, że czasem brak śladu to najważniejszy ślad? Pomyśl tylko. Ktoś, kto tak bardzo nienawidzi innych, musi jednocześnie pałać odrazą w stosunku do samego siebie. On nie wymierza kary tylko swoim ofiarom, ale też sobie. Może wcale nie chce zabijać, ale to jest silniejsze od niego. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

Wilczyński zauważył, że ze złości drżą mu dłonie, a jego szczęki są sztywne i napięte.

– Tak samo jak ty nie chciałeś? Od ciebie też to było silniejsze? Dlatego tak skrupulatnie planowałeś każde morderstwo? – wyrzucił z siebie. – Powiedz, cieszyło cię, gdy patrzyłeś, jak umierają? Czułeś się dzięki temu lepszy? W co ty, do cholery, grasz? – Bruno dyszał ciężko.

Jacek nachylił się do niego, dając mu znak ruchem dłoni, by się przybliżył.

– W kotka i myszkę – wyszeptał.

Policjant zerwał się z krzesła, przewracając je, i skoczył na Lewickiego. Chwytał go za ubranie, po czym, kipiąc gniewem, przygwoździł mężczyznę do znajdującej się obok betonowej kolumny.

– Ty gnoju! – ryknął i wymierzył pierwszy cios w brzuch.

Pianista zastygł z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą fortepianu, a rozmowy przy najbliższych stolikach umilkły, robiąc miejsce pojedynczym jękowi przerażenia. Po chwili w sali restauracyjnej pojawili się dwaj panowie w czarnych garniturach, odciągnęli

Wilczyńskiego od swojego gościa i wyprowadzili szarpiącego się awanturnika na zewnątrz.

Bruno nie był zadowolony z tego, jak go potraktowali, ale jednocześnie był im wdzięczny, w przeciwnym razie tłukłby Lewickiego bez opamiętania.



– Dobrze! Szczcie raz! – krzyczał trener Grisza nad Larysą, która leżała na poziomej ławce w niedawno wyremontowanym klubie bokserskim Pięściarz i podnosiła sztangę. – Spokojna, spokojna... – Ukrainiec odliczał dwanaście powtórzeń, obserwując, jak jego podopieczna wyciska trzydziestokilowy ciężar.

Kiedy skończyła, poklepał ją po ramieniu.

– Dobrze, dobre. Napij się. – Podał jej butelkę wody.

Dziewczyna oddychała ciężko, jej twarz i tułów były mokre od potu. Chwyciła łapczywie butelkę i opróżniła ją jednym haustem, po czym wyczerpana opadła na plecy i zamknęła oczy.

– Chcesz coś powiedzieć, zanim wydasz ostatnie tchnienie? – usłyszała nagle głos Wilczyńskiego i gwałtownie uniosła tułów.

– Co ty tu robisz? – Patrzyła zdezorientowana na trenera, ale starszy mężczyzna tylko wzruszył ramionami i nieśmiało spuścił wzrok. – Mieliście go nie wpuszczać po tym, co nawywijał. Stało się coś, o czym nie wiem?

– Zawsze masz taki skrzekliwy głos, gdy się denerwujesz? – zapytał Bruno z uśmiechem. – I nie krzycz na Griszę, pomogłem mu z remontem, wypiliśmy małą flaszczkę i moja kara się skończyła. Znów mogę cię nachodzić.

– On dobry. – Trener poklepał Wilczyńskiego po ramieniu. – To mój druh.

Larysa warknęła poirytowana, spojrzała na obu mężczyzn, jakby chciała ich udusić, po czym podniosła ręcznik i ostentacyjnie wyszła do szatni. Była przekonana, że nagłe pojawienie się

Wilczyńskiego ma związek z artykułem w „Magazynie”, który ukazał się rano. Robert Haller dotrzymał słowa i zrealizował groźbę wobec niej. Opublikował reportaż o ekskluzywnej prostytucji, w którym pojawiło się także jej nazwisko. Był tak obrzydliwy, że nie chciała nawet o nim myśleć.

Kiedy stała pod gorącym strumieniem wody i powoli odzyskiwała spokój, usłyszała wołanie Brunona.

– Widziałem się z Jackiem Lewickim! – krzyknął.

Dziewczyna zastygła pod prysznicem, oparła dłonie o ścianę i patrzyła na spływające po kaflach strugi wody.

– Jakiś czas temu udało mi się go namierzyć – kontynuował swoją opowieść policjant. – Ale okazało się, że on tylko na to czekał. Mam wrażenie, jakby obserwował każdy mój ruch. Wie, nad czym pracuję, zna poufne informacje o prowadzonych przeze mnie sprawach. Przyskrzynyłbym go, ale sprawdziłem i ma żelazne alibi. Prowokuje mnie, a ja nie wiem do czego. – Wilczyński zamilkł na chwilę, ale za moment dodał coś jeszcze: – „Nie masz pojęcia, co nadchodzi. Twoja przyjaciółka też nie”. Tak powiedział, kiedy go ostatnio widziałem. Jak byś to zinterpretowała?

Larysa zastanawiała się nad tym, wycierając mokre ciało ręcznikiem. Szybko zrozumiała, że Bruno nie przyszedł do klubu, żeby jej dogryzać, tylko dlatego, że się o nią troszczył.

– Jako niepokojące pogrożki – odparła z namysłem. – Tyle że od wielu miesięcy nie miałam z nim kontaktu – dodała. – A to, nad czym teraz pracuję, nie ma z Lewickim żadnego związku, więc nie mógł mówić o mnie. Skoro tak bardzo interesuje się twoim śledztwem, to tam bym szukała – zasugerowała, wchodząc do szatni, a kiedy zobaczyła Wilczyńskiego leżącego na ławce z rękami pod głową, uniosła pytająco brwi. – Wygodnie ci?

– Tak, jeszcze tylko drink i drapanie pleców. Co będzie najpierw? – Puścił do niej oko.

Dziewczyna popukała się w czoło, po czym ruchem ręki poprosiła, żeby się odwrócił, i sprawnie włożyła ubranie.

– Wiem o tym, co ci zrobił Robert Haller – powiedział nagle poważnie. – Uważam, że to skurwysyństwo, i mogę mu nastukać,

jeśli chcesz.

Larysa uśmiechnęła się do siebie. Nie chciała tego przyznać, ale nagle zrozumiała, że brakowało jej obecności Brunona.

– Szkoda na to czasu i energii – rzuciła, zbierając rzeczy. – Masz ważniejsze sprawy na głowie, ja zresztą też. – Zerknęła na zegar ścienny i przeklęła pod nosem. – Jestem już spóźniona. Lecę! – krzyknęła tylko i wybiegła, w pośpiechu nakładając kurtkę.

W drodze na Domaniewską obserwowała, jak miękko promienie słońca kładą się na trawnikach pokrytych cienką warstwą lodu. Szron otulał żdźbła traw, które w białej, mroźnej szacie przypominały skrzące się rzeźby. Ten widok ją rozluźniał, ale gdy znalazła się w windzie siedziby „Newsweeka”, na nowo poczuła drobne ukłucie niepokoju.

Anita Lange, redaktor naczelna tygodnika, czekała na nią w swoim gabinecie. Pachnąca drogimi perfumami, ubrana w błękitną koszulę i spodnie z wysokim stanem, niespiesznie popijała poranną kawę, a na biurku przed nią leżał otwarty „Magazyn” z tekstem o ekskluzywnej prostytucji. Larysa skrzywiła się na ten widok i zatrzymała w otwartych drzwiach, niepewna tego, co powinna teraz zrobić.

– Wejdz. Chcę porozmawiać o artykule – rzuciła Lange, nie podnosząc wzroku znad czasopisma.

– Nie ma o czym. To pomówienia – wyjaśniła.

– Nie o tym artykule. – Anita złożyła periodyk na pół i odłożyła go na bok. – Ten mnie nie interesuje. Chodzi mi o nasz reportaż i o Fantoma.

Larysa, która z powodu publikacji Hallera spodziewała się awantury i wielu dociekliwych pytań, a może nawet burzliwego zakończenia współpracy, czuła się zbita z tropu.

– Nie patrz tak na mnie – odezwała się redaktor naczelna. – Chyba nie spodziewałaś się, że będę się przejmować tym, co dziennikarze Welcera piszą pod dyktando nowego inwestora koncernu. Poza tym to nie moja sprawa, czym się zajmujesz w wolnym czasie. Przynajmniej dopóki będziesz pisała dla mnie równie dobre artykuły jak te, które tworzyłaś dla „Magazynu”.

Lange, przyzwyczajona do tego, że to ona dyktuje warunki, uśmiechnęła się triumfująco, po czym dłonią ze zdeformowanymi paznokciami włożyła do ust kilka owoców suszonej żurawiny, które trzymała na biurku w porcelanowej miseczce. Przeżuwała je niespiesznie, bacznie obserwując charakterną dziennikarkę.

– Myślę, że musimy sobie coś wyjaśnić. – Larysa przeczuwała, że lada chwila z jej ust padną słowa, których nie powinna mówić, ale była niczym rozpędzony pociąg, niemożliwy do zatrzymania. – Po pierwsze nie będę pisała dla ciebie, tylko dla czytelników. Po drugie dostaniesz ode mnie artykuł zgodnie z umową, nie trzeba mi przypominać o deadline.

– Świetnie. – Anita klasnęła w dłonie. – A teraz ja ci coś wyjaśnię. Mam w dupie to, czy przychodzisz na kolegia, z kim sypiasz i co bierzesz, ale jeśli choć jeden raz spóźnisz się z tekstem, na który się umówiliśmy, albo dostarczysz jakieś gówno poniżej akceptowanego poziomu, wylecisz. Jasne?

Powietrze w gabinecie wydawało się naelektryzowane, na jakiś czas między Larysą a Anitą Lange zapadła ostra, kłująca cisza. Obie kobiety mierzyły się wzrokiem niczym zawodnicy w ringu. Larysa widziała, jak szczeka redaktor naczelnej napina się pod gładką, jasną skórą, a palce jej lewej dłoni głaszczą zdeformowane paznokcie prawej ręki.

Była ciekawa, jak długo jeszcze kobieta wytrzyma, zanim ją stąd wyprosi. Słyszała o niej różne rzeczy i choć większość z nich oburzała normalnych ludzi, Larysy nie wzruszała. Wybrała „Newsweek” głównie z powodu Lange, która słynęła z rzetelności i żelaznego kodeksu etycznego. Zlecała swoim reporterom różne tematy i nigdy niemal do końca nie było wiadomo, który z nich trafi na okładkę. Anita decydowała o tym w ostatniej chwili, wybierając najbardziej solidną, najlepiej zweryfikowaną i ważną na dany czas publikację. Dzięki temu każdy dziennikarz miał szansę zabłysnąć i wszyscy sumiennie przykładali się do swojej pracy. Nie było lepszych ani gorszych, protegowanych ani ignorowanych, wszyscy mieli równe szanse.

– Całe szczęście, że piszesz dla czytelników – podjęła Lange, patrząc w okno. – Większość dziennikarzy w tym kraju robi to dla masowania swojego zwiędłego ego, co uważam za skrajnie żałosne. – Odwróciła się w stronę dziewczyny. – Usiądź, chcę ci coś opowiedzieć.

Larysa zajęła miejsce, niepewnie przyglądając się redaktor naczelnej. Tymczasem Lange położyła przed nią dłoń ze zniekształconymi paznokciami i wbiła w nią wzrok, po czym zupełnie naturalnie podjęła opowieść.

– Robiliśmy kiedyś z mamą domowe lizaki z cukru. Przygotowałyśmy karmel w dużym garnku i długie drewniane patyczki, by zatapiać je w zastygającej masie. Przy okazji toczyła się między nami luźna rozmowa, o moich przyjaciółkach, o tym, co w szkole. Nagle mama chwyciła mnie za rękę i zapytała, czy nie chcę jej czegoś powiedzieć. Tamtego dnia dostałam pierwszą w swoim życiu tróję z matematyki i kiedy mnie ścisnęła, zrozumiałam, że musiała się o niej skądś dowiedzieć, ale nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Obiecywałam sobie, że poprawię oceny przed półroczem i jakoś uda mi się uniknąć kary. Przełknęłam ślinę i z udawanym uśmiechem zaprzeczyłam, a wtedy ona nabrała na łyżkę bulgoczący karmel i przytrzymując moją rękę, wylała mi go na paznokcie. – Lange odruchowo dotknęła zniszczonych płytek paznokciowych. – „To cię oduczy kłamania”, powiedziała z zimnym i obcym wyrazem twarzy, który pamiętam do dzisiaj.

Dziennikarka słuchała jej słów, obejmując ciało ramionami.

– Mówię ci o tym dlatego, że dzięki informacjom, które zdobyłaś, zrozumiałam, jaką misją kieruje się Fantom. I choć jest ona według mnie skazana na porażkę, to nagle ten temat stał się dla mnie bardzo ważny – zawiesiła głos. – A w świetle pewnych przecieków właściwie priorytetowy – dodała.

– Co masz na myśli?

– Niedawno w Warszawie zginęły dwie kobiety. To były dwa odrębne morderstwa, ale w każdym przypadku ofiarą była matka. Policja oczywiście nie mówi o seryjności, pewnie nie chcą straszyć

ludzi, a może czekają na kolejne zabójstwo, ale mój informator uważa, że morderca zemścił się na nich za to, jak traktowały swoje dzieci. A to brzmi już bardzo znajomo, prawda?

Dziewczyna zastanawiała się, czy to możliwe, by Adam kogoś zabił. Doskonale pamiętała jego agresywne zachowania podczas rozmowy w opuszczonym budynku, a w tyle głowy pobrzmiwały jej słowa Barbary Zielińskiej o napaści i duszeniu. Musiała przyznać, że w ostatnim czasie była tak bardzo zajęta swoimi kłopotami, że nie wyłapała doniesień o zabójstwach, a teraz czuła z tego powodu złość.

– Sprawę prowadzi komisarz Bruno Wilczyński, jeśli masz do niego jakieś dojścia, możesz próbować się czegoś dowiedzieć – dodała Lange. – Ale to podobno lepszy cwaniak i z reguły nie współpracuje z mediami.

– Tak, obito mi się coś o uszy – skomentowała z zagadkową miną.
– Skąd w ogóle masz te wszystkie informacje? – zapytała nagle redaktor naczelna. – Zdradził ci je ktoś z ludzi Wilczyńskiego, prawda?

Anita zaśmiała się.

– Nie mogę wyjawić nazwiska mojego informatora, ale wierz mi, że te wiadomości są sprawdzone – odparła. – Co więcej, profil psychologiczny sprawcy łądząco przypomina naszego bohatera. „Niski poziom kontroli impulsów, szybko wpada we frustrację i złość, zaniżona samoocena” – zacytowała, zerkając na ekran komputera. – A to oznacza, że musisz go odnaleźć i przycisnąć. Bo jeśli damy go na okładkę i pokażemy jako faceta, który staje w obronie dzieci, a za tydzień okaże się, że to on jest tym psycholem mordującym kobiety, to mamy przerąbane.



W domu przy ulicy Opieńki panowały cisza i półmrok.

Komisarz Wilczyński otrzymał od męża nieżyjącej Pauliny Ostrowskiej kubek gorącej czarnej kawy, po czym zapadł się w miękkiej kanapie i patrzył na dziewczynkę, która rysowała, leżąc na podłodze. Jej nogi tańczyły w powietrzu, a język wysuwał się z ust, jakby chciał pomóc małej w tworzeniu obrazka. W odległym kadrze nie różniła się niczym od innych dzieci pochłoniętych swoją pracą, ale przy bardziej wnikliwej obserwacji można było dostrzec obgryzione do krwi paznokcie, spuchniętą twarz i czerwone obwódki wokół oczu.

Jej ojciec wyglądał jeszcze gorzej, na bladej twarzy swoje piętno odcisnęła nieprzespana noc, jego dłonie się trzęsły, a głos był słaby, jakby jego źródło wyschło od krzyków z rozpacz.

Bruno wyobrażał sobie, jak Andrzej Ostrowski skończył przemawiać na konferencji w Londynie, gdzie występował przed prawie tysiącem inwestorów branży nieruchomości, po czym zszedł ze sceny odprowadzany brawami – na jego twarzy jaśniał uśmiech dumy z siebie, ktoś mu pogratulował, jakiś znajomy kiwnął głową z uznaniem – a później otrzymał wiadomość i wszystko, co się wydarzyło kilka minut wcześniej, przestało dla niego istnieć.

Tak jakby przeszłość od przyszłości oddzieliła ciężka, gruba kotara, za którą nie było już wstępu.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się stało – powiedział mężczyzna ni to do Wilczyńskiego, ni to do siebie. – Kto mógł chcieć ją skrzywdzić?

– Staramy się to ustalić. Czy żona wspominała ostatnio, że się czegoś bała albo że ktoś ją śledził? Mówiła, że wydarzyło się cokolwiek niepokojącego?

Ostrowski pokręcił głową. Ubrany w szary golf i sztruksowe spodnie, pocierał nerwowo dłonie, jakby zmarzły, a on tym gestem chciał je rozgrzać.

– Była normalna, taka jak zawsze. W wiecznym pędzie, rozgadana, może trochę zestresowana.

– Czym?

– Tym, co zwykle. Bieganiem po sklepach, urządzeniem mieszkań, które kupiliśmy, żeby je odnowić i wynająć albo sprzedać

za wyższą cenę. Z tego żyjemy, ja szukam okazji, a Paulina dokonuje wnetrzarskich rewolucji. – Uśmiechnął się delikatnie. – Zresztą proszę spojrzeć. – Zatoczył dłonią koło po salonie. – To wszystko jej robota. Ma oko do kolorów i dodatków.

Mężczyzna, który na ułamek sekundy się rozpromienił, zgasł nagle jak płomień zdmuchniętej świecy. Jakby jego radość wywołana wspomnieniem żony była czymś niestosownym, wykreślonym z repertuaru zachowań dozwolonych w protokole żałobnika.

– Czy wiedziałeś, że... – Bruno urwał i wymownie zerknął na dziewczynkę, dając jej ojcu znak, że to, o co chce zapytać, nie powinno trafić do jej uszu.

Córka Pauliny Ostrowskiej najwyraźniej poczuła na sobie obcy wzrok, bo odwróciła się do policjanta.

– Tata nie ma przede mną żadnych tajemnic – wyjaśniła z przekonaniem.

Wilczyński pomyślał, że czas dziecięcej naiwności, gdy rodzice wydają się chodzącymi ideałami, na których ich pociechy chcą się wzorować, ma swój urok. Wtedy ta relacja jest jeszcze względnie harmonijna, ale pewnego dnia dziecko zaczyna widzieć rodzica takiego, jakim on rzeczywiście jest, i nagle okazuje się, że ci ludzie, pozornie bez skazy, tak naprawdę utkani są z wad.

– Ale ja mam – powiedział Bruno, rozkładając ręce w przepaszającym geście.

Dziewczynka warknęła pod nosem.

– W szkole mówili nam, że to się nazywa dyskryminacja. – Złapała napominające spojrzenie ojca. – No dobra, idę do swojego pokoju – rzuciła, nim wybiegła z salonu, zostawiając na podłodze rozsypane kredki i niedokończony rysunek.

Bruno zerknął na szkic przedstawiający sylwetkę małej baletnicy, podpisany imieniem Ula i ozdobiony kwiatkami.

– Sama to narysowała?

Andrzej Ostrowski wychylił się z fotela, by móc się lepiej przyjrzeć obrazkowi.

– A, o tym pan mówi! – zauważył. – Nie, dostała od kogoś ten szkic. Moja córka bardzo szybko nawiązuje znajomości, czasami chyba aż za szybko. – Wzruszył ramionami. – Ale może po prostu ludzie ją lubią.

Wilczyński stwierdził w myślach, że on też zalicza się do tej grupy. Ujęło go to, że Ula nie była skażona przestarzałym, a jednak wciąż silnym społecznym przekonaniem, że dziewczynka powinna być miła i grzeczna. Takie jak ona w dorosłym życiu często miały opinie trudnych, zbyt pewnych siebie czy przemądrzałych, a jednocześnie to właśnie z tych dziewczynek wyrastały kobiety, które wiedziały, czego chcą, i umiały bronić własnych granic.

O ile gdzieś po drodze ktoś nie przytępił ich zadziorności i nie utemperował charakteru.

– Czy zawsze jest taka... – Urwał, bo nie był pewien, jakiego określenia użyć.

– Rezolutna? – podjął jej ojciec.

– Raczej pyskata i zadziorna.

Ostrowski pokiwał głową z dumą.

– Ma charakterek, nie da się ukryć. Paulina też miała temperament. Potrafiła zagotować się w ciągu kilku sekund, wybuchnąć tak, że aż ziemia się trzęsła, a kwadrans później zapominała o całej sprawie. – Poglądził dłonią brodę, a jego wzrok powędrował gdzieś do wewnątrz, zapewne do miejsca, w którym znajdowały się dobre wspomnienia, bo kącik jego ust zadrżał od nieśmiałego uśmiechu. – Miałem to szczęście i nieszczęście, że to głównie ona zajmowała się Ulą. Czułem spokój, bo wiedziałem, że córka jest w dobrych rękach, a jednocześnie gryzło mnie to, że moje dziecko dorasta z dala od ojca. Ze względu na pracę pojawiałem się w domu najczęściej w weekendy, i to nie we wszystkie. Wprawdzie dzwoniłem codziennie, prowadziliśmy wideorozmowy, ale cały ciężar spoczywał na barkach Pauli.

– O ile wiem, to niezupełnie. Twoja żona często zostawiała córkę bez opieki. Sama w tym czasie wychodziła na drinka, plotki z koleżankami i szlajała się po galeriach handlowych.

Bruno przytoczył mężczyźnie rozmowę, którą wcześniej przeprowadził z jego córką, oraz relacje przyjaciółek, które zebrała aspirant Konopacka. Andrzej Ostrowski wysłuchał policjanta w skupieniu, a wreszcie ściągnął brwi i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Paulina nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. – Pokręcił głową. – Nie była kobietą bez wad, kłóciliśmy się o to, że pali w domu, albo że przesadza z winem, gdy zostaje sama z dzieckiem, ale nigdy nie zostawiłaby Uli bez opieki. A już na pewno nie z takich błahych powodów. Była dobrą matką, dwa razy w tygodniu zawoziła ją na balet, chodziły razem do kina i do kawiarni. Zresztą córka by mi o tym powiedziała. – Ostrowski wychylił się na fotelu w stronę drzwi. – Ula, zejdziesz do nas na chwilę?

Wilczyński wiedział już, jak się skończy ta sytuacja, ale uznał, że niektórym ludziom nie wystarczy powiedzieć, że żelazko jest gorące, trzeba pozwolić im się sparzyć, bo tylko gdy go dotkną, uwierzą.

– Zdecydujcie się, gdzie mam w końcu być – burknęła dziewczynka ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Ojciec wyciągnął do niej dłoń, posadził ją sobie na kolanach i pogładził jej włosy.

– Córeczko, muszę cię o coś zapytać. Czy mówiłaś temu panu, że mama zostawiała cię samą w domu? Powiedziałaś mi, gdyby coś takiego się działo, prawda?

Ula zeszywniała, małe piąstki zacisnęły się, a spojrzenie przepełnione złością policjant odczuł jak piekący policzek. Milczenie dziewczynki trwało wystarczająco długo, by Ostrowski zdołał pojąć jego sens.

– Ale dlaczego, kochanie? Czemu to przede mną ukrywałaś?

Plecy dziewczynki zadrżały, jakby starała się stłumić w sobie trudne do udźwignięcia emocje.

– Nie chciałam iść do domu dziecka ani żebyście się rozwiedli. – Ula zaczęła płakać i coraz ciaśniej obejmować ojca ramionami. – Mamusia powtarzała, że jeśli ją wydam, to mnie odda. – Pociągała nosem. – Ciągle się kłóciliście i pomyślałam, że jak mama przestanie mnie kochać, to już nie będzie chciała być twoją żoną.

Słyszałam, jak kiedyś przez telefon mówiła, że chce się rozwodzić, ale nie zrobi tego, bo jestem jeszcze ja.

Po tych słowach świat w oczach Wilczyńskiego zaczął nabierać właściwych proporcji.

Dziewczynka, która udawała silną i dorosłą, stała się na powrót małeńka i bezradna, a ojciec, który unikał prawdy i odpowiedzialności za dziecko, wreszcie zrozumiał, że nie ma już dokąd uciekać.



Po powrocie do mieszkania Larysa przez kilka godzin usiłowała dodzwonić się do komisarza Wilczyńskiego. Chciała z nim porozmawiać o możliwych przeciekach z policji i wypytać o sprawy morderstw, o których wspomniała Lange, ale z jakiegoś powodu nie odbierał od niej telefonu.

W międzyczasie próbowała odszukać Fantoma, desperacko wydzwaniała do wszystkich miejsc, gdzie wedle wyszukiwarki Google mógł pracować mężczyzna o jego imieniu i nazwisku, ale ostatecznie niczego w ten sposób nie uzyskała. Wreszcie wysłała do niego jeszcze wiadomość, choć właściwie była pewna, że po ich ostatnim spotkaniu nie odpowie na nią.

Zmęczona, położyła się na podłodze na wznak, obserwując smugę światła wpadającą przez uchylone okno. Jej nogi zdrętwiały od długiego siedzenia w tej samej pozycji, a żołądek głośnym bulgotaniem dopominał się o posiłek. Zdała sobie sprawę, że praca pochłonęła ją tak bardzo, że zaniedbała wszystkie podstawowe potrzeby: sen, jedzenie i relaks. Funkcjonowała jak robot, nastawiona na realizację zadania, i czuła, że jest u kresu sił. Przymknęła powieki, by choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości, ale wtedy usłyszała swój telefon. Rzuciła się na niego w nadziei, że to Bruno odsłuchiwał jej prośbę o kontakt

i oddzwania, ale na wyświetlaczu widniało nazwisko Roberta Hallera.

– Jak ci się podobał artykuł? – zapytał, gdy odebrała.

– Skrajnie nierzetelny – odparła oschle. – Bardziej w stylu „Faktu” i „Super Expressu”, a nie szanującego się magazynu reporterów, ale nie dziwię się. Jaki inwestor i redaktor naczelny, taka gazeta.

Biznesmen zamilkł na krótką chwilę, jakby słowa Larysy go dotknęły, ale już za moment wytoczył kolejne działo.

– Jak widzisz, nie rzucam słów na wiatr, zresztą po tym, jak potraktowałaś Marka Kamińskiego, nie zostawiłaś mi wyboru. Ten artykuł to drobiazg, zleciłem go tylko po to, by wytrącić cię z równowagi. Domyślałem się, że go zbagatelizujesz, ale miałem nadzieję, że zależy ci chociaż na bracie.

– Zostaw go w spokoju.

– Chciałbym, ale wiesz, że nie mogę. Szczególnie teraz, gdy Bartek popełnia błąd za błędem i właściwie sam szykuje sobie pętlę.

Dziewczyna ścisnęła mocniej telefon, starając się zrozumieć, co Haller ma na myśli.

– Musisz z nim pogadać – przerwał jej rozmyślenia biznesmen. – Choć nie wiem, czy będzie miał odwagę przyznać ci się do tego, co zrobił.

Mężczyzna roześmiał się gromkim, tubalnym śmiechem, po czym zerwał połączenie.

Larysa z wściekłości walnęła pięścią w ścianę, a gdy ochłonęła, chwyciła kluczyki do saxo i postanowiła złapać brata na uczelni. Kiedy z piskiem opon skręcała z Klimczaka w aleję Rzeczypospolitej, wydawało jej się, że na wysokości Gorącego Psa, knajpy z burgerami i winem, na chodniku mignęła jej sylwetka Bartka. Uznała, że z przemęczenia ma zwidy, i postanowiła jechać dalej, ale gdy chwilę później zatrzymała się na światłach na skrzyżowaniu z aleją Wilanowską, ktoś podbiegł do jej samochodu od tyłu i uderzył pięścią w szybę. Poirytowana spojrzała w lusterko wsteczne i ze zdziwieniem dostrzegła tam swojego brata.

– Zatrzymaj się! – krzyczał.

Chłopak dyszał, opierając ręce na kolanach, jego twarz była czerwona z wysiłku, szalik ciągnął się po ziemi, a kurtka przekrzywiła się i wisała koślawo na jednym ramieniu.

Larysa zaparkowała w zatoczce na przystanku autobusowym za skrzyżowaniem, włączyła światła awaryjne i wyszła z citroëna. Nie rozumiała, skąd Bartek wziął się na Wilanowie, i przestraszyła się, że może Robert Haller mówił prawdę i jej brat wpadł w poważne tarapaty, a teraz przyjechał prosić ją, by go z nich wyciągnęła. Kiedy wreszcie ją dogonił, zauważyła, że ma przekrwione oczy i obłąkany wzrok. Wyglądał jak ktoś, kto od tygodnia nie spał, a do tego nocami oglądał seriale na Netflixie. Wymięty, nieogolony, z szarą cerą i zgarbioną sylwetką.

– Przyjechałem do ciebie – rzucił, łapiąc dech. – Ale zobaczyłem, że wyjeżdżasz z garażu, i goniłem cię jak głupi od samej Sarmackiej. – Dyszał. – Muszę ci coś powiedzieć.

Dziewczyna poczuła, jakby wielka żelazna dłoń ścisnęła ją za gardło. Nie wiedziała, czy chodzi o ledwie zauważalne drżenie ust Bartka, jakiś smutek w jego oczach czy przeciągające się milczenie, ale powoli docierało do niej, że lada chwila usłyszy coś bardzo złego. Miała wrażenie, jakby stała na środku drogi, którą jechała rozpedzona ciężarówka, i nie mogła się ruszyć. Wielka metalowa bestia zbliżała się do niej, trzeszcząc i trąbiąc, a ona trwała niemo w tym samym miejscu, świadoma, że zaraz nastąpi uderzenie.

– Larysa... Paweł Wiśniewski nie żyje.

Po tych słowach czas się dla niej zatrzymał. Krzyczała, ale otaczała ją niczym niezmacona cisza. Wszystko wokół wydarzało się jak w filmie. Kątem oka dostrzegła wygrażającego pięścią kierowcę autobusu, który zapewne chciał zatrzymać się na przystanku i nie spodobało mu się, że zajęła mu miejsce. Patrzyła na brata, który z niewiadomych powodów nią potrząsał; jego usta poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Widziała twarze odwracających się za nimi ludzi i nie rozumiała, dlaczego wszyscy na nią patrzą. Obserwowała to wszystko jakby z boku, zdziwiona nagłym zamieszaniem.

Ocknęła się dopiero kilkadziesiąt sekund później. Klęczała na chodniku zgięta wzdłuż, wrzeszczała i biła pięściami o chropowaty beton, zdzierając z dłoni skórę. Kiedy dostrzegła krwawe ślady na kostce brukowej i prerażenie w oczach brata, dotarło do niej, co przed momentem przekazał jej Bartek.

Paweł Wiśniewski odebrał sobie życie w najokrutniejszy możliwy sposób.



Bruno siedział nad papierami w swoim pokoju na komendzie, próbując znaleźć jakieś powiązania między podejrzanymi w sprawie Oliwii Sochy i Pauliny Ostrowskiej, ale tego dnia wszystko szło mu wyjątkowo opornie. Był już spóźniony na spotkanie z naczelnikiem Pękałą, a w głowie kłębiły mu się setki myśli, których nie potrafił złożyć w całość. By móc się bardziej skoncentrować, nie odbierał telefonów ani nie oddzwaniał, a wyciszzonego wcześniej smartfona wrzucił do szuflady.

Kiedy sprawdzał jeden z tropów w policyjnej bazie, natknął się na zdjęcia człowieka, który rzucił się pod pociąg, i przeczytał informację o tym, że to prawdopodobnie dawny redaktor naczelny magazynu reporterów, Paweł Wiśniewski.

Komisarz podzwonił trochę po znajomych, by dowiedzieć się więcej na temat okoliczności śmierci mężczyzny, a gdy koledzy z Kolejowego Komisariatu Policji potwierdzili, że zmarły to najpewniej rzeczywiście znany dziennikarz, Brunona zatkało. Pamiętał, że Wiśniewski był blisko z Larysą, i domyślał się, że mogła już usłyszeć o jego tragicznej śmierci. Pod wpływem impulsu otworzył szufladę i sięgnął po telefon, na którym zauważył kilka nieodebranych połączeń od dziewczyny i o wiele więcej od przełożonego. Początkowo zamierzał zadzwonić do Larysy, ale ostatecznie uznał, że w tej trudnej chwili powinien być przy niej

ktoś bliski. W tym celu zadzwonił do Bartka i poprosił, by zaopiekował się siostrą.

Kiedy odłożył telefon, usłyszał ciche pukanie do drzwi.

– Nie ma mnie! – zawołał, a chwilę później zobaczył bladą i przejętą twarz aspirant Konopackiej.

Policjantka podbiegła do jego biurka, nerwowo zerknęła za siebie, jakby obawiała się, że ktoś ją śledzi, po czym odezwała się konspiracyjnym szeptem:

– Słuchaj, tu się dzieje coś złego. – Nachyliła się ku Wilczyńskiemu. – Byłam wczoraj u szefa, żeby pokazać mu to zdjęcie Gajdy w toyocie na Stryjeńskich tuż przed śmiercią Oliwii Sochy. Dałam mu wydruk i powiedziałam, że koleś zataił przed nami swoją obecność w pobliżu miejsca zbrodni.

– I co naczelnik na to?

– No i to jest właśnie najciekawsze. Pękała powiedział: „Wiem o tym”. Tak po prostu, jakby stwierdzał, że jest chujowa pogoda. Myślałam, że padnę tam trupem. Musiałam zrobić jakąś głupią minę, bo poklepał mnie po ramieniu i wyjaśnił, że Dawid sam z nim o tym porozmawiał i że nie ma powodów do niepokoju, a potem zarekwirował listę. Wyobrażasz sobie?

Podłużna zmarszczka na czole Wilczyńskiego się pogłębiła.

– Niektórzy ludzie powinni mieć po dwa konta na Facebooku, po jednym na każdą twarz – rzucił pod nosem i wyszedł z pokoju, mijając Sylwię energicznym krokiem, a następnie skierował się do gabinetu przełożonego.

Bez pukania wtargnął do środka i niespodziewanie zastał tam Dawida Gajdę.

– Miałeś być u mnie o dwunastej – zagrzemiał zaskoczony Marian Pękała, którego czoło błyszczało w świetle jarzeniówek. – Komunii nie miałeś? Zegarka nie dostałeś?

– Nie powiedziałeś, jakiego czasu. – Bruno rozłożył ręce w geście bezradności. – Czułem się zagubiony. Poza tym słyszałem, że kryjesz Pięknisia, i uznałem, że się wproszę na waszą imprezkę. – Wbił wściekłe spojrzenie w naczelnika. – Powiesz mi, co tu jest grane?

Technik popatrzył na przełożonego błagalnym wzrokiem, jakby szukał w nim oparcia, ale Pękała najwyraźniej za długo znał Wilczyńskiego, by zakładać, że da się przekonać jego zapewnieniom o niewinności Dawida. Naczelnik wiedział, że komisarz nie przestanie drążyć do czasu, aż pozna odpowiedzi na nurtujące go pytania, i że będzie w tym tak upierdliwy, jak tylko on potrafi. Zrezygowany Pękała przygryzł delikatnie wąsy, po czym zerknął na Gajdę i kiwnął mu głową.

– Tłumacz się, młody – odparł, przegrany, a następnie wyciągnął palec wskazujący i skierował go w stronę Wilczyńskiego. – Ale jeśli ta informacja wyjdzie z tego pokoju, będziesz miał przerąbane.

Dawid Gajda z trudem zbierał się do wyjaśnienia powodów swojej obecności w okolicy miejsca zbrodni. Najpierw przecesał dłonią gęste, lśniące włosy, potem spuścił wzrok i wbijając go we własne splecione dłonie, wyrzucił z siebie nieśmiało:

– Dogging, uprawiałem dogging.

Bruno natychmiast skojarzył, że chodzi o seks w miejscach publicznych, najczęściej w parkach, na osiedlowych placach zabaw czy w kinie.

Osoby zainteresowane tego rodzaju aktywnością skrzykiwały się przez internet, niektórzy z nich przyjmowali jedynie bierną rolę, stawali się obserwatorami, inni natomiast brali czynny udział w fizycznym akcie. Czasami na takie spotkania umawiały się większe grupy, a niekiedy tylko pary, które kręcił fakt, że mogą zostać przyłapane przez przypadkowych przechodniów. W Warszawie zazwyczaj spotykali się w parku Praskim, Skaryszewskim czy w Łazienkach Królewskich.

Najwyraźniej upodobali sobie również ruiny Folwarku Moczydło za kościołem Ofiarowania Pańskiego na Ursynowie, pomyślał komisarz, lustrując twarz Dawida, na którą leniwie wpełzał karmazynowy rumieniec.

– Czyli jednak siedlecki żigolo – skwitował Bruno. – Szkoda, że z nikim się nie założyłem, byłbym teraz ładnych parę stówek do przodu. – Wilczyński uśmiechnął się do Gajdy znacząco, po czym

zwrócił się do Pękały: – Zastanawia mnie tylko jedno: z jakiego powodu go kryłeś? Jesteś jego alfonsem?

– Dawid jest moim siostrzeńcem – wyznał z trudem przełożony. – Zachował się jak amator, ale nie chciałem, żeby to wyszło, bo nie miałby życia w robocie.

– No pięknie, szefie nepotysto – ironizował Bruno. – Masz jeszcze jakieś rewelacje w zanadrzu? Może Justyna Dembska to też jakaś twoja kuzynka?

Naczelnik zerknął na technika i poprosił go, by zostawił ich samych. Chłopak z ulgą się ulotnił, a wtedy Marian Pękała zaczął skubać skórki przy paznokciach.

– Jeśli chodzi o Dembską, to nie mam dobrych wiadomości – oświadczył. – Ona jest już na wylocie. Za bardzo się zaangażowała, a ten cały profil to czyste spekulacje. Zresztą był u mnie jej mąż, martwił się o żonę, mówił, że ta sprawa całkowicie ją pochłonęła, i prosił, żeby odpuścić.

Komisarz posłał przełożonemu zdziwione spojrzenie. Pomyślał, że Dembski nie tylko krzywdzi żonę, ale najwyraźniej chce ją w pełni kontrolować. Przez moment zastanawiał się, czy powiedzieć szefowi o śladach na przedramionach profilerki i siniaku na jej czole, ale ostatecznie uznał, że to nie jego sprawa.

Zerknął na naczelnika, który jedynie wzruszył ramionami, a później uciekł wzrokiem, jakby wiedział coś jeszcze.



Siedziała na kanapie owinięta kocem i patrzyła tępo przed siebie.

Miała podkrążone oczy, jej skóra przybrała blady odcień, przez co wydawała się niemal przezroczysta, a usta pokrywała sucha, pękająca skorupa. Czuła, że ubrania lepią się do jej ciała, a ich zapach nie należy do przyjemnych, choć teraz nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Od chwili, gdy Bartek powiedział jej, co się stało, nie odezwała się ani słowem.

On – wręcz przeciwnie, starał się ją namówić, żeby coś zjadła, a gdy go zignorowała, postawił na stole wodę, karton mleka i butelkę wódki.

– Do wyboru, do koloru – powiedział, a później położył na kanapie stos najświeższych gazet, na wypadek gdyby chciała oderwać się od potwornych myśli.

Widok zmiażdżonej i pokonanej siostry coś mu przypomniał.

Właściwie wydawało mu się, że już kiedyś ją taką widział. W umyśle mignął mu zamglony obrazek Larysy w eleganckiej sukience, siedzącej na podłodze z nogami podciągniętymi do brody. Pamiętał tylko, że to była noc, miał jakieś osiem lat, bo w tamtym roku szykował się do komunii świętej, a jego siostra była już pełnoletnia.

Obudziły go hałasy w pokoju obok, a kiedy się podniósł, poczuł, że bardzo chce mu się siku. Po cichu wymknął się z pokoju, ale zanim wszedł do łazienki, zatrzymał się pod drzwiami pokoju Larysy. Były uchylone, jakby zapraszały do tego, by zajrzeć do środka. Przyłożył twarz do wąskiej szczeliny i potwornie się przestraszył. Jego siostra zupełnie się nie poruszała, z głową odchylną do tyłu i opartą o ścianę wyglądała, jakby umarła.

Przejęty wszedł do środka, a ona spojrzała na niego dziwnym, nieobecny wzrokiem.

– Idź stąd – powiedziała obcym głosem.

Gdy teraz o tym myślał, miał nieodparte wrażenie, że to właśnie wtedy wszystko zaczęło się zmieniać.

Niedługo później Larysa wyjechała na studia, przynajmniej tak mówili mu rodzice. Dopiero gdy nie przestawał o nią dopytywać, nalegać na to, by ją odwiedzili, przyznali, że jego siostra uciekła z domu i że nie chce się z nimi widywać.

Pamiętał, że się wtedy rozplakał i wykrzyczał matce, że kłamie. Później starał się zapomnieć o siostrze, żyć, jakby jej nigdy nie było, ale kiedy był w liceum, dostał od niej kartkę pocztową i zdał sobie sprawę, że czekał na to od dnia jej zniknięcia.

Od tamtej pory pisywała do niego regularnie. Kartki przychodziły do szkolnej matematyczki, która jako jedyna w tamtejszym ogólniaku interesowała się uczniami i szanowała ich prawa. Pani Miłoszewska oddawała mu je z uśmiechem, który świadczył o tym, że skrupulatnie zapoznawała się z ich treścią, zaspokajając w ten sposób swoją ciekawość na temat tego, co się działo z jej ulubioną uczennicą.

Siostra pisała o wykładach, na które chodziła bez statusu studenta, o dyskusjach z profesorami i o ciekawych miejscach w stolicy, ale ani słowem nie nawiązywała nigdy do powodu swojej ucieczki. Nie wspominała też o tym, gdzie mieszka, jakby obawiała się, że Bartek mógłby ją odnaleźć. Nie przewidziała tylko, że dorównywał jej sprytem i szybko zorientował się, że większość przesyłek ma stempel z jednej konkretnej placówki pocztowej. Tuż przed maturą pojechał tam, rodzicom ściemnił, że wybiera się na dni otwarte na uczelni, i przez trzy dni kręcił się w okolicy budynku, w którym była poczta.

Wydawało się to szaleństwem – do czasu, aż ostatniego dnia ją spotkał.

Siedziała na ławce i rozmawiała z jakimś starszym facetem. Nie poznał jej od razu, bo miała obcięte na języka włosy, a jej strój odbiegał od tego, jak ją zapamiętał, ale kiedy na niego spojrzała i zastygła w bezruchu, a w jej oczach pojawił się błysk, zobaczył wyraźnie, że to jego siostra. Odmieniona, bardziej umięśniona i o ostrzejszych rysach, ale nadal ona.

A teraz, skulona na kanapie, mimo całej swojej fizycznej siły wydawała mu się bezbronna i drobna. Mieszkanie pachniało jedzeniem z chińskiej knajpy, którego nie tknęła, jej powieki zaś powoli opadały ze zmęczenia. Bartek podszedł do niej i niczym pacjentkę w szpitalu położył ją na boku, a potem dokładnie otulił kocem. Nie stawiała oporu, zamknęła oczy, ale po chwili je otworzyła i uniosła głowę, po czym zaczęła się rozglądać, jakby coś sobie przypominała.

– Prześpij się. Przyda ci się odpoczynek – powiedział. – Musimy później pojechać do Zakładu Medycyny Sądowej, żeby zidentyfikować ciało.

Ale ona go nie słuchała. Podbiegła do szafki w kuchni, otworzyła ją i zaczęła wyrzucać wszystko ze środka. Chaotycznie ciskała na podłogę worki na śmieci, jakieś butelki z chemią, reklamówki i pojemnik na odpady. W końcu zatrzymała się i ze strapioną miną podrapała się po głowie. Najwyraźniej nie znalazła tam tego, czego szukała, ale już po chwili podeszła do drzwi i nerwowo odsunęła zasuwę.

– Co ty wyprawiasz, Lara? Połóż się – nalegał Bartek.

Tyle że ona nie zamierzała reagować na jego napomnienia. Otworzyła drzwi, a potem bez butów zaczęła zbiegać w dół klatki schodowej. Jej brat nasunął w pośpiechu adidas i pobiegł za nią. Na zewnątrz było zimno, z nieba kapał drobny deszcz, który niemal od razu zamarzał na chodniku, ale nigdzie nie było widać Larę.

– Hej! – Bartek usłyszał oburzony kobiecy głos. – Nie musi się pani przepychać.

Gdy wyrzwał za róg, zobaczył otwarte drzwi do komory śmietnika i obcą kobietę z workiem śmieci w ręku.

– Wariatka jakaś. – Kobieta popukała się w głowę, patrząc na niego i pokazując mu Larę, która gorączkowo biegała między pojemnikami i przerzucała worki. – Narkomanka czy co? Po policję lepiej niech pan zadzwoni. Popchnęła mnie.

Kobieta z miną pełną obrzydzenia strzepnęła niewidzialny paproch z kurtki, a potem wrzuciła swoje śmieci do kontenera i wyszła, grożąc, że doniesie o niej ochronie.

– Siostra, proszę. – Bartek złapał ją za ramiona, a ona na chwilę się zatrzymała. – Co ty wyprawiasz? Chodź do domu.

Czuł się bezradny, tak jak wtedy, gdy miał osiem lat. Przez głowę przemknęło mu, że teraz też może mu odpowiedzieć, by sobie poszedł, a on nie będzie mógł z tym nic zrobić. Larysa jednak milczała, oddychała ciężko, zmęczona swoją wcześniejszą szamotaniną. Jej skarpety były oblepione jakąś gęstą, żółtą mazią, a ubranie brudne. W śmietniku cuchnęło psującym się mięsem i zgnilizną.

Wydawało się, że już po wszystkim, Bartek puścił jej ramiona, a wtedy ona drgnęła i rzuciła się do przodu. Odepchnęła niebieski kontener z napisem „papier” i złapała za róg zielonego worka na śmieci, wyciągnęła go spod stosu kartonów, a następnie rozdarła. Ze środka wypadł ohydny, cuchnący brązowy garnitur. Larysa podniosła go z ziemi i przytuliła do piersi.

A później usiadła na podłodze i się rozplakała.



Po rozmowie z przełożonym Wilczyńskiego nosiło. Zamknął się w swoim pokoiku, a gdy tylko zatrzasnął drzwi, jego koledzy usłyszeli charakterystyczne riffy gitarowe otwierające utwór *Smoke on the water* i głos komisarza usiłującego przekrzyczeć wokalistę Deep Purple.

Niczym w amoku wyciągnął z za szafy pomięty blok do flipcharta i rzucił go na biurko. Czarnym flamastrem narysował długą pionową linię dzielącą stronę na dwie równe części. Nad jedną z nich napisał imię i nazwisko Oliwii Sochy, nad drugą Pauliny Ostrowskiej. W szale wypisywał wszystko, co wiedział o każdej ze spraw, a kiedy skończył, opadł zmęczony na krzesło. Na jego czole wykwitły drobne, błyszczące kropelki potu, twarz była purpurowa, a skronie pulsowały, jakby głowa miała lada chwila eksplodować. Wyciągnął z szuflady aspirynę, wrzucił do zimnej już prawie kawy,

zamieszał i choć wiedział, że tego pożałuje, wypił miksturę w kilku haustach. Mina, jaką zrobił, gdy odstawił kubek, była równie przerażająca, co pełna obrzydzenia. Otrząsnął się jak pies, który wyszedł z wody, i sięgnął po czerwony flamaster.

Powoli, z uwagą podobną do tej, z jaką jubiler przygląda się diamentom, by ocenić ich autentyczność, analizował zapisane informacje i zakreślał te, które łączyły dwa przypadki. Po chwili miał już czytelny obraz i był pewien, że ofiary nie zostały wybrane przypadkowo. Każda z nich mieszkała w pobliżu Lasu Kabackiego, miała tylko jedno dziecko, była sfrustrowana i niespełniona, a przy tym wykazywała cechy osobowości narcystycznej. Mężowie obu kobiet pracowali z dala od domu, w którym poza trzyosobową rodziną nie mieszkał nikt inny, kto mógłby ewentualnie wezwać pomoc albo martwić się o to, że bliska osoba zbyt długo nie wraca. Zarówno pierwsze, jak i drugie morderstwo miało miejsce pod nieobecność męża ofiary. W obu przypadkach dziecko doznawało ze strony matki jakiejś formy przemocy psychicznej, a niekiedy też fizycznej. Gdyby Bruno miał odnaleźć to, co najsilniej łączyło Sochę i Ostrowską, wskazałby na ich egocentryzm, ale po chwili w jego umyśle pojawiło się coś jeszcze.

Zaufanie. Bo z tego, co miał przed sobą, wynikało, że w każdej z ofiar sprawca w jakiś sposób je obudził. Tylko wtedy Oliwia Socha zdecydowałaby się zatrzymać w zaciemnionym miejscu i wysiąść z samochodu w deszczu, a Paulina Ostrowska odważyłaby się wyjść do ogrodu w środku nocy. To nie musiał być ktoś, kogo znali, ale osoba, która wydawała się miła i bezradna. Sunął wzrokiem po nazwiskach świadków.

– Jak Agnieszka Bielecka – powiedział szeptem.

Wilczyński nie potrafił zrozumieć, dlaczego przypomniał sobie o kobiecie z mieszkania przy Kazury tak późno. Pielęgniarka przyklejała przecież puzzle do papieru, a to oznaczało, że mogła zostawić kulkę kleju na ubraniu ofiary. Z błyszczącymi oczami wygrzebał z kieszeni kurtki notes i pospiesznie przerzucał kartki. Kiedy dotarł do zapisków, które zrobił w domu Bieleckiej, wiedział, że trafił. Nie tylko mieszkała blisko obu miejsc zbrodni, ale miała

też motyw. Ktoś, kto obsesyjnie obserwował place zabaw, żywił żal do rodziców krzywdzących swoje dzieci, a przy tym desperacko pragnął mieć własne potomstwo, mógłby zabić.

Drżącymi z emocji dłońmi wybrał numer świadka, ale gdy się odezwała cichym i słabym głosem, jakby mówiła do niego z zaświatów, jego entuzjazm osłabł.

– Komisarz Bruno Wilczyński – przedstawił się. – Rozmawialiśmy o zakupie roweru na OLX... – zaczął, ale Bielecka mu przerwała.

– Przepraszam pana, jestem w szpitalu, nie mogę teraz rozmawiać – wyjaśniała.

Policjant ściągnął brwi, usiłując wychwycić blef w słowach kobiety, ale w jej sposobie mówienia był jakiś przejmujący smutek.

– W jakim szpitalu? W pracy? Czy coś się stało? – dopytywał.

– Zabiłam ją – powiedziała przechodzącym w płacz głosem. – To była dziewczynka, miała zaledwie dziesięć tygodni. – Kobieta łkała. – Poprosiłam, by ją spalili w krematorium.

Wilczyński niemal fizycznie czuł ból Agnieszki Bieleckiej, jego gardło się zaciskało, a w ustach narastała suchość.

– Dlaczego uważasz, że to ty ją zabiłaś?

– Weszłam na przewijak, żeby powiesić świeżo wyprane firanki w jej pokoju. Widziałam, że się chybcze, ale uznałam, że dam radę i zrobię to sprawnie. A potem zakręciło mi się w głowie i spadłam. – Kobieta zaczęła szlochać.

Kiedy kilka minut później Bruno odkładał słuchawkę, wiedział, że się pomylił i że Agnieszka Bielecka nie mogła popełnić zbrodni. Upewniło go w tym potwierdzenie ze szpitala, świadczące o tym, że kobieta spędziła tam ostatnie trzy dni.

A jednak czuł, że w jego wnioskach było coś ważnego, co już prawie zdołał uchwycić.



Kiedy Larysa Luboń dotarła do gmachu Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki, gęła w jej gardle urosła do rozmiarów mandarynki. Obiecała sobie, że zrobi to szybko, że zaciśnie zęby, ale już po przekroczeniu ciężkich drewnianych drzwi nie potrafiła powstrzymać drżenia dłoni. Pomyślała, że być może powinna była skorzystać z pomocy Bartka, ale uznała, że woli pożegnać się z Pawłem sama. Dlatego gdy tylko jej brat wyszedł w jakiejś pilnej sprawie, przyjechała do prosektorium.

Zatrzymała się w holu, podniosła głowę w stronę sufitu, a ten zaczął wirować. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie silne ramię, które ją podtrzymało.

– Wszystko w porządku? Szuka pani kogoś? – dopytywał mężczyzna w białym fartuchu. – Doktor Jerzy Mąkosa. – Wyciągnął do niej rękę, na którą nawet nie spojrzała.

Dziewczyna zamrugęła, po czym powoli i niezdecydowanie kiwnęła głową, jakby jeszcze się wahała, czy nie zmienić zdania i nie uciec stamtąd, zanim zobaczy obraz, który na zawsze wczepi się w jej pamięć.

– Dzwonili państwo do mnie. Przyjechałam zidentyfikować zwłoki mężczyzny, który rzucił się pod pociąg na Dworcu Centralnym – wyjaśniła głosem, który wydawał jej się obcy. – To prawdopodobnie Paweł Wiśniewski, pracowaliśmy razem w „Magazynie”. Był moim przełożonym i przyjacielem.

Lekarz zmierzył ją wzrokiem, a jego twarz jakby poszarzała.

– Proszę za mną – rzucił, po czym ruszył w stronę wind.

Larysa pamiętała szereg publikacji z dwa tysiące ósmego roku przedstawiających drastyczne warunki przechowywania ciał na Oczki. To po tych artykułach Zakład Medycyny Sądowej wystarał się o dotacje unijne i siedem lat później przeszedł gruntowny remont, po którym w podziemiach wybudowano chłodnię na trzysta pięćdziesiąt ciał i wydzielono miejsce, gdzie bliscy mogli dokonywać rozpoznania zwłok.

– Jest pani pewna? – dopytywał mężczyzna, kiedy znaleźli się w chłodni. – Muszę uprzedzić, że ze względu na okoliczności śmierci to nie będzie przyjemny widok. Doszło do zmiężdżenia jamy

brzuszej, licznych złamań kończyn górnych i dolnych, a także wielofragmentowych złamań kości twarzoczaszki.

Potwierdziła swoją gotowość, choć nie pozostał po niej nawet ślad, a kiedy lekarz sprawdzał coś w dokumentach, przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Była pewna, że jej skóra jest biała jak kartka papieru. Serce spazmatycznie pompowało krew, a nogi stawały się coraz bardziej miękkie i wydawało się, że lada chwila ugną się pod nią, jakby były z gąbki.

– Rozpoznanie dokonał już brat zmarłego – oznajmił medyk znad papierów. – Władysław Wiśniewski, ale z tego, co widzę w protokole, nie miał z krewnym kontaktu od wielu lat, więc każda dodatkowa identyfikacja będzie istotna. Wezwaliśmy panią, bo poza członkami rodziny jest pani jedyną osobą, którą zmarły upoważnił do wglądu w swoją dokumentację medyczną.

Dziewczyna poczuła nadciągającą falę wzruszenia i by ją od siebie odepchnąć, zaczęła badawczo rozglądać się po pomieszczeniu. Dominowały w nim metal, biel i chłód.

– Kiedy ostatnio widziała pani denata? – zapytał lekarz.

– Kilka dni temu – wymamrotała suchymi ustami.

Mężczyzna pokazał jej rzeczy znalezione przy zwłokach. Jeden sportowy but, fragment poszarpanych dżinsów, zniszczoną kremową kurtkę i obrączkę. Lekarz spojrzał na przybrudzony złoty krążek.

– Zdjęliśmy mu ją z dłoni – mruknął. – Tylko palec, na którym była, ocalał, jakby ochronił go ten kawałek metalu.

Słowa medyka nie docierały do niej, patrzyła na kupkę bezużytecznych rzeczy i czuła coraz większą pustkę. Doskonale pamiętała te przedmioty, ubrania, które przywiozła mu z domu, i pamiątkę miłości do Marii, której imię wygrawerowane było na gładkiej złotej powierzchni po wewnętrznej stronie obrączki. Larysa pomyślała, że to żalosne, jak niewiele po nas zostaje w stosunku do tego, ile chcielibyśmy po sobie pozostawić.

– To jego – powiedziała cicho.

Lekarz położył dłoń na metalowej klamce chłodni i zatrzymał się.

– Nie musi pani tego robić.

Czuła, że lęk wypełnia ją teraz po brzegi. Chciała stamtąd uciec, biec przed siebie i krzyczeć, ale jej nogi wydawały się przyspawane do podłoża.

Zostawiłam go, kiedy żył, nie mogę go opuścić po śmierci, pomyślała, ścierając ukradkiem łzę z policzka.

– Chcę go zobaczyć – wyszeptwała.

Kiedy medyk wysuwał zwłoki z chłodni, wstrzymała oddech. Czas stanął w miejscu, a wszystko działało się w zwolnionym tempie i absolutnej ciszy, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Pamiętała, że dłoń mężczyzny w białym fartuchu rozpięła worek, odkrywając to, co zostało z ciała jeszcze niedawno żyjącego człowieka, a ona poczuła, że ból rozrywa ją od środka. Wydała z siebie dziwny odgłos przypominający buczenie, zaczęła krzyczeć i tłuc pięściami w klatkę piersiową lekarza, lecz gdy ten mocno chwycił ją za przedramiona, odepchnęła go i wybiegła z zakładu.

Zatrzymała się dopiero po kilkuset metrach. Zdyszana, oparła się o betonowy kwietnik pod ambasadą Izraela i zwymiotowała do niego. Staruszka z pieskiem, która właśnie zbierała do foliowej torebki odchody po swoim pupilu, spojrzała na dziewczynę zdegustowana.

– Świństwo – fuknęła. – Całkowity brak kultury – mamrotała pod nosem, odchodząc.

Nagle Larysę objęła jakaś szczupła ręka, a druga dłoń złapała ją za kark i z dużą siłą pociągnęła do góry.

– Miałaś na mnie poczekać! – usłyszała poirytowany głos brata, który wziął ją pod ramię i ciągnął po chodniku jak podchmieloną nastolatkę. – Na chwilę cię nie można samej zostawić.

Próbowała zrozumieć, skąd się tu wziął, ale nie potrafiła się skupić.

W jej umyśle jak w kalejdoskopie wirowały strzępki obrazów, wspomnień i dźwięków. Nieustająco wracał do niej widok prawej dłoni Pawła. Pozbawiony większości palców sinoblady kikut straszył i choć był jedynie kadrem zapisanym w pamięci, na nowo wywoływał w niej mdłości. Świat przybliżał się i oddalał, a później

zniekształcał się, jakby oglądała go w jednym z tych krzywych zwierciadeł w gabinecie luster.

Zatrzymała się, spojrzała w przerażone oczy brata i wbiła paznokcie w jego ramiona.

– Jak mnie znalazłeś?

– Lokalizator, nie pamiętasz? Zainstalowałem ci aplikację przed tamtym spotkaniem w opuszczonym budynku na Bielanach.

Poklepała go z uznaniem po ramieniu, a później uśmiechnęła się w sposób, który Bartek wziął za wyraz dumy.

Nie miał jednak racji. Grymas na twarzy Larysy oznaczał wyłącznie zadowolenie, bo właśnie odkryła, co należy zrobić, by zniknąć z radaru.

Miała też plan, jak poradzić sobie z nagromadzonym w trzewiach gniewem, i właśnie wytypowała doskonałego kandydata, na którym mogła wyładować złość.



Bruno zatrzymał się przed starym domem z żółtym, odłóżającym od ścian tynkiem. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego po tym, jak jego matka umarła, ojciec po prostu się nie wyprowadził. On za każdym razem, gdy patrzył na niszczący budynek, musiał się bronić przed przykrymi wspomnieniami. Podobnie było i teraz. Nad ulicą unosił się gryzący zapach smoły i świeżo kładzionego asfaltu, a wokół dominowały dźwięki młota pneumatycznego, zagęszczarki i maszyn budowlanych. Policjant zdążył już się nasłuchać utyskiwań ojca na hałas oraz na bezsensowne objazdy, które wymagały od niego nakładania drogi. Irytację Aleksandra Wilczyńskiego bez wątpienia wzmacniała bezradność wobec postępującej choroby i świadomość nieuchronnego końca, którego Bruno również się lękał.

Komisarz pchnął skrzypiącą furtkę pokrytą czarną, łuszczącą się gdzieś tam farbą i przemierzając podwórko, które teraz wydawało

mu się o wiele mniejsze niż we wspomnieniach z dzieciństwa, spoglądał w okno, skąd zza firanki machał do niego ojciec.

– Cześć, Bruno – przywitał się Aleksander, klepiąc syna po ramieniu, gdy tylko ten przekroczył próg.

Policjant zauważył, że dawne ubrania ojca wiszą na nim, policzki mężczyzny są zapadnięte, a twarz przybrała szary kolor. Tylko jego uścisk nadal był mocny, jakby włożył w niego wszystkie siły, by pokazać synowi, że żaden nowotwór go nie zniszczy. Bruno wiedział jednak, że to nieprawda i że z jego staruszką było gorzej każdego dnia.

– Silny jak tur – zażartował, odwzajemniając się ojcu „misiem”.

Gdyby nie porządna reprimenda, której udzieliła mu poprzedniego wieczoru pani Kasia, pielęgniarka opiekująca się Wilczyńskim seniorem, pochłonięty pracą Bruno pewnie jeszcze przez dobrych kilka tygodni nie pokwapiłby się do rodzinnego domu. To od opiekunki dowiedział się, że Aleksander ma przerzuty, a jego układ odpornościowy nie może podnieść się po chemii i przestaje go chronić. Kobieta zdradziła mu także, że ojciec wystawił dom na sprzedaż, co wydawało się niezaprzeczalnym sygnałem żegnania się z życiem.

– Doszły mnie słuchy, że chcesz się pozbyć domu? – Bruno nie bawił się w podchody. – Czyżbyś zamierzał się wprowadzić do mnie? – zapytał, gdy usiedli w salonie, a pielęgniarka przyniosła im kawę i olbrzymie kawałki tortu bezowego.

Aleksander się roześmiał.

– To by było coś. Wykończyłbyś mnie szybciej niż choroba.

– Z tym bym polemizował – rzucił poważnie policjant i obdarował ojca współczującym spojrzeniem, co Wilczyński senior zbył machnięciem ręki.

– Ale nie martw się, nie zwałę ci się na głowę. Dogadałem się z kupcem, że zaczeka, aż... – Urwał i odwrócił głowę w stronę kominka, na którym stały zdjęcia małego Brunona i jego matki. – Aż będę gotowy się wyprowadzić.

Bruno poczuł, że wzruszenie chwyta go za gardło, i zdziwił się, że choćby nie wiadomo jak był silny i bezwzględny w obliczu

zwyrodnialców, to patrząc na odchodzenie ojca, stawał się całkowicie słaby i kruchy.

– Jakim cudem tak szybko udało ci się znaleźć nabywcę? – zapytał, by przerwać przygnębiającą ciszę.

– Sam się zdziwiłem. Facet zadzwonił do agencji jeszcze tego samego dnia, gdy wywiesiłem ogłoszenie, ale i tak nie to jest najlepsze. – Drobną iskierka zabłysła w oczach mężczyzny. – Wyobraź sobie, że ten człowiek nalegał na spotkanie ze mną. Podobno nie ufa agencjom, które nawijają makaron na uszy, i woli poznać historię miejsca, w które inwestuje, od samego właściciela.

Komisarz ściągnął brwi i słuchał ojca coraz bardziej zaintrygowany.

– W moim stanie, jak się pewnie domyślasz, niespecjalnie miałem ochotę z kimkolwiek rozmawiać, ale ten facet się uparł i zaoferował, że jeśli osobiście oprowadzę go po domu, to od razu po naszym spotkaniu podpisze umowę przedwstępną. – Mężczyzna uśmiechał się zagadkowo.

Bruno parsknął i włożył do ust kawałek bezy.

– W życiu nie zaufałbym takiemu typowi, przecież to jakiś psychol – skomentował. – I co, dałeś się nabrać, a koleś cię wyrolował?

– Nic z tych rzeczy. – Aleksander aż się wyprostował z ekscytacji. – Przyjechał tutaj, porozmawialiśmy, a kilka godzin później agencja potwierdziła, że podpisał umowę i wpłacił zaliczkę.

Policjant patrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma.

– Serio? To jakieś niezłe indywiduum albo po prostu miałeś cholernego farta.

– Chyba tak, bo widzisz, okazało się, że on cię zna – wyjaśniał. – Sam nie mógł uwierzyć, że nie rozpoznał tego domu na fotografiach z agencji, bo kiedy tylko wszedł do środka i zobaczył twoje zdjęcia w ramach, zdał sobie sprawę, że wielokrotnie u nas bywał.

Komisarz poczuł nieprzyjemne mrowienie w opuszkach palców.

– Co ty pierdolisz? Jak to mnie zna?

– Zwyczajnie. Bawiliście się razem w dzieciństwie. Skubaniec ma naprawdę dobrą pamięć, odświeżył mi tyle rzeczy, o których sam już dawno zapomniałem. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. –

Fajny facet, wiesz. Elegancki, rodzinny, mówił, że ma dwóch synów. Bliźniaków.

Bruno zamarł, jakby przed chwilą ktoś go ogłuszył.

– Nazywa się Jacek Lewicki – dokończył Aleksander, a jego syn zerwał się z miejsca, strącając ze stolika talerzyk z deserem.

– Kurwa mać! – krzyknął. – Czy ty wiesz, co narobiłeś? To nie jest żaden mój znajomy, tylko psychopata, którego próbuję schwytać. – Przymknął oczy i wziął głęboki wdech, po czym zwrócił się do ojca: – Oddaj mu zaliczkę, wycofaj się z tego.

Aleksander oparł głowę na dłoni i przyglądał się synowi ze zmarszczonym czołem.

– Nie wyglądał na wariata – powiedział cicho, wzruszając ramionami. – Co on takiego zrobił? Zabił kogoś?

Policjant zacisnął zęby. Miał ochotę wykrzyknąć ojcu prawdę, ale dostrzegł tak bezmierny smutek w jego oczach, że zdecydował się skłamać. Nie chciał dodawać mu stresów w tym i tak trudnym dla niego czasie, a poza tym uznał, że sam zajmie się Lewickim.

– Po prostu mi uwierz, tato. On udaje człowieka, ale w głębi duszy to potwór – dodał tylko, kładąc ojcu dłoń na ramieniu.



Na wysokości stacji metra Politechnika Larysa miała już gotową strategię, musiała tylko zachowywać się jak najbardziej naturalnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń brata.

– Cholera, znowu będę rzygać – oznajmiła, łapiąc się za usta i bekając, po czym zbiegła w dół schodami stacji metra.

Wiedziała, że Bartek podąży za nią i nie odstąpi jej nawet na krok, dlatego nie szarżowała. Wpadła do podziemnych toalet oznaczonych kółkiem, minęła starszą kobietę, przestraszoną nagłą wizytą dziewczyny o groźnym wyglądzie, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi kabiny i zasymulowała odgłos wymiotów. Gdyby cokolwiek zostało w jej żołądku, zapewne od panującego w szalecie

odoru i widoku ekskrementów rozmazanych na ścianie zwróciłyby to bez potrzeby udawania, ale jej trzewia były już puste.

Ciałem Larysy targały nieprzyjemne torsje. Zamknęła oczy, by nie patrzeć na syf, jaki zostawił po sobie ostatni człowiek, który korzystał z toalety, i starała się oddychać ustami, by nie czuć mdlącego smrodu.

– Potrzebuje pani pomocy? – usłyszała zaniepokojony głos babci klozetowej po drugiej stronie drzwi.

– Nie, nie, dziękuję! – odkrzyknęła. – Już mi lepiej.

Przez chwilę nasłuchiwała oddalających się kroków kobiety, a gdy usłyszała, że drzwi kantorka zatrzasną się za nią, wyjęła telefon i usunęła aplikację do lokalizowania urządzenia.

Zastanawiała się, jak niepostrzeżenie wymknąć się z toalet, by nie wpaść na Bartka, który zapewne stał przy wejściu. Jako że przybytek znajdował się w podziemiach, nie było szansy na ucieczkę małym okienkiem, przez jakie ochoczo przeciskali się bohaterowie amerykańskich thrillerów. Musiała odwrócić uwagę brata i zniknąć, gdy będzie skupiony na czymś innym.

Namyślała się przez chwilę, po czym wysłała mu wiadomość: „Cholera, wszystko na raz. Kupisz mi tampony w kiosku? Daj je babce klozetowej, ona mi przekaże”. W wyobraźni widziała zażenowaną minę chłopaka, który starał się do tej pory nie zastanawiać za bardzo nad fizjologicznym obszarem życia siostry. Niemal słyszała, jak Bartek marudzi pod nosem, a później, powodowany przyzwoitością, cały zestresowany człapie w stronę sklepiku.

Odczekała moment, wychynęła z kabiny, a gdy poczuła na sobie wzrok kobiety, zbliżyła palec do ust i nakazała jej milczenie. Kiedy staruszka kiwnęła głową, Larysa umyła porządnie ręce, po czym do szklanej miseczki wrzuciła trzy pięciozłotówki. Monety zadzwoniły o kryształową powierzchnię, a na twarzy klozetowej wykwitł uśmiech wdzięczności. Ale dziewczyna już go nie widziała. Wysunęła ostrożnie głowę zza załomu ściany, rozejrzała się w poszukiwaniu brata i gdy stwierdziła, że nie dostrzega go nigdzie

w pobliżu, wybiegła ze stacji, kierując się w stronę Dworca Centralnego.

W drodze przeczesywała fora internetowe w poszukiwaniu informacji o miejscu ustawki przed meczem Lechii Gdańsk z Legią Warszawa, o którym przypomniały jej gazety przyniesione przez Bartka. Nigdzie jednak nie mogła znaleźć wzmianki o miejscu, które kibice zwaśnionych drużyn wyznaczyli na pole bitwy. Domyślała się, że wydziały do walki z przestępczością pseudokibiców wychwytywały takie treści natychmiast, więc umieszczanie ich w sieci byłoby zwyczajnie głupie. Na szczęście wiedziała, kto mógłby znać odpowiedzi na nurtujące ją pytania. I kiedy znalazła się na dworcu, natychmiast skierowała się w stronę sklepu z odżywkami dla sportowców.

Czujny wzrok ekspedienta zlustrował ją od progu, a gdy rozpoznał w niej znajomą, jego oczy roziskrzyły się, jakby właśnie wygrał w totka.

– Ja pierdzielę, Lara! Moja ulubiona klientka! – Przywitał ją szerokim uśmiechem i otwartymi ramionami. – Dawno cię tu nie było, czyżbyś stęskniła się za porządny kopem? Nadal się bijesz?

Mężczyzna zza lady puścił do niej oko.

– Od kilku lat wyłącznie sportowo. Skończyłam z tamtym, Łysy, nie biorę tego świństwa. Za dużo mnie to kosztowało. Przychodzę, bo potrzebuję od ciebie informacji.

Sprzedawca założył ręce na piersi i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Dlaczego mam przeczucie, że nie spodoba mi się twoje pytanie?

– Bo jesteś bystrym facetem, marnujesz się w tej norze. – Uśmiechnęła się do niego. – Chcę wiedzieć, gdzie i o której jest dzisiejsza ustawka przed meczem Lechii Gdańsk z Legią Warszawa. Będzie na niej ktoś, kto mi założył za skórę.

Łysy rozłożył ręce w geście bezradności, a później głośno wypuścił powietrze ustami.

– Sorry, mała, nic mi o tym nie wiadomo. Chciałbym pomóc, ale nie mam jak.

– Takie bajki to możesz opowiadać swoim dzieciom na dobranoc, ale nie mnie. Kiedyś siedziałeś w tym po uszy, więc nie wciskaj mi kitu. Na pewno wiesz, co robią twoi dawni koledzy.

Mężczyzna zaczął z zaangażowaniem studiować krzywiznę swoich paznokci, a potem westchnął ciężko, przygryzł wargę i zrobił zmartwioną minę.

– Dziewczyno, to nie jest zabawa dla ciebie – powiedział w końcu z troską. – To nie są jakieś popcorny czy pikniki, tylko prawdziwi fanatycy. Połowa tych koleśki jedzie na jakimś speedzie, to już nawet nie są, kurwa, dopalacze czy amfa, oni się zaopatrują w mefa, rozumiesz? Takiemu człowiekowi nie przemówisz do rozsądku, to są troglodyci otumanieni chemią, będą cię tłukli tylko dlatego, że jesteś kobietą albo że krzywo na nich spojrzałaś. Zajebią cię, czaisz?

Słowa dawnego znajomego trafiały do jej wyobraźni, ale jednocześnie jej nie przerażały. W tej chwili myślała tylko o tym, że musi się wyżyć, dopaść Marka Kamińskiego i walić w niego tak długo, aż poczuje ulgę. Do chwili, gdy uporczywe wspomnienie widoku ciała Wiśniewskiego zmasakrowanego przez koła pociągu przestanie rozszarpać ją od środka.

– To moja sprawa, Łysy. Daj mi adres – powtórzyła stanowczo.

Mężczyzna położył ręce na biodrach. Widziała, jak chodzi mu szczeka i jak pulsują nozdrza.

– Zjeżdżaj stąd! I to już! – rzucił poirytowany. – Idę teraz na zaplecze, jak wrócę, nie chcę cię tu widzieć. Jasne?

Kiwnęła mu głową, choć tak naprawdę nie zamierzała nigdzie się stąd ruszać, dopóki nie dostanie tego, po co przyszła. Postanowiła odczekać moment, dać Łysemu czas na oddech i opanowanie trzęsących się rąk.

Policzyła do dziesięciu, a potem weszła za ladę i odnalazła swojego znajomego na zapleczu. Siedział na kartonie z papierosem w ustach, ale dłonie drżały mu tak bardzo, że nie był w stanie go odpalić. Larysa bez pytania wzięła od niego zapalniczkę i jednym ruchem palca wyczarowała mocny, lśniący płomień, który przysunęła do wystającego z jego ust lucky strike'a.

Łysy zaciągnął się, a następnie długim, spokojnym wydechem wypuścił dym z płuc, nasycając powietrze zapachem nikotyny. Szary obłok tańczył teraz przed jego twarzą, mieniając się wirującymi drobinkami kurzu, które widać było w smudze światła wpadającej przez otwarte drzwi.

– Po co ci to? – zapytał. – Tak ci się spieszy na cmentarz?

Usiadła obok niego, potarła zmęczone oczy.

– Nic się nie stanie. Stłukę tylko jednego gościa i się ulotnię.

Trwali w ciszy, która wydawała się przyjemnie kojąca, tak bardzo, że powieki Larisy zaczynały powoli opadać, a ona zapadała w miękki stan błogości.

– Głupia jesteś, wiesz? – wyrwał ją z odrętwienia.

– Chyba już to gdzieś słyszałam.

Mężczyzna wstał z kartonu, zgasił papierosa w stojącej na stoliku popielniczce i zaczął odsuwać pudełka z suplementami. Jego dłoń zanurkowała za paczki, a po chwili wychynęła stamtąd z jakimś zawiniątkiem ściszanym w palcach, które Łysy przekazał Larysie.

– Pamiątka z dawnych czasów. – Zerknął na przybrudzoną szmatkę, w którą zawinięty był ciężki metalowy kastet. – Trzymałem go na czarnej godzinę, ale kto wie, może to już?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Jedź A dwójką w stronę Łodzi, za Wiskitkami musisz zjechać z trasy i znaleźć się na siedemset piątce po stronie Zalewu Bolimowskiego. Tam w lesie szukaj swojego szczęścia – tłumaczył beznamiętnie. – Zaczynają za chwilę, więc radzę się pospieszyć, jeśli nie chcesz, by cię ominęły główne atrakcje. I jakbyś mogła, to nie daj się zabić. Paru ludziom byłoby smutno.

Spojrzała mu w oczy, zdziwiona tym nagłym wyznaniem. W czasach, gdy biła się za pieniądze, byli dobrymi znajomymi, ale kiedy zerwała z dawnym światem, całkowicie odcięła się od wszystkiego, co się z nim łączyło. Jak alkoholik, który gdy trzeźwieje, unika barów i dawnych przyjaciół od kieliszka. Ona podobnie odizolowała się od miejsc, ludzi i używek, które pomagały przetrwać najtrudniejsze pierwsze lata w Warszawie, a teraz były

jedynie drobnym, niechlubnym elementem jej historii w tym mieście.

– Niczego nie mogę obiecać – rzuciła, a później niespodziewanie dla samej siebie pocałowała go w policzek i wyszła.



Najsłodsza latte, którą Bartek wybrał z menu kawiarni Ech Mech na Białołęce, nie była w stanie złagodzić goryczy po numerze, jaki wywinęła mu Larysa. Przeżuwając bajgla z marynowanymi warzywami, czosnkiem i sosem barbecue, dzwonił do niej jeszcze kilkakrotnie, ale za każdym razem odrzucała połączenie. W końcu wysmarował do siostry ostrego SMS-a i poirytowany cisnął komórkę do plecaka, dokładnie w chwili, gdy w drzwiach knajpki zamajaczył Witek Gorzki, dziennikarz portalu o Białołęce.

Luboń skojarzył twarz mężczyzny ze zdjęciem z internetowej galerii członków redakcji i od razu podniósł się z miejsca, by przywitać swojego gościa o aparycji podstarzałego hipisa.

– Dzień dobry. – Wyciągnął dłoń. – To ja chciałem z panem porozmawiać. Bartek Luboń.

Facet z włosami do ramion uśmiechnął się podejrzliwie, zdjął ciemne okulary i założył je na głowę jak przepaskę, a następnie podwinął rękawy pomarańczowej koszuli.

– Widzę, że pan już zamówił – skomentował mężczyzna, prześlizgując się wzrokiem po bajglu i kawie, po czym z westchnieniem zerknął na zegarek.

Bartek w mig zrozumiał, że dziennikarz nie poświęca swojego czasu za darmo i oczekuje obsługi. Szybko zorganizował mu cappuccino i kanapkę, a kiedy wreszcie opadł na miejsce, zmęczony nerwową krzątanią, miał pustkę w głowie.

– To co chciałby pan wiedzieć? – zapytał Gorzki głosem profesjonalisty, który na dziennikarstwie zjadł już zęby.

Luboń zwabił mężczyznę pod pretekstem poszerzania wiedzy o prawdziwym życiu redakcji portalu, do której, jak skłamał, zamierzał niebawem dołączyć. Tak naprawdę chciał jednak zrozumieć, dlaczego artykuły o Cezarym Kuli zniknęły z sieci.

– Chyba najbardziej interesuje mnie to, czy można sobie samemu wybierać tematy, czy ktoś je narzuca. – Podniósł wysoką szklanę z latte i siorbnął łyk, by ukoić cukrem rozedrgane emocje.

Hipis zarechotał, po czym wgryzł się w bajgla i z pełnymi ustami zaczął mówić:

– Dziecko, ty najpierw to będziesz szukać informacji w internecie i podawać kawę starszym kolegom. – Przełknął kęs. – Jak już popracujesz pół roku, rok, to dostaniesz pewnie jakiś temat na sprawdzenie, co z ciebie w ogóle za ziółko, i wtedy się okaże, co dalej. Ale na taką pozycję jak moja trochę będziesz musiał pozasuwać.

– Aha. – Bartek grał rolę nieopierzonego żółtodzioba, a gdy zauważył, że Gorzki należy do gatunku tych, którzy karmią się pochlebstwami, postanowił ruszyć do ataku. – Pan to pewnie już może pisać, o czym chce? – zapytał rozmarzonym głosem.

Coś w twarzy mężczyzny drgnęło, ale nie przestał zgrywać chojraka.

– No pewka. Siedzę w tej redakcji już jakieś dziesięć lat i wierz mi, młody, nikt mi nie podskoczy. Gdybym chciał, to już dawno zająłbym miejsce naczelnego, ale mnie to nie kręci. Nudna papierkowa robota nie jest dla takich wolnych duchów jak ja. – Uśmiechnął się szeroko. – Wolę pracę w terenie, rozmowy z ludźmi, przygody. To jest sens tej roboty.

Chłopak nie mógł wyjść z podziwu dla bezmiaru zadufania w sobie, jaki prezentował jego rozmówca.

– A jak jest z tą niezależnością dziennikarzy? Co by się stało, gdyby napisał pan o czymś, co się komuś nie spodoba? – drażył Luboń. – Nie wiem, na przykład naraził się jakimś ważnym ludziom.

Witek Gorzki odchylił się na krześle, nieufnie marszcząc brwi.

– O co ci chodzi?

Chłopak uznał, że nadszedł czas, by odsłonić karty.

– O Cezarego Kulę i znikające artykuły o jego wypadku – wypalił.

Dziennikarz w ułamku sekundy poczerwieniał na twarzy, po czym rozejrzał się po wnętrzu kawiarni, jakby sprawdzał, czy ktoś go nie podsłuchuje.

– Szukasz guza, gówniarzu? To nie są sprawy dla ciebie.

– Ale może są dla prokuratury? – zaryzykował.

Hipis wstał z krzesła, nachylił się nad twarzą Bartka i kładąc mu dłoń na ramieniu, wysyczał:

– Posłuchaj, gnoju. – Ścisnął ciało Lubonia. – Nie mam pojęcia, co o mnie wiesz i czym chcesz mi grozić, ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Jak dorośniesz, to się nauczysz, że są takie sytuacje w życiu, gdy trzeba spasować. Szczególnie gdy masz dużo do stracenia. A ja do kicia nie zamierzam wracać, więc grzecznie cię proszę: odpierdol się.

Chłopak gorączkowo analizował słowa dziennikarza. Założyłby się o wiele, że mężczyzna mimo całej swojej buty jest srogo przerażony.

– Czy ktoś panu groził? O to chodzi? – Próbował zaufać swojej intuicji. – Co na pana mieli?

Gorzki roześmiał się w głos.

– Zabawny jesteś, mały – odparł. – Jak się przeżyło tyle co ja, to sporo ma się na sumieniu. Nie wiesz, dobrze ci radzę, bo i do ciebie się dobiorą.

Dziennikarz zaczął zbierać swoje manatki.

– Ale kto?

– Żli ludzie – burknął Gorzki na odchodne. – Bardzo źli ludzie.



Cienka dróżka w okolicy Zalewu Bolimowskiego przeżywała tego dnia niewiarygodne oblężenie. Jakby nagle w ostatnim miesiącu jesieni wszyscy zapragnęli udać się do lasu.

Larysa zarejestrowała co najmniej cztery samochody, które skręciły w miejscu wskazanym przez Łysego i kierowały się w tę samą stronę. Na zewnątrz było chłodno, drzewa dawno już zgubiły liście, ale ich gęsto usiane kikuty tworzyły parawan dla wszystkiego, co działo się głęboko za szpalerem pni. Wprawdzie deszcz przestał siąpić, ale asfalt lśnił, a w powietrzu unosiły się przeszywająca wilgoć i zapach zgnilizny.

Larysa zaparkowała na poboczu, nieco dalej od innych samochodów, by uniknąć ciekawskich spojrzeń i niepotrzebnych awantur. Wyjęła ze schowka ochraniacz na zęby i sportową termoaktywną kominiarkę, którą natychmiast naciągnęła na głowę, na wypadek gdyby ktoś pojawił się w pobliżu Citroëna. Czuła, że serce pod kurtką uderza, jakby miało za chwilę rozerwać klatkę piersiową. Nie wiedziała, czego doświadczają ludzie, którzy idą na śmierć, ale tego dnia wydawało jej się, że nie tylko podeszła do przepaści, ale też zwiesiła już nad nią nogi i lada chwila polecą w dół.

Wmawiała sobie, że się nie boi, jej ciało przekazywało jednak zupełnie inną wiadomość. Ściśnięta przepona, płytki oddech, nerwowe przygryzanie warg i fioletowe z zimna, drżące dłonie bezlitośnie obnażały jej lęk. Robiła w życiu wiele niebezpiecznych rzeczy, ale ostatnio zaczynała myśleć o tym, że jej codzienność mogłaby wyglądać inaczej. Potrzebowała się zatrzymać, złapać oddech i się uspokoić. Radzić sobie z wyzwaniem siłą intelektu, a nie mięśni, stawiać im czoło, a nie uciekać. Śmierć Pawła dogłębnie jej to uświadomiła. Ostatni raz, pomyślała i obiecała sobie, że później zajmie się bratem i poukłada wszystko. Z kastetem nasuniętym na palce wyskoczyła z samochodu i ruszyła w stronę polany, z której dobiegały okrzyki.

Kiedy tam dotarła, stanęła jak wryta, a po chwili przykucnęła, skrywając się w zaroślach. Kilkanaście metrów od niej niczym pszczeli rój buzowała grupa rozwścieczonych pseudokibiców. Nad nimi unosiły się wyzwiska i przekleństwa. W powietrzu widać było pałki, kije bejsbolowe i pręty. Jakiś rosły facet w białej kominiarce z rysunkiem czaszki podbiegał właśnie z boku z gazrurką, ktoś

inny trzymał się za głowę, z której lała się krew, inny z żółtą chustą na twarzy jak w amoku kopał zgiętego wół, krwawiącego z ust mężczyznę.

Larysa poczuła, że robi się jej niedobrze, zachłannie chwyciła ustami powietrze w obawie, że zaraz ze strachu straci przytomność. Zrozumiała, że decyzja, którą podjęła, była błędem. Zamierzała stamtąd uciec, zanim zdarzy się coś strasznego, ale gdy zrobiła kilka ostrożnych kroków w tył, usłyszała głos Marka Kamińskiego.

– Jesteś nikiem! – krzyczał, łamiąc rękę jakiemuś niższemu od siebie o głowę mięśniakowi.

Może gdyby powiedział coś innego, nie zwróciłaby na niego uwagi, ale te same słowa wysapywał jej do ucha, gdy ją gwałcił na studniówce. Kiedy teraz wychwyciła je z kanonady dźwięków, całkowicie straciła kontakt z własnym instynktem samozachowawczym.

Nie widziała ani nie słyszała już niczego innego poza Kamińskim. Gdy biegła w jego kierunku, wydawało się jej, że ją wyczuł, obrócił twarz w jej stronę, ale patrzył gdzieś dalej. Zauważył ją dopiero wtedy, gdy znalazła się tuż obok niego i zniemacka uderzyła pięścią z kastetem w jego podbródek. Z miejsca, w które go trafiła, natychmiast wytrysnął strumień krwi.

Marek spojrzał na Larysę zdziwiony, zupełnie jakby nie spodziewał się, że oberwie na ustawce. Chwilę później ryknął jak wściekły byk, po czym rzucił się do przodu i podciął ją mocnym kopnięciem pod kolano, które powaliło ją na ziemię. Dziewczyna działała jak w transie, docierały do niej strzępki obrazów i dźwięków.

Próbowała się odsunąć i stanąć na nogi, ale coś chrupnęło jej w łydce i próba wyprostowania tułowia skończyła się kolejnym bolesnym upadkiem. Nagle poczuła miazdzące uderzenie w brzuch, jakby trafiła ją nie ludzka stopa, ale ciężki młot. Cios był tak silny, że odrzucił ją na plecy, a z jej ust wyrwał się okrzyk bólu. Marek Kamiński nachylił się nad nią, ciężko dysząc, z pięścią gotową do uderzenia, ale ich spojrzenia się spotkały i coś w nim drgnęło.

Złapał za kominiarkę na jej głowie i ściągnął ją jednym szybkim ruchem.

– To ty, suko! – rzucił wściekle.

Wyobrażała sobie, że tak właśnie się to skończy. Spojrzała w niebo, na którym unosiły się dwa czarne ptaki, i uśmiechnęła się, powoli tracąc przytomność. Wtedy niespodziewanie ktoś szarpnął ją za rękę i dźwignął do góry.

– Skuj ją! – usłyszała i otrząsnęła się w ułamku sekundy.

Na polanie panował chaos. Grupa kotłujących się pseudokibiców została otoczona przez kilkudziesięciu policjantów w czarnych mundurach, wyposażonych w hełmy, tarcze, pałki, broń gładkolufową i gaz. Funkcjonariusze wzywali do rzucenia broni i położenia się na ziemi. Słychać było krzyki uciekających, których trafiały gumowe kule wystrzelane z pistoletów.

Dziewczyna wypluła ochraniacz na zęby i w panice rozglądała się za Kamińskim, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Szarpnęła tułowiem, by wyrwać się z rąk wlokącego ją policjanta, ale funkcjonariusz trzymał ją tak mocno, że nie była w stanie nawet rozluźnić chwytu. Mężczyzna miał około dwóch metrów wzrostu, a jego ramię przypominało silny i gruby konar drzewa. Spojrzył na nią groźnie i jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstki i kark.

– Nie fikaj, bo cię usadzę – rzucił ostro.

Prowadził ją bez żadnego wysiłku, jakby w jego rękach była kruchą zabawką albo wątlą laleczką, którą się bawił. Otworzył drzwi transportera i popchnął ją do środka z taką siłą, że upadła.

Wewnątrz był już jakiś poturbowany chłopak. Szybko oceniła, że nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Siedział z szeroko rozłożonymi nogami na ławce i taksował ją głodnym wzrokiem. Miał uszkodzony łuk brwiowy i pękniętą wargę.

– Wyruchałbym cię – powiedział na jej widok, oblizując ranę na ustach.

Larysa odwróciła się w jego stronę i zmierzyła wyrostka wzrokiem. Odpowiedział uśmiechem, a później kiwnął zapraszająco głową. Powoli podeszła do niego, usiadła na nim okrakiem i zbliżyła swoją twarz do jego.

– Tak jest dobrze? – zapytała szeptem.

– Doskonale – zarechotał.

Przyłożyła usta do szerokiego karku osiłka i wiodła nimi w górę po jego skórze, aż jej wargi musnęły płatek ucha chłopaka. Włoski na jego karku zjeżyły się, a z ust wymknęło się ciche westchnienie. Dziewczyna przywarła do niego mocniej ciałem i poruszała się rytmicznie, napierając na jego nabrzmiące krocze.

Kiedy przymknął powieki i odchylił głowę, delikatnie chwyciła zębami małżowinę ucha, a później rozwarła szczęki i zacisnęła je raz jeszcze, z całej siły, czując w ustach obrzydliwy smak krwi. Chłopak zrzucił ją z krzykiem.

– Auuu! Kurwa! Dziwko, odgryzłaś mi ucho!

Gdyby jego dłonie nie były skute za plecami, pewnie złapałby się za małżowinę, ale teraz w bezradności miotał się jak oszalały. Z boku głowy pseudokibica sączyła się krew, która kapała na jego ramię i podłogę.

– Zajebię cię, słyszysz?! – wrzasnął, a potem rzucił się na Larysę i pchnął ją ramieniem na drzwi.

Później podszedł bliżej, zamachnął się i uderzył ją z główki w twarz. Obraz przed jej oczami zaczął się rozmazywać. Wydawało się jej, że słyszy krzyki i dźwięk otwierania drzwi samochodowych, ale zanim zdążyła zorientować się w tym, co się dzieje, jej umysł spowiła gęsta mgła, a ona straciła przytomność.



W drodze do aresztu zdał sobie sprawę, że rozczarowanie inaczej smakuje, gdy dotyczy kogoś obcego, niż wtedy, gdy odnosi się do osoby, na której nam zależy. W przypadku bliskich za uczuciem zawodu podążał często smutek. Ten rodzaj żalu był zdecydowanie głębszy, a przez to bolał bardziej. Tymczasem rozczarowanie odczuwane w stosunku do obcych miało raczej charakter żywiołu

i przypominało eksplozję złości. Wybuchowało niczym wulkan, a potem stygło i przemijało.

Myśląc o Larysie, Bruno czuł się zdecydowanie bardziej zawiedziony niż wściekły. Przez ostatnią godzinę wykonał kilkanaście telefonów i wykorzystał niemal wszystkie przysługi, które miał u wpływowych znajomych. Ostatecznie udało mu się przekonać prokurator Myszkowską do wycofania zarzutów i złagodzenia kary do grzywny. W międzyczasie kilkakrotnie słyszał pytanie, dlaczego tak zażarcie walczy o wolność jakiejś nieokrzesanej kibolki, ale za każdym razem unikał odpowiedzi. Nie chodziło bynajmniej o to, że się jej wstydził, prawda była dużo bardziej skomplikowana i właściwie on sam nie potrafił jej jeszcze ująć w słowa.

Może dlatego, gdy echo odbijało dźwięk jego butów uderzających o podłogę w areszcie na Służewcu, poczuł, że dotychczasowa irytacja zamienia się w łaskoczące w podbrzuszu podenerwowanie. Zatrzymał się przy wysokim funkcjonariuszu z gęstą, poprzetykaną siwizną brodą i pokazał mu dokumenty.

– Przyjechałem po Larysę Luboń – oznajmił.

– Po tę awanturną? Podobno odgryzła ucho jednemu chłopakowi.

– Policjant pokręcił głową, jakby mówił o jakiejś sensacji. – A co się stało, że prokurator Myszkowska zmiękła? Od kiedy to wypuszczamy kiboli tak szybko? Zwykle trzymamy ich na tyle długo, na ile możemy. Żeby się szczyłe nauczyły szacunku do władzy.

– Najwyraźniej Luboń już to ogarnęła – odparł sucho. – Przeprowadzisz ją czy sam mam się pofatygować?

– Dobra, już dobra. Coś taki nerwowy?

Mężczyzna sięgnął po klucze i pogwizdując, udał się korytarzem po zatrzymaną. Kiedy chwilę później wychynął zza rogu z Larysą, Bruno aż syknął na jej widok. Miała na czole guza, pęknięte usta pokrywał gruby, krwawy strup, a na policzkach znajdowało się kilka paskudnych otarć. W połączeniu ze śladem na brodzie po ostatnim szyciu u Suchara dawało to zatrważający efekt.

Poruszała się powoli, co jakiś czas zaciskając zęby, jakby bolało ją całe ciało. Omiotła Wilczyńskiego wzrokiem, ale jego obecność nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, jakby zamknęła się w sobie i starała się jedynie przetrwać.

– Proszę pokwitować odbiór rzeczy osobistych – zwrócił się do Larysy policjant, podsuwając jej papiery.

Bruno obserwował, jak dziennikarka nieporadnie ściska w dłoni długopis i kreśli nierówne litery, a później odbiera telefon, dokumenty i kluczyki od samochodu. Zastanawiał się, czy powinien ją teraz objąć ramieniem, podać jej dłoń na przywitanie, a może zapytać, jak się czuje, ale ostatecznie posłał jej jedynie blady, pokrzepiający uśmiech.

W milczeniu pokonali drogę na parking, gdzie dziewczyna bez słowa protestu włożyła na głowę kask, który jej podał. Nie zapytała, dokąd jadą, ani nie oburzała się na to, że przez całą drogę na Wilanów, do mieszkania, w którym czekał jej brat, będzie musiała obejmować Wilczyńskiego ramionami. Mechanicznie wykonywała wszystkie czynności, jakby chciała mieć je już z głowy. On także nie zdecydował się nic powiedzieć, choć wydawało mu się, że niemymi spojrzeniami i drobnymi gestami przekazywali sobie znacznie więcej, niż mogliby ukryć w słowach.

W drodze na Sarmacką co jakiś czas sprawdzał w lusterku, czy z Larysą wszystko w porządku. Tuż po tym, jak wjechali w Rzymowskiego, przekręciła głowę na bok, oparła się o jego plecy i zamknęła oczy. Bruno obawiał się, że zaśnie i że zgubi ją na którymś zakręcie, dlatego jechał ostrożnie. Czujnie przeciskał się między samochodami tłoczącymi się w Dolince Służewieckiej.

Myślał o ojcu, który tak łatwo dał się omamić Lewickiemu. Na samo wyobrażenie o tym, że dom miałby trafić w ręce tego zwyrodnialca, dostawał dreszczy. Dręczyły go pytania i obawy, zaciskające się na krtani jak niepostrzeżenie zarzucona garota, która powoli odcinała mu dopływ powietrza.

– Zatrzymaj się. Jestem głodna – usłyszał za sobą niespodziewanie, gdy skręcił w Oś Królewską.

Kiedy zaparkował, nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Zastanawiałem się, jakie będą twoje pierwsze słowa.

Larysa zignorowała zaczepkę, minęła go i zaczęła ociężale wspinać się po schodach, zmierzając w stronę lokalu z sushi. Wewnątrz poprosiła o ramen i łososia w sosie teriyaki, a potem wskazała na Wilczyńskiego, który właśnie wszedł do środka.

– On płaci – rzuciła i zajęła miejsce pod ścianą na długiej ławie upstrzonej biało-czarnymi poduszkami.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zawsze jest taka miła? – zapytał kucharz konfidencjonalnie, nachylając się ku policjantowi.

– Tylko kiedy dopada ją głód. Zazwyczaj jest jeszcze gorzej.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem i współczuciem.

– Wezmę to samo i jeszcze jakąś zieloną herbatę z dwiema czarkami. – Wyciągnął telefon, a gdy kucharz nabił kwotę na terminal, komisarz zbliżył do niego smartfona i uregulował rachunek.

Powoli, jakby obawiał się spłoszyć ptaka, który przysiadł obok tylko na chwilę, przycupnął na czarnym drewnianym krześle naprzeciwko Larysy, która opierała policzek na dłoni, a drugą ręką dotykała guza na głowie.

– Nie chcę rozmawiać – uprzedziła, zanim zdążył otworzyć usta.

Wilczyński westchnął ciężko, a kelnerka, która chwilę później pojawiła się przy stoliku z żeliwnym dzbankiem do zaparzania herbaty i dwiema czarkami w zielonym kolorze, najwyraźniej wyczuła gęstą atmosferę, bo postawiła naczynia niemal bezszelestnie i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Policjant odczekał kilka nieznośnie długich minut, wgapiając się w ryciny zawieszane na ścianie, a gdy w końcu zerknął na swoją towarzyszkę, nie wytrzymał.

– Masz czasem tak, że nie mówisz ludziom pewnych rzeczy i później tego żałujesz? Mogłabyś się chociaż zastanowić, ile musiałem się napracować, żeby wyciągnąć cię z tego gówna.

– Posłuchaj – zaczęła pojednawczo. – Sporo się ostatnio działo, a ja naprawdę nie jestem w nastroju na pogaduchy. Jeśli potrzebujesz podziękowań, bardzo proszę. – Wykonała delikatny

ukłon w jego stronę, krzywiąc się przy tym z bólu. – A teraz zjedźmy w ciszy i spokoju.

Bruno uśmiechnął się pod nosem z zadowolenia.

– Bywasz naprawdę trudna, wiesz? Ale wybaczę ci to, bo jestem miłościwy i łaskawy, a ty porządnie dostałaś w kość – stwierdził ze współczuciem. – Choć przyznam, że nie rozumiem, dlaczego nadal masz wokół siebie tylu idiotów, którym na tobie zależy – dodał, by rozładować napięcie, i natychmiast ugryzł się w język.

Larysa zanurzyła pałeczki w swoim daniu, które właśnie wjechało na stół, a Wilczyński pomyślał, że może dzięki temu nie zwróciła przesadnej uwagi na słowa, które bezwiednie wyrwały mu się z ust. Skarcił się w duchu za to, że za bardzo zaangażował się emocjonalnie i że kiedy dziewczyna pojawiała się na horyzoncie, coraz trudniej było mu nad sobą panować.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytała.

– Przez Łysego. To on nasłał na was gliny, zadzwonił po chłopaków niedługo po tym, jak wyszłaś. Wiedział, że się wpienisz, ale miał nadzieję, że w ten sposób uratuje ci tyłek. – Pociągnął łyk herbaty z żeliwnej czarki. – Swoją drogą, ciekawych masz znajomych. Nie wiedziałem, że zadajesz się z dilerami.

– Najwyraźniej niewiele jeszcze o mnie wiesz – rzuciła między kolejnymi łyżkami zupy. – Ale skoro tak cię ciekawi moja przeszłość, to dowiedz się, czy policja zatrzymała niejakiego Marka Kamińskiego, pseudonim Maro. Trzydzieści jeden lat, wysoki, dotychczas niekarany, pochodzi z Podlasia.

– To ten typ, któremu odgryzłaś ucho?

– Nie, akurat jemu nie zdążyłam nic odgryźć. – Podniosła się z ławy i odwróciła w stronę baru. – Tego łososia dla mnie wezmę na wynos! – krzyknęła.

Bruno patrzył zaskoczony, jak podchodzi do kucharza i odbiera zamówienie.

– Zaczekaj, odprowadzę cię – zawołał.

– Nie trzeba, mieszkam za rogiem, trafię do domu. Poza tym na pewno czeka tam na mnie mój brat cerber, więc gdybyś się bał, że

znowu zwieję, zadzwoń do niego za chwilę i upewnij się, że dotarłam. Na razie, idioto.

Gdy wyszła, zastanawiał się nad tym, co powiedziała, i dopiero po chwili dotarło do niego, że jednak była skupiona, gdy mówił, że kilku idiotom na niej zależy. Uśmiechnął się do siebie, zjadł posiłek, a kiedy skończył, stwierdził, że to był najlepszy łosoś teriyaki, jakiego jadł w życiu, i za cholereę nie mógł zrozumieć, dlaczego tak bardzo mu smakował.



Kiedy weszła do swojego mieszkania na Wilanowie, otoczyły ją chłód i złowroga cisza. Oparła się o ścianę i dotykając dłonią zranionej wargi, syknęła z bólu. Ociężale zrzuciła buty, a następnie chwiejnym krokiem powlekła się w głąb mieszkania. Na szafce w korytarzu dostrzegła klucze od saxo i z wdzięcznością pomyślała, że Bartek musiał odebrać jej samochód, odholowany na policyjny parking.

– Młody, jesteś tu? – zawołała w poszukiwaniu brata, a gdy nie odpowiedział, uznała, że śpi albo zmęczyło go czekanie na nią i sobie poszedł.

Dopiero gdy znalazła się w pokoju i zobaczyła go na kanapie z wzrokiem zawieszonym w próżni, zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Przestraszona podbiegła do niego, klepnęła brata w policzek, zawołała go po imieniu, a on zamrugał powiekami, jakby właśnie przebudził się z głębokiego snu.

– Wszystko w porządku? Co jest, młody, brałeś coś?

Chłopak pokręcił przecząco głową, po czym z zatroskanym wyrazem twarzy obejrzał jej rany.

– Czasami w ogóle cię nie rozumiem – powiedział, patrząc siostrze w oczy.

Larysa przyjęła jego słowa bez komentarza. Powstrzymała się, bo jedyne, co cisnęło jej się na usta, to to, że ona często też nie

rozumiała siebie. Było jej wstyd, że go okłamała i uciekła, by w najgorszy możliwy sposób poradzić sobie z bólem po śmierci Pawła. Usiadła na kanapie obok brata i objęła go ramieniem.

– Przepraszam – wyszeptała. – Obiecuję, że skończyłam z kłopotami.

Bartek nagle się ożywił, a jego oczy na drobną chwilę zabłyśły.

– Powiedziałaś to? Serio? – Szukał w kieszeni telefonu komórkowego. – Czekał, nagram twoje zapewnienie i ustawię sobie na dźwięk SMS-a od ciebie.

Dziewczyna roześmiała się i dała mu kuksańca w ramię. Wesołość trwała jednak tylko moment, po czym wyparowała jak kamfora. Młody Luboń spuścił głowę i wziął głęboki wdech.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął. – Wpakowałem się w poważne kłopoty i nie wiem, co z tym zrobić. Wszystko się sypie, jakby goniła mnie jakaś cholerna lawina. – Pokręcił głową i ukrył twarz w dłoniach.

Larysa przypomniała sobie słowa Roberta Hallera – „twój brat popełnia błąd za błędem” – i zrobiło się jej zimno na myśl o tym, co mogło się wydarzyć.

– Straciłem stypendium na uczelni – kontynuował wpatrzony w swoje skarpetki. – Zostałem ukarany naganą z ostrzeżeniem, rozwaliłem samochód dziekana i... – Chłopak przygryzł wargę. – Nie jestem w stanie nawet wydusić tego z siebie. Żałosne.

Wściekły rzucił na podłogę wszystkie gazety i zerwał się z kanapy.

– To nie ma sensu, muszę sobie z tym poradzić sam – oznajmił w złości, po czym zaczął się zbierać do wyjścia.

– Zaczekaj. – Larysa złapała go za rękę. – Możesz mi o wszystkim powiedzieć, pomogę ci. Na pewno da się to jakoś naprawić.

– I tu się mylisz – warknął, odpychając siostrę.

Dziewczyna patrzyła na niego zdezorientowana, ale Bartek tylko zacisnął usta i wybiegł. Chciała go zawołać, pobiec za nim, ale gdy trzasnął drzwiami, jej czaszkę przeszył niewyobrażalny ból, jakby ktoś dźgał skroń szpikulcem do lodu. Jednocześnie w kieszeni rozdzwonił się jej telefon.

Na ekranie pulsował jakiś obcy stacjonarny warszawski numer i choć początkowo zamierzała zignorować połączenie, w końcu wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Tak? – Odebrała niechętnie, nadal krzywiąc się z bólu.

– Dzień dobry, Mirek Jackowski z shella przy Pileckiego, dzwoniła pani do nas niedawno w sprawie Adama Zielińskiego, naszego byłego pracownika.

Larysa zmarszczyła nos i potarła brew w zamyśleniu, przypominając sobie, że kilka dni temu rzeczywiście rozmawiała z pracownicą stacji benzynowej.

– Czyli jednak u was pracował? – zapytała zaskoczona. – Kobieta, która udzielała mi informacji, powiedziała, że nie kojarzy nikogo takiego.

– Nie mogła go pamiętać, bo zakończył współpracę, zanim ona się u nas zatrudniła, ale traf chciał, że Zieliński zadzwonił do mnie wczoraj z pytaniem, czy nie miałbym jakiejś roboty dla niego. Koleżanka, która wtedy rozmawiała z panią, miała akurat zmianę i przysłuchiwała się naszej rozmowie. W ten sposób, od słowa do słowa, dowiedziałem się o pani.

– To znaczy, że wie pan, gdzie go znaleźć?

– Nie mam pewności, ale dałem mu cynk, że na shellu przy Puławskiej szukają kogoś do obsługi. Jeśli go przyjęli, to pewnie tam. To ta stacja przy wjeździe na obwodnicę. Adam to dobry chłopak, trochę smutny i milczący, ale pracowity. Nie taki jak te dzieciaki, którym wszystko trzeba pokazywać palcem. „Zrób to”, „wynieś”, „podaj”. – Głos mężczyzny stał się poirytowany. – Wydaje się takim, że na dzień dobry zarobią piątkę na rękę i dostaną karnet na siłownię tylko za ładne oczy. Mówię pani, ludziom się dzisiaj robić nie chce. Myślą, że im się należy.

Mruknęła potwierdzająco, ale myślami była już gdzieś indziej. W tym, co usłyszała, coś ją zafrapowało.

– Skoro się sprawdzał, to dlaczego go wyrzuciliście? – dopytała.

– Sam odszedł. Miał jakieś problemy osobiste. O ile wiem, to umarł mu ktoś bliski.

Larysa pomyślała, że musiało chodzić o jego siostrę.

Pożegnała się z mężczyzną, po czym rzuciła okiem na pudełko z lososiem i po chwili wahania stwierdziła, że równie dobrze może zjeść go później. Zostawanie w domu teraz, gdy jej jedynymi towarzyszami stały się pustka i samotność, było ponad jej siły.

Zdecydowała, że dużo ciekawsza będzie rozmowa z Fantomem.



Bruno Wilczyński pojawił się na komendzie po południu z wyjątkowo intrygującym uśmiechem, a to sprawiło, że aspirant Konopacka natychmiast zwróciła na niego uwagę.

– No, no, widzę, że miałeś ciekawy poranek – zagaiła, puszczając do komisarza oko, a gdy ten w odpowiedzi zganił ją wzrokiem, dodała: – Spoko, u nas też sporo się działo. Pękała wydarł się na Dembską. Było ich słychać na całej komendzie. Nie wiem do końca, o co poszło, ale widziałam przez uchylone drzwi, jak ją szarpał i kazał coś sobie pokazywać, a potem ona wybiegła na parking zapłakana. Stary przyszedł tu później, zawstydzony, czerwony na twarzy, ręce mu się trzęsły, co chwilę chrząkał i w końcu powiedział, że Justyna nie będzie już wspierać zespołu w roli profilerka.

Komisarz Wilczyński przygryzł wargę i zastanowił się, dlaczego naczelnik wybuchnął akurat teraz. To wszystko nie miało sensu. Rozważał, czy nie zapytać o to szefa, ale po ostatniej wymianie zdań jego zaufanie do przełożonego znacząco stopniało. Dużo bardziej roztropna wydawała mu się rozmowa z Dembską.

– Jak dawno temu to się stało? – zapytał Sylwię.

– Chwilę przed twoim przyjściem. Nie minąłeś się z Justyną na parkingu?

Policjant nie odpowiedział, tylko rzucił się do wyjścia. Podmuch zimnego powietrza uderzył go w twarz razem z gryzącym śwędem warszawskiego smogu, który wdzierał się do nozdrzy i osadzał wewnątrz czarnym kurzem.

Bruno rozglądał się za samochodem profilerki, ale nigdzie nie było go widać. Obszedł budynek dookoła i kiedy już był niemal pewien, że się spóźnił, dostrzegł jej skuloną sylwetkę w błękitnym volvo zaparkowanym nieopodal. Za pierwszym razem nie zwrócił uwagi na ten samochód, ponieważ Dembska zazwyczaj jeździła czerwonym nissanem x-trail, autem, w którym rodzina z dwójką dzieci mogła czuć się komfortowo.

Podszedł bliżej i delikatnie, tak by jej nie przestraszyć, zastukał w szybę. Policjantka drgnęła, po czym dała mu znak, by wsiadł z drugiej strony.

W samochodzie unosiła się mdła woń drewnianego różańca nasączonego olejkiem różanym. Wilczyński zerknął na wiszący na lusterku zwój koralików, a później zauważył obrazek Świętego Krzysztofa przyklejony nad deską rozdzielczą i inny, przedstawiający kobietę z chustą, na której odbijała się twarz Jezusa.

– Zwabiłaś mnie tutaj w celu nawrócenia? – Wskazał na otaczające go dewocjonała. – Uprzedź, gdybyś zamierzała mnie polewać wodą święconą, odwrócę się tak, żebyś nie zepsuła mi fryzury.

Dembska, dla której słowa Brunona były jak czubek szpilki trafiający w napompowany do granic możliwości balon, parsknęła śmiechem. Jej rysy złagodniały, a w oczach pojawiły się ciepłe iskierki, jakby całe napięcie, które dotychczas miała w sobie, uleciało.

– To auto mojej matki. Jej patronką jest święta Weronika, dlatego wozi tamten obrazek. – Wskazała na kartonik przedstawiający zamysłone oblicze kobiety z chustą w dłoniach. – Moja rodzina zawsze była bardzo religijna, co niedziela chodziliśmy do kościoła, w piątki nie jedliśmy mięsa, a wszystkie posiłki zaczynaliśmy od znaku krzyża. Rodzice wychowywali nas według chrześcijańskich wartości, dbali o to, byśmy byli pokorni i skromni, a kiedy za bardzo rozrabialiśmy, przypominali, że Bóg wszystko widzi i ukarze nas za złe uczynki. W czym oczywiście ochoczo mu pomagali.

Wilczyński mruknął ze zrozumieniem. Zaczynał pojmować, dlaczego Justyna była zawsze do granic poprawna, wymagała od siebie zdecydowanie więcej niż od innych, a kiedy ktoś jej coś zarzucał, nie umiała stanąć po stronie swoich racji. Jej zapięte pod szyję kołnierzyki, mało kobiece swetry i buty z okrągłymi czubkami ukrywały wszystko, czego eksponowanie można by uznać za objaw pychy.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam – podjęła, uśmiechając się nerwowo. – Pewnie już słyszałeś, że pokłóciłam się z naczelnikiem. – Westchnęła ciężko i spojrzała na Brunona, który potwierdził skinieniem głowy. – Wiem, że się za bardzo zaangażowałam. Idiotka ze mnie, myślałam, że taki powinien być śledczy. Naprawdę chciałam dobrze. – Głos jej się łamał.

– Mam skoczyć po popiół, żebyś mogła sobie posypać głowę? – zażartował, by choć odrobinę podnieść ją na duchu. – Według mnie na decyzję Pękały miała wpływ głównie rozmowa z twoim mężem.

Profilerka wyprostowała się, a jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Nie wiedziałaś? – zapytał, widząc na jej twarzy zaskoczenie. – Z tego, co słyszałem, twój stary dzwonił do szefa i prosił go, żeby odłączył cię od sprawy, bo nie radzisz sobie z presją.

Justyna otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale po chwili zamknęła je z cichym westchnieniem i popatrzyła przed siebie wzrokiem przepełnionym poczuciem krzywdy. Przypominała teraz osobę, która niespodziewanie dostała w twarz od kogoś, komu bezgranicznie ufała.

Jej dłoń bezwiednie powędrowała do rękawa, pod którym kryła się blizna po żelazku. Bruno pomyślał, że ślad na przedramieniu kiedyś zblednie, rozmyje się i nie będzie rzucał się w oczy, ale ten, który nosiła w sobie, będzie odczuwalny już do końca.

– Nie musisz nadstawiać drugiego policzka. Możesz to przerwać i złożyć zawiadomienie o przemocy – powiedział. – Wiem, że nie tak cię wychowano, ale świat nie jest czarno-biały.

Dembska przymknęła powieki. Jej palce bawiły się obrączką, a usta delikatnie drżały. Do wnętrza wdzierał się szum

samochodów przejeżdżających ulicą Generała Władysława Andersa, jakby na znak, że życie płynęło dalej. Wilczyński usiłował zrozumieć, dlaczego policjantka pozwala się ograniczać mężowi. W jej świecie cierpienie trzeba było znosić z podniesionym czołem, a małżeństwo, nawet z przemocowym i kontrolującym mężczyzną, było świętością. Nie potrafił jednak poradzić nic na to, że jednocześnie rosło w nim uczucie irytacji wobec jej uległości.

– Mylisz się, Bruno – odparła, gdy otworzyła oczy. – Życie jest czarno-białe. Dostajemy to, na co zasłużyliśmy, a ja ślubowałam mężowi wierność na dobre i złe. Nie zniszczę tego z powodu przejściowych kłopotów. Bo co mi to da? Miałabym rozbić rodzinę i skrzywdzić dzieci?

Wilczyński czytał wiele o syndromie wyuczonej bezradności, ale sposób myślenia profilerki wywoływał ciarki na jego plecach. Nie był pewien, czy więcej w nim żalu, czy gniewu w stosunku do koleżanki, wiedział natomiast, że jeśli za chwilę nie opuści samochodu Justyny, powie coś, czego będzie długo żałował.

– Może masz rację. Może rzeczywiście dostałaś to, na co zasługujesz – rzucił gorzko, nim zostawił ją samą.

Nie minął jednak nawet kwadrans, a pożałował swoich słów. Stwierdził, że tego wieczoru za towarzysza weźmie sobie Jacka Danielsa i zwierzy się mu ze wszystkich nękających go problemów. Ale wcześniej postanowił rozprawić się jeszcze z najgorszym z nich.

– Słyszałem, że chcesz kupić dom mojego ojca – rzucił bez zbędnych wstępów, gdy tylko Jacek Lewicki odebrał telefon. – Zapomnij o tym.

– Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz – odparł tamten z uśmiechem wyczuwalnym w głosie. – Dlaczego niby miałbym rezygnować z takiej inwestycji? To świetny dom, z dużą działką, w dobrej lokalizacji i rozsądnej cenie. Trzeba go nieco wyremontować, ale myślę, że sobie z tym poradzę. No a skoro ty nie chcesz w nim zamieszkać z powodu trudnych wspomnień...

– Przestań! – przerwał mu. – Po co tak naprawdę to robisz?

– Chcę pomóc. Przecież nikt nie kupi domu, w którym ktoś umarł, a może nawet został zamordowany.

Wilczyński zacisnął palce na telefonie.

– Masz zostawić w spokoju mojego ojca, rozumiesz? Dopilnuję, by zerwał tę umowę. Odpierdol się od nas raz na zawsze.

– Czasami mam wrażenie, że nie umiesz się bawić, Bruno – stwierdził zaczepnie. – A przecież to tylko taka gra.

– Nie zamierzam brać w niej udziału.

– Przecież już to robisz. – Lewicki zaśmiał się krystalicznie czystym śmiechem.



Wnętrze stacji paliw żarzyło się ciepłym światłem. Larysa podeszła na tyle blisko, by wyraźnie widzieć twarze pracowników. Ubrani w czerwone koszule z żółtymi wstawkami na ramionach, z charakterystycznym logo w kształcie muszli na piersi, uśmiechali się przyjaźnie do spieszących się klientów, jakby chcieli im przekazać, że są tam tylko dla nich.

Za kasą stała wysoka blondynka, która gestykulowała tak żywiołowo, że od samego patrzenia na nią krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach. Jej kolega, mężczyzna po pięćdziesiątce z włosami poprzetykanymi srebrnymi pasmami, uzupełniał zapasy towarów na półkach, a chłopak w czerwonej kurtce, który ze względu na swój niski wzrost nie mógł być Adamem Zielińskim, nalewał do baków benzynę i mył szyby samochodów z takim zaangażowaniem, jakby od zawsze pragnął zajmować się tylko tym.

Larysa nie miała pojęcia, jak wyglądał Fantom i kogo powinna wypatrywać. Podczas ich spotkania w opuszczonym budynku było ciemno, a twarz zakrywała mu ta jego biała maska, która przerażała obojętnością. Dziewczyna wierzyła jednak, że rozpozna jego głos i że gdy spojrzy mu w oczy, Adam zareaguje, zdradzi się jakimś drobnym gestem, który wymknie się jego kontroli. O ile oczywiście w ogóle tam pracował.

Automatyczne drzwi rozsunęły się, zapraszając dziennikarkę do środka. Otuliło ją przyjemne ciepło, a nozdrza drgnęły, gdy dotarł do nich aromat świeżo mielonej kawy. W tle pobrzmiwały dźwięki muzyki dobranej tak, by wprawiać odwiedzających w radosny nastrój, rozluźniać, a w efekcie zachęcać do zakupów.

– Szukam Adama Zielińskiego – zwróciła się do dziewczyny za ladą.

Oczy kasjerki roziskrzyły się, a usta rozciągnęły w szerokim półksiężycu.

– Jest na zapleczu, akurat ma przerwę. Zawołam go.

Blondynka uchyliła drzwi za swoimi plecami, po czym wetknęła w nie głowę.

– Adam, masz gościa – krzyknęła.

Po chwili z kantorka wychynął chłopak w służbowym ubraniu. Ocierał ze zmęczonej twarzy okruszki z pieczywa, które przykleiły się mu wokół ust, a jego szczeka przeżuwała ostatnie kęsy kanapki. Na widok Larysy zatrzymał się, a jego twarz stężała. Tyle wystarczyło, by upewniła się, że blondyn z kręconymi włosami i orzechowymi oczami był tym, kogo szukała.

– Chcę tylko porozmawiać – uprzedziła, obserwując nerwowe spojrzenia rzucane przez Zielińskiego w stronę drzwi.

Widziała, jak zaciska zęby, a w dłoni gniecie papierową serwetkę. Nagle ruszył w jej stronę szybkim krokiem, mocno złapał ją za przedramię, pociągnął za sobą, a następnie wyprowadził na zewnątrz i pchnął na ścianę budynku w miejscu, które wydawało się czarnym punktem w zasięgu kamer. Nie podejrzewała, że ktoś jego postury może być tak silny. Wyglądał jak zwyczajny chłopak, jakich dziesiątki mijają na ulicy każdego dnia. Ani muskularny, ani potężny, a jednak zaskakująco krzepki.

– Nie wiem, jak mnie znalazłaś, ale masz stąd zniknąć – wyszeptał, nachylając się nad nią. – Przestań za mną łązić i zadawać wścibskie pytania, opowiedziałem ci już o wszystkim.

Coś w spojrzeniu jego ciemnych oczu i w gwałtowności ruchów sprawiło, że poczuła zimny, irracjonalny strach zaciskający się wokół szyi. Przełknęła ślinę i powoli zaczęła mówić.

– Kiedy opowiadałeś mi o rodzicach krzywdzących swoje dzieci, wspomniałeś, że miałbyś ochotę zadać im ból. Muszę wiedzieć, czy kiedykolwiek to zrobiłeś. – Wstrzymała oddech i niemal nie mrugając, czekała na odpowiedź.

Była pewna, że nawet Fantom słyszy teraz łomot jej serca. Te kilka sekund sprawiało wrażenie wieczności. Zieliński niespodziewanie drgnął, przekrzywił głowę na bok i ściągnął brwi, przybierając posępny wyraz. Wyglądał na skołowanego. Rozejrzał się wokół, jakby właśnie obudził się w nieznanym miejscu i usiłował zrozumieć swoją sytuację. Wreszcie zaprzeczył ruchem głowy, a potem nagle wydał z siebie wściekły, dziki okrzyk. Do tego uderzał się pięściami w głowę, jakby wpadł w niekontrolowany szał. Larysa automatycznie się cofnęła, w strachu dyskretnie rozglądała się za czymś, co w razie potrzeby mogłoby jej posłużyć jako narzędzie do obrony. Po swojej prawej dostrzegła drewniane polana do kominka pakowane po kilka sztuk w kolorowe plastikowe siatki, a kawałek za nimi gaśnicę przeciwpożarową. Szybko stwierdziła, jednak, że czuje się tak osłabiona i poturbowana, że w razie kłopotów i tak nie zdoła odeprzeć ataku.

– Jak możesz!?! – ryknął nagle Adam. Na jego ustach zbierały się bąble śliny. – Po tym, jak się przed tobą otworzyłem? Opowiedziałem ci o Ani i ojcu, a ty przychodzisz tu i nazywasz mnie mordercą?! – Oddychał ciężko i co jakiś czas uderzał pięściami w uda. – Nie jestem zły! – wykrzyczał jej w twarz, tak że drobinki jego śliny znalazły się na jej policzkach. – Nie zrozumiałaś tego?

Patrzyła prosto w dzikie oczy chłopaka i niczego nie była już pewna. W myślach wracały do niej wyobrażenia twarzy ofiar, o których jedynie czytała w internecie, a w uszach pobrzmiwały słowa Anity Lange o rysie sprawcy z profilu kryminalnego. Wszystko się zgadzało. Niski poziom kontroli impulsów, szybko wpada we frustrację i złość, zaniżona samoocena – wyliczała w myślach.

– Co tu się dzieje? – usłyszała nagle podniesiony głos, a gdy odwróciła głowę, dostrzegła wpatrującego się w nich siwowłosego

pracownika stacji. – Przerwa się skończyła, młody, wracaj do roboty – odezwał się do Adama. – A pani radzę się stąd wynosić, chyba że ma pani za mało problemów, to mogę zadzwonić na policję. – Obrzucił spojrzeniem jej obitą twarz.

Larysa podążyła wzrokiem za sylwetką Zielińskiego, która zniknęła w budynku, a gdy zamierzała już odejść, chłopak odwrócił się i przesłał jej ponury grymas, który sprawił, że zadrżała.



Michał zarzekał się, że jego ojciec nie miał pojęcia o wypadku w lesie i że to niemożliwe, by dziekan dawał policji jakiekolwiek łapówki, bo był na to za bardzo prawy i zasadniczy. Prokop junior przychylił się jednak do zdania Sebastiana Kuli, syna zmarłego myśliwego, że cała sprawa śmierdzi i kluczem do rozwiązania zagadki może być rozmowa z lekarką, Magdaleną Białą, której pełne dane udało się dość szybko ustalić dzięki hakerskim zdolnościom Lubonia. Syn dziekana obiecał przyjacielowi, że razem z nim wybierze się do szpitala, ale z uwagi na nową pracę w restauracji z charakterystyczną żółtą literą M w logotypie poprosił, by Bartek zaczekał z wizytą u lekarki do następnego dnia.

Luboń nie zamierzał jednak zasypiać gruszek w popiele i postanowił samodzielnie doprowadzić sprawę do końca. Musiał zrozumieć, kim są źli ludzie, o których mówił Gorzki, i raz na zawsze wyplątać się z tej sprawy. Punktualnie o godzinie osiemnastej zjawił się w Szpitalu Bródnowskim, a następnie odszukał oddział, na którym pracowała Magdalena Biała, i poprosił pielęgniarkę o przekazanie lekarce informacji, że bardzo zależy mu na możliwości rozmowy. Przy okazji nadmienił, że jest synem niedawno zmarłego pacjenta, Cezarego Kuli, i że kwestia jest wyjątkowo pilna.

W szpitalu unosił się zapach środków do dezynfekcji, dało się słyszeć stukot drewniaków o twarde linoleum i strzępki szeptanych

rozmów. Bartek wsłuchiwał się w nie znudzony oczekiwaniem i senny. W końcu zza grubych białych drzwi wychyliła się atrakcyjna kobieta z długimi, kręconymi włosami i poprosiła chłopaka, by poszedł za nią. Po chwili znaleźli się w ciasnym, zagraconym papierami gabinecie, a lekarka wbiła w Lubonia wyczekujące spojrzenie.

– Słucham. Podobno mnie pan szukał – rozpoczęła zachęcająco.

Chłopak miał wrażenie, że kobieta przygląda mu się podejrzliwie, ale pocieszał się w myślach, że w ten sposób czuje się każdy, kto ma coś na sumieniu i nie radzi sobie z ciężarem tajemnicy.

– Tak – wydukał zestresowany. – Przepraszam, nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. – Spuścił głowę, by uwolnić się spod czujnego spojrzenia Magdaleny Białej. – Wiem, że to pani leczyła mojego ojca, Cezarego Kulę, a później wystawiła mu kartę zgonu. Muszę się dowiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

Lekarka odchyliła się na krześle i cmoknęła. W jej oczach nieustająco tliła się nieufność, w tym, jak je mrużyła i jak przekrzywiała głowę, Bartek wyczuwał nadchodzące kłopoty.

– Czy mogłabym zobaczyć jakiś pana dokument? Nie jestem uprawniona do udzielania informacji osobom postronnym. Potrzebuję się upewnić, że jest pan synem zmarłego.

Bartkowi zrobiło się słabo. Gorączkowo poszukiwał sensownej wymówki, wreszcie z uśmiechem sięgnął do kieszeni.

– Jasne – powiedział, po czym najlepiej, jak potrafił, odegrał zaskoczenie, a następnie w popłochu zaczął przeszukiwać kolejne kieszonki i schowki. Kiedy i tam niczego nie znalazł, zrezygnowany rozłożył bezradnie ręce. – Przepraszam, chyba zostawiłem w samochodzie.

– To proszę przynieść, ja zaczekam – zaproponowała lekarka, zaplatając ręce na piersi.

Luboń pomyślał, że gorzej czułby się wyłącznie wtedy, gdyby stanął teraz przed tą kobietą nagi. Wiedział, że znalazł się na widelcu, ale był tak rozstrojony, że zamiast skorzystać z szansy na ewakuację, pograżał się coraz bardziej.

– Tylko że ja przyszedłem tutaj pieszo. Samochód zostawiłem w domu, na wypadek gdyby matka potrzebowała coś załatwić, do sklepu podjechać – tłumaczył nieskładnie.

Magdalena Biała oparła głowę na dłoniach i nachyliła się ku chłopakowi.

– Kim pan jest naprawdę?

– Jak to? – Bartek miał wrażenie, że lada chwila rozstąpi się pod nim ziemia, a on wpadnie do wielkiej, czarnej dziury. – Nazywam się Sebastian Kula, jestem synem...

– Dosyć! – rzuciła ostro, uderzając dłonią o blat biurka. – Sebastian Kula odwiedził mnie dwie godziny temu, nie jest pan nawet do niego podobny. Chcę wiedzieć, co tu się, do licha, wyprawia, i to już, bo inaczej wezwę ochronę.

Lekarka chwyciła za telefon, patrząc groźnie na swojego gościa. Luboń uznał, że może to jest ten moment, gdy prawda go obroni.

– Proszę poczekać! – zawołał, gdy kobieta zaczęła wybierać numer. – Wiem, co się stało tamtej nocy. Ten człowiek nie uderzył się po pijaku w głowę. To był nieszczęśliwy wypadek.

Magdalena Biała podniosła się gwałtownie. Jej szczęki się napięły, a oczy ciskały gromy. Dyszała ciężko i śledziła każdy ruch nieznanego z odrazą.

– Wynoś się stąd! – zażądała. – Jesteś jednym z nich, co? Myślisz, że możecie mnie tak nachodzić? Zrobiłam to, na co się umówiliśmy. Powiedz swojemu szefowi, że to koniec. A teraz zjeżdżaj! Już! – krzyknęła. – Ochrona! Ochrona!

– Ale chwila, proszę poczekać. – Wyciągnął uspokajająco dłoń. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Wypierdalaj z mojego gabinetu, rozumiesz?! Nie dam się więcej szantażować.

Bartek usłyszał narastający dźwięk kroków dochodzący zza drzwi i postanowił nie czekać na rozwój wydarzeń. Wybiegł z gabinetu lekarki, taranując po drodze starszego mężczyznę w uniformie ochroniarza, i popędził przed siebie jak oszalały. Nie potrafił zrozumieć, w co tak naprawdę się wpakował, ale przeczuwał, że najgorsze jeszcze nie nadeszło.



Bruno leżał na kanapie ze szklanką whisky w dłoni. Pograżony w myślach i zatopiony w dźwiękach muzyki Hansa Zimmera starał się zagłuszyć wyrzuty sumienia po tym, jak potraktował Justynę Dembską, i uciszyć gniew w stosunku do Lewickiego. W międzyczasie odbył kilka nieprzyjemnych rozmów z prokuraturą i przełożonym, które dodatkowo popsęły mu humor, a gdy wydawało się, że gorzej być nie może, zadzwonił jego ojciec i poprosił o spotkanie. Wilczyński nie spodziewał się dobrych wieści, wiedział, że stan Aleksandra się pogarsza. Obawiał się też, że staruszek będzie wściekły z powodu domu i tego, że wywierał na niego presję, by zerwał umowę z Lewickim, ale nie wyobrażał sobie, jak mógłby pozwolić na tę transakcję.

Może z powodu natłoku złych wieści, a może dlatego, że ogarnął go jakiś marazm, który wciągał i zasysał niczym ruchome piaski, nie zareagował, gdy chwilę później rozwrzeszczał się domofon przy drzwiach. Niewzruszony zajmował to samo miejsce i konsekwentnie ignorował monotonną melodyjkę. Niespiesznym ruchem dolał alkoholu do kryształowego naczynia, po czym zbliżył je do ust i pogłaśniając muzykę, mruknął z satysfakcją.

Kiedy hałas umilkł, stwierdził, że wygrał z natrętem, ale gdy tylko przymknął powieki i zaczął zapadać w sen niczym w miękką kolorową piankę, kojącą ciszę przerwał dzwonek telefonu. Komisarz zerwał się poirytowany i sięgnął po smartfona z zamiarem wyłączenia go, ale gdy na ekranie zobaczył imię Larysy, wbrew swoim wcześniejszym planom odebrał.

– Nie powinnaś teraz biegać po mieście i odgryzać niewinnym mężczyznom tego i owego?

– On nie był bez winy, rzucał pod moim adresem seksistowskie komentarze.

– W takim razie muszę chyba podziękować za twoją łaskawość. To jakiś cud, że ja nadal mam dwoje uszu.

– Możemy to zmienić. Wpuścisz mnie czy będziemy kontynuować tę bezsensowną rozmowę?

Bruno wstukał w SMS-a kod do drzwi i przesłał go Larysie.

– Bądź moją Urszulą – rzucił, nawiązując do wielkiej miłości Van Gogha, o której mówiono, że to przez nią malarz obciął sobie ucho.

Kiedy odłożył telefon, zaczął układać poduszki na kanapie, upychać pod ławą stare gazety i chować brudne ubrania do kosza na pranie. Dopiero gdy złapał się na tym, że rozważa użycie odświeżacza powietrza, uznał, że albo wypił o jedną szklanekę alkoholu za dużo, albo rzeczywiście traci rozum przy tej dziewczynie. Z dwojga złego wolał to pierwsze usprawiedliwienie.

Nie zdążył jednak poświęcić mu przesadnie dużo uwagi, ponieważ rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je, ale gdy Larysa chciała wejść do środka, powstrzymał ją wyciągniętą dłonią.

– Zanim wejdiesz, muszę uprzedzić: piłem i jestem nieobliczalny. Wprawdzie zamierzałem pić z umiarem, ale umiar nie za bardzo miał ochotę drinkować ze mną i wyszło jak widać. – Uśmiechnął się szeroko.

Przewróciła oczami, odepchnęła jego rękę i od razu skierowała swoje kroki do salonu.

– Przestań się wygłupiać, przychodzę w sprawie służbowej. Jakies wieści o Marku Kamińskim? – dopytała.

– Nikt o takim imieniu i nazwisku nie został zatrzymany.

– Szkoda – odparła ze smutkiem w głosie.

Usiadła na kanapie, po czym, jakby była u siebie, położyła nogi na ławie i oparła na nich laptopa, którego wyciągnęła z plecaka. Wilczyński przyglądał się jej jak niespotykanemu zjawisku. W jej ruchach była ujmująca naturalność i prostota, brak jakichkolwiek kompleksów, a przy tym czysta bezpośredniość. Zero manipulacji, tylko prawda i autentyczność.

Patrzył, jak zwinnie jej palce poruszają się na klawiaturze i jak Larysa zabawnie marszczy brwi, gdy się nad czymś zastanawia. Wreszcie westchnęła ciężko i podniosła na niego wzrok.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziała, wskazując miejsce obok siebie.

– Tak od razu, bez żadnego wstępu? Może nie wyglądam na takiego, ale jestem nieśmiały. Dałaś się zwieść pozorom.

Popukała się palcem w czoło.

– Fantom, mężczyzna bez twarzy, mówi ci to coś? – kontynuowała, ale on tylko pokręcił głową. – Chodzi o chłopaka, który ukrywa się pod maską, napada ludzi, prześladowuje ich nocą w ciemnych uliczkach... Rozbija szyby w samochodach, a do tego rysuje wizerunki ich dzieci. – Urwała. – Zresztą sam zobacz.

Zaczerwony uśmiech na twarzy Brunona zgasł, a jego miejsce zajął wyraz zaniepokojenia. Natychmiast znalazł się obok Larysy i przejął od niej komputer. Historia Adama Zielińskiego pochłonięła go na tyle, że nie zauważył, kiedy wybiła północ. Strona po stronie połykał jej reportaż, a później zagłębiał się we wszystkie materiały źródłowe i notatki. Kiedy wreszcie odstawił laptopa na ławę i przetarł zmęczone oczy, czuł, że natrafił na coś bardzo ważnego.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

Larysa oderwała się od zeszytu, w którym prowadziła jakieś zapiski, i wzruszyła ramionami, a później spojrzała na policjanta z lękiem.

– Dlatego, że redaktor naczelna „Newsweeka”, Anita Lange, twierdzi, że ktoś od ciebie sprzedaje jej informacje – odpowiedziała. – Podobno dostała do wglądu profil kryminalny sprawcy. To od niej wiem, że prowadzisz te sprawy. Chciałam ci powiedzieć o przecieku, ale zginął Paweł i... – Zamilkła.

Wilczyński zmarszczył czoło ze współczuciem, a później założył ręce za głowę, odchylił się na kanapie i przygryzając usta, rozważał, który z jego kolegów jest tak głupi, by wyjawiać poufne informacje mediom. Nie mógł również zrozumieć, w jakim celu ktoś miałby prowadzić podwójną grę. Przed oczami przesuwają mu się dziesiątki nieprzystających do siebie elementów układanki, jakby ktoś złośliwie pomieszał puzzle z różnych pudełek tylko po to, by namącić mu w głowie.

– Chcesz, żebym spojrział na jego historię i zweryfikował, czy pasuje do naszego profilu – nazwał niewyraźną prośbę Larysy, a ona po prostu kiwnęła głową.

Na dłuższy czas zapadło między nimi niezręczne milczenie, w końcu dziennikarka zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Pora na mnie – powiedziała, po czym podniosła się gwałtownie z kanapy.

Jej ciało, poważnie poturbowane w bójce, zaprotestowało przeciwko tej raptownej zmianie pozycji ostrym bólem w skroniach. Dziewczyna złapała się za głowę, zachwiała i upadła na kolana Brunona, który zdążył jedynie położyć jej dłoń na plecach i ją podtrzymać. Twarz Larysy znajdowała się teraz naprzeciwko jego twarzy, na tyle blisko, że mógł obserwować wielkie czarne źrenice i pieprzyk nad jej ustami.

Wyrazisty korzenny zapach łaskotał go w nozdrza, a oddech dziewczyny delikatnie muskał jego policzki. Widział każdą rysę i wszystkie zadrapania na jej skórze, drobne zmarszczki wokół oczu i ślady po tuszu z długopisu, które odbiły się, gdy oparła brodę na dłoni.

– Nie musiałaś tu przychodzić, mogłaś zadzwonić – powiedział.

– Może musiałam – odparła, nie spuszczając z niego wzroku.

Gdyby miał opisać, co się w nim wtedy wydarzyło, pewnie nie potrafiłby znaleźć odpowiednich słów.

W jego umyśle rozpętała się chemiczna burza, temperatura ciała wzrosła, a oddech przyspieszył. Za pierwszym razem pocałował ją łagodnie, nie chciał naruszyć rany na ustach i sprawić jej bólu, ale Larysa odpowiedziała z dużo większą intensywnością.

Czuł jej dłonie na swoich plecach i na karku. Wydawało mu się, że doznaje czegoś, na co czekał od bardzo dawna. Był pewien, że pod opuszkami jej palców i w reakcji na ciepły, drażniący jego skórę dotyk całej drży. Przyciągnął ją mocno do siebie, wsunął jedną dłoń pod jej kolana, drugą objął plecy i uniósł dziewczynę.

Zanim zabrał ją do sypialni, zatrzymał się na chwilę i raz jeszcze spojrział jej w oczy, jakby milcząco prosił o pozwolenie. Uśmiechnęła się, a później oparła miękko czoło na jego twarzy.

Nie spieszył się, ostrożnie położył ją na łóżku, zdjął koszulkę i zaciągnął się zapachem jej ciała, od którego zakręciło mu się w głowie. Przemierzał ustami nieznane jeszcze terytorium jej białej skóry, napawając się jej westchnieniami, a potem pozwolił, by go rozebrała i usiadła na nim. Kiedy go całowała, namiętnie i głęboko, jęknął z rozkoszy.

Jego dłonie natychmiast powędrowały do jej spodni, które chwilę później upadły razem z majtkami na podłogę. Bruno obrócił Larysę na plecy. Chciał patrzeć jej w oczy i pozwolić jej widzieć siebie. Wszedł w nią mocno i zdecydowanymi, rytmicznymi ruchami sprawił, że jej źrenice pokryły się gęstą mgłą, a ciało wygięło się w napięty łuk. Oboje oddychali ciężko i coraz szybciej, aż do momentu, gdy Larysa odchyliła głowę, a z jej gardła wyrwał się zwierzęcy pomruk. Orgazm Brunona przyszedł chwilę później, gdy na nowo spojrzała na niego i wbiła paznokcie w jego lśniące od potu plecy.

Kiedy opadli wyczerpani na pościel, Wilczyński położył się na boku, oparł głowę na dłoni i palcem wskazującym drugiej ręki zaczął kreślić ścieżki na jej skórze.

– Co teraz zrobimy? – zapytała z niepokojem w głosie i wzrokiem wbitym w sufit.

– Pójdziemy spać, a rano znowu będziemy się kochać – odpowiedział.

– Wszystko jest dla ciebie takie łatwe?

– Życie jest proste, Lara, tylko ludzie za bardzo je komplikują.

Spojrzała na niego badawczo, jakby chciała się upewnić, co miał na myśli, a potem powoli podniosła się i gdy była już w drzwiach pokoju, odwróciła się przez ramię.

– To tak jak twoje śledztwa – rzuciła, zanim nago poszła do łazienki.



Gdyby ktoś zapytał Bartka, które z rodzeństwa Luboń, on czy jego siostra, odznacza się większą dozą zdrowego rozsądku, z pewnością wskazałby na siebie, a jednak tego dnia zachował się dokładnie jak Larysa.

Po rozmowie z Magdaleną Białą, zamiast wrócić do domu, pozbierać myśli i opracować jakiś nowy plan, Bartek zaczął się pod Szpitalem Bródnowskim. Czekał tam na kobietę o długich, kręconych włosach w nadziei, że poza murami szpitala uda mu się z nią swobodniej porozmawiać i dowiedzieć czegoś więcej niż w gabinecie na piętrze. Jednak kiedy godzinę później dostrzegł ją w drzwiach wyjściowych z parasolką w dłoni i zbliżającą się do parkingu samochodowego, zamiast satysfakcji poczuł niepokój. W swojej sprytnej strategii z jakiegoś powodu pominął ewentualność, w której śledzona przez niego kobieta odjeżdża samochodem, a on zostaje z niczym. Tego wieczoru miał jednak szczęście, bo doktor Biała wybrała się na spacer w stronę stacji metra Trocka.

Idąc za lekarką wzdłuż ulicy św. Wincentego, a później ścieżką przy skwerze Dubickiego, czuł się jak bohater dreszczowców, który w strugach deszczu, z postawionym kołnierzem i pod osłoną nocy tropi swój obiekt. Starał się zachować bezpieczną odległość i w żaden sposób nie rzucać się w oczy, a w jego głowie rysował się koncept rozmowy. Założył, że skoro kobieta obawiała się kogoś, on musi pokazać jej, że może mu zaufać. Miał nadzieję, że dzięki temu uda mu się rozwikłać zagadkę śmierci myśliwego, Cezarego Kuli.

Kiedy znaleźli się na wysokości pętli autobusowej Targówek, Bartek uznał, że to dobry moment, by wreszcie się ujawnić. Przyspieszył kroku, ale gdy już miał się pokazać, zza budynku piekarni wyszło dwóch rosnących mężczyzn, którzy dołączyli do lekarki. Jeden z nich znalazł się po jej lewej, drugi po prawej stronie, sprawiając, że kobieta drgnęła zaskoczona, a po chwili zatrzymała się w najbardziej oświetlonym miejscu.

– Czego chcecie? – wysyczała.

Młody Luboń, który za rogiem przykląkł, by zawiązać sznurówkę, uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

– Niczego specjalnego – odparł jeden z nieznajomych. – Po prostu chcieliśmy ci przypomnieć, do czego się zobowiązałaś. Wiemy, że ten młody węży, był dzisiaj na komisariacie, a później pojawił się u ciebie.

– Niczego mu nie powiedziałam – rzuciła poirytowana i zamierzała odejść, ale drugi z mężczyzn zaszedł jej drogę.

– Pamiętaj, że my też co nieco o tobie wiemy i bardzo byśmy nie chcieli, żebyś wpadła w jakieś tarapaty.

Magdalena Biała spuściła na moment głowę, oblizała spierzchnięte wargi i wzięła głęboki wdech.

– Zrozumiałam to za pierwszym razem. Nie życzę sobie, byście mnie nachodzili – rzuciła, po czym szybkim krokiem ruszyła ulicą Trocką.

Bartek obejrzał się jeszcze za mężczyznami, a chwilę później zdyszany dogonił lekarkę na stacji metra. Kiedy przysiadł obok niej na ławce, nawet go nie dostrzegła. Zatopiona w myślach, zdrapywała z paznokci resztki perłowego lakieru, a nogą wystukiwała nerwowy rytm. Dopiero gdy nachylił się i cicho się do niej odezwał, uniosła wzrok. Na jego widok doktor Biała spięła się, ścisnęła mocno torebkę, a następnie zerwała się z ławki.

– Niech pani zaczeka – poprosił, idąc za nią. – Nie mam nic wspólnego z tamtymi, chcę tylko zrozumieć, co tu się dzieje – wyjaśnił.

Kobieta wyraźnie się wahała, odwróciła głowę w stronę nadjeżdżającego pociągu metra, a potem raz jeszcze spojrzała na chłopaka.

– Nie mam pojęcia, co pan wie o tej sprawie, i zupełnie mnie to nie obchodzi. Dla pana dobra radzę, żeby się pan z tego wycofał – rzuciła, przeciskając się przez grupkę osób próbujących wejść do wagonu.

– Ale dlaczego? – zapytał, gdy lekarza znalazła się już w pociągu.

– Bo z policją lepiej nie zadzierać – wyjaśniła. – Szczególnie jak się ma coś na sumieniu – dodała zagłuszana przez sygnał zamykania drzwi wagonu.



Nie wierzyła w to, że ludzie się zmieniają.

Larysa uważała, że zawsze ostatecznie to ich prawdziwa natura wpływa na to, kim się stają i jakie decyzje podejmują. Bez względu na to, jak bardzo przygniotły albo zdeformowały ją normy społeczne i wychowanie. Nieważne, czy ktoś od niej uciekał, zagłuszał ją i buntował się przeciwko niej. To, kim byliśmy w istocie, cały czas żyło tam w środku i przyczajone czekało na moment, w którym będzie mogło się ujawnić.

Może dzięki tym przekonaniom, gdy obudziła się rano, przyjęła nieobecność Brunona w łóżku jako coś oczywistego. W naturze wilka leżą przecież wolność, niezależność i dzikość, pomyślała i leniwie przeciągnęła się w pościeli.

Minionej nocy śniła o chaosie. Sceny z jej majaków przypominały obrazy wojny, wypełnione krwią, przemocą i krzykiem. Najdziwniejsze w koszmarze było jednak to, że ludzie, którzy w nim występowali, mieli twarze pozbawione wyrazu, jakby przezroczyste. We śnie nie mogła zrozumieć, kto jest dobry, a kto zły, bo wszyscy byli równie niepokojący. Otaczali ją coraz ciaśniejszym kręgiem, aż w końcu zaczęli ją dusić swoimi ciałami. Poderwała się wtedy spanikowana i przelękniona, ale gdy otworzyła oczy i zobaczyła obok siebie śpiącego Wilczyńskiego, jej tętno wróciło do normalnego rytmu.

Teraz patrzyła na stos należących do policjanta książek, w którym obok polskich kryminałów dominowały tytuły klasyków, w tym Orwella, Salinger, Hessego, kilka pozycji egzystencjalistów i seria Sapkowskiego o wiedźminie. Wysoka wieża wolumenów chyliła się lekko na prawo i wydawało się, że jeśli na szczycie wyląduje choć jeden dodatkowy tom, cała konstrukcja runie z hukiem.

Larysa zmrużyła powieki, westchnęła i powoli podniosła się z łóżka. Mieszkanie wypełniała cisza, którą mącił jedynie szmer

przejeżdżających Dereniową autobusów. Boso, w koszulce i majtkach przeszła do kuchni i ze zdziwieniem odkryła, że na stole, obok kluczy do mieszkania, Bruno zostawił jej nie tylko śniadanie w postaci dwóch croissantów i kartonu mleka, ale też krótką, nabazgraną na karteczce wiadomość.

Wyciągnęła po nią rękę, ale w połowie tego ruchu zawahała się i ją cofnęła. Obawiała się słów, które dla niej zostawił. Bo co niby miałby napisać? Nie chciała czytać banalnych zwrotów, jakie powtarzali ludzie po nocy spędzonej z osobą, z którą relacja była i tak wystarczająco skomplikowana. A może tak naprawdę lękała się, że iluzja doskonałości tego, co się wydarzyło, rozwieje się w pył, zdmuchnięta jakimś ironicznym komentarzem.

Patrzyła na żółtą karteczkę samoprzylepną na tyle długo, że w końcu roześmiała się w głos i przeczytała wiadomość. „Anita Lange wydzwania do Ciebie od rana. Straszna z niej harpia. Postanowiłem sprawdzić, dlaczego tak bardzo interesuje ją ten facet w masce” – przeczytała, po czym struchlała. Jej źrenice rozszerzyły się, a w myślach eksplodowały najbardziej kwieciste znane jej epitety.

Pobiegła do salonu i przerzucając w pośpiechu swoje notatki, upewniła się, że nieopatrnie zostawiła wśród nich kartkę z adresem stacji benzynowej podpisanej jako miejsce pracy Fantoma. Poirytowana złapała telefon i przyciskając go uchem do ramienia, nieporadnie naciągała spodnie. Kiedy Bruno odebrał, była już na etapie kurtki.

– Nie idź tam – rzuciła do słuchawki. – Spłoszysz go.

– Dzień dobry, ja też się cieszę, że cię słyszę – odparł, przekrzykując szum samochodów.

– Bruno, posłuchaj mnie uważnie – tłumaczyła coraz bardziej gorączkowo. – Zastanawiałam się nad tym długo i nie wierzę, że Adam mógłby kogoś zabić. Nie po tym, jak sam stracił ojca; on wie, jak trudno jest dorastać bez rodzica. To idealista, chce dobra tych dzieci, nie krzywdy.

– Wyluzuj, nie jestem idiotą. Zatankuję motocykl i kupię nam kawę, a przy okazji tylko się mu dyskretnie przyjrzę. Żadnej

konfrontacji, obiecuję.

Z jakiegoś powodu Larysa nie potrafiła uwierzyć w słowa Wilczyńskiego i z każdą chwilą dławiał ją coraz większy niepokój.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Zaczekaj tam na mnie.

Bruno jednak już nie odpowiedział, coś w słuchawce zatrzeszczało, a gdy dziewczyna spojrzała na ekran, stwierdziła, że połączenie zostało zerwane.

Wrzuciła telefon do plecaka, wsunęła stopy w buty i z niezawiazanymi sznurówkami zbiegała po schodach. Przez ułamek sekundy rozważała, czy szybciej będzie, jeśli przebiegnie ten odcinek, czy gdy skorzysta z samochodu.

Ostatecznie wybrała swoje czarne saxo, ale już na wysokości budynku straży pożarnej przy Pileckiego pożałowała tej decyzji. Tuż przed nią, zapewne z powodu prac budowlanych nad południową obwodnicą Warszawy, utworzył się długi korek. Sznur aut z mozołem pokonywał kolejne metry, a jej towarzyszyła pewność, że tego dnia jest jedyną osobą, której zależy na czasie.

– Cholera jasna! – Uderzyła pięścią w klakson.

Nagle dotarło do niej, że jej koszmar nie symbolizował tego, co się już wydarzyło, tylko to, co miało dopiero nadejść.



– To niemożliwe. – Oczy Michała Prokopa błyszczały po tym, jak Bartek przedstawił mu swoją teorię na temat tego, co się wydarzyło tamtego nieszczęsnego wieczoru po imprezie. – Ale z drugiej strony wszystko się, kurwa, składa jak w pierdolonym origami – dodał po chwili.

– Stary, nie ma opcji, żeby było inaczej – mówił podniesionym głosem Bartek. – Pamiętasz, przed kim uciekaliśmy w lesie? Przed pałami. Tylko oni wtedy tam byli. A teraz kasują artykuły, zastraszają lekarkę, która początkowo twierdziła, że mężczyzna został ranny w wyniku potrącenia przez samochód, i nagle kilka dni temu zupełnie przypadkiem zmieniła koncepcję. Po prostu zacierają ślady.

Michał się zamyślił.

– To by wyjaśniało, dlaczego jeszcze nie wpadli ojcu na chatę i niespecjalnie szukali sprawcy – dodał. – Nie musieli tego robić, bo dokładnie wiedzieli, co się tam wydarzyło. Pozorowali tylko jakieś ruchy, żeby nikt się nie przyczepił, a po cichu zamiatali wszystko pod dywan, fiuty.

Bartek pierwszy raz od kilku dni poczuł ulgę. Minionej nocy udało mu się nawet zasnąć bez większych problemów i choć nie przyśniło mu się absolutnie nic, to i tak był wdzięczny, że nie obudził się zlany potem i przerażony. Od nocnej przejażdżki samochodem przyjaciela schudł trzy kilogramy, a jego twarz na stałe przybrała sinoblady kolor. Teraz wstąpiła w niego nowa nadzieja, a wraz z nią chęć zdemaskowania sprawców wypadku.

– Niepokoi mnie tylko jedno – powiedział. – Skoro to nie my potrąciliśmy tamtego gościa, to komu zależało na tym, żebyśmy w to wierzyli? Kto nas wkręcał, wysyłał mi te zdjęcia i pogróżki? I dlaczego właściwie tylko mnie, a tobie nigdy?

Prokop przygryzł paznokciec kciuka i przez chwilę stał bez ruchu, a jego zmarszczone czoło świadczyło o tym, że się nad czymś intensywnie zastanawia.

– No nie lamp się tak na mnie, stary, nie mam z tym nic wspólnego – rzucił z oburzeniem. – Ale pomyśl, Luby, jeśli ten ktoś widział na miejscu nas, istnieje też szansa, że zrobił zdjęcia tamtym mendom. A to by było coś. – Michał aż podskoczył z radości.

Bartek uśmiechnął się delikatnie, a po chwili zmarkotniał, bo przecież dostawał jedynie krótkie MMS-y z różnych numerów i maile z niedającego się namierzyć adresu. Przeglądał właśnie skrzynkę odbiorczą i czytał wiadomości od szantażysty, gdy nagle coś go tknęło.

– O cholera! – rzucił pod nosem. – Wiem już, gdzie widziałem wcześniej ten adres mailowy.

– Oświecisz mnie?

– Ten ktoś korespondował z właścicielem Haller Investments, Robertem Hallerem – wyjaśnił, a gdy zobaczył, że jego przyjaciel patrzy na niego jak na wariata, machnął ręką. – Nieważne, muszę lecieć do komputera.

– Mówiłem, że nas z tego wypłaczę – stwierdził Prokop z satysfakcją. – Nie podziękujesz mi? Jakies kwiaty, czekoladki, impreza na moją cześć?

Luboń rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

– No co? To ja wpadłem na to, że ktoś może mieć foty gliniarzy.

– Weź, człowieku, zluzuj z tą gandzią, bo ci na mózg pada. – Popukał się w głowę.

Bartek nawet nie czekał na reakcję kumpla. Klepnął go tylko pojednawczo w ramię, po czym zerwał się z miejsca i pobiegł w stronę stacji metra Służew. Po drodze usiłował przypomnieć sobie, czego dotyczyła tamta wiadomość w skrzynce biznesmena, ale za nic w świecie nie potrafił tego odtworzyć. Dzięki Larysie miał dostęp do skopiowanej poczty mężczyzny i choć szukał dla siostry konkretnej wiadomości, to przejrzał także kilka innych, które wyjątkowo go zaciekały.

Kiedy wreszcie wpadł do swojego pokoju w domu studenckim Riviera, nawet nie odpowiedział na przywitanie współlokatorów. Rzucił się jak wygłodniały do laptopa i odnalazł kopię skrzynki Roberta Hallera na dysku. W napięciu, co chwilę obgryzając skórki przy paznokciach, przewijał adresy, aż w końcu trafił na ten właściwy.

– Mam cię! – zawołał, a jego koledzy posłali mu zdziwione spojrzenia.

Lubon nie zwrócił na nie jednak żadnej uwagi, był zbyt pochłonięty czytaniem wiadomości w skrzynce odbiorczej przedsiębiorcy. Jej treść była krótka. „Podobno mnie pan szukał. Proszę zadzwonić na ten numer”, a tuż po niej pojawiał się szereg cyfr oraz inicjały: R.M.

Bartek sięgnął po telefon, wybrał numer i przyłożył smartfon do ucha.

– Detektyw Maciejewski, słucham? – odezwał się mężczyzna po kilku sygnałach, a jego głos wydał się Luboniowi niezwykle znajomy.



Na skrócie do stacji benzynowej przy Puławskiej komisarz Wilczyński zorientował się, że poprzedniego wieczoru zapomniał podłączyć telefon do ładowarki, a przez to smartfon odmówił mu posłuszeństwa w trakcie rozmowy z Larysą. Miał jedynie nadzieję, że dziewczyna zdołała usłyszeć jego prośbę i nie przyjedzie na shella, bo wtedy cała mistyfikacja, którą od rana planował, poszłaby do śmieci, a Fantom rzeczywiście mógłby się spłoszyć.

Zatrzymał swój motocykl Ducati przy dystrybutorze numer dziesięć, skąd miał doskonały widok na stację i jej pracowników. Niespiesznie nalewał benzynę, a jego wzrok czujnie śledził wszystkie osoby w czerwono-żółtych koszulach z logo muszli. Powietrze pachniało paliwem i spalinami, ale policjantowi to nie

przeszkadzało. Wsłuchując się w uliczny zgiełk, szukał dwudziestoosmioletniego mężczyzny o orzechowych oczach i średnim wzroście. Z lektury notatek Larysty zapamiętał również, że Adam Zieliński niczym się nie wyróżniał, a jego twarz należała do pospolitych.

Kiedy bak czarnego panigale się napełnił, Bruno wszedł do budynku stacji. Przywitał się głośno i wyraźnie, by przyciągnąć uwagę sprzedawców, a tym samym zyskać więcej czasu na ich obserwację. W oczekiwaniu, aż kasjerzy obsłużą bieżących klientów, niby od niechcienia zaczął wgapiać się w stojak z gazetami, a później wyciągnął dwa najbardziej znane tytuły prasy bulwarowej i usiadł z nimi przy wysokim stole na koszmarnej niewygodnym hokerze. Przeglądał dzienniki, komentując pod nosem co ciekawsze kawałki, a inne wyśmiewał i czytał na głos ich krótkie fragmenty. W ten sposób budował wizerunek prymitywnego tępaka, który zawsze wszystko wie najlepiej i każdemu chętnie udzieli dobrej rady. Był to rodzaj policyjnej gry, którą prowadził niekiedy, gdy musiał zdobywać informacje określoną drogą. Kamuflaż pozwalał mu czytać ludzi. Schowany za maską aroganta, mógł testować i badać zachowania, które sam prowokował. Na razie jego publiczność stanowili jedynie wysoka energiczna blondynka i starszy mężczyzna z pasmami siwych włosów. Nawet z oddali dostrzegał ich ukradkowe spojrzenia i wymieniane uśmiešky, ale zgodnie z obranym scenariuszem udawał, że tego nie widzi.

Chwilę później dziewczynę zastąpił za ladą chłopak, do którego kasjerka zwróciła się po imieniu, a komisarz Wilczyński, słysząc je, zrozumiał, że nadszedł czas na prawdziwe przedstawienie, ponieważ do zabawy dołączył Adam. Bruno rozłożył przez sobą brukowiec na artykule o morderstwie Pauliny Ostrowskiej, a w drugiej gazecie zagiał róg przy sensacyjnej publikacji o Fantomie.

– Głaby jedne! – skomentował pod nosem, ale na tyle głośno, by zarówno chłopak, jak i starszy mężczyzna za ladą to usłyszeli. – Ciekawe, ile jeszcze osób musi zginąć, zanim złapią tego świra?

Wzięliby się do porządnej roboty, a nie tylko bąki zbijają i marnują pieniądze podatników.

Po tym występie Wilczyński złowił wzrok chłopaka na kasie i czekał na jego reakcję. Zamierzał przeanalizować wszystkie czyny, mikrogesty, słowa, by wysondować, jakie emocje krył w sobie Adam Zieliński i czy próbował coś ukryć. Czy wpadnie w popłoch, zdenerwuje się, a może nagle stanie się wyjątkowo czujny?

– Przecież to nie żaden obcy ani wilkołak, tylko zwykły człowiek – dodał komisarz dla wzmocnienia interakcji. – Prędzej czy później go dopadną, co nie? Jak jest zbrodnia, to musi być kara, prawda?

Chłopak jedynie wzruszył ramionami i nie wydawał się specjalnie zainteresowany podtrzymywaniem pogawędki. Nie pocił się, nie pocierał twarzy, a jego mimika sprawiała wrażenie naturalnej. Wilczyński sięgnął po drugi tytuł, który wcześniej zabrał z półki, i zdecydował uderzyć z grubej rury.

– O! Albo to. – Odwrócił się w stronę kasjerów, prezentując im niewyraźne zdjęcie Fantoma, które sam widział już wcześniej w internecie. – „Kim jest człowiek w masce?” – zacytował i roześmiał się. – Też mi dziennikarstwo. Nic o nim nie wiedzą i piszą takie bzdury. – Pokręcił głową, a kątem oka dostrzegł, że rytm oddechu chłopaka się zmienił. – Przecież to może być każdy, nawet morderca tamtych babek – rzucił zaczepnie, ale choć młody sprzedawca rzeczywiście zareagował na wątek o Fantomie, to nie zarejestrował w jego zachowaniu sygnałów świadczących o potężnym stresie czy kłamstwie, jedynie o zaciekawieniu.

Policjant zastanawiał się, co z tym zrobić. Nie chciał przesadzić, bo wtedy mógłby stracić zaufanie Adama Zielińskiego i zniszczyć to, do czego tak długo dochodziła Larysa. Ostatecznie uznał, że na ten moment wystarczy mu eksperymentów, poprosił o dwie kawy na wynos i rachunek za paliwo, a w ostatniej chwili zdecydował się też zapłacić za gazety.

Gdy stał przy terminalu i czekał na potwierdzenie, czy płatność przeszła, do wnętrza stacji wszedł niski, uśmiechnięty pracownik obsługujący dystrybutory. Komisarz nie rozpoznał go od razu, ale

kiedy wreszcie ich spojrzenia się skrzyżowały, w lot zrozumiał, co za chwilę nastąpi.

– O proszę, kogo ja widzę! – Mężczyzna rozpromienił się na widok Wilczyńskiego i uścisnął mu dłoń. – To już nie tankuje pan przy Poleczki?

Bruno pokręcił głową. Jednocześnie usiłował dać mu znak, by się zamknął, ale pracownik stacji najwyraźniej go nie wychwytał, bo chwilę później ordynarnie zdemaskował policjanta.

– Dawno pana komisarza nie widziałem – palnął. – Chłopaki, naliczyliście panu zniżkę dla funkcjonariuszy? – zwrócił się do kolegów, a Wilczyński dostrzegł zaskoczone spojrzenie Adama.

To był ułamek sekundy, w oczach Fantoma pojawiło się jakieś zawahanie, zastygł w miejscu, po jego twarzy przemknął cień lęku, zamrugął, jakby coś mu się przypomniało, a potem nagle rzucił się na zaplecze.

– Cholera jasna – syknął Bruno i pobiegł za chłopakiem.

Mknęli teraz chodnikiem wzdłuż wysokiego płotu odgradzającego jezdnię od siedziby dealera samochodowego Citroëna. Obok nich śmigały rozpędzone ciężarówki, maszyny budowlane i auta z podrasowanymi silnikami, których kierowcy postanowili wykorzystać zielone światło i przycisnąć gaz na długiej prostej w stronę Piaseczna.

Nagle Wilczyński dostrzegł, że Adam zerka w stronę ulicy, a później niespodziewanie skręca za ekran, wbiega na jezdnię i rzuca się na przełaj w miejscu, gdzie znajdują się cztery wydzielone pasy ruchu. Kierowcy, którzy gnali już od strony Płaskowickiej nieświadomi tego, z czym za chwilę będą musieli się zmierzyć, z przyzwyczajenia dociskali pedał gazu.

Powietrze przeciął potworny krzyk Brunona:

– Stój, policja!

Wilczyńskiemu wydawało się, że cały świat zamarł, a po chwili jakby ktoś na nowo go uruchomił, wszystko zaczęło się przewracać na jego oczach. Sportowa czerwona mazda, która skręciła gwałtownie w prawo, by ominąć Zielińskiego, uderzyła z impetem w ekran dźwiękochłonny kilka metrów od policjanta, ale

prowadzący czarne mini nie był już tak sprawny i bokiem zahaczył o ciało Adama. Jego korpus odbił się od karoserii i wylądował na masce hamującego już, ale nadal jadącego ze sporą prędkością jeepa wranglera.

Samochody wpadały na siebie, wokół słychać było zgrzyt zgniatanej blachy, pisk hamujących opon, krzyki przypadkowych przechodniów i głucho uderzenia jednych aut o drugie.

Bruno wskoczył na jezdnię, dopadł do Zielińskiego, który leżał w dziwnej, wykręconej pozycji na wewnętrznym pasie, przyłożył dłoń do jego szyi, a potem odchylił mu głowę, zbliżył policzek do ust poszkodowanego i przeklął pod nosem.

– Ty, w okularach! – Wskazał palcem na mężczyznę, który kierował jeepem. – Dzwon po karetkę! A potem leć po AED na stację. Już! – wrzasnął, bo facet wydawał się zszokowany panującym chaosem.

Bruno wiedział, że w takiej sytuacji trzeba prosić o pomoc konkretną osobę, inaczej nikt nie ruszy się z miejsca. Oszołomieni ludzie rozglądali się wokół jakby w amoku – ktoś płakał, jakaś kobieta tuliła swoje przerażone dzieci. Wilczyński w pośpiechu ściągnął kurtkę, rzucił ją na pas zieleni i zaczął robić Adamowi masaż serca. Działał jak maszyna, nie czuł strachu, był zdecydowany i skupiony. Nie przerażała go krew, która wypływała z ucha Fantoma i tworzyła na asfalcie swoisty brunatny pejzaż. Uciskając jego klatkę piersiową, liczył w myślach powtórzenia. Trzydzieści uciśnień, dwa wdechy, do czasu gdy przyjedzie pogotowie albo zabraknie sił, przypominał sobie.

Nie miał pojęcia, ile to trwało. Kilka minut, a może dużo więcej, ale w którymś momencie z oddali dobiegł go dźwięk syreny karetki pogotowia. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ratownik medyczny odepchnął go, nachylił się nad poszkodowanym, krzychał coś do swojego kolegi, który biegł z zestawem AED. Bruno uniósł głowę i zobaczył na niebie niebieski helikopter stacji TVN24.

Nagle poczuł się strasznie zmęczony. Zerknął w stronę stacji benzynowej i dostrzegł Larysę stojącą na chodniku. Dziewczyna zaciskała zęby, a jej oczy wydawały się przerażająco smutne. To

kilkusekundowe spojrzenie, które wymienili, nasycone było wściekłością i żalem. Miało posmak złamanej obietnicy.



Dom Pawła Wiśniewskiego tonął w szarości, kurzu i pajęczynach. Larysa schroniła się w nim po wypadku Adama. Rozdygotana zasnęła na starym tapczanie, a teraz, gdy się ocknęła, postanowiła dokończyć artykuł.

W pomieszczeniu unosił się zapach starych mebli i zgnilizny, od którego zrobiło jej się niedobrze. Stąpała ostrożnie w stronę kuchni, a podłoga pod jej nogami cicho skrzypiała. Na ułamek sekundy przed jej oczami stanęła schorowana, niedowidząca żona Pawła, która trzymała się kuchennych szafek i niepewnie, drobnymi krokami wychodziła jej na przywitanie. „Lareńka”, tylko ona tak na nią mówiła. To wspomnienie zalało Larysę falą duszącej w gardle czułości. Jeszcze bardziej wzruszyła się, gdy dostrzegła, że na ceracie w owoce, która przykrywała stół, nadal tkwiły dwa puste kubki po herbacie, obok nich leżał pokryty grubą, białą pleśnią chleb w folii, a na blacie znajdowała się puszka z brzoskwiniami w syropie i otwieracz do konserw. Jakby czas stanął w miejscu, gdy Maria odeszła.

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk telefonu, ale gdy zerknęła na wyświetlacz, nie była pewna, czy chce odebrać. Po tym, co widziała na Puławskiej, czuła do Brunona wyłącznie żal. Nie chciała słuchać jego tłumaczeń i przeprosin. Odrzuciła połączenie, wyciszyła telefon, a następnie ułożyła się w fotelu przykrytym wełnianą narzutą, wydzierganą przez Marię na drutach. Na nogach opartych o skórzany puf położyła laptopa i zatoneła w historii Fantoma. Do oddania tekstu zostały jej dwie godziny – to dlatego Anita Lange wydzwaniała do niej w panice od rana. Artykuł był niemal gotowy, ale dziennikarka musiała jeszcze uzupełnić kilka drobiazgów. Wydawało jej się, że duch Wiśniewskiego w jakiś sposób nad nią

czuwa. Słowa łagodnie wypływały spod palców, łączyły się w zdania, a wreszcie tworzyły obrazy z życia Adama Zielińskiego. Napisała cały reportaż, wkładając w to nowe emocje i korzystając z perspektywy zdarzeń poranka. Brakowało jej tylko zakończenia. By je poznać, wybrała numer do Stowarzyszenia Nasi Kochani i poprosiła do telefonu Barbarę Zielińską.

– Co powiedzieli lekarze? W jakim stanie jest Adam? – zapytała, gdy matka Fantoma przejęła słuchawkę.

Kobieta najwyraźniej nie od razu zrozumiała, z kim rozmawia, bo jej milczenie się przedłużało. Po chwili w słuchawce rozległ się dźwięk nabierania powietrza, jakby nagle skojarzyła barwę głosu.

– Jak pani śmie? – wysyczała. – Myślałam, że wyraziłam się jasno. Nigdy więcej nie chcę rozmawiać o moim synu. Przynosił mi wstyd całe życie, nic dziwnego, że kiedy w końcu zdecydował się umrzeć, zrobił to tak, by mnie upokorzyć.

Larysa zacisnęła mocno pięści i przygryzła wargi. Gdyby miała Zielińską na wyciągnięcie ręki, mogłaby nie opanować złości wobec wyrodnej matki. Barbara przypominała jej oślizgłą żmiję, budziła jedynie wstręt i obrzydzenie.

– Muszę wiedzieć, czy z tego wyszedł – starannie wyartykułowała każde słowo, by nie dać się ponieść emocjom.

– Dlaczego nagle wszystkich to obchodzi, co? To zwykły nieudacznik, nie tak go wychowywałam. – Zielińska nie przestawała pluć jadem. – A teraz chcą mi wmówić, że był agresywny z powodu nowotworu i uderzył własną matkę, bo w mózgu rozrósł mu się jakiś glejak czy coś. Jakby to wszystko usprawiedliwiało.

Słowa Barbary Zielińskiej przypomniały Larysie, jak Adam bił się po głowie i łapał się za nią, mrużąc oczy z bólu. Jego impulsywne i niepokojące zachowania w świetle nowej diagnozy zaczynały nabierać sensu, ale nadal zagadką pozostawało, czy mógł skierować je przeciwko Oliwii Sosze i Paulinie Ostrowskiej. Ironią wydawał się fakt, że gdyby nie wypadek, najpewniej nikt i nigdy nie dowiedziałby się o jego chorobie. A on sam do końca wierzyłby, że

całe zło, które go spotyka, jest wyłącznie jego winą. Bo tak nauczyła go myśleć jego matka.

– Jeszcze jedno – podjęła Larysa, bo pewna kwestia nie dawała jej spokoju. – Ten dzień, kiedy przyszedł do domu po rzeczy siostry i rzucił się na ciebie... Kiedy dokładnie to było? Tydzień przed naszym spotkaniem?

Barbara westchnęła ciężko.

– Nie wiem, nie pamiętam – mruknęła od niechcienia. – Pojawił się na Bielanach jakoś po wiadomościach, a później zaczął grzebać w szafkach, wyrzucać rzeczy Ani i wydzierać się na mnie bez powodu. Z tego wszystkiego nie obejrzałam *Dumy i uprzedzenia*, a tak bardzo czekałam na ten film.

Larysa zamyśliła się, w pośpiechu odszukała w internecie datę emisji melodramatu, a później sprawdziła pierwsze doniesienia o śmierci Oliwii Sochy i niespodziewanie spłynęła na nią fala ulgi. Adam Zieliński nie mógł zabić kobiety, bo był wtedy w mieszkaniu swojej matki.

– On umrze, ja to wiem – powiedziała niespodziewanie do słuchawki Barbara. – Dlatego nie mogę pojechać do szpitala. Nie było mnie przy nim całe życie, a teraz miałabym patrzeć, jak odchodzi? – dodała łamiącym się głosem.

Dziennikarka poczuła w trzewiach piekącą falę złości i śliski, lepki wstręt do tej kobiety.

– Nie pytaj mnie o to, ja cię nie rozgrzeszę – odparła sucho. – Jeśli szukasz wybaczenia, to błagaj o nie swojego syna.

Kiedy odłożyła telefon, powiodła wzrokiem po pokoju gościnnym Pawła. Naprzeciwko ławy, przy której siedziała, znajdował się stary segment z pomalowanymi złotą emalią plastikowymi uchwytami do szafek. Niektóre z nich były nadłamane, a jeden zwisał na obluzowanej śrubce i wydawało się, że lada moment spadnie na dywan.

Dziewczyna podniosła się z fotela, by naprawić mebel, a gdy otworzyła przekrzywione drzwiczki szafki, jej oczom ukazała się drewniana skrzynka. Starła z niej warstwę kurzu, po czym zajrzała do środka, pewna, że znajdzie tam przybory do szycia należące do

Marii. Myliła się jednak – szkatułka pełna była czarno-białych zdjęć z dawnych lat. Usiadła z nimi na podłodze, przeglądając je zachłannie, a z każdym następnym jej palce drżały coraz bardziej. Był na nich Paweł w pracy, uśmiechający się do nieżyjącego już prezesa Media Corp, zarazem ich wspólnego przyjaciela, Henryka Mastalerza. Paweł w fotelu z gazetą, Paweł z kolegami pod namiotem.

Gdy dotarła do ślubnych zdjęć Wiśniewskich, wstrzymała oddech, a żołądek zacisnął jej się w supeł. Kadry wypełniały miłość, radość i spokój. Larysa dotykała opuszką palca młodzieńczej twarzy przyjaciela, patrzyła na jego bujne jeszcze wtedy włosy i podziwiała szczupłą sylwetkę. Nagle jej uwagę przyciągnęła fotografia, na której widać było dwie zaobrączkowane, splecione ze sobą dłonie w bliskim planie.

Dziennikarka zaczęła gorączkowo przerzucać zdjęcia, a wkrótce była już pewna, dlaczego obraz dłoni Pawła, którą widziała w Zakładzie Medycyny Sądowej, nieustannie do niej wracał i nie dawał spokoju. Nie chodziło o to, że uszkodzona kończyna miała tylko jeden palec, z którego, jak poinformował ją lekarz, zdjęto obrączkę, tylko o fakt, że była to prawa ręka. A Wiśniewski, co widziała teraz wyraźnie na każdym zdjęciu, nosił obrączkę na lewej dłoni. Musiała to zarejestrować gdzieś w zakamarkach umysłu, a ten wysyłał jej subtelne sygnały o niezgodności, gdy dokonywała rozpoznania zwłok.

Wiedziała oczywiście, że mógł po prostu przełożyć biżuterię i że nadzieja, która właśnie zaczęła w niej kiełkować, była potencjalnie jedynie wyrazem zaprzeczenia, jednego z etapów żałoby, a mimo to nie potrafiła się uwolnić od myśli, że to nie Paweł zginął pod kołami tamtego pociągu.



Na komendzie wrzało niczym w ulu.

Nie było osoby, która nie widziała nagrania z Puławskiej i ujęć zarejestrowanych przez kamery przemysłowe, przedstawiających pościg Wilczyńskiego za mężczyzną, który wtargnął na jezdnię. Policjanci analizowali sytuację, a przy tym wymieniali się opiniami na temat zachowania kolegi. Każdy miał w zanadrzu swoje „trzeba było”, „powinien”, „mógł najpierw” i „ja to bym”. Paletę dobrych rad i komentarzy na temat sprawności Brunona, jego trudnego charakteru oraz konsekwencji, jakie mogły go teraz spotkać. Choć tak naprawdę żaden z kolegów nie znał genezy tej sytuacji, a swoje opinie opierali jedynie na wyobrażeniach.

Kiedy w trakcie tych ożywionych dyskusji Wilczyński wkroczył do pokoju, zapadła nienaturalna cisza, a kilka osób znacząco chrząknęło, by zamknąć usta tym, którzy nie zdążyli jeszcze zauważyć, że obiekt ich debaty stoi kilka kroków dalej.

Bruno powiódł wzrokiem po zaskoczonych twarzach: niektórzy spuścili oczy, inni posyłali mu krzepiący uśmiech, ale większość miała wypisany na twarzy niepokój.

– Nie przeszkadzajcie sobie – skomentował. – Wiem, że jesteście najmądrzejsi i na moim miejscu wszystko zrobilibyście lepiej. Może chcecie mi udzielić jakichś wskazówek przed rozmową z naczelnikiem? – Popatrzył badawczo na kolegów, których pewność siebie nagle gdzieś wyparowała. – Nie? To zajmijcie się swoją robotą.

– Daj spokój, stary – odezwał się jeden z policjantów. – Tak tylko rozmawialiśmy.

Wilczyński nie zareagował na to nieśmiałe wyciągnięcie ręki, odwrócił się tyłem i skierował w stronę gabinetu Mariana Pękały.

Kiedy wszedł do środka, jego przełożony rozmawiał akurat przez telefon. Machnął ręką na Brunona, a potem wskazał mu krzesło i bezgłośnie poprosił, by zaczekał.

– Nie, nie będę. Nie mam teraz czasu, powiedziałem już. Żegnam! – wykrzykiwał do słuchawki, którą z hukiem rzucił na widełki. – Kurwa mać, ja nie wiem, po co my mamy tego rzecznika, skoro oni wszyscy dzwonią do mnie?! – bulwersował się. – Bo pan Pałka ma zajęty telefon! A co mnie to, do chuja, obchodzi?!

Wilczyński wiedział, że w trakcie monologu szefa lepiej się nie odzywać, dlatego jedynie rozłożył ręce w geście bezradności.

– A ty co, do mimów się zapisałeś? Zazwyczaj gęba ci się nie zamyka – kontynuował poirytowany naczelnik. – Ale może i dobrze, na razie siedź cicho. Dopóki ta gównoburza się nie skończy, masz się nie wychylać. Zrozumiane? – Nasrożył groźnie brwi. – A teraz wytłumacz mi raz jeszcze, nie pomijając żadnego detalu, skąd, do kurwy nędzy, wytrzasnąłeś tego podejrzanego?

– Naczelna „Newsweeka”, Anita Lange, zleciła swojej reporterce artykuł o nim, a później dostała od kogoś z naszych profil sprawcy tych dwóch morderstw i połączyła fakty. Dziennikarka zajmująca się tematem przyszła do mnie skonsultować sprawę, a potem wskazała miejsce przebywania podejrzanego – wyjaśnił. – Resztę już znasz z telewizji. Poszedłem w cywilu, żeby go delikatnie wy badać, przeanalizować reakcje i po krótkiej rozmowie stwierdziłem, że to raczej nie jest nasz morderca, ale wtedy pojawił się taki jeden idiota. Zdekonspirował mnie, a podejrzany się przestraszył i zaczął uciekać.

Pękała zamknął oczy, oparł czoło na dłoni, którą pocierał skórę nad brwiami, a drugą ręką zaczął rytmicznie uderzać o blat biurka.

– Dlaczego uciekał, skoro jest niewinny? – zapytał.

– Słyszałeś o Fantomie? – Zerknął na przełożonego, który pokręcił głową. – Tak go nazwali internauci. Facet zakładał białą maskę i prześladował ludzi gnębiących dzieci. O ile wiem, nigdy nikogo fizycznie nie skrzywdził, był raczej takim przerażającym stalkerem, ale i tak nieźle narozrabiał. Myślę, że kiedy zrozumiał, że jestem gliną, przestraszył się konsekwencji. Trzeba będzie go o to zapytać, jak dojdzie do siebie. Na razie leży pod narkozą w szpitalu MSWiA, a lekarze usuwają mu guza mózgu.

Naczelnik przysłuchiwał się opowieści Wilczyńskiego z ciekawością.

– A ta cała Lange podała nazwisko informatora? – dopytał. – Kto od nas przekazał jej poufne dokumenty? Może Justyna Dembska? Ona najszybciej chciałaby się zemścić, za to, że ją odsunąłem. –

Westchnął ciężko. – To był cholerny błąd, że ją w ogóle wziąłem do tej sprawy – dodał gorzko.

Bruno ściągnął brwi i przyglądał się szefowi wnikliwie. Naczelnik przygryzał wąsy z wzrokiem utkwionym w ścianie, jakby coś go trapiło.

– Nie wiem, co powiedział ci jej mąż, ale ten bydlak kłamał – odezwał się Wilczyński. – Nazmyślał jakichś głupot, żeby ją stąd wyrwać i jeszcze bardziej kontrolować. Dembska nie chciała, żebym ci mówił, ale ten facet stosował wobec niej przemoc. Widziałem ślady, jakie miała na przedramionach, poparzenia i siniaki. Wyobrażasz sobie, że gnojek przypalał ją żelazkiem?

Marian Pękała przyglądał się podwładnemu z mieszaniną niedowierzania i zaskoczenia.

– Skąd masz takie wiadomości? Od niej? Według Dembskiego to Justyna... – Chciał mówić dalej, ale do środka wparował niespodziewanie mężczyzna w szykownym płaszczu, trzymający za rękę kilkuletnie dziecko.

Bruno od razu rozpoznał w nim małego Rysia Sochę, a w zbliżającym się szybkim krokiem eleganciku jego ojca, Filipa.

– Chcę wiedzieć, kto to zrobił, słyszysz? – Mąż Oliwii chwycił Wilczyńskiego za ubranie i szarpnął nim, wyciągając policjanta na korytarz. – Nie masz pojęcia, prawda? Minęły prawie dwa tygodnie, a wy nadal nie wiecie niczego. Jesteście jedną wielką bandą nedorajdów. Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, kto odpowiada za śmierć mojej żony. – Założył ręce na piersi i wyzywająco patrzył na Wilczyńskiego i Pękałę.

Naczelnik, który zdążył powstrzymać gestem dłoni policjantów biegnących na ratunek Brunonowi, podszedł do Sochy.

– Jeśli się pan natychmiast nie uspokoi, to zapewniam, że ruszy się pan stąd o wiele szybciej, niż się panu wydaje – oznajmił. – Takie zachowanie tylko utrudnia śledztwo. Rozumiem pana emocje, ale to nie czas ani miejsce na przepychanki. A teraz proszę się ogarnąć, przestać robić wstyd sobie i dziecku i wejść do mojego gabinetu. Porozmawiamy na osobności. – Rzucił wymowne spojrzenie Wilczyńskiemu, dając mu znak, że powinien się oddalić.

Filip Socha przełknął ślinę, poprawił płaszcz, który mu się przekrzywił, gdy zaatakował Brunona, po czym spojrzał na syna przyciskającego do piersi maskotkę w postaci długonogiego króliczka.

– Rysiu, idziesz ze mną? Porozmawiamy sobie z panem.

Mały pokręcił głową, a chwilę później Marian Pękała wyraził swoje zdanie.

– Lepiej, żeby zaczekał tutaj, to nie są sprawy dla małego dziecka. Aspirant Konopacka się nim zajmie. – Wskazał na policjantkę, która nerwowo zamrugła, a później posłała Sosze wymuszony uśmiech.

Mężczyzna przystał na to rozwiązanie.

– Proszę tylko pilnować króliczka. – Wskazał na zabawkę w rękach syna, po czym ściszył głos i nachylił się do aspirant Konopackiej. – Mały nie rozstaje się z nim nawet na chwilę. Myślę, że żona kupiła mu go tamtego dnia tuż przed śmiercią – wyjaśnił, a chwilę później zniknął za drzwiami gabinetu naczelnika.

Sylwia przewróciła oczami, po czym przyklękała, by jej twarz znajdowała się na wysokości buzi dziecka.

– Co chciałbyś robić? – zapytała. – Może porysujemy?

Chłopczyk pokręcił głową i spojrzał na Brunona.

– Tata kłamał – wyszeptał.

Wilczyński ściągnął brwi i natychmiast znalazł się przy malcu.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał zaintrygowany.

– Mama nie kupiła mi króliczka. Była zła, że go chciałem. – Chłopiec spuścił głowę i posmutniał, jakby dopadło go jakieś trudne wspomnienie. – Dostałem go od anioła, który zabrał mamę.

Komisarz Wilczyński i aspirant Konopacka wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Chyba nie rozumiem. – Bruno wydawał się stropiony. – Wyjaśnij mi?

Maluch wzruszył ramionami i wydał dziecięce usteczka.

– No jak się obudziłem i mamy nie było, to przytulał mnie króliczek.

– Wtedy w samochodzie? – uściślił Wilczyński, a gdy mały potwierdził, Bruno popędził do swojego pokoju.

Odszukał w dokumentach zdjęcia paragonów sklepowych potwierdzających godziny, o jakich Oliwia Socha robiła zakupy w dniu śmierci, i zweryfikował nazwy wszystkich produktów, ale nie znalazł wśród nich pluszowej zabawki.

– Może go od kogoś dostała? – zasugerowała Sylwia, która w towarzystwie Rysia weszła do kanciapy kolegi. – Na pewno mieli takie w Lidlu, nazwa ich marki jest na metce. – Wskazała na maskotkę w rękach chłopca.

Głowa Wilczyńskiego pulsowała od nadmiaru myśli. Był niemal pewien, że ten króliczek coś znaczy. Odnalazł nagrania z parkingu sklepowego w lidlu i Galerii Mokotów, a następnie niczym w amoku szukał ujęć, na których widać było malca. Tyle że na żadnym z nich Rysiu nie miał ze sobą zabawki, a skoro był to przedmiot, z którym się nie rozstawał, powinien go mieć już wtedy i nie wypuszczać ze swojej małej rączki.

– Czy na pewno twój pluszowy kumpel pojawił się tamtego dnia? – dopytał dziecko.

– No tak – zapewnił mały.

Nagle komisarzowi przypomniało się coś jeszcze.

– Sylwia, pamiętasz, co powiedział tamten pracownik sklepu, który widział, jak... – Urwał, chcąc uniknąć wspomnienia scen przemocy w sklepie i tylko niemo wskazał na Rysia, pokazując przy tym zaciśnięte ręce i gest szarpania. – Chodzi mi o to, jakie jej słowa przytoczył?

Aspirant Konopacka zamyśliła się, a po chwili podeszła do Brunona i nachyliła się nad jego uchem.

– Kazała mu się zamknąć i przestać jęczeć, bo przeszkadza jej robić zakupy.

– A czy nie mówiła czegoś o tym, że... – zerknął kontrolnie na chłopca, który grzebał w koszu na śmieci – ...nie kupi mu króliczka?

– O kurwa, tak – rzuciła policjantka i natychmiast zakryła dłonią usta, zdając sobie sprawę, że powiedziała to głośno i tym samym

ściągnęła na siebie uwagę dziecka. – Nie słuchaj, kochany – odezwała się do Rysia, usiłując wybrnąć z sytuacji, po czym poklepała go uspokajająco po głowie. – To takie rozmowy dorosłych. Lepiej pokaż, co tam masz. – Wyjęła mu z dłoni pogniecioną kartkę i utkwiała w niej wzrok.

W czasie gdy komisarz Wilczyński szykował się do wyjścia, ona wpatrywała się w ołówkowy szkic twarzy kobiety, z której ust wychodziły czerwie, na policzkach rozlewały się ropne krosty, a oczy straszły zimnym spojrzeniem.

– Jadę do sklepu dowiedzieć się o tego króliczka. Jeśli sprzedawali go w tamtym czasie, poproszę o nagrania, na których widać klientów kupujących maskotkę – oznajmił Bruno.

– Myślisz, że ktoś, kto widział, jak potraktowała dziecko, postanowił je pocieszyć zabawką i uwolnić od despotycznej matki? – pytała, sama jednocześnie zastanawiając się nad tą ewentualnością.

– Jestem prawie pewien, że nasz sprawca był wtedy w sklepie. – Puścił do niej oko, pogłaskał Rysia i ruszył w stronę drzwi.

– Dlaczego to narysowałeś? – zawołała w ostatniej chwili Sylwia, zatrzymując komisarza w drzwiach. – To obrzydliwe. Myślałam, że ją lubisz – zwróciła się do Brunona, pokazując mu rysunek podpisany słowem „POTWÓR”.

– Daj spokój, oboje wiemy, że Socha była okropną babą. Poza tym to nie ja ją narysowałem, tylko Justyna. I muszę przyznać, że ma całkiem dobrą rękę – wyjaśnił, po czym wyszedł pośpiesznie.

Aspirant Konopacka ściągnęła brwi, raz jeszcze zerknęła na obrazek i zastanawiała się, co miał na myśli jej kolega. Ona widziała na rysunku twarz Justyny Dembskiej. Tylko dlaczego profilerka miałaby narysować samą siebie w taki sposób? Szkic budził jedynie odrazę i wstręt. Policjantka myślała o tym jeszcze chwilę, ale ostatecznie wzruszyła ramionami i odłożyła kartkę na biurko.



Kiedy czekała w holu Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki, serce podchodziło jej niemal do gardła. Musiała się upewnić w kwestii obrączki i raz jeszcze porozmawiać z doktorem Jerzym Mąkosą. Lekarz został poinformowany o jej wizycie i obiecał zobaczyć się z nią, jak tylko skończy zajęcia ze studentami. Pojawił się jednak dopiero jakąś godzinę później, gdy przysypiała na krześle, oparta plecami o ścianę. Pod powiekami majaczyły jej uśmiechnięte twarze Marii i Pawła Wiśniewskich, które przybliżały się i oddalały, jakby oglądała je z perspektywy osoby bujającej się na huśtawce. Wyciągała dłonie, by je chwycić, ale za każdym razem jej umykały.

– Proszę pani... – Czyjś głos wyrwał ją ze snu.

Rozglądała się zdezorientowana i przecierała zmęczone oczy. Tuż obok niej w białym kitlu stał doktor Mąkosa.

– Przepraszam, że to tyle trwało – tłumaczył. – Uwielbiam te młode umysły, ale czasem rzeczywiście mogliby zadawać mniej pytań. – Zaśmiał się w serdeczny sposób. – To w czym mogę pani pomóc?

Larysa zastanawiała się, jak to przedstawić, by nie wyjść na osobę, która za wszelką cenę pragnie utrzymać przy życiu kogoś bliskiego i nie potrafi się pogodzić z jego śmiercią.

– Pewnie uzna pan, że zwariowałam, ale czy jesteście pewni, że obrączka Pawła Wiśniewskiego znajdowała się na palcu serdecznym jego prawej dłoni? – wyraźnie podkreśliła ostatnie dwa słowa.

Lekarz bez wahania potwierdził jej słowa.

– Tak, bez żadnej wątpliwości. Zapamiętałem to, ponieważ, jak już pani wspominałem, to był jedyny palec, który w trakcie wypadku nie został amputowany, co w pewnym sensie zakrawało na cud.

Spodziewała się tego, dlatego przed zadaniem kolejnego pytania wzięła głęboki wdech, a potem wyjęła zdjęcia ślubne Pawła i kilka

z lat pracy, na których widać było jego dłonie.

– Proszę w takim razie spojrzeć na to. – Podała mu fotografie.

Jerzy Mąkosa przerzucał czarno-białe prostokąty, a w końcu zniecierpliwiony wysapał:

– Nie rozumiem, o co pani chodzi.

– Tutaj. – Dotknęła palcem miejsca, w którym w kadrze widać było obrączkę. – Nosił ją zawsze na lewej dłoni.

Medyk raz jeszcze obejrzał zdjęcia, po czym usiadł obok i położył rękę na jej ramieniu.

– Wiem, że byliście państwo blisko i że to wszystko jest dla pani trudne, ale Paweł Wiśniewski nie żyje. Zarówno pani, jak i jego brat dokonaliście rozpoznania ciała oraz rzeczy osobistych zmarłego – mówił łagodnym tonem, jakby zwracał się do dziecka. – Mógł przełożyć obrączkę, a może w późniejszych latach nosił ją już na prawej dłoni? Czytałem w prasie, że niedługo przed wypadkiem jego żona zmarła. Mój brat po śmierci bratowej na znak żałoby przełożył obrączkę na drugą rękę i nosi ją tak do dziś.

– To nie ma sensu – odparła zrezygnowana. – Uważa pan, że oszalałam?

Mąkosa wzruszył ramionami.

– Jeśli miłość można nazwać szaleństwem, to pewnie tak. Ale ja jestem człowiekiem nauki, a my wszystko widzimy inaczej. – Uśmiechnął się. – Myślę, że był dla pani bardzo ważny, a takich osób nie chcemy wypuścić z rąk. Nawet gdy są już po drugiej stronie. – Podniósł się z krzesła. – Proszę pozwolić mu odejść, inaczej nigdy żadne z was nie zazna spokoju – powiedział, a potem się oddalił.



Na parkingu przed lidlem był jeszcze spory ruch, ale liczba klientów stopniowo malała po wieczornym szczycie i w sklepowych alejkach robiło się coraz luźniej. Na zewnątrz powoli zapadał

zmierzch, a niebo miało przyjemnie granatowy kolor. Bruno udał się od razu w stronę niebieskich drzwi, zastukał mocno i nasłuchiwał donośnych odgłosów rozmów dochodzących zza ściany.

– Kierowniczką pan szuka? – zagadnął go kasjer siedzący najbliżej wejścia na zaplecze. – Jest gdzieś na sklepie, chyba na alkoholach, bo tam się pobili przed chwilą.

Wilczyński rozejrzał się wokół, po czym przecisnął się obok kolejki stojącej przy kasie i dotarł do działu monopolowego. Na miejscu zastał trzy kobiety i jednego chłopaka ze szmatą, którzy żywo dyskutowali o jakiejś niedawnej awanturze. W powietrzu unosił się zapach wódki i taniego wina, a białe szkło wraz z rozlaną na podłodze cieczą tworzyło swoistą mozaikę.

– Komisarz Bruno Wilczyński z komendy stołecznej, chcę rozmawiać z kierowniczką.

– Pan do tej burdy? Nareszcie, długo to panu zajęło – odezwała się wysoka blondynka o męskiej sylwetce, z krótkimi tlenionymi włosami i przesadnym makijażem. – Zapraszam, mamy ich na zapleczu. – Machnęła na niego ręką i zaczęła iść w kierunku kas, po czym zwróciła się jeszcze do pracowników: – Ogarnijcie to szybko, zanim następny klient coś sobie zrobi.

Bruno usiłował zaprotestować, ale kobieta maszerowała tak szybko, że ledwie ją dogonił. Dopiero gdy odbijała kartę, by wejść na zaplecze, i zatrzymała się na moment, zdołał do niej dopaść.

– Nie przyjechałem w sprawie waszej zadymy. Zajmuję się śledztwem dotyczącym morderstwa i potrzebuję informacji.

Kierowniczka zrobiła niezadowoloną minę i wyciągnęła przed siebie obie dłonie, jakby chciała go zatrzymać.

– Ale chwila, chce mi pan powiedzieć, że choć jest pan na miejscu, to i tak nie pomoże nam pan zająć się tą bójką, bo to nie pańska sprawa?

– Dokładnie tak. Z dedukcją, jak widzę, radzi sobie pani doskonale. Teraz poćwiczmy słuchanie ze zrozumieniem – zapowiedział. – Po mojej prawej za oknem właśnie parkuje radiowóz, chłopaki będą tu za trzy minuty i ogarną wasz burdel.

Tyle czasu wystarczy mi, żeby pokazać pani to. – Otworzył w telefonie zdjęcie królika należącego do Rysia. – Chcę wiedzieć, czy mieliście takie zabawki w sprzedaży osiemnastego listopada, a jeśli tak, to kto je kupił tamtego dnia. Muszę mieć nagrania z monitoringu przy kasach, na których będzie widać, kto wychodzi ze sklepu z maskotką – wyrzucił niemal jednym tchem.

– Chyba Bóg pana opuścił. Zdaje pan sobie sprawę, jak to dużo roboty? Będę musiała odzywać się do centrali i zawracać im głowę.

Bruno przewrócił oczami i westchnął ciężko.

– Ktoś, kto robił u was zakupy, pojechał tamtego dnia za jedną z klientek, a później rozwalił jej głowę młotkiem. Na miazgę. Myślę, że dobrze byłoby wiedzieć, jak wygląda. Na wypadek gdyby wrócił. Nie wydaje się pani?

Kobieta pobladła, przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

– Naprawdę podoba mi się, jak logicznie wyciąga pani wnioski. Wrócę po materiały za godzinę – dodał jeszcze, nim wyszedł.

Kilka minut później zaparkował pod domem Justyny Dembskiej. Zamierzał dowiedzieć się, czy to ona wysłała do mediów profil kryminalny sprawcy, choć nadal wątpił, by zdecydowała się na taki krok.

Skrajny szeregowy budynek miał dwa piętra, firanki w oknach i niedomkniętą furtkę, za którą na pieńku stał ręcznie robiony, zbity z desek karmnik dla ptaków. Wilczyński nie zadał sobie trudu, by użyć domofonu, tylko od razu wszedł na teren posesji, a gdy nacisnął dzwonek do drzwi, usłyszał przekrzykujące się dzieci i hałas przypominający biegnące słonie. Klamka drgnęła, a po chwili jego oczom ukazały się zaciekawione twarze córki i syna profilerki.

– Mamo! – zawołała dziewczynka. – Tu jest jakiś pan!

W tym czasie jej brat zawstydzony schował się za szafą i teraz wyglądał zza mebla z łobuzerskim uśmiechem.

– Jestem kolegą z pracy waszej mamy, mogę wejść? Gdzie ją znajdę?

Dziewczynka przyjrzała mu się podejrzliwie.

– A masz odznakę? Wszyscy koledzy z pracy mamy mają odznaki.

Bruno wylegitymował się przed dziećmi i dopiero gdy zdecydowały, że mówi prawdę, wpuściły go do środka, a przy tym od razu straciły nim zainteresowanie.

– Mama jest w garażu. – Rezulutna kilkulatka pokazała na boczne drzwi. – Sprząta po tym, jak wjechała w ścianę.

Wilczyński uniósł pytająco brwi, ale dzieci już pobiegły na górę, chichocząc i przepychając się na schodach. Zaintrygowany zapukał w drzwi po swojej lewej, za którymi rozbrzmiewał szum odkurzacza, a gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, nacisnął klamkę.

Dembska zgięta wpół sprzątała pod jedną z szafek, a na podłodze pełno było rozbitego szkła, potłuczonych doniczek i porozrzucanych narzędzi. Na ścianie naprzeciwko wjazdu stał stary sekretarzyk, który wyglądał jak po spotkaniu z meteorytem. Jego wewnętrzne drzwiczki były pęknięte i wgniecione do środka, szuflady połamane, a lustro z witryny potłuczone.

Na środku stał czerwony nissan przykryty foliową płachtą. Bruno uniósł do góry jej fragment i zobaczył, że przód samochodu jest całkowicie zmasakrowany.

– Podobno wjechałaś w ścianę! – zawołał, by przekrzyczeć odkurzacza.

Justyna podskoczyła ze strachu i spojrzała na kolegę cała blada. Natychmiast obciągnęła rękawy swetra, ale zdążył zauważyć, że na lewym przedramieniu miała nową ranę. Kiedy już wyłączyła sprzęt i uspokoiła oddech, podeszła do Wilczyńskiego i wyrwała mu z ręki plandekę.

– Zostaw to, dobrze? Co ty tu w ogóle robisz?

– Nie odbierałaś telefonu, więc pomyślałem, że wpadnę. Ktoś wysłał mediom profil kryminalny sprawcy, który stworzyłaś, nie masz z tym przypadkiem nic wspólnego?

Dembska spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie – zaprzeczyła. – Niby po co miałabym to robić?

– Żeby dowalić naczelnikowi Pękale? Wszyscy wiemy, że to idiota, no ale ostatecznie to nie pierwszy lepszy idiota z ulicy, tylko

przygłup, dla którego pracuję, więc jakiś szacunek się należy – błaznował, by zbić ją z tropu.

– Ach! O to chodzi – zareagowała nieco przesadnie i sztywno. – Nie jestem mściwa. Zresztą może i dobrze, że mnie wyłączył ze sprawy, teraz mam przynajmniej więcej czasu dla rodziny.

Bruno nie do końca jej wierzył, ale uznał, że na ten moment zgodzi się przyjąć to wątle usprawiedliwienie.

– A pamiętasz, czy Rysio Socha miał ze sobą maskotkę króliczka, gdy wiozłaś go do szpitala?

Justyna namyślała się wyjątkowo długo.

– Nie jestem pewna – odparła. – Wiem, przepraszam, zawałam. – Spuściła smutno głowę.

– Chodź, królowo samoudręczania. – Bruno wskazał głową na drzwi. – Napijemy się kawy, a ty opowiesz mi o tym, co się tu, do jasnej cholery, wydarzyło. – Schylił się, by podnieść z podłogi połamane obcęgi, które zawiesił na tablicy warsztatowej obok innych narzędzi.

Gdy znaleźli się w schludnie urządzonej, jasnej kuchni, Justyna uruchomiła ekspres, a później przeprosiła go i wyszła do toalety. Ledwie zniknęła, obok Wilczyńskiego pojawiły się jej dzieci.

– Chcesz zobaczyć nasz pokój? – zapytała dziewczynka. – Mamy tam rozgwieżdżone niebo.

– Sami wszystko zrobiliśmy – dodał chłopczyk, który aż podskakiwał z podekscytowania.

Bruno nie zdołał nawet wymyślić zgrabnej wymówki, by uniknąć podziwiania wystroju pokoju dziecięcego, bo małe, pulchne dłonie chwyciły go za ręce i zanim zdążył się zorientować, był już w połowie schodów.

– Zamknij oczy – zażądała dziewczynka, a potem popchnęła go do środka. – Już, możesz otworzyć – oznajmiła.

Wilczyński czuł się oszołomiony setkami świecących fluorescencyjnych punkcików na ścianach i na suficie. Przywodziły na myśl magiczną krainę i choć się przed tym bronił, nie potrafił przestać się uśmiechać na ich widok.

– Piękne – stwierdził, kiwając głową z uznaniem. – Macie swoje własne niebo w pokoju.

Dzieci zapiszczały z radości, a gdy wreszcie zapaliły światło, z dumą opowiedziały mu, że każdą gwiazdkę same wycięły ze specjalnego papieru, a później osobiście przykleiły do tapety.

– Tylko te na suficie przyczepiała mama, bo my nie sięgaliśmy tak wysoko, nawet na drabinie – wyjaśniła córka Dembskiej.

– A to co? – Podniósł leżącą pod łóżkiem różową tiulową spódniczkę baletnicy i otrzepał ją z kurzu. – Nie potrzebujesz jej na zajęcia?

Dziewczynka wyrwała mu ubranie z rąk, a potem na powrót cisnęła strój tancerki pod łóżko.

– Nie! – krzyknęła rozzłoszczona. – Dlatego, że już nigdy nie pójde na balet. Mama mi zabroniła.

– Hej, co tu się dzieje? – zapytała Justyna, która niespodziewanie stanęła w progu. – Dajcie panu spokojnie wypić kawę.

Bruno puścił do maluchów oko, po czym w towarzystwie profilerki wrócił do kuchni. Musiał przyznać, że dawno nie pił tak dobrej kawy. Raczył się nią spokojnie, mruczając pod nosem, a wreszcie nawiązał do tematu rozbitego samochodu.

– To nic takiego. Byłam zmęczona, pomyliłam gaz z hamulcem i tak wyszło. – Wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, musiałaś nieźle przygrzmocić.

– Wydaje ci się. To była stara szafka, zresztą trzeba było ją wyrzucić już dawno temu. – Uśmiechnęła się, ale chwilę później, gdy przez uchylone okno do kuchni dotarł dźwięk parkującego pod budynkiem samochodu, jej twarz stężała. – Myślę, że powinieneś już pójść.

Złapała niedopitą kawę Wilczyńskiego, wylała ją do zlewu, a kubek schowała do zmywarki. Widział, jak nerwowo spogląda w stronę drzwi i zaciska dłonie.

– Mój mąż nie lubi, kiedy sam na sam spędzam czas z innymi mężczyznami. Jest chorobliwie zazdrosny – wyszeptała drżącymi ustami.

Policjant miał ochotę skonfrontować się z facetem, zadać mu kilka niewygodnych pytań, a może nawet dać mu w zęby, ale nie chciał, by przez jego obecność Justyna narobiła sobie kłopotów, dlatego mimo wewnętrznego oporu zgodził się wyjść.

– On wejdzie garażem – dodała jeszcze Dembska, widząc wahanie Brunona, gdy znalazł się pod drzwiami.

Zamierzał to skomentować, ale ostatecznie ugryzł się w język. Zamiast tego wyszedł na zewnątrz i usiadł na swoim motocyklu. Jednak kiedy chwilę później dostrzegł światło sączące się spod drzwi garażowych, nie był w stanie dłużej ze sobą walczyć. Zastukał w nie pięścią i czekał. Ktoś odezwał się ze środka, mechanizm bramy drgnął, a potem drzwi zaczęły się otwierać ze zgrzytem.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał elegancki mężczyzna w garniturze, z aktówką w dłoni.

– Może zacznij od tego, że przestaniesz tłuc żonę – wypalił bezpośrednio Bruno.

Dembski przymknął powieki i pokręcił głową. Nie wydawał się zdenerwowany, oburzony, ani nawet specjalnie zaskoczony, raczej zmartwiony i rozczarowany, a to zaintrygowało Wilczyńskiego.

– Myślałem, że ten etap mamy już za sobą. – Westchnął ciężko. – Pan pewnie z pracy, prawda? Widział pan jej rękę, tak?

Bruno był zdezorientowany. Oczekiwał pyskówki, może nawet rękoczynów, ale nie kulturalnej rozmowy.

– Tak, a co to ma do rzeczy? – zapytał.

– Justyna pana okłamała – wyjaśnił. – Nigdy nie podniosłem na nią ręki. Moja żona jest chora, dlatego poprosiłem naczelnika Pękałę, by ją odsunął od tego śledztwa. Chciałem ją chronić. Przez tę sprawę wróciła do zachowań autoagresywnych. Nie radziła sobie ze stresem i presją. To żelazko i ten wypadek. – Pokazał na rozbite auto i ścianę. – To ona, nie ja. Ból fizyczny pomaga jej odciąć się od bólu emocjonalnego. Rani się, gdy nie radzi sobie z życiem.

– Wygodna teoria – stwierdził Bruno, choć nie był już pewien, które z nich mówi prawdę.

– Nie musi mi pan wierzyć. Zostawiłem pana przełożonemu do wglądu wypis ze szpitala. Myślę, że gdy się pan z nim zapozna,

wszystkie wątpliwości znikną. – Posłał policjantowi smutne spojrzenie. – A teraz przepraszam, dzieci na mnie czekają.

Kiedy Wilczyński wyszedł z garażu, dostrzegł przygarbioną sylwetkę profilerki w kuchennym oknie. Na jego widok odsunęła się od szyby i zniknęła w głębi domu. Nie mógł być tego pewien, ale towarzyszyło mu przeświadczenie, że słyszała każde słowo z ich rozmowy.



Bartosz Luboń miał wiele wad, czasami za bardzo chciał zaimponować kolegom, a przez to niekiedy wpadał w kłopoty, na szczęście miał też zalety, które istotnie równoważyły słabsze strony. Od dziecka bowiem kochał komputery i jeśli trzeba było kogoś odszukać lub niemalże wykopać spod ziemi, radził z tym sobie z niebywałą lekkością.

Kiedy trafił na ślad detektywa Maciejewskiego i usłyszał jego głos z charakterystycznym, trudnym do zapomnienia francuskim „r”, od razu przypomniał sobie mężczyznę, który pomógł mu, gdy pokłócił się z siostrą. Znajdował się wtedy w okolicach Blue City, Larysa wyrzuciła go z samochodu po długiej i nieprzyjemnej wymianie zdań, ale jakiś przyjazny facet w błyszczącym audi zatrzymał się i zaoferował mu podwózkę. Wtedy nie mógł uwierzyć, że jest takim szczęściarzem, ale teraz zrozumiał, że nie było w tym nawet odrobiny przypadku.

Po kilkunastu godzinach wiedział o Radosławie Maciejewskim wystarczająco dużo, by go zaskoczyć. Znał adres jego agencji detektywistycznej, dowiedział się, gdzie mieszka, ile ma córek, co najchętniej jada i z kim prawdopodobnie zdradza żonę. Co do tego ostatniego nie miał stuprocentowej pewności, ale z informacji, które znalazł na profilu facebookowym jego żony i jego potencjalnej kochanki, wnioskował, że mężczyzna także miał swoje sekrety.

Brat Larysy czekał na detektywa pod blokiem numer dziewięć przy ulicy Sokratesa. Wcześniej obserwował, jak żona i córki Maciejewskiego kupowały w niewielkiej włoskiej pizzerii obiad, a później uśmiechnięte od ucha do ucha szły z nim do domu, ciesząc się, że zrobią niespodziankę Radosławowi. Nie mogły wiedzieć, że Bartosz Luboń również miał taki plan i zamierzał je uprzedzić.

Kiedy białe, błyszczące audi mężczyzny zatrzymało się kwadrans później pod bramą garażową, Bartek zagroził mu drogę i stanął przed maską z rękami na biodrach. Z nerwów pocily mu się dłonie, ale uznał, że detektyw jest jego ostatnią szansą na wyjście z bagna, w które coraz bardziej się zapadał. Mężczyzna najpierw usiłował przegonić chłopaka machnięciem ręki i klaksonem, ale po chwili najwyraźniej skojarzył jego twarz, bo dał mu znak, by wsiadł do środka.

– My się skądś znamy, prawda? – rzucił, udając, że usiłuje sobie przypomnieć.

– Podrzucił mnie pan kiedyś do akademika – wyjaśnił, choć był pewien, że Radosław tylko gra na zwłokę. – Wtedy myślałem, że to była zwyczajna przysługa miłego faceta, ale teraz już wiem, że się myliłem. W pracy detektywa nie ma przypadków, prawda?

Maciejewski przełknął ślinę.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. Czego pan chce?

– Darujmy sobie tę szopkę. – Głos Bartka stawał się coraz bardziej zdecydowany i pewny. – Wiem, że to pan wysyłał mi te zdjęcia i wiadomości z pogrózkami. Chciał pan, żebym myślał, że potraciliśmy mężczyznę w lesie. Pytanie tylko: dlaczego?

Detektyw zaparkował na wyznaczonym miejscu oznaczonym numerem siedem.

– To nonsens – rzucił i zamierzał wysiąść z samochodu, ale chłopak złapał go za rękę.

– Na górze pańska żona i córki czekają z gorącą pizzą. Nie wydaje mi się, żeby chciały ją zjeść w towarzystwie gościa, który je okłamuje. – Zmierzył Radosława wzrokiem. – Ciekawe, czy się ucieszą, jeśli im powiem, że zamiast iść z nimi na obiecaną rewię

na łodzi, na którą tak bardzo czekały, pojechał pan z przyjaciółką do hotelu na Mazurach?

Maciejewski drgnął i zacisnął usta w wąską kreskę.

– To fascynujące, że w tym samym czasie, gdy pana żona wrzucała na portal społecznościowy zdjęcia z córkami i pisała, jak bardzo brakuje im ojca, pana kochanka dodawała na swoje konto zdjęcia z hotelu. Wprawdzie nigdy nie było na nich widać twarzy jej towarzysza, ale dostrzegłem te trzy pieprzyki. – Dotknął prawej dłoni mężczyzny i wskazał znamię. – Są przekozackie, wyglądają jak tatuaż. Dlatego zwróciłem na nie uwagę już przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Zamknij się! – warknął mężczyzna.

– To teraz pana kolej na opowieści – zaproponował Bartek z błyskiem w oku. – Kto kazał mnie śledzić i po co?

Detektyw wziął głęboki wdech i przetarł dłonią czoło.

– Jaką mam gwarancję, że moja rodzina nie dowie się o Sandrze? – dopytywał, pocierając dłońmi kierownicę.

– Ma pan szansę, proszę jej nie zmarnować. – Wyjął z kieszeni komórkę i pokazał mężczyźnie swoją rozmowę z córką detektywa na Facebooku. – Zabawna dziewczyna – skwitował. – Myśli pan, że wykaże się poczuciem humoru, kiedy się dowie, jak ją pan okłamuje?

Maciejewski przeklął i uderzył ręką w kierownicę.

– Robert Haller – wyrzucił w końcu z siebie. – Prezes Haller Investments. To on chciał mieć na ciebie haka, żeby szantażować twoją siostrę. Polecił mi, że mam coś znaleźć, a jeśli tego nie znajdę, to spreparować.

Bartek pomyślał, że wypadek w lesie był niczym manna z nieba dla mężczyzny, który dzięki temu mógł go nękać.

– Tyle że to nie ja potrafiłem tamtego człowieka. Zrobiły to gliny, a kiedy policjanci zaczęli zacierać ślady, pański blef się sypnął.

Radosław Maciejewski kiwnął głową. Wydawał się zmęczony i wyczerpany. Jego twarz świeciła się od potu, a oczy stały się matowe.

Młody Luboń dokładnie na taki moment kapitulacji czekał.

– Proponuję układ – odezwał się. – Da mi pan zdjęcia gliniarzy zrobione tamtej nocy w lesie, a ja zapomnę o pani Sandrze i waszej romantycznej eskapadzie do mazurskiej głuszy.

– Skąd przypuszczenie, że mam takie zdjęcia?

– Bo z tego, co o panu wyszperałem, jest pan dobrym detektywem. Tylko trochę kiepskim mężem – dodał Bartek z uśmiechem satysfakcji.



Kiedy komisarz Wilczyński obudził się tego ranka, miał wrażenie, że przeżywa niekończące się *déjà vu*.

Towarzyszył mu męczący natłok myśli, głowa wydawała się ciężka, a presja czasu coraz silniejsza. W pośpiechu zebrał materiały, które otrzymał poprzedniego wieczoru z Lidla, i ruszył do wyjścia. Częściowo przejrzał je wieczorem, zanim zasnął nad otwartym laptopem z głową nienaturalnie wygiętą do tyłu. Ocknął się w środku nocy z powodu przejmującego zimna, ale był na tyle nieprzytomny, że jedynie sięgnął po ręcznik, który wisiał nieopodal na suszarce do prania, przykrył nim ciało i ponownie pogрузił się we śnie. Dopiero teraz zrozumiał, jak poważny popełnił wtedy błąd. Czuł się połamany, a jego ciało pokrywała gęsia skórka wywołana niedającym się przegonić odczuciem chłodu.

Z kubkiem parującej kawy, w której zdecydowanie chętniej by się wykapał, niż ją pił, znalazł się przy biurku aspirant Konopackiej.

– Przeszedłem powiedzieć ci te dwa słowa, które tak bardzo pragniesz usłyszeć. – Spojrzał na nią przeciągle, zatrzepotał rękami, a Sylwia w panice zbladła. – Do roboty. – Uśmiechnął się i położył na jej biurku płyty z nagraniami ze sklepu.

Jego koleżanka nieoczekiwanie przybrała triumfujący wyraz twarzy.

– Nic z tego. Dziś musisz zadręczać kogoś innego – odparła.

– Daj spokój. Zostało już tylko kilka godzin. Sporą część przejrzałem w nocy. Na każdej płycie masz oddzielną kasę, przez którą tamtego wieczoru sprzedano króliczka. Centrala sieci twierdzi, że w przedziale czasowym, jaki mnie interesuje, klienci kupili piętnaście maskotek w tym konkretnym sklepie. Zapisałem zdjęcia czterech osób, tobie zostało jeszcze jedenaście.

– Nie tym razem – odpowiedziała, kręcąc głową. – Wpadłam tu tylko na chwilę, mam wolne i właśnie wybieram się na randkę. Zostawiłam ci też wiadomość na biurku, zerknij, to może być coś ważnego.

Bruno przewrócił oczami, a później teatralnie otarł niewidzialną łzę z policzka.

– Jestem zdruzgotany. Idę się rzucić pod kołdrę – skomentował.

– Lepiej idź do szefa. Szukał cię i chciał pogadać.

Wilczyński westchnął ciężko, a w drodze do gabinetu przełożonego mruknął jeszcze pod nosem, tak, by aspirant Konopacka słyszała:

– Co poradzę, że jestem tak rozchwytywany?

Chwilę później był już pod drzwiami Mariana Pękały.

– Hej. – Wszedł bez pukania do środka, przyłapując szefa na wyjadaniu serka homogenizowanego z pudełka. – Podobno chciałeś pogadać.

Naczelnik otarł chusteczką higieniczną wąsy, w pośpiechu uprzątnął biurko i popił posiłek sokiem z buraka.

– Odezwał się do mnie mąż Dembskiej. Podobno rozmawialiście ze sobą wczoraj.

– Tak, wpadłem do Justyny zweryfikować, czy to nie od niej poszedł ten przeciek, i natknąłem się na jej męża. Twierdzi, że nigdy nie podniósł na nią ręki i że Dembska jest chora. Nieźle, co?

– Właśnie w tej sprawie do mnie dzwonił – przerwał mu przełożony. – Uznał, że się przyjaźnicie, i chciał, żebyś się z czymś zapoznał. Powiedział, że on już nie ma siły, ale może ty będziesz umiał jakoś do niej dotrzeć.

Pękała zaczął grzebać w szufladzie, po czym podał Wilczyńskiemu niebieską teczkę na gumkę.

- To nie będzie łatwa lektura, Bruno - podkreślił. - Sam przeczytałem tylko wstęp, nie potrafiłem więcej. Niech te informacje nie wypłyną na jaw równie łatwo jak to, że Dawid Gajda jest moim siostrzeńcem, rozumiesz?

Komisarz zapewnił przełożonego o dyskrecji, a później zamknął się w swoim pokoiku i czytał raport z pobytu Justyny w szpitalu kilka lat wcześniej.

Historia była tak trudna, że Bruno musiał ją sobie dawkować. Dembska trafiła wtedy na oddział ratunkowy, ponieważ poparzyła sobie uda wrzątkiem. Lekarz, który ją prowadził, zauważył na jej ciele jeszcze kilka innych dziwnych blizn, a że miał w rodzinie osobę autoagresywną i widział już niejedno, poprosił psychiatrę o konsultację.

Wkrótce okazało się, że pacjentka sama wylała sobie na nogi ukrop, by poczuć chwilową ulgę i uwolnić się od napięcia emocjonalnego związanego z wymaganiami macierzyństwa. W jej przypadku zachowania autoagresywne służyły radzeniu sobie z trudnymi sytuacjami, wspierały regulację lęku, gniewu i napięcia. W ten sposób wymierzała sobie także karę za to, czego nie potrafiła w sobie zaakceptować, co uważała za słabe i żałosne. Czym pogardzała. Wilczyński aż drgnął, gdy dotarł do tej myśli. Niespodziewanie wróciły do niego słowa Jacka Lewickiego. „Ktoś, kto tak bardzo nienawidzi innych, musi jednocześnie pałać odrazą w stosunku do samego siebie. On nie wymierza kary tylko swoim ofiarom, ale też sobie”.

Bruno patrzył niewidzącym wzrokiem w okno, a wszystkie drobiazgi niczym w magicznej układance trafiały na swoje miejsce. Klej na ubraniu Oliwii Sochy, którym Justyna przyklejała z dziećmi gwiazdki na kosmicznym niebie, drewniany karmnik dla ptaków, zapewne zbity młotkiem z jej garażu, jej sugestie, by w roli sprawcy widzieć mężczyznę, i złość, gdy została odsunięta od sprawy i tym samym straciła nad nią kontrolę. Jej perfekcjonizm, ambicja i samoudręczanie. A jednocześnie wiedza na temat tego, czego będzie szukać policja na miejscu zbrodni. Wszystko pasowało.

Z gorącym od emocji czołem uruchomił nagrania ze sklepu, a później odszukiwał w materiałach zapis konkretnej kamery pokazującej jedną wybraną kasę i przewijał do momentu, w którym według notatek powinno dochodzić do zakupu maskotki.

Nagle na nagraniu jego oczom ukazała się profilerka Justyna Dembska wykładająca rzeczy z koszyka na sklepową taśmę.

– O kurwa – rzucił pod nosem.

Obserwował, jak kasjerka obsługująca policjantkę podnosi do góry maskotkę króliczka i przesuwają ją przed czytnikiem, a następnie podaje klientce.

Bruno zaczął chaotycznie przerzucać papiery na biurku, aż w końcu natrafił na zmiętą żółtą karteczkę samoprzylepną.

„Dzwoniła właścicielka błękitnego volvo ze Stryjeńskich, Teresa Kruszewska. Chciała przekazać, że pomyliły jej się dni i że tamtego dnia nie była na terapii, tylko pożyczyła samochód córce”.

Wilczyński poczuł, jak wszystkie włoski jeżą mu się na karku. W pośpiechu przerzucał zdjęcia samochodów, które udało się zarejestrować kamerom przemysłowym, a w końcu z bijącym sercem zatrzymał się na fotografii niebieskiego samochodu. Wprawdzie twarz kierowcy była niewyraźna, ale bez trudu rozpoznał auto i różaniec wiszący na lusterku. Bez wątplenia był to samochód matki Justyny Dembskiej.

Zerwał się z krzesła i zaczął wkładać kurtkę, a chwilę później wparował do gabinetu naczelnika Pękały, rzucając mu na biurko plik kartek, łącznie ze zdjęciem niebieskiego volvo i stosem płyt z monitoringiem sklepowego.

– To ona, Justyna Dembska, zabiła tamte dwie kobiety – oznajmił. – Dzwoni do wewnętrznych, żeby ją zwinęli.

– Co ty pierdolisz? – zjeżył się naczelnik.

– Daję ci sprawcę na talerzu. Wszystko potwierdziłem, nie mam wątpliwości.

Marian Pękała zacisnął dłonie w pięści i tylko kiwnął głową, jakby pewność w głosie podwładnego była wystarczająco przekonująca.

– Wiesz, że muszę mieć podkładkę – uprzedzał. – Oni będą chcieli widzieć papiery, czarno na białym.

– Jak połączysz to, co ci przyniosłem, i moje wcześniejsze raporty, będziesz miał wystarczająco dużo argumentów. Ja muszę lecieć – rzucił, po czym wybiegł z gabinetu Pękały, słysząc za sobą grzmienie szefa i miotane przekleństwa.

Gnał na Ursynów zdecydowanie szybciej, niż pozwalały na to przepisy. Wiedział, że nie powinien do niej jechać, a jednak czuł, że jest jej coś winien, chciał się upewnić, postawić kropkę nad i. Po drodze myślał tylko: dlaczego? Co spowodowało, że Justyna zabiła te dwie kobiety? Czy było tak, jak określiła w profilu, i chciała je ukarać za to, co robiły swoim dzieciom? A może i w tym aspekcie zmanipulowała ich wszystkich?

Wątpliwości kłuły go od środka i sprawiały, że zaczął przygryzać wargi aż do krwi. Kiedy wreszcie zaparkował pod jej domem i zadzwonił domofonem, serce waliło mu jak oszalałe. Namacał dłonią pistolet i kajdanki, a gdy w oknie pojawiła się twarz profilerki, zmusił się do uśmiechu. Chyba jeszcze nigdy żadna droga od furtki do drzwi wejściowych nie trwała tak długo. Wydawało mu się, że w trakcie tych kilkunastu kroków zdążył przemyśleć całe swoje życie, a przez to zdał sobie sprawę, że się boi.

Dembska otworzyła drzwi ze ścierką w dłoni.

– Masz nosa, właśnie robię jabłka pod kruszonką. – Uśmiechnęła się. – Wejdz.

Zajął miejsce w kuchni, ale nie poprosił o kawę, a ona jej nie zaproponowała. Nie zapytała też, po co przyszedł i dlaczego odwiedza ją drugi raz w ciągu dwóch dni. Kiedy pochwycił brak jej zdziwienia, zdał sobie sprawę, że Justyna już wiedziała, dlatego nie musiała pytać.

Patrzył na duży kuchenny nóż w jej dłoniach, którym mocnymi pociągnięciami kroїła owoce, i nagle zrobiło mu się zimno.

– Moje dzieci bardzo to lubią, ucieszą się, gdy wrócą z przedszkola, a w domu będzie na nie czekał deser – zagadywała jak on niegdyś w dzieciństwie, gdy jego ojciec wrócił z wywiadówki,

na której dowiedział się, że Bruno jest zagrożony z jednego przedmiotu. Mówił wtedy wszystko, byle nie musieli zaczynać tematu ocen. By odepchnąć od siebie to, co trudne.

– O której je odbierasz? – zapytał, nie spuszczać jej z oczu.

Spojrzała na niego dziwnie i podeszła bliżej, a on wstrzymał oddech, bo nagle przypomniał sobie, z jaką furią morderca rozwalił czaszki Sochy i Ostrowskiej.

– Dzisiaj pojedzie po nie Kacper, mój mąż. Poznałeś go wczoraj, prawda?

Wilczyński potwierdził, ale nie wspomniał o tym, czego się dowiedział, właściwie zdał sobie sprawę, że zaschło mu w gardle, i nie był pewien, czy potrafiłby teraz wykrztusić z siebie cokolwiek. Jego wzrok nieustannie śledził błyszczące ostrze noża, które raz za razem uderzało w drewnianą deskę do krojenia. Nagle Justyna przestała siekać, oparła się o szafkę, stojąc do niego tyłem, i z wyrzutem w głosie sformułowała pytanie.

– Dlaczego zajęło ci to tak dużo czasu? – Odwróciła się z oczami pełnymi łez i nożem, który ścisnęła za rękojeść. – Mogłeś mnie powstrzymać.

Bruno podniósł się powoli, trzymając obie ręce w górze.

– Oddaj mi to – poprosił.

– Nawet nie próbuj. Odejdź! – Zamachnęła się, a on odskoczył.

Czuł, że drżą mu dłonie, tętno szaleje, a nogi stają się miękkie.

– Pomogę ci. Jestem po twojej stronie. Razem to poukładamy – tłumaczył łagodnym głosem, wyciągając do niej dłoń.

Profilerka odsunęła się gwałtownie, a ostrze noża przeszło powietrze tuż przy twarzy Wilczyńskiego.

– Nie kłam! – ryknęła, po czym się rozplakała. – Próbowałam poradzić sobie z tym sama, wiesz? Ale kiedy nikt nie widzi twojego cierpienia, na ratunek przychodzi szaleństwo. Histeria nie oznacza, że straciłeś kontrolę, tylko że usiłowałeś kontrolować wszystko zbyt długo.

– Wyciągnę cię z tego, uwierz mi. Czeka cię proces. Ze względu na twoją historię medyczną masz szansę wnosić o stwierdzenie niepoczytalności.

– Ale ja nie chcę! – krzyknęła. – Nie rozumiesz? Jestem zła. Mam w sobie potwora, którego nienawidzę. Wiesz, co robię swoim dzieciom, gdy nikt nie patrzy? Wydieram się na nie, ściskam ich drobne ciała tak, że aż trzeszczą im kości, a kiedy śpią, szepczę im do ucha, jak bardzo ich nienawidzę. Tym jestem. Gardzę sobą za to, karzę samą siebie, ale to niczego nie zmienia. Zobacz. – Podwinęła rękawy, ukazując szereg blizn po żelazku. – Dlatego je zabiłam... Sochę i Ostrowską. Zobaczyłam w nich tego samego potwora, którego mam pod skórą. Musiałam go dopaść. Myślałam, że wtedy coś się zmieni, że stanę się inna, lepsza, ale to nieprawda. Zawsze będę już taka. Zła i odrażająca.

– Nie jesteś zła, jesteś chora.

– Zamknij się! – Przyłożyła nóż do swojego nadgarstka, a Brunonowi zakręciło się w głowie. W ułamku sekundy wrócił do niego obraz jego martwej matki unoszącej się w wypełnionej czerwienią wannie. – Muszę z tym skończyć raz na zawsze.

Nie był pewien, czy to robi, ale uczeplił się nadziei, że nie, i postanowił grać na zwłokę.

– Zaczekaj, pozwól mi zrozumieć. Wiem już, że Sochę spotykałaś w lidlu, obie robicie tam zakupy. Musiałaś dostać szału, patrząc, jak szarpie małego Rysia, i postanowiłaś ją powstrzymać, to był impuls. Ale druga ofiara? Nie rozumiem, dlaczego wybrałaś Paulinę Ostrowską. Skąd wiedziałaś, jak traktuje córkę?

– Bo moje dziecko chodziło z nią na balet. Każdego tygodnia patrzyłam, jak ona manipuluje tą dziewczynką, okłamuje ją i krzywdzi. Aż w końcu poszłam tam, pod jej dom. Powiedziałam, że zgubiłam w trawie kolczyk, gdy szłam ją odwiedzić, a kiedy wyszła na zewnątrz i schyliła się, by pomóc mi szukać, chwyciłam za kamień i tłukłam, aż zdechła! – Dembska zaciskała drżące dłonie w pięści.

Nagle z oczu profilerki zaczęły płynąć łzy.

– Chciałam się przyznać – tłumaczyła. – A później wyobraziłam sobie twarze moich dzieci odwiedzających mnie w więzieniu i uznałam, że nie dam rady.

– To ty chciałaś zepchnąć podejrzenia na Fantoma?

– To było sprytne, co nie? – Uśmiechnęła się delikatnie. – Człowiek w masce pasował idealnie. Gdyby mój mąż nie gadał tyle o tym, co szykują w pracy, nigdy nie dowiedziałabym się o Fantomie.

Od strony ulicy dobiegły ich głosy przyciszonych rozmów i kroków.

– Idą po mnie, prawda? – Justyna zaczęła się trząść, a potem przyłożyła ostrze noża do nadgarstka i jednym długim pociągnięciem nacięła go głęboko.

Z ciała kobiety wypływała krew, a ona patrzyła na nią, jakby była czymś dziwnym i niespodziewanym. Wilczyński rzucił się na profilerkę i wytrącił jej z ręki nóż dokładnie w chwili, gdy jego koledzy staranowali drzwi i wtargnęli do środka. Dembska zachwiała się, a jej dłonie wpiły się w ubranie Brunona.

– Powiedz moim dzieciom, że je przepraszam – błagała blada i bliska omdlenia.

– Sama je przeprosisz – odparł.



Na Komisariacie Policji Warszawa Targówek panowała tego dnia senna atmosfera. Funkcjonariusz dyżurny leniwie popijał kawę i korzystając z chwili spokoju, przeglądał na komórce Facebooka. Mężczyzna usiadł na skrzypiącym, wyrobionym już nieco krześle obrotowym, podniósł kubek do ust, a wtedy niespodziewanie drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł młody chłopak w towarzystwie nietuzinkowej kobiety. Intrygująca postać ubrana była w ciężką skórzaną kurtkę i glany. Wyróżniała się atletyczną budową i głową ostrzyżoną na jeża.

– Chciałbym porozmawiać z naczelnikiem Januszem Kozłowskim – rzucił chłopak, który ścisnął w rękach jakieś teczki.

– A w jakiej sprawie? – dopytywał sceptyczny oficer.

– Chcemy złożyć zawiadomienie o przestępstwie i przekazać mu odpowiednie dokumenty, które otrzymał także prokurator Niemyjski – wyjaśnił Bartosz Luboń.

Policjant przyglądał się dziwnym gościom przez dłuższy czas, a w końcu sięgnął po telefon i wybrał numer. Co chwilę oglądał się przez ramię, nieufnie obserwując petentów, a kiedy skończył rozmawiać, podszedł do nich z poważną miną.

– Naczelnik państwa oczekuje – powiedział, po czym wskazał im drogę.

Wysoki, gładko ogolony mężczyzna pachnący imbirową wodą kolońską zaprosił gości do swojego gabinetu i ciężko opadł na skórzany fotel.

– Prokurator Niemyjski dzwonił już do mnie przed chwilą w tej sprawie – powiedział grubym, niskim głosem. – Podobno mają państwo dowody na to, że dwóch naszych funkcjonariuszy dokonało przestępstwa. – Wpatrywał się w Bartosza Lubonia wzrokiem surowego ojca, który domaga się wyjaśnień od swoich dzieci.

– Tak – odparł chłopak lekko drżącym głosem, po czym odchrząknął i poprawił się na krześle. – Byłem świadkiem, jak dwóch policjantów w radiowozie potrafiło mężczyznę w lesie. Wszystko jest tutaj. – Podał policjantowi dokumenty.

Naczelnik w ciszy i z coraz bardziej zmarszczonym czołem oglądał zdjęcia, a następnie czytał zeznania osób, które były szantażowane przez policjantów, w tym lekarki Szpitala Bródnowskiego i Witka Gorzkiego, dziennikarza internetowego portalu o Białołęce. Gdy skończył, schował papiery do teczki, dokładnie zawiązał sznurek, a potem wstał i patrząc w okno, powiedział:

– Dobra robota, szczególnie że na tych funkcjonariuszy była już jedna skarga – wyjąwił w zamyśleniu, a później, dostrzegając ich zainteresowanie, pociągnął wątek. – Facet, który ją składał, wydawał się niepoczytalny. Biegał po mieście w masce i wygadywał jakieś bzdury o biednych dzieciach. Wtedy uznaliśmy, że mu odbiło, a teraz pewnie raz jeszcze przyjrzymy się temu zgłoszeniu.

Słyszając o masce, Bartek spojrzał porozumiewawczo na siostrę.

– Jego też potracili? – zapytał naiwnie.

– Nie. – Janusz Kozłowski spojrzał na niego z politowaniem. – To była sprawa o pobicie – wyjaśnił krótko. – Ale spokojnie. Proszę zostawić te sprawy w naszych rękach. Zajmiemy się tym.

– Jaką mamy gwarancję, że naprawdę się tym zajmiecie? – rzuciła Larysa, która dotychczas przysłuchiwała się rozmowie bez słowa.

Dziennikarka poczuła ulgę, że krew na rękach Fantoma naprawdę okazała się efektem pobicia, a nie jakiejś potwornej zbrodni, i jeszcze bardziej zapragnęła ukarać policjantów, którzy tego dokonali.

– A pani to kto? – Naczelnik przyglądał się dziewczynie z wyraźnym niezadowoleniem.

– Larysa Luboń, reporterka „Newsweeka” – przedstawiła się. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli robić z tego grubszej afery, niż to konieczne – dodała.

Mężczyzna zacisnął szczęki, po czym z uznaniem spojrzał na Bartka.

– Widzę, że się pan solidnie przygotował.

Młody Luboń najpierw uśmiechnął się nieśmiało, a później spojrzał na Larysę i bez wahania powiedział:

– Nauczyłem się tego od siostry.



Larysa siedziała w korytarzu Szpitala MSWiA w oczekiwaniu na Adama Zielińskiego, który miał tego dnia wyjść do domu.

Chłopak przeszedł poważną operację, chirurdzy usunęli mu, jak się ostatecznie okazało, niezłośliwy guz mózgu, który uciskał płat czołowy. Po kilkudniowej obserwacji lekarze zdecydowali, że dalszą rekonwalescencję będzie przechodził w domu. Wprawdzie miał poważne trudności z poruszaniem się i mówieniem, ale ku

zdziwieniu wszystkich jego matka zadeklarowała, że pomoże synowi w powrocie do zdrowia, by dzięki temu nadrobić stracone lata.

Dziewczyna uznała, że najwyraźniej ruszyło ją sumienie, i jak dotąd nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jest to powód do radości, czy do niepokoju. Uznała jednak, że każdy zasługuje czasem na drugą szansę. Może dlatego, gdy zobaczyła idącego w jej stronę korytarzem Brunona, nie zignorowała go, lecz posłała mu delikatny uśmiech.

Od czasu karambolu na Puławskiej nie widzieli się ani razu, ale udało im się porozmawiać przez telefon, załagodzić konflikt i wymienić informacjami na temat sprawy Fantoma oraz sprawcy morderstw na Ursynowie. Bruno, który pozazdrościł aspirant Konopackiej szalonego stanu zakochania i tego, że aby dać szansę nowo budującemu się związkowi, namówiła naczelnika Pękałę, by dał jej urlop, a później zniknęła z tajemniczym ukochanym, sam zaczynał myśleć o wakacjach. Wiedział nawet, z kim chciałby je spędzić.

– Widziałas go już? – zapytał Larysę.

– Nie. Czekam tu, żeby wręczyć mu to. – Pokazała Wilczyńskiemu egzemplarz „Newsweeka” z twarzą Adama ukrytą pod maską na okładce.

– Jak współczesny Superman. – Uśmiechnął się.

– Coś w tym stylu. A ty? Jak się ma Justyna Dembska?

– Jest pod opieką psychiatry, spotyka się z dziećmi, a niebawem stanie przed sądem.

Ich rozmowę przerwał skrzypiący dźwięk przestawianego z trudem balkonika. Adam Zieliński podszedł do nich z twarzą zroszoną potem i zaróżowioną z wysiłku skórą. Jego łydkę okrywał gips, na głowie miał gruby bandaż, a na twarzy sporo strupów.

– Kogo ja widzę? – wyartykułował z trudem. – Byłbym wściekły, ale uratowaliście mi życie – mówił niewyraźnie, poruszając przy tym jednym kącikiem ust, w czasie gdy drugi był nienaturalnie opuszczony, a gdy zobaczył czasopismo w dłoniach Larysy, dodał: – Matka już mi przyniosła jedną, tę zatrzymaj dla siebie.

Larysa kiwnęła głową i odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi windy. Każdy jego maleńki kroczek wydawał się jej olbrzymim zwycięstwem. A każdy towarzyszący mu krok Barbary Zielińskiej – kolejnym aktem pokuty tej kobiety. Kiedy zniknęli, Bruno nachylił się do Larysy z zamiarem wytłumaczenia jej wszystkiego, ale gdy tylko położył dłonie na jej ramionach, podszedł do nich kurier.

– Pani Larysa Luboń? – zapytał, wpatrując się w twarz dziewczyny.

Skonsternowana przytaknęła, a później przypomniała sobie, że wcześniej doręczyciel dzwonił do niej i pytał, czy będzie w domu, żeby odebrać przesyłkę. Złożyła podpis na elektronicznym czytniku i odebrała paczkę.

– Co to? – Bruno zaglądał jej ciekawsko przez ramię.

Larysa zdarła folię i wyjęła ze środka T-shirt z napisem „My way or highway”. Zastygła w bezruchu, a gdy odzyskała przytomność, rozejrzała się wokół. To była ulubiona koszulka Pawła Wiśniewskiego, a zarazem znak, że nigdy się nie pomyliła i jej przyjaciel musi żyć.

Złapała za ramię Brunona, ale policjant, który w międzyczasie odebrał telefon, miał poważną, zaniepokojoną minę i dał jej znak, by mu nie przeszkadzała. Kiedy chwilę później się rozłączył, przystanął na środku korytarza nieruchomo z dzikim, niemal obłąkanym wzrokiem, a w końcu uderzył pięścią w ścianę.

– Zabiję go! – krzyknął, po czym poprawił uderzenie.

Larysa, która kompletnie nie rozumiała, co się dzieje, podeszła do Wilczyńskiego.

– Co jest grane? – zapytała.

Komisarz spróbował choć trochę nad sobą zapanować.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że widziałem się z Lewickim? Bydlak powiedział wtedy, że nie widzę tego, co nadchodzi, i moja przyjaciółka też nie. Przez cały czas byłem przekonany, że chodziło mu o ciebie. Nie wiem, jak mogłem być tak ślepy! – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A teraz moja koleżanka z pracy zniknęła i wiesz, jak nazywał się facet, z którym chodziła na randki?

– Jacek Lewicki – powiedziała Larysa.

KONIEC

POSŁOWIE

Kilka lat temu na warszawskim Ursynowie spotkałam płaczącego chłopca. Miał zaledwie pięć lat, był sam i dźwigał wyładowany po brzegi plecak dla dorosłych. Po krótkiej rozmowie udało mi się dowiedzieć, że mama wyrzuciła go z domu, a on, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zdecydował się na szukanie schronienia u babci. Widok jego brudnej od kurzu i łez twarzy powracał do mnie wielokrotnie.

I to on zapoczątkował moje myślenie o *Histerii*.

Gdy zagłębiłam się w raporty i statystyki dotyczące przemocy wobec dzieci, zdałam sobie sprawę, że najczęściej mówi się o jej dwóch formach: fizycznej i seksualnej. To one pierwsze przychodzą na myśl, kiedy poruszany jest temat krzywdzenia dzieci, i na nie uwrażliwiają kampanie i akcje społeczne oraz filmy i literatura. Zdecydowanie mniej uwagi media poświęcają przemocy psychicznej, tej, której nie widać, bo nie oznacza bicia i nie zostawia siniaków, a której, według raportu Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, doświadcza co piąty młody Polak.

Krzywdzenie emocjonalne dzieci, choć często bagatelizowane i rzadko zgłaszane, a zarazem trudne do udowodnienia, zostawia jednak niedostrzegalne gołym okiem blizny. Zaburza rozwój, zwiększa podatność na problemy zdrowia psychicznego w przyszłości, obniża samoocenę, a także wywołuje agresję i złość. To bomba z opóźnionym zapłonem.

Za to, że ta historia powstała, a Wy możecie ją czytać w takiej formie, dziękuję:

– Adrianowi Tomczykowi, mojemu redaktorowi prowadzącemu, który nieustająco uświadamia mi, co jest ważne w tej pracy;

– Grecie Kaczmarek, niezłomnej i niezwykle kreatywnej, a zarazem anielsko cierplivej specjalistce od marketingu i promocji, dzięki której czytelnicy mogli się dowiedzieć o moim istnieniu;

– Karolinie Borowiec-Pieniak, redaktor językowej, której profesjonalizm i niebywała klasa niezmiennie wprawiają mnie w osłupienie;

– mojemu mężowi, który zajmował się dziećmi, gdy ja wpadałam w wir pracy, a także przyjacielom i rodzinie, bo stali się moimi najlepszymi PR-owcami i kibicami;

– mojej niezwyklej Drużynie Pierścienia, czyli konsultantom kwestii merytorycznych z zakresu medycyny, kryminalistyki i pracy policji.

Na ogromne uznanie zasługują: profiler Jan Gołębiowski z Centrum Psychologii Kryminalnej, technik kryminalistyki ukrywający się pod pseudonimem Pan Technik, policjantka o czternastoletnim stażu publikująca w sieci pod nazwą Z pamiętnika policjantki, funkcjonariusz K. z Centralnego Biura Śledczego Policji, Maria prowadząca na Instagramie konto [ksiazka.w.pigulce](#) oraz wspierająca mnie od samego początku doktor prawa i kryminalistyk, zafascynowana swoją pracą i literaturą.

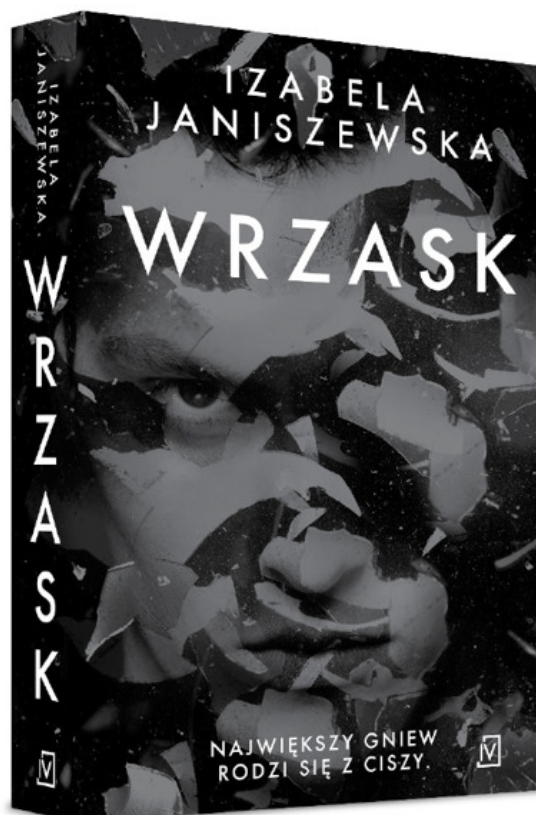
I wreszcie dziękuję Wam, drodzy czytelnicy. Wsparcie, które otrzymałam po wydaniu *Wrzasku*, było oszałamiające i przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Kłaniam się nisko za Waszą życzliwość, dociekliwe pytania i pokazanie mi tej pięknej, ludzkiej twarzy internetu.

Do przeczytania.

Izabela Janiszewska

Warszawa, lipiec 2020 roku

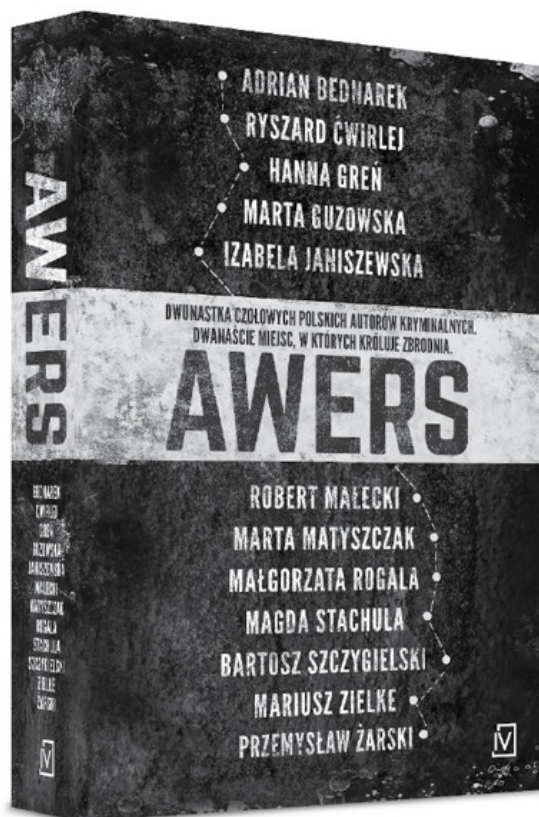
**Największy
gniew rodzi się
z ciszy...**



„Wrzask odbierze wam dech i nie pozwoli zasnąć!
Będzie rozbrzmiewał, aż do ostatniej strony.
I dłużej. Polecam!”
Max Czornyj

„Janiszewska zaskakuje i sprawia, że czytelnik myśli
o rzeczach, których udawał, że nie dostrzega.
Na kontynuację będziecie czekali z zapartym tchem”.
Bartosz Szczygielski

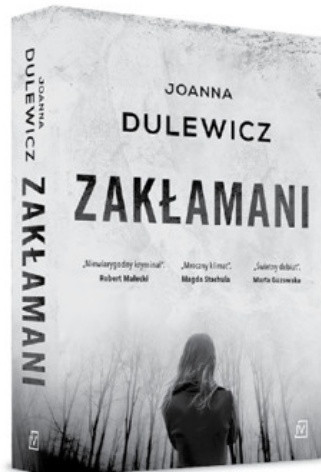
**Idealne życie jest ułudą,
a najpodlejsze czyny stają się
udziałem nawet najlepszych z nas...**



**Dwunastka czołowych polskich
autorów kryminalnych.**

**Dwanaście miejsc, w których
króluje zbrodnia.**

**MAKABRYCZNE MORDERSTWA
I LUDZIE OPLĄTANI SIECIĄ KŁAMSTW.
POZNAJ INTRYGUJĄCĄ SERIĘ
KRYMINALNĄ JOANNY DULEWICZ.**



„Niewiarygodny
kryminał”.
Robert Małecki

„Mroczny klimat”.
Magda Stachula

„Świetny debiut”.
Marta Guzowska

„Gorzki, niepokojący, bez reszty
wciągający. Joanna Dulewicz
stworzyła brawurowy kryminał,
w którym spirala zdarzeń
nakręca się w zawrotnym
tempie”.

Małgorzata Oliwia Sobczak

„Fabuła idealnie nadaje się
na scenariusz zaskakującego
i emocjonującego thrilleru.

Z wielką przyjemnością
obejrzałabym *Zastraszonych*
na dużym ekranie!”

Magdalena Stuzińska



SPIS TREŚCI

Strona przedtytułowa

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Cytat

TAMTA NOC

TERAZ

POSŁOWIE

Polecamy również